

WOJCIECH CHMIELARZ

ZWYKŁA
PRYZWITOŚĆ

Cykl z Bezimiennym

MARGINESY



**WOJCIECH
CHMIELARZ**

**ZWYKŁA
PRYZWOITOŚĆ**

MARGINESY

Aniela nie chciała umierać, ale jaki miała wybór? Brakowało jej sił, żeby się ze wszystkim borykać, żeby walczyć, chodzić po sądach, prawnikach, kłócić się, udowadniać, że nic złego nie zrobiła. Poza tym dla kogo miałyby to robić? Staśka już nie było. Zmarł pięć lat wcześniej na to samo, co tysiące innych chłopów w Polsce – na wódkę i papierosy. Nie miała o to do niego żalu. Ona pochodziła z dobrego domu. Matka nauczycielka, ojciec inżynier, od pokoleń oboje z Warszawy, a losy ich rodzin były równie dramatyczne i równie krwawe, co historia stolicy. Stasiak z kolei przyjechał tutaj za robotą. Elektryk. Niby marzył całe życie o politechnice, ale zamiast na studia, musiał iść do pracy. Za to śliczny był jak Zbyszek Cybulski, podobnie nawet się nosił. Poznali się na potańcówce w klubie studenckim, gdzie Stasiak przychodził z kolegami, żeby wrywać dziewczyny. Pracowali, mieli więc pieniądze. Robili wrażenie. Twarde, robotnicze chłopaki o spracowanych dłoniach, pachnące wodą kolońską, wódką i olejem. Tacy trochę niegrzeczni chłopcy, co to już znają życie. Wyróżniali się na tle długowłosych studentów polonistyki, historii czy filozofii. I tak jakoś się stało, że kiedy Aniela zobaczyła Staśkę, natychmiast się zakochała. Miała już wtedy kawalera, takiego, którego akceptowali jej rodzice i który bywał u nich na proszonych obiadach. Ale co z tego, skoro serce mówiło: Stasiak. Zaczęli się spotykać. Wkrótce zaszła w ciążę. Rozważała nawet, czy nie usunąć, ale za bardzo się bała. Sama nie wiedziała czego. Kary w zaświatach? Gniewu księdza? Tego, co pomyślą rodzice – oboje przykładni katolicy, którzy w piątek mięsa do ust nie wezmą i w każdą niedzielę jeżdżą na mszę do archikatedry na Starówkę – kiedy dowiedzą się, że nie tylko się puściła i zaszła w ciążę, ale potem jeszcze jej się pozbyła? Najważniejsze chyba jednak było to dziwne poczucie odpowiedzialności wobec tej rosnącej w jej brzuchu fasolki. Nie usunęła więc, chociaż wtedy to było naprawdę łatwe.

Potem wiele razy żałowała, ale nie chciała się już nad tym rozwodzić.

Stasiak przykładny chłop, zaoszczędził pieniądze, kupił garnitur i pewnego dnia spotkał się z nią w urzędzie stanu cywilnego. Ślub kościelny wzięli później, po cichu, bo kierownik Staśka był partyjny i krzywo na takie rzeczy patrzył.

Przyznać musiała Staśkowi, że się starał. Załatwił im mieszkanie, kupował książki i nawet niektóre przeczytał. Porządnie się ubierał, w koszule i marynarki, nie do pracy oczywiście, ale jak wracał z zakładu, od razu pędził do łazienki, żeby zrzucić z siebie robotnicze ciuchy, zmyć zapach potu i smarów. Robił wszystko, żeby stać się takim zięciem, jakiego oczekiwali jej rodzice. Nigdy mu się to nie udało. Zaciskał zęby i dalej próbował zmienić się z prostego robotnika w warszawskiego dżentelmena. Tylko o wódcę jakoś nie zapominał. Takie były czasy, myślała teraz Aniela, taka praca. Wszyscy pili, to Stasiak też. Nie chciał odstawać, tyle że i niespecjalnie się przed tym bronił. Potem emerytura, rozstał się z kumplami z roboty, ale już nie z alkoholem i papierosami. Aniela uśmiechnęła się smutno, kiedy przypominała sobie, jak go sąsiadki wychwalały. Że taki spokojny, grzeczny, zadbany, zawsze ogolony i wyperfumowany. Nigdy im nie przyszło do głowy, że zużywał tyle wody kolońskiej, żeby zamaskować woń wódki. Aż pewnego dnia po prostu się skończył. Wszystkim mówiła, że to zawał serca, bo tak było łatwiej niż tłumaczyć, że wyniszczony alkoholem organizm powiedział: stop. I wstyd mniejszy.

O Marysi zresztą też skłamała. Powiedziała, że zginęła w wypadku samochodowym spowodowanym przez pijanego kierowcę. Chociaż nie do końca kłamała – za kierownicą siedziała Marysia, ich jedyna córeczka.

Była wtedy sama w domu. Dokąd chciała pojechać? Nikt nie wiedział. Być może po prostu po kolejną butelkę na stację benzynową. Była zima, ślisko, a ona miała za dużo na liczniku. Wypadła na zakręcie z trasy i trafiła prosto w drzewo. Dobrze, że przynajmniej nikogo nie zabiła. Aniela miała potem żal do męża Marysi, że się przeprowadzili pod Warszawę, bo jakby zostali w stolicy, to zamiast wsiadać w samochód, po prostu poszłyby do sklepu. I do Staśka miała żal, że nauczył córkę pić. Nie specjalnie, po prostu podpatrzyła.

Ale to też wydarzyło się tyle lat temu. Wydawało się jej, że nic z tego nie jest już istotne. Najgorsze, że nie miała już dla kogo walczyć. Nie było Staśka, nie było Marysi. Zostały jej jeszcze wnuki, ale po wypadku córki zięć zerwał kontakty. Może i miał w tym trochę racji, bo nagadała mu sporo nieprzyjemnych rzeczy. Gdyby mogła, toby cofnęła czas. Kilka razy już sięgała po telefon, żeby zadzwonić i przeprosić,

powiedzieć, że chciałyby tylko zobaczyć Agusię i Jacusia. Chociaż na chwilę, z daleka. Raz nawet się połączyła. Usłyszała jego chropowaty głos w słuchawce, takie zwykłe „halo”, i natychmiast strach ją obleciał. A jeszcze bardziej wstyd. Bo jakże tak, po tylu latach, i jeszcze w takiej sprawie. Odłożyła słuchawkę.

Pewnie im lepiej beze mnie, pomyślała.

Była sama. Nie chciała umierać, ale nie miała siły na to, by resztę swoich dni użerać się z oszustami, którzy postanowili odebrać jej mieszkanie.

Początkowo próbowała. Pisała listy, dzwoniła, chciała wyjaśniać, ale machina ruszyła i ona sama nawet nie wiedziała kiedy. Po prostu jednego dnia miała mieszkanie, wspomnienia i skromną emeryturę, a następnego dowiedziała się, że jest już właściwie bezdomna.

Kiedy się złamała? Chyba tamtego dnia, gdy przyszli do niej do domu. Zamknęła wtedy drzwi na wszystkie zamki, założyła łańcuch, a potem z komórką w dłoni siadła na krześle w przedpokoju i czekała, żeby nagrać, jak się włamują.

– Mam was! – krzyknęła tryumfalnie, kiedy wreszcie pokonali zamki i drzwi stanęły otworem.

Po drugiej stronie ujrzała zdumionego ślusarza w granatowym roboczym ubraniu i młodego człowieka w garniturze. Przedstawił się jako komornik, a potem wyjął z teczki jakieś dokumenty i powoli tłumaczył ich treść. Kręciło jej się w głowie i nie potrafiła oderwać wzroku od dwóch młodych policjantów, którzy przypatrywali się temu wszystkiemu ze znudzonymi minami. Jeden z nich żuł gumę. Nic z tego nie rozumiała. To byli przecież stróże prawa. Powinni jej bronić, a nie pomagać we włamaniu.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał obłudnie ten młody człowiek w garniturze.

Pokiwała głową, ale potem pozwoliła mu się wziąć pod rękę i zaprowadzić do kuchni, gdzie dostała szklankę (swoją własną) wody (ze swojego własnego kranu). Kiedy ją piła, jakiś inny mężczyzna mierzył jej mieszkanie. Wszystko kamerowała jeszcze jedna osoba, jakby chcieli mieć pamiątkę z jej upokorzenia.

Wtedy straciła nadzieję – przez tych dwóch policjantów. To właśnie wtedy się złamała i zadzwoniła do męża Marysi. Bo wiedziała, że mógłby jej pomóc. Ale kiedy usłyszała to jego chropowate „halo”, odłożyła słuchawkę. Jak by to przecież wyglądało? Po tylu latach do niego dzwoni, i od razu po prośbie. Nie była gotowa na takie upokorzenie. I dlatego postanowiła się zabić.

Przygotowywała się do tego spokojnie i metodycznie. Poszła do biblioteki, pożyczyła kilka książek, w których spodziewała się znaleźć informacje na interesujący ją temat. Żeby nie wzbudzić podejrzeń, dodała parę tanich romansów. Bibliotekarka się nie zorientowała. Posiedziała też trochę przy komputerze, odwiedzając kolejne strony internetowe, ale od tej akurat lektury zrobił jej się tylko mętlik w głowie.

Poszła do fryzjera, kupiła dwie nowe sukienki. Jedną, w której mieli ją znaleźć, i drugą do trumny. Do tego nowe czarne rajstopy i buty czółenka. Spotkała się z nielicznymi już, taki wiek, koleżankami, ale nic im nie powiedziała, bo nie zamierzała ich martwić. Ani dawać okazji, żeby próbowały ją od tego odwieść. Bo naprawdę chciała się zabić. Dla siebie, żeby wreszcie mieć spokój, żeby nie musieć się bać, że ostatnie lata spędzi, włócząc się od przytułku do przytułku. Przede wszystkim jednak chciała im pokazać. I tym dwóm znudzonym policjantom, i temu aroganckiemu komornikowi, i tym oszustom, którzy wrobili ją w jakiś kredyt, którego w życiu na oczy nie widziała. Chciała, żeby wiedzieli, że są winni jej śmierci. Chciała być ich wyrzutem sumienia.

Dlatego zdecydowała się powiesić. We wszystkich tych mądrych książkach z biblioteki wyczytała, że kobiety najczęściej wybierają truciznę albo przedawkowują leki. Ona też się przez chwilę nad tym zastanawiała. Jak każda kobieta w tym wieku miała różnorodne schorzenia, a więc i całą baterię leków w apteczce, z których mogłaby teraz skorzystać. Ale zbuntowała się. Ona, zawsze taka elegancka i ułożona, wcale teraz nie chciała ładnie wyglądać. Wręcz przeciwnie, marzyło jej się, żeby ten, kto ją znajdzie, zobaczył coś strasznego. Coś, co będzie mu się śnić do końca życia.

Kupiła więc linę. Zawiązała na niej pętlę, tak jak pokazano w podręczniku do żeglarstwa. Tę książkę też wypożyczyła z biblioteki, choć tej akurat nie oddała. Ciągle jej przecież była potrzebna. Rozumiała, że sprawia pracującym tam uroczym dziewczynom kłopot, ale to i tak chyba lepiej, niż gdyby miała wyrwać kartkę. Podręcznik przecież prędzej czy później do nich wróci.

Wzięła drabinkę malarską i zawiesiła linę na haku od lampy. Potem podstawiła krzesło. Wspięła się na nie ostrożnie. Nogi jej drżały. Ścisnęła ją w gardle, ale zdołała powstrzymać płacz. Nie chciała, żeby makijaż się rozmasał. Odetchnęła trzy razy głęboko, rozejrzała się po mieszkaniu, pomyślała, że pomimo

wszystko przeżyła w nim kilka pięknych chwil, i wsunęła głowę w pętlę.

Czy chciała umierać? Nie chciała. Była stara i samotna, ale miała przed sobą jeszcze kilka lat życia. Kilka słonecznych dni, które mogła spędzić, wygrzewając się na ławce przed blokiem. Kilka książek do przeczytania, filmów do obejrzenia. Kilka herbatek z koleżankami, zanim wszystkie po kolei powędrują na cmentarz. Chwil pomimo wszystko wartych przeżycia.

Ale nie miała siły. Po prostu nie miała siły.

Zrobiła krok do przodu. Pchnęła stopami krzesło tak, że się przewróciło. Lina zacisnęła się na jej gardle, jakby nagle zmieniała się w żywe stworzenie.

W ostatnim odruchu świadomości pomyślała, że ten, kto ją odnajdzie, bardzo się zdziwi.

Z jakiegoś powodu zrobiło jej się dzięki temu lepiej.

Dlaczego się na to w ogóle zgodziłem? Po pierwsze Wikus mimo wszystko był moim szefem. Po drugie wynajmowałem od niego mieszkanie, i to w dobrej cenie. Kiedy ktoś taki prosi cię o przysługę, musisz mieć powód, żeby odmówić. Tak naprawdę jednak chodziło o coś innego. Przez dwa tygodnie za mną chodził, powtarzając, że wielu chłopaków z klubu mnie zna, podziwia i w sumie dobrze by było, jakbym dał im dobry przykład. Pokazał, jak się powinno przygotowywać do zawodów, a przede wszystkim zachować na ringu. Nie wiedziałem, dlaczego mu na tym zależy, ale truł mi dupę tak długo, że miałem go po prostu dosyć. I tak wylądowałem na sali sportowej, na środku której ustawiono ring. Wokół niego tłoczyli się nieliczni widzowie i znacznie więcej trenerów oraz zawodników. Chłopaki i dziewczyny w różnym wieku, różnej wagi, ale nie dało się ukryć, że spośród wszystkich najstarszy byłem ja. Zwracałem na siebie uwagę. Dostrzegałem zaintrygowane spojrzenia i nie podobało mi się to, bo oznaczało, że kilka osób na pewno mnie zapamięta. W dodatku niedługo miałem stanąć na ringu, w samym centrum tego zamieszania. Poczuję się jak idiota. Na szczęście wkrótce na salę wszedł chłopak w wieku dwudziestu kilku lat, dość szczupły, w puchowej kurtce z obszytym białym futrem kapturem. Miał ufarbowane na blond włosy, wytatuowaną szyję i aroganckie spojrzenie. Towarzyszyła mu jakaś znudzona dziewczyna, która tonęła w zbyt luźnym dresie i ukrywała się za wielkimi przeciwsłonecznymi okularami. Natychmiast po ich pojawieniu się sala jakby straciła zainteresowanie zawodami (a także mną) i przeniosła je na dziewczynę i chłopaka. Nie miałem pojęcia, kim oni są. Zauważyłem jednak, że ten wytatuowany dostrzegł Wikusia i skinął mu na powitanie głową. Wikus odpowiedział tym samym gestem.

– Po tej walce wchodzisz – rzucił mój szef, który właśnie wrócił od stolika sędziowskiego.

– Załatwiłeś wszystko?

– Po starej znajomości – powiedział. – Ale nie byli szczęśliwi.

Wzruszyłem ramionami. Obserwowałem z daleka to, co się dzieje na ringu. Walczyło dwóch chłopaczków. Obaj mieli bodajże po czternaście lat, byli zadziorni, charakterni i żaden nie chciał przegrać. Nieustannie się okładali, jakby nie wiedzieli, co to takiego walka w dystansie albo unik. Mieli twarze całe czerwone od uderzeń, a na ich ciałach lśniły krople potu. Po zakończonej rundzie trenerzy pośpiesznie wycierali ich ręcznikami, podawali bidony z wodą i gorączkowo coś powtarzali. Jestem pewien, że obaj mówili to samo – zwolnij, bo się zajedziesz. Żaden z chłopaczków nie posłuchał. Taki wiek, kiedy wydaje ci się, że na ringu nie musisz myśleć. Wkrótce stało się to, co musiało się stać. Jeden z nich – ten w niebieskim kasku – zaczął tracić siły. Coraz wolniej się poruszał, coraz słabiej bił, a przede wszystkim nie nadążał z gardą. Początkowo przewaga tego w czarnym kasku nie była duża, ale słabszy okazał się zbyt ambitny. Nie chciał klinczować, żeby złapać chwilę na odpoczynek, nie próbował uciekać. Wdał się w wymianę ciosów, której wynik mógł być tylko jeden.

Wkrótce walka się zakończyła. Chłopcy uciekli każdy do swojego narożnika. Obaj byli wykończeni. Przez chwilę po prostu opierali się o liny, dyszeli i pozwalali się poić wodą. Potem sędzia wywołał ich na ring. Odczytał werdykt. Walka trwała dwie rundy po dwie minuty. W pierwszej był remis, w drugiej czarny kask zdecydowanie wygrał, i to jego ręka powędrowała w górę. Na twarzy drugiego chłopaczka odmalowało się rozczarowanie, jakby naprawdę wierzył, że to on powinien zwyciężyć. Po wszystkim obaj uściśli sobie dłonie i pokleпали się po plecach.

– Mój zawodnik pyta, czy możecie się bić bez kasków. – Usłyszałem za swoimi plecami.

Odróciłem się. Do Wikusia podszedł właśnie łysy mężczyzna w czarnym dresie. Dobrze zbudowany, mierzący około metra dziewięćdziesięciu. Wielki facet, który wyglądał, jakby nieco się tutaj nudził. Wikus spojrzał na mnie pytająco.

– Może być bez kasku – odpowiedziałem.

Łysy kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Jesteś pewien? – zapytał Wikus.

– Ogranicza pole widzenia.

– Ale mniej boli, jak dostaniesz w łeb.

– Nie zamierzam dać się trafić – mruknąłem, żeby się odczepił.

– Jasne. Tarczki na rozgrzewkę?

Przeszliśmy na tył sali, gdzie było trochę więcej miejsca. Ściągnąłem z siebie dres i zostałem już w stroju, w którym miałem wyjść na ring – krótkie spodenki i bezrękawnik. Zawiązałem taśmy, włożyłem ochraniacz na nogi i rękawice. W tym czasie Wikuś wyciągnął z torby sportowej tarczki. Zrobiliśmy kilka ćwiczeń, powtórzyliśmy kombinacje ciosów. Zauważyłem, że blondyn z tatuażami uważnie nam się przygląda. Zupełnie nie zwracał uwagi na to, co dzieje się na ringu, gdzie właśnie walczyły dwie dziewczyny. Nie miałem jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo przyszła nasza kolej.

Wszedłem na ring. Wikuś stanął w moim narożniku. Przywitałem się z sędzią i przeciwnikiem. Facet wyglądał na kilka lat ode mnie młodszego. Miał gęste czarne włosy i zadbaną brodę, lekko mrużył oczy, jak krótkowidz. Podobnej wagi co ja, ale byłem wyższy o jakieś dziesięć centymetrów, co oznaczało też większy zasięg ramion. Uznałem, że powinienem sobie z nim poradzić.

Nie przedstawiono nas, o co zadbał Wikuś. Poinformowano tylko, w jakiej kategorii wagowej odbywa się walka, i zaczęliśmy. Trzy rundy po trzy minuty. Pierwsza na spokojnie. Nie chcieliśmy się zbyt zmęczyć na samym początku, tylko wybadać przeciwnika – co potrafi i na co go stać. Kilka wymian ciosów, z których jednak prawie wszystkie trafiały w gardę. Ja go trafiłem lewym prostym, ale za słabo, żeby zrobić mu wielką krzywdę, a przed prawym zdążył się już uchylić. Oddał mi prawym hakiem, na co z kolei ja byłem gotowy. I dobrze, bo cios okazał się naprawdę mocny. Świetnie wymierzony, zrobiony ze skrótu bioder, a nie samym ramieniem. Gdybym się nie zasłonił, byłoby ciężko. Pokopaliśmy się trochę po nogach, ale bez wielkich sukcesów. Raz mnie zmylił. Wymierzył trzy lewe proste, lekkie, które trafiały prosto w gardę – nie po to, żeby mi zrobić krzywdę, tylko odpowiednio mnie ustawić. Potem poszedł kopniak prawą nogą, tak zwany low kick, na wysokości mojego uda. Byłem gotowy. Napiąłem mięśnie. Zabolało, ale bez przesady. Brodacz spróbował wtedy kolejnego kopnięcia. Tym razem uniosłem nogę, żeby przyjąć cios na ochraniacz na piszczeli, on jednak, zamiast posłać mi low kicka, przeniósł stopę nad moim udem i kopnął mnie prosto w brzuch od frontu. W ostatniej chwili spiąłem mięśnie. Poczułem, jak uderza, i w tym momencie opuściłem uniesioną ciągle nogę, robiąc równocześnie krok do przodu. Uderzyłem prawym prostym. Mocny cios. Trafił w gardę, ale nie szkodzi. Chodziło mi o to, żeby go lekko przepchnąć, sprawić, by stracił równowagę. Potem zadawałem kolejne ciosy. Lewy prosty, prawy prosty, sierp, podbródkowy. Jeden za drugim, nie dając mu chwili na oddech i odpoczynek. Krótkowidz cofał się pod tą nawałą, z twarzą schowaną za rękawicami, nie widział więc, co robię. A ja z wolnieniem, czekałem, aż między nami będzie odpowiedni dystans, i uderzyłem go stopą prosto w brzuch. Trafiłem. Nie był gotowy. Zobaczyłem jeszcze, jak po jego twarzy przebiega grymas bólu, a potem poleciał na liny.

W tej chwili rozległ się gong. Koniec rundy. Odwróciłem się i poszedłem do swojego narożnika. Pozwoliłem, by Wikuś wyjął mi ochraniacz na zęby z ust i napił wodą z bidonu.

– Lekkie wskazanie na ciebie – powiedział. – Powinieneś dostać tę rundę.

– Wiem – mruknąłem.

– Wykończ go teraz.

– Co?

– Druga runda. Pod koniec pierwszej już go miałeś. Jedziesz z frajerem.

Przechyliłem się, żeby wyjrzeć zza Wikusia, który stał przede mną i zasłaniał mi widok na narożnik krótkowidza. Kiedy tylko to zrobiłem, poczułem, jak Wikuś wymierza mi siarczysty policzek.

– Skup się, kurwa! – warknął. – Przyjechałeś tu się głaskać czy napierdalać?

– Napierdalać – mruknąłem.

Nie rozumiałem, dlaczego zaczął się tak spinać. To były małe, lokalne zawody, a nie żadna walka o mistrzostwo świata.

– To jedziesz frajera i kończysz w tej rundzie.

Pozwolił mi się jeszcze napić. Potem wsadził ochraniacz do ust, potarł go po głowie i w tej samej chwili rozległ się gong. Wikuś zszedł z ringu. Wydawało mi się, że zerknął w stronę wytatuowanego blondyna i jego dziewczyny, ale nie byłem pewien.

Uderzyliśmy się lekko rękawicami z krótkowidzem na przywitanie i zaczęliśmy kolejne starcie. Tym razem wszedł na znacznie wyższe obroty, a ja poczułem, że jednak go nie doceniałem. Nieustannie się poruszał wokół mnie, uderzając lewymi z każdej możliwej strony. Odskakiwał, a potem doskakiwał z kombinacjami ciosów. Próbowalem go kontrować, ale skubany był po prostu za szybki. Moje ciosy albo lądowały prosto na jego gardzie, albo zdecydowanie za często przecinały powietrze. Krótkowidz był już

wtedy gdzie indziej i szykował się do kolejnego ataku. Nie wyglądało to dla mnie zbyt dobrze, ale wbrew pozorom zachowywałem spokój. Nie da się za długo walczyć tak intensywnie. Musiałem go tylko przeczekać, nie pozwolić sobie zrobić za dużej krzywdy i uderzyć, kiedy się zmęczy. Pomyślałem, że Wikus ma rację. Mogłem to zakończyć już w tej rundzie.

Wreszcie dostrzegłem swoją szansę. Ciężej oddychał, wolniej odskakiwał, ciosy były słabsze. Mogłem działać. Najpierw lewy prosty, niespecjalnie mocny, tylko po to, żeby założył gardę. Równocześnie ruch prawą nogą do przodu na skos i kopnięcie lewą w jego lewą łydkę. Jeśli straci równowagę, to dobrze. Jeśli go zabolą, jeszcze lepiej. Ale najważniejsze było to, żeby się znalazł w odpowiedniej pozycji. Żeby miał przestrzeń do wymierzenia dwóch ciosów, które go powalą. Najpierw tak zwany backfist. Lewa stopa staje bokiem, mniej więcej na wysokości prawej. W tym momencie mam mocno skręcone biodra, co wykorzystuję do tego, żeby zrobić pełen obrót. Nabieram pędu, żeby uderzyć prawą pięścią prosto w głowę przeciwnika. Dobrze wykonany backfist jest szybki, jest mocny, jest zaskakujący. Ale nawet jeśli nie trafię czysto, mam jeszcze zwieńczenie tej kombinacji – cios kolanem natychmiast po backfście, kiedy ręce przeciwnika są uniesione, a brzuch niechroniony. Tyle przynajmniej w teorii. W praktyce wyszło inaczej.

Przy backfście musiał zrobić ruch do przodu. W rezultacie nie trafiłem go w głowę, a zderzyły się nasze łokcie, tylko że mnie zaboląo bardziej. Od razu to wiedziałem. Piorunujący, ostry ból, który niczym błyskawica pomknął wzdłuż ramienia, a potem zaczął piec żywym ogniem, jakby moje kości zmieniły się w rozżarzone węgielki. Kombinację zakończyłem tak, jak chciałem – kolanem. I trafiłem go w brzuch, ale pomiędzy nami nie było dość przestrzeni, żeby to kopnięcie miało odpowiednią moc. Stęknął i odskoczył. Jeszcze próbowałem go uderzyć zwykłym prostym, ale znowu znalazł się poza moim zasięgiem. Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając biały ochraniacz na zęby, a potem skinął lekko głową, jakby chciał mnie pochwalić za dobrą akcję.

Ruszyłem do przodu. Teraz to ja atakowałem. Kolejne ciosy, kolejne kopnięcia, ale z powodu łokcia nie miałem dość mocy w prawej ręce. Całe ramię mi drżało. I w końcu stało się to, co musiało się stać – zmęczyłem się.

Zacząłem się wycofywać. Potrzebowałem chwili, żeby odsapnąć, odpocząć, złapać oddech. Pomyślałem jeszcze, że pewnie przegram tę rundę. Trudno. Jedna moja, jedna jego. Wykończę go w trzeciej.

Doskoczył do mnie. Nagle zmienił pozycję. Teraz z przodu miał prawą nogę zamiast lewej. Wymierzył prawy prosty, który przyjąłem na gardę. Potem lewy. Z tym samym rezultatem. Lewy kopniak na wysokości mojego uda, od wewnętrznej strony. Trudniejszy do zablokowania, ale nie tak mocny, jak się obawiałem. Wiedziałem dlaczego. Odczytałem jego grę. Od razu kopnął po raz kolejny, tym razem wyżej, na wysokości brzucha. Middle kick.

Przy bloku należy skrócić ciałem w kierunku kopnięcia. Zastawiamy się zgiętą ręką. Należy pamiętać o tym, żeby nie opuszczać jej za nisko, bo wtedy przeciwnik może dostrzec swoją szansę i uderzyć w głowę.

Wszystko to wiedziałem. Wszystko to robiłem tysiące razy na treningach. Ale trening to jedno, a walka to drugie.

To była chyba wina wcześniejszego uderzenia w łokieć. Nie żeby doszło do jakiejś poważnej kontuzji. Należało jedynie wysmarować maścią, obłożyć lodem i za dwa dni nic by mnie nie bolało. Teraz jednak ramię, drżąc, mimowolnie powędrowało w dół. Nie zdążyłem tego poprawić.

Ale i tak powinienem dać radę. I tak powinienem się zasłonić, przynajmniej częściowo. Noga krótkowidza powędrowała jednak wyżej, niż się spodziewałem. Nie uderzył z boku, tylko od góry. Choć był niższy niż ja. Zobaczyłem jeszcze, jak na mnie spada, a potem tuż nad czołem poczułem ostre uderzenie, które wbiło mnie w ziemię. Nagle przed oczami zrobiło mi się ciemno.

To był amatorski turniej. Bez żadnej wielkiej stawki. Kilkudziesięciu uczestników w różnym wieku. Kilkanaście walk.

Był tylko jeden nokaut.

I na deski poleciałem właśnie ja.

– Masz, napij się jeszcze – powiedział Wikuś, a ja, zaskoczony, wziąłem od niego kubek wody.

Zdałem sobie sprawę, że chociaż od jakiegoś czasu jestem przytomny, to świadomość wraca mi dopiero teraz. Tak się czasami zdarza. Jakby ciało i umysł działały na autopilocie bez tej zbędnej często nakładki, która nazywana jest osobowością.

Ostrożnie podsunąłem sobie kubek do ust i upiłem dwa łyki przyjemnie chłodnej wody. Chociaż muszę przyznać, że miała wyraźnie metaliczny posmak.

– Co się stało? – zapytałem.

– Padłeś jak długi. Potem próbowałeś się podnieść i znowu się przewróciłeś. Sędzia przerwał walkę. Nie odcięło cię zupełnie, ale nie było z tobą kontaktu – wyjaśnił Wikuś. – Coś bełkotałeś.

Kiwnąłem głową i od razu tego pożałowałem, bo pod moją czaszką doszło do małej eksplozji.

– Dlatego przed walką warto wiedzieć, z kim się bije – mruknąłem.

– Co masz na myśli?

– Ta jego noga. Podniósł ją wyżej, niż się spodziewałem. Skubany, musiał ćwiczyć karate przez długie lata.

– Nie przejmuj się – powiedział Wikuś. – To była walka sportowa. W rękawicach, z sędzią i tymi wszystkimi zasadami. Na ulicy jest zupełnie inaczej. Tam się walczy na serio, bez żadnych reguł, z zupełnie innym nastawieniem w głowie. Ty to masz. Tamten ty, nie ten. Na ulicy załatwiłbyś go bez problemu.

Nie rozumiałem, dlaczego Wikuś mi to wszystko opowiada. Nie potrzebowałem pocieszenia. To była dobra walka. Przegrałem, zdarza się, a to całe gadanie o ulicy nie miało przecież żadnego znaczenia. Biłem się na ringu, zgodnie z zasadami, które obaj znaliśmy i na które obaj się zgodziliśmy. Nawet na to, żeby walczyć bez kasku. Gdybyśmy je zostawili, i tak bym oberwał, ale pewnie ustałbym na nogach. I kto wie, może wtedy nasz pojedynek skończyłby się inaczej. Ale to też nie miało znaczenia. Faktów nie zmienia. Tym razem byłem po prostu gorszy, a krótkowidza pewnie już nigdy w życiu nie spotkam.

A potem dotarło do mnie, że Wikuś mówi zdecydowanie zbyt głośno. Nawet biorąc pod uwagę, że ciągle znajdowaliśmy się w zatłoczonej sali treningowej, a na ringu odbywał się już kolejny pojedynek. Jakies dwa metry od nas stał blondyn ze swoją dziewczyną, która żuła gumę i przeglądała coś w telefonie. Wikuś klepnął mnie w ramię i podszedł do nich. Przez chwilę o czymś rozmawiali przyciszonymi głosami, a może tylko ja ich nie słyszałem z powodu panującego wokół rejdachu. Potem pożegnali się, przybijając żółwika. Blondyn nieoczekiwanie machnął do mnie ręką, odpowiedziałem więc tym samym. Wikuś wrócił z nieudolnie ukrywanym zawodem wypisanym na twarzy, natomiast tamta dwójka ruszyła do wyjścia. Po drodze zaczepił ją spocony chłopak, który chyba dopiero co zszedł z ringu, i poprosił o wspólne selfie.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Wikuś przez chwilę zachowywał się tak, jakby nie dosłyszał pytania. Obracał głowę na wszystkie strony, udawał, że przygląda się walce albo szuka kogoś pośród widzów. Nie zamierzałem jednak odpuszczać i wreszcie skapitulowałem. Westchnął i usiadł obok mnie na drewnianej ławie.

– Klub cienko przedzie – powiedział.

– No, to nigdy nie było najpopularniejsze miejsce w mieście – zauważyłem.

W czasach sieciówek z salami wypełnionymi nowoczesnym sprzętem treningowym, z zajęciami z zumby, crossfitu czy cokolwiek teraz było modne, klub Wikusia był... hm... staroświecki. Maszyny miały ponad dwadzieścia lat, ale przecież to głównie żelastwo, co więc tam mogło się zepsuć. Sala do ćwiczenia wymagała remontu, tyle że to mogło jeszcze trochę poczekać. Chociaż nie obraziłbym się, gdyby pojawiły się tam nowe worki i tarcze, które choć trochę chronią trzymającego.

– Tak, ale teraz... – zawiesił głos. Ten temat był najwyraźniej dla niego niezręczny. – Rachunki nas zżerają. Pieprzona inflacja. Wszystko poszło w górę. Elektryczność, woda, wynajem. Do tego przychodzi coraz mniej osób. Ciężko jest.

– Chcesz mnie zwolnić? – zapytałem, chociaż niespecjalnie wierzyłem w taką ewentualność. Nie zaoszczędziłby na tym aż tak dużo, a tę robotę i tak ktoś musiał wykonywać.

– Gorzej.

– Gorzej? – powtórzyłem i wtedy do mnie dotarło. – Mieszkanie.

Skrzywił się, jakbym właśnie wbił mu igłę pod paznokieć.

– Sorry, stary... – wymruczał zmieszany. – Ale nie dam rady już ci go wynajmować za półdarmo.

– A ja nie dam rady płacić ci więcej.

– Wiem, ale potrzebuję pieniędzy. Żona mi wierci dziurę w brzuchu o to mieszkanie. Do tego dzieciaki. Wiesz, jak jest.

Wiedziałem. Pociągnąłem łyk z kubka. Metalowy posmak zniknął. Czyli to było coś ze mną, a nie z wodą. Przełknąłem i zacząłem się zastanawiać, jakie mam wyjścia. Od pewnego czasu praca w klubie stanowiła moje jedyne źródło zarobku. Skończyły się różne mniejsze i większe prośby o pomoc i zlecenia na boku. Podejrzywałem o to Jaszczura, ale też nie mogłem mieć do niego żalu. Szczególnie że to on najpierw wylądował na chirurgicznym stole, potem z nogą w gipsie i wreszcie w gabinecie rehabilitanta. Była szansa, że kiedyś będzie w stanie chodzić bez laseczki. Mogłem poprosić o robotę Czarnego, choć tego akurat wolałem nie robić. Nigdy nie wiadomo, w co mnie wpakuje. Lubiłem go, ale instynktownie czułem, że lepiej trzymać się od niego z daleka. Poza tym Czarny zniknął z miasta kilka tygodni temu i od tego czasu go nie widziałem.

– Miałem nadzieję, że na tych zawodach trochę zarobimy – odezwał się Wikuś.

– Nie mów, że na mnie postawiłeś – powiedziałem.

Jego mina wystarczyła mi za całą odpowiedź. To wszystko zaczynało mieć sens. Brałem udział co prawda w zawodach amatorskich, ale nawet na takich imprezach pojawiali się kolesie, którzy lubią przekładać pieniądze z ręki do ręki, a przy okazji zarobić na prowizji. Wszystko oczywiście nieoficjalnie. To dlatego tak naciskał na mój udział. Wcale nie chodziło o to, żeby dać przykład innym chłopakom z klubu. Po prostu widział we mnie pewniaka, który pozwoli mu podreperować budżet.

– Ile przegrałeś? – zapytałem.

– Dość – stwierdził.

– I dobrze. Gdybym wiedział, że o to chodzi, sam bym się podłożył.

– Jak widać, nie musiałeś.

Przez chwilę miałem ochotę go uderzyć. Nigdy nie zgodziłbym się na udział w tym turnieju, gdybym wiedział, że chce postawić na mnie pieniądze. A on świetnie zdawał sobie sprawę, że nielegalne zakłady – zresztą także te legalne – oznaczają dodatkowe ryzyko. Zawsze ktoś przegrywa, zawsze ktoś ma żal. Poza tym pieniądze to pokusa, żeby zagrać nieczysto. Nie chodzi tylko o podkładanie się i ustawianie walk. Można też dorzucić środek odurzający do bidonu z wodą przeciwnika i zrobić kilka innych rzeczy, żeby starcie skończyło się jedynym słusznym wynikiem. Potem jednak pomyślałem, że nie będę się wściekać. Wystarczyła mi świadomość, że Wikuś po powrocie do domu będzie musiał się tłumaczyć żonie z przegranych pieniędzy.

– Ale nie tylko o te zakłady chodziło – odezwał się po chwili, a ja zignorowałem liczbę mnogą w słowie „zakłady”. To był już jego problem, nie mój. – Miałem dla ciebie nagraną robotę. No, prawie nagraną.

– Blondynek, z którym gadałeś przed chwilą? – domyśliłem się.

Przytaknął.

– Kim on jest?

– Youtuberem albo tiktokerem – powiedział i machnął lekceważąco ręką. – Nie wiem, nie rozróżniam ich, chociaż moja córka ciągle siedzi na jednym albo drugim. Ten blondynek, jak go nazwałeś, ma w pizdu obserwujących. Kilkaset tysięcy albo milionów nawet. Trzepie jakąś niewyobrażalną kasę na reklamach i współpracach. Taką, że nawet sam już nie wie, na co ją wydawać. Znajomy znajomego nas ze sobą skontaktował. Chłopak zamierza wziąć udział w jednej z tych gal MMA, w których biją się różni celebryci, i szuka kogoś, kto go wytrenuje. Pomyślałem o tobie. Poćwiczyłbyś z nim trochę, pokazał co i jak. A przy okazji zgarnął konkretną sumkę.

– I wtedy miałbym jak ci zapłacić za mieszkanie?

– Tak.

Popatrzyłem na Wikusia trochę życzliwszym okiem. Zadał sobie spory trud, żeby uknuć tę całą intrygę, chociaż przecież nie musiał. Z nas dwóch to ja byłem jego dłużnikiem, a nie na odwrót. Jeśli tylko by chciał, mógłby mnie wyrzucić z mieszkania z dnia na dzień, a ja i tak powinienem być mu wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobił.

– Ale nic z tego nie wyszło – powiedziałem.

– Przyszedł cię tutaj oglądać w akcji. Przekonać się, co potrafisz i czy to, co mu opowiedziałem, było prawdą. Zobaczył, co zobaczył, i stwierdził, że poszuka kogoś innego. Ale podziękował. Kazał ci powiedzieć, że fajnie się biłeś.

Zaśmiałem się krótko.

– To dlatego gadałeś te bzdury o walce na ulicy?

– Robiłem ci reklamę, stary.

Dopiłem wodę. Zgniotłem kubek w dłoni i rzuciłem nim do najbliższego kosza na śmieci. Odbił się od krawędzi i upadł na podłogę. Podniosłem się z ławki, stękając, żeby go podnieść i wyrzucić. Ubiegł mnie jakiś dziesięcioletni chłopaczek. Na szczęście, bo ledwo wstałem, rozboleła mnie cała ciał i zakręciło mi się w głowie. Podparłem się ścianą w obawie, że jeszcze chwila i wyląduję na deskach po raz kolejny tego dnia.

– Wszystko w porządku? – zapytał Wikus.

Pokazałem mu uniesiony kciuk.

– Zawieź mnie do domu – poprosiłem. – Spakuję swoje rzeczy i jutro mieszkanie będzie wolne.

– Co ze sobą zrobisz?

– Jeśli mi pozwolisz, to przekimam noc lub dwie w klubie – powiedziałem.

– A potem?

Wzruszyłem ramionami.

– A potem coś wymyślę. Jak zawsze.

Jafar widział w swoim życiu wiele przerażających rzeczy. To, jak jego koledzy wykrwawiali się na ulicach Teheranu po kolejnej demonstracji. Jak jego koleżanki były wykorzystywane przez prorządowych bojówkarzy, bo Koran co prawda zabrania chodzić kobietom z odsłoniętą głową, ale najwyraźniej nie zabrania ich gwałcić, jeśli zaczną walczyć o swoje prawa. Widział, jak Abbas dostał pałką w głowę i pękła mu czaszka. I to, jak potem umierał powoli, a Jafar był zbyt przerażony, żeby przyjść mu z pomocą. Łykając łzy, patrzył, jak jego serce umiera. Abbasa otaczali bojówkarze, którzy z jakiegoś powodu zachowywali się, jakby Jafara nie zauważali. Przyglądali się swojej ofierze, a kiedy ta wydała ostatni oddech, po prostu odeszli. Widział młodych ludzi, którzy wychodzili z domu, żeby walczyć o swoją przyszłość, znikali, a potem odnajdywali się na salach sądowych, czekając w upiornym spokoju, aż usłużny sędzia wymierzy im karę śmierci.

Te wspomnienia wżarły mu się w mózg, były niczym mentalny i emocjonalny tatuaż. Tak jak zwykle tatuaże i ten być może kiedyś wyblaknie, ale zostanie z nim na całe życie. Dlatego Jafar nie spodziewał się, że miejscem, które będzie go prześladowało w koszmarach, okaże się przygraniczny las.

Obiecowali im, że ta podróż będzie łatwa. Żadnego przedzierania się przez granicę irańsko-turecką, żadnych obozów przejściowych, żadnych niebezpiecznych przepraw przez morze. Musieli tylko dostać się do Bagdadu, a potem wsiąść w samolot, którym polecą w komfortowych warunkach do Mińska. Dostaną nawet poczęstunek na pokładzie. A Białoruś to już właściwie Unia Europejska i rzut kamieniem od Berlina. Trzeba było tylko pokonać granicę z Polską, ale to właściwie spacer. Tak im przynajmniej mówili organizatorzy. Kłamali, bo na koniec Jafar z innymi wylądowali w przerażającym lesie, który ciągnął się w nieskończoność. Nieustannie błądzili, kręcili się wkoło, głodowali, marzli i modlili się o odrobinę wody, ale parli do przodu. Do Unii Europejskiej, gdzie panował spokój, do Berlina, gdzie każdy, nawet Jafar, mógł być sobą i nie musiał się wstydzić tego, kogo kocha. I nie będzie się bać, że ktoś go zabije z tego powodu. Aż trafili na jakichś umundurowanych mężczyzn z bronią, którzy oślepiali ich latarkami. Ci mężczyźni – żołnierze lub strażnicy graniczni – wrzeszczeli na nich w dziwnym, niezrozumiałym, szeleszczącym jak liście przygranicznych drzew języku, grozili, wypychając z powrotem na Białoruś, prosto pod lufy kałasznikowów. I ci sami Białorusini, którzy jeszcze niedawno byli tak dobrzy i wskazywali kierunek na Berlin, teraz grozili, że jeśli Jafar i inni się nie wyniosą, to zostaną zastrzeleni.

I tak wędrowali, odbijani przez jednych i przez drugich, pokonując pagórki, wąwozy, strumienie. A także ten płot, który najpierw witali jak starego przyjaciela, a potem przeklinali niczym najgorszego wroga. Coraz bardziej zmęczeni, coraz bardziej głodni, coraz bardziej zziębnięci. Zamknięci w leśnym więzieniu bez żadnego wyroku i bez nadziei, że kiedykolwiek się z niego wydostaną. Każda złamana gałązka, każde trzaśnięcie, każdy dźwięk, sprawiały, że włosy stawały mu dęba, bo bał się kolejnego spotkania z tymi strasznymi ludźmi z karabinami. Bo wiedział, że teraz nie skończy się na straszaniu.

Aż którejś nocy Jafar zasnął pod jednym z tych strasznych drzew, a kiedy się obudził, wokół nie było nikogo. Porzucony, przerażony, gdyby mógł, potrafił, wiedział jak, toby się wtedy zabił, ale zaczął maszerować. Po godzinie, dwóch, trzech lub milionie usłyszał w lesie kroki. Podniósł ręce, chociaż sam nie wiedział po co. Nie zamierzał przecież wracać na Białoruś. Chciał, żeby żołnierze go zastrzelili. Tu i teraz.

Tylko że to nie byli żołnierze ani strażnicy graniczni. Jacyś młodzi ludzie w maskujących ubraniach najpierw posadzili go pod drzewem i owinęli folią termiczną. Dali mu się napić gorącej herbaty i podali batony energetyczne, a potem prowadzili przez mokradła, które znali jak własną kieszeń, aż w końcu dotarli do ukrytych w zaroślach samochodów i Jafar w końcu uwierzył, że to koniec. Że nikt mu już nie każe wracać na Białoruś, a potem raz jeszcze przedzierać się przez ten straszny, zimny las.

Później przez pewien czas mieszkał w Warszawie. Nie miał już sił na dalszą wędrówkę. Ci sami młodzi ludzie, którzy go tam przywieźli, pomogli mu znaleźć zatrudnienie w barze z kebabami. Pracował po dwanaście godzin. Mieszkał pokątnie razem z sześcioma innymi imigrantami, z których większość jeździła po mieście na rowerze, dowożąc głodnym Polakom jedzenie. Odpoczywał i nabierał sił, ciągle jednak się bał. Najpierw tego, że przyjdą po niego umundurowani mężczyźni z karabinami i zawiozą z powrotem na Białoruś. Potem, kiedy więcej zrozumiał i załapał trochę języka, tego, że z byle powodu, choćby innego koloru skóry, zatrzyma go policja i każe się wylegitymować. A kiedy okaże się, że przebywa w Polsce

nielegalnie, wsadzą go do ośrodka dla obcokrajowców, a następnie w pierwszy samolot do Teheranu. Dlatego rzadko wychodził z mieszkania. Z pracy do domu, z domu do pracy, zawsze ze wzrokiem wbitym w ziemię i zarzuconym na głowę kapturem. O zakupy prosił mieszkających z nim Hindusów. Wreszcie dowiedział się, że w Polsce tacy jak on też nie mają łatwo. Może nie wsadzają ich do więzienia, nie torturują, nie wieszają w trakcie publicznych egzekucji, ale lepiej nikomu nic nie mówić, nie chwalić się, nie obnosić. Żeby nie sprowokować kłopotów i nie dostać pięścią w nos. Jafar więc za dnia marzył o Berlinie, a w nocy śnił koszmary o przygranicznym lesie. A pewnego dnia postanowił znowu wyruszyć w drogę.

Obudził się, gdy samochód stanął. Otworzył oczy i poczuł ulgę, bo po raz kolejny uciekł z mokradeł, ale jeszcze przez chwilę czuł na skórze przejmujący chłód, a na policzkach szorstki dotyk gałęzi.

– Już jesteśmy? – zapytał kierowcę z nadzieją w głosie.

– Jeszcze nie.

Faktycznie. Znajdowali się na jakiejś wąskiej drodze, a z jednej i drugiej strony ciągnęły się czarne pola, nad którymi unosiły się leniwie wąskie pasma nocnej mgły.

– A daleko do Berlina?

– Blisko. Zaraz będziemy.

Jafar się uśmiechnął. Od warszawskich przyjaciół dostał kilka adresów w Berlinie. Podobno ludzie, którzy tam pracowali, mu pomogą. Wystarczy tylko, że przedstawi im swoją historię, opowie o orientacji i dostanie status uchodźcy. A wtedy, być może po raz pierwszy w życiu, będzie mógł odetchnąć pełną piersią i chodzić z wysoko uniesioną głową. Berlin oznaczał wolność.

– Czemu stajemy? – zapytał kierowcę.

– Muszę siku.

– Aha.

– Ty też się wysikaj.

– Nie chce mi się.

– Chce, chce – powiedział kierowca i wskazał na butelkę po napoju leżącą na podłodze pomiędzy nogami Jafara. – Tyle wypiełeś, że musi ci się chcieć, a potem nie będziemy się już nigdzie zatrzymywać.

Faktycznie, kiedy chłopak zerknął na butelkę po fancie, niemal natychmiast poczuł ucisk w pęcherzu.

Obaj wysiedli z samochodu. Przeskoczyli przez niewielki rów oddzielający drogę od pola, przeszli kilka metrów w głąb i stanęli obok siebie, niemal ramię w ramię. Kierowca rozpiął rozporek. Zaczął sikać. Jafar zrobił to samo. Przez chwilę obaj tak tkwili, ze spojrzeniami wbitymi w ciemną przestrzeń przed nimi, a jedynymi odgłosami, które do nich dochodziły, było uderzenie strugi moczu w miękką ziemię. Jafar zastanawiał się, gdzie dokładnie są. Czy przekroczyli już granicę z Niemcami? I jak długo będą jeszcze jechać? Przez moment w jego sercu pojawił się strach, że Berlin go rozczaruje, ale szybko to od siebie odgonił. Pomyślał, że wreszcie dociera do celu długiej wędrówki, i szeroko się uśmiechnął.

Kierowca skończył sikać pierwszy. Zapiął spodnie i cofnął się o dwa kroki. Jafar szybko dokończył, bo chciał już wracać do samochodu, ale rozporek jak na złość właśnie teraz się zaciął. Zanim sobie z nim poradził, poczuł potężne uderzenie w plecy. Stracił równowagę i poleciał prosto w kałużę moczu przed sobą. Próbował się podnieść, wbił palce w miękką glebę, ale w tym samym momencie przygniótł go straszny ciężar, a fala bólu przeszła wzdłuż całego kręgosłupa. Jęknął. Chciał krzyknąć, ale nie zdążył, bo jego twarz została wciśnięta w ziemię.

A potem ta sama przerażająca siła poderwała go w górę jak szmacianą lalkę. W głowie Jafara wybuchła myśl, że las się o niego upomniał, że drzewa odnalazły go na tym polu i skoro nie udało im się zabić go chłodem i zmęczeniem podczas tamtej wędrówki, to teraz rozerwą go na strzępy. Upewnił się jeszcze w tej wizji, kiedy jakiś konar otoczył jego kark, a drugi unieruchomił w brutalnym uchwycie.

Dopiero po chwili zorientował się, że to nie żadne drzewo, ale kierowca. Człowiek, któremu zapłacił za to, żeby go zawiózł do Berlina. Człowiek, którego uważał za swojego przyjaciela. Ramię mężczyzny zacisnęło się na jego szyi. Jafar miał wrażenie, że ktoś właśnie wrzucił go do maszynki do mięsa, przed oczami zrobiło mu się ciemno i poczuł, że nie może nabrać tchu. To było tak gwałtowne, że nawet nie zdążył podjąć walki. Jego ciało momentalnie zwiotczało, a on zrozumiał, że umiera.

Jeszcze nie.

Kierowca go puścił, a raczej wyrzucił jak coś bezużytecznego, a potem stanął nad nim z zaciśniętymi pięściami, spuszczoną głową i patrzył ponuro, jak ten się wiję, chwytając za szyję, próbuje wziąć głębszy

oddech, chociaż przynosiło to niewiarygodny ból.

– Dlaczego? – jęknął rozpaczliwie Jafar.

Mężczyzna rozejrzał się dookoła, żeby upewnić się, że nikt ich nie widzi. Ale w środku nocy na tym polu nie było nikogo innego. Tylko oni dwaj.

– Bo nienawidzę takich jak ty – odpowiedział.

A potem na Jafara spadł pierwszy cios.

Całą wieczność później, pomiędzy kolejnymi uderzeniami, ze wzrokiem zamglonym od krwi i łez, gdzieś na granicy horyzontu chłopak dostrzegł delikatnie migające światła. W ostatnich sekundach życia Jafar pomyślał, że to właśnie Berlin.

Dwa dni po walce, z torbą sportową przewieszoną przez ramię wysiadłem z tramwaju numer 9 mniej więcej na wysokości Okęcia. Na dworze robiło się już ciemno. Zapiąłem do końca kurtkę, wyjąłem z kieszeni czapkę i z przyjemnością zaciągnąłem się chłodnym listopadowym powietrzem. Nawet jeśli nieco trąciło spalinami przejeżdżających aleją Krakowską samochodów, i tak była to miła odmiana po podróży tramwajem, który wypełniony po brzegi ludźmi i do tego z włączonym ogrzewaniem zmieniał się powoli w piekarnik.

Przeszedłem na drugą stronę kilkupasmowej ulicy i ruszyłem chodnikiem. Minąłem kilka budynków z kolorowymi szyldami z napisem „Hotel” lub w najgorszym razie „Miejsca noclegowe”. Zwykle tanie przybytki dla podróżnych, którzy z różnych przyczyn nie zaklepalili pokoju w Radissonie czy innym Ibisie. Może nie zdążyli, może zdradzali małżonków i dlatego woleli się spotkać w ustronnym miejscu, a może po prostu szkoda im było pieniędzy albo firmy chciały zaoszczędzić na noclegach dla pracowników w delegacji. Minąłem te miejsca, nawet nie zaglądając do środka, bo i tak nie było mnie na nie stać.

Skręciłem w prawo, w jedną z bocznych uliczek. Tam chodnik stawał się węższy. Musiałem zejść na ulicę, żeby przepuścić starszą kobietę, która ciągnęła za sobą torbę na kółkach wypełnioną zakupami. Podniosła wzrok i w jej oczach dostrzegłem błysk strachu. Trochę ją nawet rozumiałem. Uliczka była słabo oświetlona, a na tym odcinku po obu jej stronach znajdowały się niewielkie budynki biurowe, o tej porze puste. Uśmiechnąłem się uspokajająco, a kobieta wymamrotała podziękowania i przyspieszyła kroku.

To w ogóle była dziwna okolica. Obok starych stały tu nowe budynki biurowe, warsztaty z podwórkami pełnymi porzeczonych wraków samochodów, market ogrodniczy i do tego domy jednorodzinne. Te sprzed pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat i te nowoczesne, których właściciele wydali majątek na wielkie przeszklone ściany, wyłożone kostką brukową podjazdy i zadbane ogrody.

Po kilkunastu minutach spaceru dotarłem pod właściwy adres. Na niewielkiej zadrzewionej działce, schowany pomiędzy dwoma biurkami, stał parterowy drewniany dom z blaszanym dachem. W oknach paliło się światło, ale z powodu zasłoniętych firanek nie było widać wnętrza. Podeszedłem do furtki. Przez chwilę szukałem dzwonka, ale żadnego nie znalazłem.

– Halo! – zawołałem. – Mogę wejść?

Nikt nie odpowiedział. Na płocie wisiała plakietka z napisem „Uwaga, zły pies” i wizerunkiem owczarka niemieckiego. Zniszczona i wyblakła, trzymała się zaledwie na jednym porzeczonym drucie. Uznałem więc, że pies, o ile jeszcze żyje, prawdopodobnie jest w takim samym stanie jak ostrzegająca przed nim tabliczka. Nacisnąłem klamkę i pchnąłem furtkę, a ta zapiszczała cicho.

Poszedłem prosto, obchodząc drewnianą chatę. Na podwórku znajdowało się kilka blaszanych garaży i stara rampa samochodowa. Z boku, w krzakach, leżała sterta żelastwa.

Usłyszałem za sobą kasłanie i obróciłem się na pięcie. Pod ścianą chaty na wędkarskim krzeselku siedział mężczyzna z papierosem w ustach. Na głowie miał czapkę z daszkiem i cały tonął w za dużym bordowym swetrze. Znajdował się w cieniu, nie mogłem więc mu się za dobrze przyjrzeć.

– Dobry wieczór – odezwałem się pierwszy.

– Dobry... – powiedział, zaciągając się papierosem.

– Wołałem, ale nikt nie odpowiadał, to pozwoliłem sobie wejść.

– Słyszałem. – Miał szorstki, zmęczony, chrapliwy głos. – Ale akurat paliłem. Pan z ogłoszenia?

– Tak. Dzwoniłem.

Zaciągnął się po raz kolejny, mocno, jakby za jednym razem chciał skończyć papierosa. Przytrzymał dym w płucach, równocześnie rzucając niedopałek na ziemię i przygniatając go butem. Na nogach miał gumowe czarne kalosze.

– Pan pójdzie ze mną – powiedział tuż po tym, jak wypuścił dym.

Stękając, podniósł się z krzesła i wszedł do domu, a ja za nim. W środku było zapalone światło i wreszcie mogłem dobrze mu się przyjrzeć. Miał pewnie sporo ponad sześćdziesiąt lat, rzadkie siwe włosy i twarz przeoraną głęboką siatką zmarszczek. Jak u człowieka, który przez całe życie się nie oszczędzał i pracował fizycznie. Chodził lekko przygarbiony, powłócząc jedną nogą. W przedpokoju musiałem trochę poczekać, aż poradzi sobie z kaloszami i zapinanym na guziki swetrem. Odwiesił go razem z czapką na

wieszak, a paczkę papierosów wrzucił do dużej, starej kryształowej misy, która stała na komodzie.

Wnętrze domu, chociaż wyglądało na zadbane, pachniało kurzem i pastą do podłóg. Drewniane deski pod moimi stopami skrzypiały przy każdym kroku. Mężczyzna poprowadził mnie korytarzem. Zatrzymał się przy białych drzwiach. Nacisnął klamkę i otworzył je szeroko.

– Pan zajrzy – powiedział.

– To ten pokój?

– Ten – potwierdził.

Wszedłem do środka i nacisnąłem włącznik światła. Pomieszczenie było niewielkie. Dało się zrobić kilka kroków od ściany do ściany. Okno wychodziło na podwórze. Tapczan, podobnie jak pozostałe meble w tym domu, musiał liczyć sobie co najmniej kilkadziesiąt lat, do tego niewielkie biurko i szafa oraz obrazek z tanią reprodukcją *Słoneczników* van Gogha.

– I jak? – zapytał mężczyzna.

– Jest wszystko, czego potrzebuję.

– Czyli pan bierze?

– Biorę.

Zmrużył oczy, przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu, jakby się zastanawiał, czy podjął dobrą decyzję. A potem machnął na mnie ręką, żebym poszedł za nim.

Wróciliśmy do sieni. Przeszliśmy przez kuchnię do największego z pokoi w domu. Tu znajdował się stary telewizor, włączony, ale ściszony tak, że nic nie było słychać. Najwyraźniej właścicielowi wystarczyło, że coś migało na ekranie. Na rozłożonym, pościelonym tapczanie, na wysokości poduszek leżał zwinięty w kłębek biało-czarny kot. Pod ścianą stała kolejna komoda ze sklejki, a na niej, na samym środku, kolorowe zdjęcie jakiejś kobiety w taniej, posrebrzanej ramce i wazon z tulipanami. Akurat kwiatów w domu zamieszkiwanym przez samotnego mężczyznę się nie spodziewałem, zatrzymałem więc wzrok na fotografii i bukietcie chyba o sekundę za długo, bo mój gospodarz to zauważył.

– Moja żona – powiedział. – Nie żyje.

– Przykro mi.

Lekko się skrzywił.

– To już szesnaście lat będzie – mruknął w odpowiedzi. – Tulipany to były jej ulubione kwiaty. Za rzadko je kupowałem, jak żyła, to teraz... – przerwał na moment – ...niech ma – dokończył wreszcie zirytowany. – Siadajmy – powiedział, wskazując na zajmujący centralne miejsce w pokoju stół. Na jego blacie leżało kilka magazynów z krzyżówkami.

Zrobiłem to, o co poprosił. On zajął miejsce naprzeciwko. Kot na tapczanie uniósł głowę, poobserwował nas przez moment, a potem leniwie się podniósł i zeskoczył na podłogę. Tylko po to, żeby zaraz wskoczyć na kolana starego mężczyzny. Ten uśmiechnął się mimowolnie, ale zaraz ukrył to pod grymasem niezadowolenia, jakby ów pogodniejszy wyraz twarzy był czymś niestosownym. Pogłaskał kota, potem odstawił go na podłogę.

– Wracaj na tapczan – powiedział.

Zwierzak coś miauknął spod stołu i zniknął mi z oczu.

– Wielkich wygod tu u mnie nie ma – odezwał się mężczyzna.

– Nie przeszkadza mi to.

– Kuchnię już pan widział. Jest lodówka. Będzie pan miał swoją półkę. Kiedyś mieliśmy tam kuchnię węglową, ale teraz używam kuchenki turystycznej. Mnie nic więcej nie potrzeba. Herbatę da się zrobić.

– Wystarczy – zgodziłem się.

– Dom grzeje tak. – Wskazał na stojący w kącie piec kaflowy. Był zbudowany w centralnym miejscu domu, tak że ogrzewał i sypialnię, i kuchnię, i pokój, który miałem zająć. – Ale rzadko w nim palę. Węgiel drogi, poza tym ja wolę, jak jest zimno.

– Mogę chodzić w swetrze – powiedziałem.

Mężczyzna cmoknął jakby z niezadowoleniem. Miałem wrażenie, że chce mnie zniechęcić do wynajęcia pokoju. Tylko po co w takim razie zamieszczał ogłoszenie? A potem przypomniałem sobie, że znalazłem je na jednym z portali ogłoszeniowych. Nigdzie w domu nie widziałem komputera, pewnie nawet nie było tu w ogóle internetu. Oczywiście, mógł to zrobić w telefonie komórkowym, ale nie wyglądał na aż tak technologicznie biegłego. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może ogłoszenie wcale nie było jego

pomyśłem.

– Jakby pan chciał się dogrzać farelką, to można – mruknął, żeby zaraz zastrzec: – Ale wtedy pan cały prąd płaci.

Akcent postawił na słowie „cały”. Kolejne ostrzeżenie, kolejna próba zniechęcenia. Pewnie powinienem teraz wstać, podziękować mu za poświęcony czas i wyjść, ale powstrzymały mnie trzy rzeczy. Po pierwsze nie zamierzałem spędzać kolejnej nocy na kanapie w klubie. Nie chciałem, żeby tymczasowe rozwiązanie zmieniło się w stałe. Potrzebowałem swojego kawałka przestrzeni, nawet jeśli miałyby to być małeńki pokoiki na obrzeżach Warszawy. Poza tym wiedziałem, że ta sytuacja jest po prostu niezręczna – i dla mnie, i dla Wikusia. Po drugie wynajęcie pokoju kosztowało niewiele i nie znalazłem lepszej oferty. Po trzecie wreszcie spodobał mi się ten dom. Stary, drewniany, niewielki. Kawałek innej epoki, cudem zachowany w ciągle zmieniającej się stolicy. Pomyślałem, że miło będzie tu spędzić kilka tygodni.

– Łazienka jest – odezwał się mężczyzna. – Ale tam zimno.

– Ale ciepła woda jest?

Zawahał się.

– Jest – przyznał po chwili. Niechętnie, bo w tej sytuacji chyba wolałby, żeby jej nie było, ale kłamstwo nie chciało mu przejść przez gardło. Zauważyłem to i doceniłem.

– Żadnych kobiet. Nie życzę sobie ruchania pod moim dachem – wałnął z grubej rury.

– Pański dom, pańskie zasady.

– Kumpli też niech pan nie sprowadza. Mój kot już jest stary, lubi ciszę.

– Na szczęście nie jestem zbyt towarzyski.

Zmrużył oczy, zmarszczył brwi. Szukał w głowie kolejnego argumentu, którym mógłby mnie zniechęcić.

– I zero alkoholu – sięgnął wreszcie po ostateczny argument. – Nawet piwa. Zobaczę chociaż jedną puszkę czy butelkę, natychmiast wypierdolę.

– To nie będzie problem. Nie piję.

– Alkoholik? – zapytał. – W sensie, że ten... trzeźwy.

Pokręciłem głową.

– Sportowiec – odparłem.

– A nie wygląda.

– Walczę właśnie o powrót do formy.

Mężczyzna postukał palcami w stół. Jego wzrok powędrował w stronę bukietu i stojącego obok zdjęcia, jakby spodziewał się, że nieżyjąca żona coś mu podpowie. Wreszcie westchnął i było to z jego strony jak przyznanie się do kapitulacji.

– To chyba musimy podpisać jakąś umowę – powiedział.

– Naprawdę musimy? – zapytałem. – Potrzebne są panu te formalności?

– Panie – zachnął się – ja przecież nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

Sięgnąłem do kieszeni spodni i wyjąłem z niej zwitek pieniędzy. Odliczyłem odpowiednią kwotę i położyłem na stole kilka dwustuzłotowych banknotów. Postukałem palcem w wizerunek znajdującego się na nich króla.

– Może mi pan mówić Zygmunt – powiedziałem.

Mężczyzna spojrział na pieniądze, potem na mnie i znowu na pieniądze. Kąciki jego ust uniosły się delikatnie w górę, a on sam nachylił się przez stół i wyciągnął rękę w moją stronę.

– Henryk – przedstawił się.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

To była jedna z kamienic, które odremontowane od frontu ciągle straszyły zaniedbanym podwórkiem, zawalonym śmieciami, puszkami po piwie i butelkami po wódce. Napisy na ścianach informowały kibiców Polonii, co ich spotka, jeśli kiedykolwiek pojawią się w okolicy. Władze dzielnicy dbały o pozory. Nowi mieszkańcy, którzy przenieśli się na Pragę, kiedy pojawiły się tu metro, prestiżowe osiedla i modne knajpy, woleliby nie oglądać straszących odpadającymi tynkami elewacji. Zadbano więc, żeby odpowiednio wyglądały, a to, co się działo w głębi, nikogo nie obchodziło.

– Ale aż cud, że się uchowało – powiedziała Michaśka, rozglądając się dookoła. – Że tego nie kupili jacyś patoinwestorzy albo nie przejął cudem odnaleziony spadkobierca.

– Podobno nie zdążyli – odparła Aldona.

– Poważnie?

– No. Ktoś się pojawił z jakimiś papierami, ale wybuchła afera i nagle zniknął. Puuff! Były roszczenia, nie ma roszczeń.

Podeszły do jednej z klatek schodowych. Był tam zainstalowany domofon, ale żeby drzwi się otworzyły, wystarczyło tylko mocniej je popchnąć. Zapaliły światło i weszły na pierwsze piętro. Odnalazły właściwie mieszkanie. Aldona wyjęła z kieszeni komórkę, napisała wiadomość „Jesteśmy” i wysłała ją za pomocą komunikatora Signal. Chwilę potem w drzwiach stanął szczuplutki, lekko przygarbiony blondyn, który nerwowo zamrugał na ich widok. Miał czternaście lat, typową dla swojego wieku lekko trądzikową cerę i duże brązowe oczy. Jedno podbite do kompletu z rozwaloną wargą. Ubrany był w spraną jasną koszulkę, tak że nie dało się określić jej koloru, i dresowe spodnie.

– Jest? – zapytała Aldona.

– Nie, ale...

– Szymek, nic się nie bój. My się tym zajmiemy. Dokąd poszedł?

Chłopak wziął głęboki oddech. Zrobił krok do przodu, wychylił się na klatkę schodową, spoglądając w górę i w dół, żeby sprawdzić, czy nikogo tam nie ma.

– Po piwo. Zaraz wróci.

– Twoja mama?

– W pracy jeszcze.

– Kiedy będzie?

– Tego to nigdy nie wiadomo.

Aldona zmarszczyła brwi, jakby chciała zapamiętać te wszystkie informacje, a potem machnęła dłonią na chłopaka.

– Ubieraj się i wychodź. Zadzwoń do ciebie, jak będzie po wszystkim.

– A gdzie mam iść?

– Nie wiem. Do jakiejś kawiarni?

– Kasy nie mam.

– My też nie – włączyła się do rozmowy Michaśka. – Po prostu pospaceruj gdzieś sobie. Tylko pilnuj, żeby stary cię po drodze nie złapał.

Szymek westchnął ciężko i na moment zniknął w głębi mieszkania. Zostawił jednak otwarte drzwi. Gdy znów się wyłonił, miał na stopach sportowe buty, a na grzbiecie puchową kurtkę. Bez słowa minął Aldonę i Michaśkę, po czym zbiegł po schodach.

Weszły do środka. Kamienica była stara, jeszcze przedwojenna, o co na Pradze, która miała więcej szczęścia w 1944 roku, było łatwiej niż na lewym brzegu Wisły. Samo mieszkanie okazało się wysokie, tak że do malowania sufitu należało pewnie wynająć mały żuraw budowlany, za to niewielkie. Dwa pokoje z kuchnią i łazienką bez osobnej ubikacji. Aldona domyślała się, że przed wojną było większe, a po okupacji, kiedy Warszawa cierpiała drastyczny niedobór powierzchni mieszkalnej (ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że niewiele się w tej mierze zmieniło), podzielono je na mniejsze lokale.

– Jaki tu syf – rzuciła Michaśka.

Aldona chciała zareagować instynktownie, jak zawsze, kiedy słyszała komentarze na temat wyglądu czy stanu mieszkań osób z problemami finansowymi. Tutaj jednak nie chodziło o stare meble (choć

telewizor wyglądał na całkiem nowy), które nie wpisywały się w najnowsze trendy wnętrzarskie, ale o to, że było po prostu brudno. Podłoga, wyłożona PCW, kleiła się od brudu, aż buty się do niej przylepiały, i zalegało tu tyle kurzu, że kogoś z astmą po pięciu minutach wywoziłaby stąd karetka. Do tego wszędzie leżały śmieci. W zlewie walały się brudne talerze, na wszystkich blatach resztki jedzenia, a w całym mieszkaniu unosił się kwaśny odór potu, alkoholu i papierosowego dymu.

– Za to papaja mają – rzuciła Michaśka i wskazała na meblościankę z brudną szybą, za którą znajdował się portret dobrotliwie uśmiechniętego Jana Pawła II. – *Prawilno*.

Dało się zauważyć też inne dowody wiary właścicieli mieszkania. Nad drzwiami zawieszono krzyż, a wysłużona Biblia Tysiąclecia była chyba jedyną książką w całym domu. Oprócz podręczników Szymka i tych, które przynosił ze szkolnej biblioteki.

– Przygotuj wszystko – powiedziała Aldona.

Odetchnęła głęboko, ignorując kurz i nieprzyjemne zapachy, bo trochę robiło jej się słabo, a serce zdecydowanie zbyt mocno biło. Bała się, ale czy miała inne wyjście? Z Szymkiem pracowała już blisko dwa lata. To był dobry dzieciak, zdolny, taki, który mógł dużo osiągnąć, zdobyć wykształcenie, dobry zawód. Wszystko to bez większego problemu, bo był również mądry i pracowity, potrzebował tylko kogoś, kto by nim pokierował. Miał pecha, że urodził się w takiej rodzinie: matka go olewała, a ojciec chlał. Cierpiał na chorobę alkoholową, poprawiła się od razu w myślach Aldona. Choroba jednak nie mogła być wymówką na wszystko. I kiedy Szymon po raz kolejny przyszedł na ich spotkanie pobity, postanowiła, że musi coś z tym zrobić. Tylko że to nie było takie proste.

– Nie możesz iść na policję – powiedział chłopak, kiedy usłyszał, co chce zrobić Aldona.

– Dlaczego?

– Życia mieć nie będę, jak się na dzielni dowiedzą, że własnego ojca sprzedałem – wyjaśnił.

Wiedziała, że ma rację. Praga zmieniała się przez ostatnie lata, ale nie aż tak. Aldona musiała więc wymyślić coś innego.

– Kto ty, kurwa, jesteś? – Z rozmyślań wyrwał ją chrapliwy, nieprzyjemny męski głos.

Odwrociła się na pięcie. Do mieszkania właśnie wchodził ojciec Szymona. Do tej pory widziała go zaledwie kilka razy, i to z daleka. Wtedy był najprawdopodobniej nietrzeźwy, a i teraz ewidentnie w jego krwi krążyło już sporo procentów. W dłoni trzymał foliową siatkę, w której dało się dostrzec czteropak piwa, butelkę wódki i opakowanie tanich parówek.

– Aldona – przedstawiła się.

Mężczyzna prychnął. Ściągnął kurtkę i próbował ją zawiesić na wieszaku. Nie udało mu się – kapota spadła na podłogę. Przez chwilę przyglądał się jej, jakby rozważał, co z nią zrobić, ale ostatecznie machnął ręką.

– To co robisz u mnie w domu, Aldona? – warknął.

– Jestem korepetytorką Szymona.

Zmarszczył brwi.

– Korepetytorką – powtórzył z niemalym trudem. – Ja za to płacę?

– Nie. Robię to w ramach wolontariatu. Już od dłuższego czasu.

Ciągle się krzywił, ciągle mu coś nie pasowało.

– Stara go zapisała? – zapytał wreszcie.

– Sam się zapisał – odpowiedziała zgodnie z prawdą, bo Szymon sam znalazł program, sam wypełnił wniosek i sam poprosił o wsparcie wolontariusza, który miał mu pomóc w nauce.

Aldona była pod wrażeniem, że się na to zdobył.

– I na pewno za to nie płacę?

– Nie płaci pan.

– To gdzie jest, kurwa, problem? – zapytał.

Aldona przełknęła ślinę. Nadchodził ten trudny moment.

– W tym, że Szymon po raz kolejny przyszedł do szkoły z podbitym okiem, rozbitą wargą i siniakami na całym ciele.

Mężczyzna zamrugnął i na moment jakby otrzeźwiał.

– Przewrócił się – warknął, prawie nie otwierając ust.

– Oboje wiemy, że to nieprawda.

Ojciec chłopaka odłożył trzymaną w dłoni siatkę i zrobił krok w stronę dziewczyny.

- Ty mnie, pizdeczko, o coś oskarżasz?
- Pobił pan syna. Nie pierwszy zresztą raz.
- Bo się wpierdala w nie swoje sprawy.
- Bronił matki.

Aldona nie do końca rozumiała dlaczego. Kobieta bowiem prawie nie zajmowała się swoim jedynym dzieckiem. Przynajmniej trochę lepiej ogarniała życie – często zmieniała miejsce zatrudnienia, ale przynajmniej potrafiła sobie znaleźć pracę. Ale robiła to głównie dlatego, żeby mieć pieniądze na wódkę, bo chętnie towarzyszyła mężowi w alkoholowych libacjach. Niemal nie zajmowała się Szymonem, a jednak on stał w jej obronie, kiedy ojciec wpadał w pijacki szal.

– Właśnie. To nie była jego sprawa – warknął. – I twoja też nie. Spierdalaj.

– Nie – odpowiedziała błyskawicznie, jakby każda sekunda wahania zwiększała ryzyko, że ucieknie z tego straszego mieszkania.

– Słuchaj, pizdeczko...

– Nie! To ty słuchaj, pijaku! – wrzasnęła, czym go zaskoczyła. – Wiem, że masz wyrok w zawiasach! I wiem, że jeden głupi wybryk i wylądujesz znowu w więzieniu! I wiem, że nie chcesz wracać, bo po pijaku płaczesz, że ci tam krzywdę zrobili!

Mężczyzna poczerwieniał. Otworzył usta, ale nic nie odpowiedział, tylko łapał gorączkowo oddech.

– I niby ty mnie tam wsadzisz, pizdeczko?

– Niby ja – potwierdziła.

– A niby jak? – zapytał, po czym nagle doskoczył do niej, niespodziewanie szybko jak na kogoś po alkoholu, chwycił ją, rzucił na ścianę i uderzył w brzuch.

Dziewczyna jęknęła, chociaż uderzenie wcale nie było aż tak mocne. Mężczyzna jednak wciąż ją trzymał i przygniatał ciężarem swojego ciała. Aldonie chciało się wymiotować, kiedy dotarł do niej obrzydliwy odór jego ciała.

– Niby jak, pizdeczko, skoro zaraz tak cię wypierdolę, że nie będziesz mogła chodzić?

– Nie!

Mężczyzna zarechotał i oblizwał wargi.

– Tak cię wyjebię, że ci wyjebię ze łba te głupie, kurwa, pomysły. Tylko powiedz mi jeszcze, niby jak mnie chciałaś do pierdła wsadzić?

– No niby tak, że właśnie nagrałam, jak atakujesz moją koleżankę i grozisz jej gwałtem – odezwała się stojąca z boku Michalina. – I to nawet naszym głupim policjantom wystarczy, żeby się tobą zająć.

Zaskoczony ojciec Szymona puścił Aldonę i odwrócił się w stronę Michaśki, która trzymała w dłoni swojego iPhone'a.

– A co to za dziwactwo? – rzucił w przestrzeń. – Co ty, kurwa, jesteś? Chłop? Baba? Chłopobaba?

Michaśka poczerwieniała.

– Ty się tylko przejmuj tym, co ja nagrałam – powiedziała.

Mężczyzna zarechotał.

– Na ten telefonik. Ty myślisz, że ja ci go nie zabiorę? Zabiorę. I jeszcze w dupę wsadzę. Ale tobie to się pewnie spodoba, co, pedałku?

Kiedy ruszył na nią z zaciśniętymi pięściami, cofnęła się o krok i próbowała schować telefon za plecami, ale mężczyzna zdążył ją chwycić za rękę. Przez moment się szamotali, aż nagle ojciec Szymona zawył dziko. Chwycił się za twarz i upadł na kolana. Przed nim stała uśmiechnięta szeroko Michaśka z niewielką puszką gazu pieprzowego w dłoni.

Aldona podeszła do mężczyzny, który leżał na nieodkurzanym od lat dywanie, pocierał energicznie oczy i coś bełkotał.

– Posłuchaj – powiedziała, nachylając się nad nim. – Spakujesz swoje rzeczy i zostawisz Szymona i jego matkę w spokoju. Masz się stąd wynieść. Bo jeśli tego nie zrobisz, zaniesiemy to nagranie na policję, o wszystkim opowiemy, dodamy jeszcze kilka szczegółów od siebie i wrócisz, śmieciu, do pierdła. Rozumiesz?

Mężczyzna wyjęczał coś niezrozumiale.

– Rozumiesz?!

– Taaak...

– Masz się stąd do jutra wynieść! Nie zrobisz tego, wracasz do kicia! Tkniesz małym palcem Szymona, wracasz do pierdła! Rozumiesz?!

– Taaak...

Aldona wyprostowała się i odetchnęła głęboko. Jej serce biło jak oszalałe, ale już nie ze strachu, tylko z czystego szczęścia i dziwnej euforii. Udało się! Udało się! – powtarzała w myślach, sama do końca w to nie wierząc.

– Idziemy – powiedziała do Michaliny.

Sięgnęła do kieszeni po komórkę, żeby dać Szymonowi znać, że za jakąś godzinę, kiedy ojciec trochę się uspokoi, może wracać do domu.

– Nie trzyj oczu, tylko pogorszysz. Przemyj je sobie mlekiem – rzuciła Michalina, przechodząc nad skulonym mężczyzną. – Chodziłbyś na czarne protesty, tobyś takie rzeczy wiedział.

W klubie przebieg mojej walki na turnieju nie był tajemnicą i z jakiegoś powodu stali bywalcy postanowili się podzielić swoimi przemyśleniami na jej temat. Było dużo poklepywania po plecach, zapewniania, że w przypadku rewanżu „na pewno bym człowieka rozwalił”, i opowieści w stylu „każdemu zdarza się gorszy dzień”. Albo zupełnie na odwrót – że w tym sporcie od czasu do czasu każdy zalicza szczęśliwy strzał i najwyraźniej tym razem farta miał mój przeciwnik. Kiwałem wtedy głową, zbywałem półsłówkami i obiecywałem sobie po raz kolejny, że już nigdy nie dam się namówić na coś podobnego. Ale błąd już popełniłem i przyszło mi teraz płacić za niego cenę. Ważna nauczka, którą zapamiętam sobie długo.

– Jest więcej takich youtuberów – zaczepił mnie Wikuś, kiedy wracałem z mopem z ubikacji, męskiej oczywiście.

Część facetów miała spory problem z trafieniem do muszli.

– Jakich youtuberów? – zapytałem.

– Takich, którzy szukają trenerów. Teraz sztuki walki stały się modne. Każdy, kto ma kanał na YouTube czy konto na TikToku, marzy o tym, żeby zacząć walczyć we freak fightach. Są pieniądze na ziemi, trzeba się tylko po nie schylić. Mogę popytać, podzwonić.

– Nie, dzięki.

– Czemu?

Przez chwilę zastanawiałem się, czy powinienem się w ogóle tłumaczyć. Przemoc była dla mnie narzędziem – potrafiłem się nim posługiwać i czasami wykorzystywałem je w swoim życiu – a nie celem samym w sobie. Rozumiem też walkę sportową, w której sprawdzasz głównie siebie, to, jak dobry jesteś, ile ci brakuje. Przeciwnika traktujesz z szacunkiem, tak jak on ciebie. Walka na ringu, macie, w oktagonie może być ostra, ale kiedy kończycie, podajecie sobie ręce i jest po sprawie. To rywalizacja, nad którą unosi się duch rycerskich turniejów, a we freak fightach ważniejszy jest cyrk przed i po, wzajemne obrażanie się, tworzenie czasami wymyślonych, a czasami realnych konfliktów. Zupełnie to do mnie nie przemawiało. Może byłem po prostu za stary. Zresztą tylko niepotrzebnie zwracałbym na siebie uwagę.

– Bo mnie to nie interesuje.

Na twarzy Wikusia dostrzegłem malujące się rozczarowanie, ale dobrze mnie znał i wiedział, że nie ma co naciskać.

– Znalazłeś jakiś lokal?

Kiwnąłem głową.

– Gdzie?

– Włochy.

– I jak ci tam?

– Daleko mam do pracy, ale poza tym wszystko gra.

Otworzył usta, jakby chciał coś dodać, zaraz jednak je zamknął. Klepnął mnie tylko po ramieniu i rzucił:

– Zrób sobie dzisiaj wcześniej wolne.

Wrócił na salę z maszynami, gdzie prowadził indywidualny trening.

Wyszedłem z pracy po około godzinie. Wieczór był przyjemnie chłodny, a niebo tak czyste, że nawet dało się dojrzeć kilka gwiazd. Klub przez ostatnie lata stał się dla mnie bezpieczną przystanią. Miejscem, do którego mogłem wracać i wokół którego zorganizowałem swoje życie. Podejrzywałem jednak, że ten czas powoli się kończy. Może i dobrze, pomyślałem. Zasiałem się tam. Czas ruszyć dalej. Pytanie tylko dokąd. Opcji nie było zbyt wiele i nie były też zbyt interesujące. Miałem sporo do przemyślenia.

Przejechałem autobusami i tramwajami Warszawę. Wysiadłem na tym samym przystanku obok Okęcia. Zatrzymałem się na moment, żeby poobserwować odlatujące samoloty, po czym poszedłem szybkim marszem w stronę domu.

Kiedy tam dotarłem, najpierw zwróciła moją uwagę otwarta brama, a później stojące na podwórku kilkuletnie czarne audi. Obszedłem samochód. Dostrzegłem lekkie wgniecenie w lewym błotniku. Zajrzałem do środka. Wóz był wyposażony w automatyczną skrzynię biegów, a jego wnętrze wydawało się zadbane. Na półeczce pod radiem dostrzegłem elektronicznego papierosa, a do portu USB podłączony był –

prawdopodobnie na stałe – biały kabel. Żadnych śmieci, fotelików dla dzieci i podobnych akcesoriów, uznałem więc, że samochód należy do samotnego mężczyzny.

Pan Henryk nie wspominał nic o tym, że spodziewa się gości, szczególnie takich, którzy jeżdżą czarnym audi, ale przez ostatnie dni zamieniliśmy góra kilka słów. On nie był rozmowny, nie narzucał się. Sprawiał wrażenie, że w gruncie rzeczy niewiele go interesuje. Czas spędzał u siebie w pokoju z kotem lub siedząc na dworze i paląc papierosy. Nikt go w mojej obecności nie odwiedzał, z nikim nie rozmawiał też przez telefon. Wydawał się człowiekiem samotnym, ale równocześnie ze swoją samotnością pogodzonym. Dobrze się w niej czuł. Szanowałem to, bo moje życie wyglądało podobnie.

Dlatego obecność audi lekko mnie zaskoczyła, a jeszcze bardziej sposób, w jaki zostało zaparkowane. Nie przed domem na chodniku, tylko na podwórzu. Do tego kierowca postawił je tak, jakby próbował zająć jak najwięcej miejsca i zablokować wjazd innym samochodom. Co prawda żadnych innych aut nie było. Henryk, nawet jeśli jakieś miał, trzymał je w jednym z blaszanych garaży. No i do tego ta niezamknięta brama, która świadczyła o pewnej arogancji i bałaganiarstwie. Bo zwykły człowiek ma odruch, żeby zamknąć ją za sobą, podobnie jak drzwi, chyba że przyjeżdża tylko na chwilę. Ale wtedy po co w ogóle wjeżdżać na posesję?

Doszedłem do wniosku, że właściciel audi to ktoś, kto czuje się tutaj swobodnie i wielokrotnie już odwiedzał ten dom. Dobry znajomy Henryka lub członek rodziny. Raczej to drugie. Znajomy byłby w zbliżonym wieku, a więc nie jeździłby takim samochodem. Stawiałem na krewnego, w dodatku blisko z nim związanego, dość młodego mężczyznę.

Postanowiłem cicho wejść do domu i szybko przemknąć do swojego pokoju, żeby nie przeszkadzać Henrykowi w rozmowie z gościem. Nacisnąłem klamkę. Na szczęście było otwarte i nie musiałem korzystać z klucza. Pchnąłem drzwi i wślizgnąłem się do środka.

– Ty sobie, kurwa, dziadu, nie zdajesz chyba sprawy, w jakiej sytuacji się znalazłeś. – Usłyszałem arogancki, agresywny męski głos i tyle mi wystarczyło, żeby już wiedzieć, że w swoich przypuszczeniach bardzo się pomyliłem.

Odłożyłem na podłogę torbę ze sportowymi rzeczami i przeszedłem do kuchni. Stałem tak, żeby mieć widok na pokój pana Henryka. Dostrzegłem tylko fragment pomieszczenia i szerokie plecy mężczyzny w czarnej skórzanej kurtce. Muskularny, krótko ostrzyżony. Ale to nie on mówił. Po prostu stał, a jego postawa wyrażała pewne znudzenie sytuacją, w której się znalazł. Jakby już kilka razy to wszystko przerabiał. Przesunąłem się trochę w bok, wciąż niezauważony. Dzięki temu mogłem zajrzeć w głąb pokoju. Był tam jeszcze jeden mężczyzna w skórzanej kurtce, z lekką nadwagą i w zielonym golfie. Również krótko ostrzyżony. Obaj zapewne byli trochę po trzydziestce. Ten pierwszy, nieco młodszy, przyszedł w dresach, ten drugi miał na sobie dżinsy. Poza tym wyglądali podobnie. Prawdopodobnie byli spokrewnieni. Może nawet bracia.

– Widzisz, dziadu – mówił ten starszy. – Ten dom właściwie już jest nasz. Te ściany, podłoga... – Na potwierdzenie swoich słów najpierw uderzył pięścią w drewnianą ścianę, a potem tupnął. – Te meble... Nawet ten pieprzony wazon...

Podniósł stojący nieopodal zdjęcia wazon z tulipanami. Przez chwilę ważył go w dłoni, a potem wziął zamach i rzucił nim z całych sił. Wazon uderzył we framugę okna. Roztrzaskał się na dziesiątki kawałków, a te natychmiast poleciały na ziemię. Podobnie jak kwiaty, które wylądowały w kałuży wody z cichym, nieprzyjemnym plaśnięciem.

– Długi trzeba płacić, dziadu.

Pan Henryk siedział na kanapie, trzymał na kolanach kota, jakby próbował go ochronić. W jego spojrzeniu dostrzegałem i strach, i złość. Ta pierwsza emocja była zrozumiała, skoro został zaatakowany we własnym domu przez dwóch osiłków. Ta druga wynikała chyba z tego, że Henryk sprawiał wrażenie człowieka, który jeszcze dwadzieścia lat wcześniej chętnie by się zmierzył z oboma napastnikami. Teraz jednak przeszkodę stanowiły jego wiek i wynikająca z tego słabość ciała. Dla kogoś, kto zawsze stawiał czoła przeciwnościom losu, taka sytuacja jest szczególnie bolesna i upokarzająca.

– Powinniście już chyba wyjść, panowie – odezwałem się.

Obaj jak na komendę odwrócili się w moją stronę. Moja obecność wyraźnie ich zaskoczyła, nie spodziewali się mnie. Pomyślałem, że w jednym miałem rację. Oni znali ten dom, czuli się tutaj z jakiegoś powodu swobodnie, ale przegapili moment, kiedy się pojawiłem.

– A kto ty niby jesteś? – zapytał młodszy z nich.

– Ja? Ja jestem pracownikiem socjalnym z opieki społecznej – powiedziałem. – Pomagam panu Henrykowi w codziennych obowiązkach. Teraz na przykład pomogę mu sprzątać ten bałagan, który panowie zrobili. Ale najpierw musicie sobie stąd pójść, o co właśnie grzecznie poprosiłem.

Facet w dresach spojrział na drugiego, a ten przewrócił oczami zirytowany i skinął głową. To był sygnał. Młodszy ruszył na mnie. Chwycił za bluzę i przyciągnął do siebie, tak że poczułem zapach jego wody kolońskiej, której zresztą używał zdecydowanie zbyt dużo. Za mało za to przykładał się do szczotkowania zębów, o czym świadczył żółtawy nalot i nieświeży zapach z ust.

– To ty spierdalaj, pedale, zanim ci zrobię krzywdę – warknął napastnik.

Za dużo gadania, pomyślałem. Większość walk wygrywa ten, kto zaczyna, co jest logiczne i zrozumiałe. Uderzasz pierwszy, z reguły trafiasz. Przeciwnik, nawet jeśli spodziewał się starcia, najczęściej czuje się zaskoczony. Trzeba wykorzystać ten moment, pójść z drugim ciosem, trzecim. Bez czwartego zazwyczaj można się obejść. Dlatego nigdy nie rozumiałem skłonności niektórych ludzi do zastraszania. Decydujesz się wejść w konflikt? To nie trać czasu i energii na gadanie. Po prostu uderz.

Wykonałem ramionami ruch od dołu w górę, tak żeby zmieścić się pomiędzy jego rękami, rozerwać chwyt oraz złapać za kurtkę. Przyciągnąłem go do siebie i uderzyłem z byka. To było najszybsze rozwiązanie. Inne ciosy w tej sytuacji nie miałyby po prostu odpowiedniej mocy. Najpierw musiałbym się uwolnić, potem zrobić krok do tyłu, żeby zyskać niezbędny dystans, a wtedy straciłbym moment zaskoczenia.

W ciosie w głowę najważniejsze jest to, żeby uderzyć odpowiednią częścią własnej w odpowiednią część przeciwnika. Z naszej strony powinno być to czoło, ponieważ kość czołowa jest gruba i mocna. W końcu ma chronić delikatny mózg przed uszkodzeniem. Z tego samego powodu nie chcemy trafić w czoło przeciwnika, bo taki cios zaboli go równie mocno jak nas. Trzeba wycelować niżej, najlepiej w ten relatywnie miękki i bolesny punkt twarzy zwany nosem. I tak właśnie zrobiłem. Natychmiast usłyszałem satysfakcjonujące chrupnięcie i jeszcze bardziej satysfakcjonujący okrzyk bólu.

Raz.

Byłem teraz wolny. Nie puszczałem napastnika. Zrobiłem krok do tyłu, a potem z rozpędu uderzyłem go kolanem w jądra.

Dwa.

Facet po prostu osunął się z jękiem na kolana. Z ust ciekła mu ślina, a ze złamanego nosa wylatywały strumienie krwi. Teraz miałem przestrzeń, teraz miałem dystans, teraz miałem czas na zadanie porządnego ciosu.

Po prostu walnąłem go z całych sił prawym prostym w twarz. Cios był skierowany z góry, co nadało mu jeszcze większą moc.

Głowa osiłka uderzyła z głuchym tąpnięciem o drewnianą podłogę.

Trzy.

Czwarty cios nie był konieczny.

Osilek w golfie przyglądał mi się ze zdumieniem. Potem jego wzrok powędrował w stronę nieprzytomnego towarzysza. Był w szoku, ale to częste u ludzi, którzy żyją z zastraszania innych. Tak rzadko spotykają się z oporem, że kiedy wreszcie to się zdarza, nie mają pojęcia, co zrobić i jak się zachować.

Sprężyny tapczanu jęknęły cicho, kiedy pan Henryk najpierw odłożył kota, a potem wstał. Osilek lekko pobladł, bo nieoczekiwanie dla samego siebie znalazł się w sytuacji dwóch na jednego. Nawet jeśli pan Henryk miał już swoje lata.

– Tak jak wspominałem – rzuciłem. – Powinniście już sobie stąd pójść.

Osilek w zielonym swetrze jeszcze przez moment zastanawiał się, co zrobić, ale ostatecznie tylko wyciągnął palec w stronę starszego mężczyzny.

– Na twoim miejscu bardzo poważnie przemyślałbym to, co chcesz teraz powiedzieć – odezwałem się.

Napastnik zamarł i ostatecznie nie powiedział nic. Ruszył w stronę wyjścia. Nachylił się nad leżącym na podłodze kolegą, który właśnie zaczął wracać do świata żywych, i pomógł mu wstać. Objął go ramieniem i na wpół pchając, na wpół ciągnąc, jakoś zdołał wyjść z nim z domu. Towarzyszyłem im, cały czas zachowując bezpieczną odległość, aż wsiedli do stojącego na podwórku audi i odjechali. Zamknąłem za nimi

bramę i wróciłem do domu. Pana Henryka znalazłem u niego w pokoju. Wciąż stał przy tapczanie. Patrzył na zdjęcie swojej zmarłej żony, a jedną rękę trzymał na piersi.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Nie – odpowiedział szeptem po chwili ciszy. – Chyba muszę jechać do szpitala.

Kiwnąłem głową.

– Zadzwoń na pogotowie.

Przedzieranie się z Michaliną przez całe miasto z Pragi do Włoch zajęło Aldonie blisko godzinę. Dziewczyna miała wrażenie, że druga nitka metra, która przecież miała rozładować ruch, przenieść go pod ziemię, niewiele tutaj pomogła, a nawet jeśli, to na krótko. Jakby miasto wracało do swojego naturalnego stanu zakorkowania do granic możliwości. W rzadkich chwilach słabości zastanawiała się, na ile te wszystkie postulowane przez nich buspasy i ścieżki rowerowe się do tego przyczyniły. I zawsze kiedy jechała samochodem, tak jak dzisiaj, ze wstydem marzyła o tym, żeby główne arterie miasta rozszerzyć o jeden czy dwa pasy.

Wreszcie dotarły na miejsce, czyli na same peryferie Warszawy, niedaleko granicy z Raszynem, gdzie wzdłuż alei Krakowskiej z jednej strony znajdowały się gmachy Instytutu Lotnictwa, a z drugiej jedno- i dwupiętrowe kamienice, o których powiedzieć, że wymagały remontu, to nic nie powiedzieć. Od kiedy dziewczyny jakimś cudem wygrały zorganizowany przez ratusz konkurs, właśnie w jednej z nich, w lokalu usługowym na parterze, działało ich stowarzyszenie. Początkowo zamierzały zajmować się zapewnieniem ciepłych posiłków i ubrań osobom w kryzysie bezdomności, ale szybko okazało się, że życie ma inne plany. Teraz Aldonie wydawało się, że zajmowały się wszystkim. Kiedy rozpoczął się kryzys na granicy białoruskiej, część osób z ich środowiska, szczególnie chłopaki z pobliskiego squatu, zaczęła tam jeździć, żeby pomagać migrantom. Wybuchła wojna w Ukrainie, spędzały więc większą część doby na Dworcu Zachodnim, żeby zaopiekować się uciekinierami. Równocześnie zaangażowały się w tworzenie i utrzymanie jednego z ośrodków, w którym przyjmowano Ukraińców. Wszystko to przy ciągłym udzielaniu pomocy mieszkańcom Włoch, bo okazało się, że w tych zaniedbanych kamienicach żyje mnóstwo ludzi, dla których nagle stowarzyszenie stało się ostatnią deską ratunku. Dziewczyny przygotowywały paczki żywnościowe, ubrania, pomagały zapewnić opał na zimę i wypełnić dokumenty w urzędach z wnioskami o wsparcie w rządowych programach. Czasami od tego wszystkiego Aldonie chciało się płakać. Ludzi, którym należało pomóc, było tyle, że nawet jakby pracowała całą dobę, nie dałaby rady. Każdego dnia podejmowała trudną decyzję, że jakiś problem trzeba odłożyć na później. I zawsze oznaczało to, że ktoś pójdzie spać głodny, zziębnięty, przestraszony.

Początkowo, kiedy dostały to biuro na peryferiach Warszawy, wcale nie były zadowolone – dalekie Włochy, kawał drogi od wszystkiego. Teraz jednak Aldona myślała, że skoro nawet tutaj spada na nie taka lawina próśb o pomoc, to co by było, gdyby pracowały gdzieś bliżej centrum? Bała się nawet to sobie wyobrazić.

Zaparkowała swoją kilkuletnią pandę niedaleko wejścia do biura stowarzyszenia. Dostała ją od mamy, kiedy ta zmieniała auto na nowsze. Fiat był malutki, co stanowiło zarazem wadę i zaletę. Wadę, bo służył im jako główny środek transportu. Teraz na przykład cały bagażnik i tylne siedzenie zawałone miał paczkami z jednego z banków żywności, z którymi współpracowały, i torbami z ciepłymi ubraniami dziecięcymi, a te po przebraniu i przepakowaniu przekażą fundacji, która z kolei zawiezie je na wschód Ukrainy. Zaletę, bo jednak łatwiej było znaleźć miejsce do parkowania. Co nie zmienia faktu, że jeżdżąc warszawskimi ulicami, z pewną zazdrością obserwowała mijające ją potężne SUV-y z napędem na cztery koła. Czują się wtedy – ona, wielka orędowniczka komunikacji publicznej – jak hipokrytka.

Michalina wysiadła pierwsza. Otworzyła tylne drzwi, wzięła kilka worków z ubraniami i zaniósła do biura. Aldona zajęła się rozpakowywaniem bagażnika. Zrobiły tak trzy kursy. Potem Aldona wróciła jeszcze do pandy, żeby upewnić się, że nic im nie wypadło, i zamknąć wszystkie drzwi. Co prawda wątpiła, żeby ktokolwiek połakomił się na jej samochodzik, ale wołała być ostrożna.

Siedziba stowarzyszenia składała się z dwóch maleńkich pomieszczeń i równie miniaturowej łazienki. Początkowo jedno z nich miało pełnić rolę magazynu, a drugie biura, w którym będą przyjmować interesantów, ale w chaosie codziennej działalności obie te funkcje się wymieszały i już nie wiadomo, co gdzie było. Nie zdołały nawet zrobić zaplanowanego w chwili przejścia remontu. Skończyło się zaledwie na pośpiesznym odmalowaniu ścian na białe.

Kiedy Aldona weszła do środka, już grzała się woda w czajniku elektrycznym, a Michalina opowiadała Dorze i Bluzie o starciu z ojcem Szymka.

– ...i wtedy on pyta: „A co to za dziwactwo?”, jakby nigdy dziewczyny nie widział! Bo się nie

zorientował, dureń, że tam jestem. I idzie na mnie, cały wypakowany testosteronem, pewny siebie, bo, kurwa, stoi za nim te dziesięć tysięcy lat patriarchy, i jak wtedy nie dostanie gazem pieprzowym po oczach! Jak nie zakwili! Jak nie zacznie się rzucać! Natychmiast cała ta toksyczna męskość go opuściła i została tylko samcza żalność!

Aldona przez chwilę zastanawiała się, w jaki sposób Michalinie udało się w tak krótkim czasie przejść do finału całej tej awantury. Ale Michasia taka już była, zawsze chciała być na pierwszym planie. Każdą opowieść potrafiła tak zmienić, żeby była właśnie o niej.

– Ale nic ci nie zrobił, kochanie? – zapytała Dora, chwytając ją za rękę i mocno ściskając.

Od pół roku były parą, ale – jak obie zastrzegaly – w otwartym związku. I obie z tego korzystały.

Aldona, patrząc teraz na nie, na to, z jakim podziwem Dora spogląda na Michalinę, jaką troskę jej okazuje, poczuła lekką zazdrość pomieszana z irytacją. To ona została przecież zaatakowana przez ojca Szymona, to jej ten troglodyta groził gwałtem. Miło by było, gdyby ktoś to zauważył.

– A ty jak się czujesz? – odezwała się Bluza, jakby czytała jej w myślach.

Aldona wzruszyła nonszalancko ramionami. Uwielbiała te dziewczyny, ale nie chciała im się przyznać, że na samo wspomnienie bliskości ciała tego faceta, jego oddechu na swojej skórze, robiło jej się niedobrze.

– Dzielna jesteś – pochwaliła ją Bluza.

O ile Dorę i Michalinę Aldona знаła jeszcze ze studiów, to Bluza pojawiła się w ich grupie niedawno. Spotkały się na Dworcu Zachodnim w pierwszych dniach wojny w Ukrainie, kiedy wspólnymi siłami wolontariusze próbowali jakoś zapanować nad falą przerażonych ludzi. Ładna, czarnowłosa, krótko ostrzyżona dziewczyna o aroganckim spojrzeniu przysła drugiego lub trzeciego dnia, bez słowa włożyła kamizelkę z napisem „Wolontariusz” i już z nimi została. Nosila wtedy fioletową bluzę, a ponieważ zapieprz był taki, że nikt nawet nie zapytał jej o imię, a nawet jeśli, to nie zapamiętał, wołali na nią po prostu „Fioletowa Bluza”, co wkrótce zostało skrócone do zwykłej „Bluzy”. Kiedy sytuacja już się uspokoiła i nie byli tak potrzebni na dworcach, dziewczyna włączyła się w prace stowarzyszenia.

– Zrobiłyśmy to, co trzeba – powiedziała Aldona, czując, że ten tekst brzmi bardzo tandetnie.

Bluza uśmiechnęła się do niej. Michalina chrząknęła, dając znać, że chce kontynuować swoją opowieść, ale w tym momencie drzwi się otworzyły i do środka zajrzała nieśmiało kobieca głowa w grubej wełnianej czapce nieokreślonego koloru, pod którą ukrywały się nierówno zafarbowane brązowe włosy.

– Dobry wieczór – odezwała się chrapliwym głosem. – Ja wiem, że dzisiaj nie dzień, ale zobaczyłam, że jest otwarte, i pomyślałam, że zajrzę, bo może coś macie...

Kobieta miała trochę ponad czterdzieści lat, ale wyglądała na co najmniej dziesięć więcej. Jej skóra była czerwonawa od popękanych naczynek, a rysy twarzy grubo ciosane. Nosila za mocny makijaż, taki, jaki mogłaby nałożyć kilkuletnia dziewczynka, która po raz pierwszy dorwała się do kosmetyczki matki, a nie ktoś dorosły. Wydawała się zmęczona i podekscytowana równocześnie.

– Dobry wieczór, pani Natalio – powitała ją Aldona. – Proszę wejść.

Kobieta wsunęła się do środka. Mieszkała niedaleko z trójką dzieci w dwupokojowym mieszkaniu bez centralnego ogrzewania. Nadużywała alkoholu, z czego zdawała sobie sprawę, na przemian go odstawiając i do niego wracając. Nie miała też szczęścia do mężczyzn, bo każdy jej związek – a przez ten czas Aldona mogła już kilka obserwować – kończył się awanturą, płaczem, oskarżeniami o kradzież pieniędzy i licznymi siniakami. Ale Natalia walczyła ze swoimi demonami i kochała swoje dzieci, a one ją. Bardzo się starała, żeby były czyste, zadbane i najedzone, tyle że czasami alkohol po prostu zwyciężał. Aldona zawsze przypominała sobie o tej rodzinie, kiedy czytała w necie jakiś komentarz w stylu, że „pomoc społeczna tak, ale nie dla pijaków i patologii”. Myślała wtedy, że życie bywa skomplikowane i że łatwo pomagać jest ludziom krystalicznym, niemającym żadnych wad, a trudniej takim jak Natalia, którzy potrafią przyjść po jedzenie, śmierdząc wódką i papierosami. Człowiek wówczas nigdy nie wie, czy ona pójdzie z tą paczką do domu, do czekających na nią dzieci, czy raczej do jakiejś meliny, żeby wymienić żarcie na kolejną flaszkę. Tym razem jednak obyło się bez żadnego dylematu. Kobieta była trzeźwa, pachniała nawet perfumami. Czyżby wybierała się na spotkanie z jakimś mężczyzną? Jeśli tak, nie wróżyło to za dobrze.

– Z pracy wracam – powiedziała, chyba wyczuwając to niewypowiedziane pytanie. – Na ochronie stoję. Płacą, ale dopiero zaczynam i jeszcze nie dali.

– Pani poczeka chwilę – przerwała jej Aldona, bo nie chciała, żeby kobieta się tłumaczyła.

Uważała, że oczekiwanie od ludzi, którzy potrzebują pomocy, żeby wyjaśniali, dlaczego znaleźli się w takiej, a nie innej sytuacji, jest dla nich upokarzające.

Przeszła do pomieszczenia obok, gdzie złożyły z Michaliną przywiezione paczki. Od razu ścisnęło ją za serce, kiedy zorientowała się, jak tego jest niewiele i jak małej liczbie osób będą mogły pomóc. Rozumiała, że teraz ludziom jest ciężko, że po wielkim wybuchu entuzjazmu zaraz po rosyjskiej agresji na Ukrainę, kiedy każdy dzielił się dobrem, a dary w ich magazynie ledwo się mieściły, każdy dba o swój portfel i uważnie ogląda każdą złotówkę. Pomyślała, że będą musiały coś wymyślić, znaleźć nowych sponsorów, zrobić zrzutkę w internecie. Zbyt wiele osób na nie liczyło, nie mogły ich zawieść.

Wzięła jedną z leżących nieopodal toreb, wrzuciła do niej kaszę, dwa mleka, dżem, jakieś konserwy, paczkę z płatkami owsianymi i wróciła do Natalii. Na twarzy kobiety na sekundę odmalowało się rozczarowanie, kiedy zorientowała się, jak niewiele dostanie tym razem. Szybko jednak zamaskowała je uśmiechem.

– Dzięki wielkie – powiedziała, przejmując torbę. Zerknęła do wnętrza i zamarła.

– Tak, pani Natalio? – zapytała Aldona.

– A jakieś pieczywko może? – odważyła się poprosić kobieta.

– Nie mamy.

– Aha...

Warszawa. Trzecia dekada dwudziestego pierwszego wieku, a przed Aldoną stoi kobieta, której nawet na chleb nie stać. Jak do tego mogło dojść?

– Ale chyba widziałam jakieś suchary – powiedziała szybko dziewczyna.

– Dobrze i tyle.

Wróciła do magazynu i znalazła ostatnią paczkę, jeszcze z poprzedniej dostawy. Przypomniała sobie, że zostawiły ją dla siebie, żeby mieć co zagryzać do herbaty. Trudno, pomyślała. Wróciła do pani Natalii, dała jej suchary, a potem się pożegnały. Zamknęła za nią drzwi.

– Niepotrzebnie to zrobiłaś – odezwała się Dora. – Jak się rozniesie, zaraz więcej osób przyjdzie, a nic nie mamy jeszcze przygotowane.

– To co, miałam ją wygonić?

– Miałas ją poprosić, żeby przyszła jutro.

Aldona dla świętego spokoju kiwnęła głową. Była zbyt zmęczona, żeby się kłócić.

– Lepiej stąd chodźmy – zarządziła Michalina.

– Dokąd? – zapytała Dora.

– No, ja bym najpierw poszła coś zjeść do Taty Turka, a potem się zobaczy. Na pewno znajdziemy gdzieś jakąś imprezę.

– Nie wiem, czy mam ochotę na imprezę – powiedziała Aldona.

– Daj spokój! Trzeba uczcić nasz dzisiejszy sukces.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Michalina mówi o starciu z ojcem Szymona. I pomyślała, że dziewczyna ma rację. Faktycznie udało im się zrobić dzisiaj coś dobrego, zmienić chociaż jedno życie na lepsze.

– Masz rację. Chodźmy się napić – powiedziała Aldona.

Samochód postanowiła zostawić przed siedzibą stowarzyszenia. Jutro i tak nie będzie go potrzebować.

– Ale najpierw do Taty Turka! Bo na pusty żołądek to niezdrowo! – krzyknęła Michalina, a Dora aż zaklaskała z radości.

Nawet zazwyczaj ponura Bluza lekko się uśmiechnęła.

– Do Taty Turka – zgodziła się.

W tym momencie zadzwonił telefon. Odebrała. Głos, który usłyszała w komórce, sprawił, że natychmiast pobladła. Przez długą chwilę potrafiła powtarzać tylko mechanicznie „tak, tak, tak, tak”. Zakończyła połączenie i schowała telefon do kieszeni. Przyjaciółki przypatrywały się jej zmartwione.

– Idźcie same – odezwała się wreszcie. – Ja muszę jechać do szpitala.

– Rodzice? – zapytała zaniepokojona Dora.

Aldona pokręciła głową.

– Henryk – wyszeptała.

Karetka przyjechała szybko. I bardzo dobrze, bo z minuty na minutę pan Henryk czuł się gorzej. Zbladł, miał urywany oddech, coraz płytszy. Były momenty, że wyglądał jak ryba wyciągnięta na brzeg. Sanitariusze go zbadali, podali leki, żeby ustabilizować jego stan, i zabrali do szpitala. Zdążyłem jeszcze podać rękę panu Henrykowi na pożegnanie i odjechali. Ja natomiast zrobiłem sobie kolację i zaparzyłem herbatę. Zjadłem, wypięm. Przejrzałem szafki w kuchni w poszukiwaniu jedzenia dla kota. Nałożyłem mu świeżą porcję do miski i nalałem świeżej wody. Wymieniłem też piasek w kuwecie w łazience. Nie wiedziałem, ile czasu pan Henryk spędzi w szpitalu, ale zakładałem, że nie wypiszą go za szybko. Kot spędzi więc trochę czasu sam. Potem poszedłem do swojego pokoju i zacząłem się pakować.

Cała ta sytuacja była bardzo niesympatyczna, ale wydawała mi się jasna. Pan Henryk zapożyczył się u jakichś lichwiarzy, takich jak Czarny, nie udało mu się spłacić długu, przyszli więc go nastraszyć i odrobinę przesadzili. Ten scenariusz tłumaczył, dlaczego pan Henryk zdecydował się na wynajęcie pokoju – potrzebował dodatkowych pieniędzy i tak się tutaj znalazłem. Nie chciałem jednak brać udziału w tej awanturze. Jeśli pan Henryk oczekiwał pomocy, mógł się zgłosić na policję. Nie groziła mu żadna realna krzywda. W tej działalności tak naprawdę nikomu nie zależy na ściągnięciu całego długu. Odsetki są zbyt duże i lichwiarz od początku wie, że to jest właściwie niemożliwe. Nie chodzi więc o złapanie króliczka, tylko o gonienie go. Zabieranie dłużnikowi tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu mniejszych lub większych kwot, zmieniając go tak naprawdę w stałe źródło dochodu. Starszy samotny mężczyzna, taki jak pan Henryk, raczej nigdzie nie ucieknie. Dostaje co miesiąc emeryturę, jest więc z czego ściągać haracz. Z punktu widzenia lichwiarza to idealna sytuacja. Nie było sensu tego psuć. Obawiałem się tylko, że wtrącając się dzisiaj, paradoksalnie mogłem pogorszyć jego sytuację, ale nie wiedziałem, jak mógłbym to teraz naprawić. Nie będę przecież biegał po Warszawie i szukał ciemnego audi, żeby przeprosić jeżdżących nim bandziorów! Mogłem mieć tylko nadzieję, że moje zniknięcie załatwi sprawę.

Gorzej, że znowu musiałem szukać miejsca do spania. Oznaczało to najpierw powrót do klubu i koczowanie na kanapie, a potem? Nie miałem żadnego pomysłu.

Usłyszałem, jak otwierają się drzwi do domu i ktoś wchodzi do środka. Zmarszczyłem brwi. Czyżby wracali gangsterzy? Jakoś nie chciało mi się w to wierzyć. To byłoby zdecydowanie za szybko. Spodziewałem się, że teraz liżą rany, zastanawiając się, kim jestem i co się właściwie wydarzyło. Jeśli są sprytni, będą próbowali zebrać informacje, sprawdzić, czy nie jestem policjantem lub członkiem konkurencyjnej grupy. W takim scenariuszu jakichkolwiek akcji z ich strony spodziewałem się najwcześniej kolejnego dnia. Chyba że byli w gorącej wodzie kąpani. Wtedy zadzwoniliby po kolegów, zebrali grupę i przyjechali, co jednak też zajęłoby im trochę czasu. Poza tym byłaby to już grubsza awantura i którychś z sąsiadów mógłby wezwać policję. Taki rozwój sytuacji wydawał mi się więc mało prawdopodobny.

Ale ktoś wszedł do domu. Sądząc po krokach, tylko jedna osoba, do tego dość lekka. Czyli żaden z tamtych bandytów, bo obaj byli dość postawnymi mężczyznami. Skierowała się do pokoju pana Henryka. Poszedłem tam.

Przy tapczanie, na którym ciągle wylegiwał się kot, ze zwieszoną głową stała dziewczyna w czarnej skórzanej kurtce i spodniach bojówkach. Miała jasne włosy, które spięła w prostą kitkę. Masowała się po czole, jakby nad czymś się zastanawiała. Chrząknąłem, żeby dać jej znać o swojej obecności. Podskoczyła. Odwróciła się błyskawicznie i krzyknęła na mój widok. Rozejrzała się dookoła panicznie, a potem chwyciła leżącego na tapczanie kota i rzuciła nim we mnie.

Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony – ja czy zwierzak.

Odruchowo się uchyliłem, kot jednak i tak odbił się najpierw od mojego ramienia, potem od ściany i wylądował na ziemi. Miauknął i nie czekając na to, co dalej się zdarzy, pomknął do kuchni.

– Czy pani właśnie rzuciła we mnie kotem?

Zamrugęła, jakby dopiero teraz docierało do niej, co przed chwilą zrobiła, a ja miałem okazję dobrze jej się przyjrzeć. Okrążyła twarz i brązowe oczy, lekka opuchlizna wskazująca, że dziewczyna niedawno płakała. Ale nie miała śladów po rozmazanym tuszu. Albo zdążyła zmyć makijaż, albo, co bardziej prawdopodobne, w ogóle go nie nosiła. Była wysoka i dobrze zbudowana.

– Kim pan jest? – zapytała.

Pomyślałem, że mógłbym zapytać ją o to samo, ale była już wystarczająco zdenerwowana. Postanowiłem trochę rozładować napięcie.

– Mieszkam tutaj – odparłem.

Zaskoczona zmarszczyła brwi.

– Pan? Tutaj? Nic o tym nie wiem.

Wzruszyłem ramionami.

– Wprowadziłem się kilka dni temu. Wynajmuję pokój.

– Wujek nic mi nie mówił – powiedziała, a w jej głowie zabrzmiała nutka podejrzliwości.

– Wujek? Wydaje się pani trochę za młoda, żeby być... siostrzenicą pana Henryka.

Westchnęła. Ciągle mi się przyglądała, ciągle sprawiała wrażenie spiętej, ale było lepiej niż przed chwilą. Trochę się uspokoiła. Nie traktowała mnie jako bezpośredniego zagrożenia, no i nie rzucała już zwierzętami domowymi.

– Bratanicą – sprostowała.

Nie kontynuowała wątku swojego wieku, najwyraźniej uznając, że nie ma mi się z czego tłumaczyć. Szanowałem to. Świadczyło o pewnym charakterze.

– Co pani tu robi?

– Zadzwonili do mnie ze szpitala. Wujek podał mnie jako kontakt na wypadek, gdyby coś mu się stało.

– Tak szybko? Przecież niedawno go zabrali.

– Byłam w okolicy, kiedy odebrałam telefon. Pomyślałam, że spakuję mu kilka rzeczy na wszelki wypadek i dopiero potem pojadę do szpitala. Piżamę, szczoteczkę do zębów i tym podobne.

Dziewczyna dobrze kombinowała. Jeśli stan pana Henryka był zły, i tak by jej do niego nie dopuścili, jeśli się ustabilizował, kilkanaście minut w jedną czy w drugą nie zrobi mu różnicy. A na pewno się ucieszy, gdy na szafce przy szpitalnym łóżku będzie mógł postawić kilka swoich rzeczy.

Przez moment jeszcze mi się przyglądała, aż wreszcie uznała, że jeśli miałbym zrobić jej coś złego, pewnie już bym spróbował. Zignorowała więc mnie, sięgnęła po torbę sportową, która cały czas leżała na krześle niedaleko stołu, i rzuciła ją na podłogę. Ściągnęła narzutę z rozłożonego tapczanu, pogrzebała wśród pościeli i gdy znalazła tam piżamę, wpakowała ją do torby. Potem podeszła do szafy. Otworzyła ją zamasztyłym gestem. Na chwilę schowała się za jednym ze skrzydeł, a do torby poleciało kilkanaście par majtek, koszulki, skarpetki, jakaś bluza. Przez moment rozglądała się dookoła, aż wreszcie zauważyła stary telefon komórkowy. Model tylko trochę młodszy od tego, którego ja używałem. Żadnych wodotrysków, same podstawowe funkcje. Dorzuciła go do reszty, a do tego ładowarkę znaną z jednej z szuflad. Ostatnią rzeczą, którą wzięła, była gazeta rozłożona na stole. Chyba nowy numer „Angory”.

– Niech pani dorzuci jeszcze papierosy – poradziłem.

– Wujek nie powinien palić – stwierdziła.

– Ale pali.

Jej wzrok na moment zatrzymał się na leżącej na parapecie paczce papierosów i zapalnicze, ostatecznie jednak potrząsnęła głową i ruszyła w moją stronę.

– Przepuści mnie pan? – zapytała z przekąsem.

Cofnąłem się o kilka kroków i zrobiłem jej przejście. Od razu skierowała się do łazienki. Wyjęła ze stojącego tam kubka pastę do zębów oraz szczoteczkę i dorzuciła do innych rzeczy. Odwracając się, zahaczyła o ten sam ceramiczny kubek torbą. Poleciał na ziemię i rozbił się na kilka kawałków.

– Kurwa – jęknęła.

Kucnęła, żeby posprzątać. Nie wiem, czy to ze zdenerwowania czy w niewielkiej łazience o coś uderzyła, a może podłoga była śliska, w każdym razie straciła równowagę i poleciała do przodu. Żeby nie upaść na twarz, musiała podeprzeć się rękami. Zrobiła to instynktownie i jeden z kawałków ceramiki wbił jej się w dłoń.

– Szlag!!! – jęknęła i natychmiast wyciągnęła sobie ostry odłamek, po czym wstała i wsadziła zakrwawioną rękę pod kran. Odkręciła wodę.

Podszedłem do niej powoli.

– Pani pokaże – poprosiłem.

– Proszę mi dać spokój.

– Pani pokaże – powtórzyłem.

Zwiesiła głowę. Oddychała ciężko, a potem wysunęła dłoń w moją stronę.

– Zadowolony? – zapytała.

Przyjrzałem się ranie.

– Głęboka – stwierdziłem. – Nic poważnego, ale trzeba będzie szyć. Ma pani szczęście.

– Bo?

– I tak jedzie pani do szpitala.

– Bardzo, kurwa, śmieszne.

A jednak kąciki jej ust powędrowały odrobinę w górę. A może tylko tak mi się wydawało.

– Ale i tak trzeba założyć opatrunek – zauważyłem. – Pani wie, gdzie pan Henryk trzyma apteczkę?

– W kuchni – powiedziała.

– Chodźmy tam.

Przewróciła oczami, ale zrobiła to, o co poprosiłem. Usiadła na taborecie stojącym pod ścianą.

– Gdzie są leki?

Wskazała zdrową ręką na jedną z górnych szafek. Otworzyłem ją i na moment zamarłem zaskoczony ilością lekarstw, które się tam znajdowały. Oczywiście, mój gospodarz był starszym człowiekiem i na pewno cierpiał na różne mniejsze i większe przypadłości, ale to wyglądało na mały magazyn medyczny. Do tego nie były to żadne popularne lekarstwa na błahe dolegliwości. Te wszystkie medykamenty sprzedawane bez recepty w kolorowych opakowaniach i o dziwnych nazwach. Wszystkie lekarstwa były w białych pudełkach, a nazwy wypisano grubą, ponurą czarną czcionką. W końcu dostrzegłem pośród nich to, czego szukałem. Wyjąłem opakowanie gazy jałowej, wodę utlenioną i bandaż. Zamknąłem szafkę i wróciłem do dziewczyny.

– Nie wystarczy plaster? – zapytała.

– Lepiej to zrobić porządnie.

– Bo umrę z powodu utraty krwi – spróbowała zażartować.

– Rana jest na tyle głęboka, że krew będzie się ciągle sączyć. Plaster się odklei, a chyba nie chce pani iść na izbę przyjęć w ubraniu zachlapanym krwią. Poza tym pewnie woli pani najpierw odwiedzić pana Henryka, prawda? Naprawdę, nie wpuszczą pani z fontanną juchy tryskającej z dłoni.

Zrobiła kwaśną minę i kiwnęła głową, niechętnie przyznając mi rację. Wysunęła rękę w moją stronę. Na jeden z gazików nalałem wody utlenionej i przemyłem okolicę rany, ale już nie samo skaleczenie. To spowodowałoby zupełnie niepotrzebny ból. Nałożyłem na ranę kolejny gazik, a potem zrobiłem opatrunek z bandaża. Uznałem, że powinien wytrzymać kilka godzin, zanim trzeba go będzie zmienić. Mogłem co prawda spróbować sam założyć szwy. Pewnie pan Henryk, jak każdy samotny mężczyzna, miał tutaj jakiś zestaw do szycia, ale to nie miało sensu. Rana nie zagrażała życiu ani zdrowiu. Musiałbym użyć zwykłej nici i igły, a nie sprzętu chirurgicznego, i do tego moje szwy byłyby nierówne i brzydkie. Po wszystkim na ręce dziewczyny pozostałaby zaś brzydka blizna.

– Dziękuję – powiedziała, kiedy skończyłem.

Wstała i natychmiast się zachwiała. Podtrzymałem ją, żeby po raz kolejny nie upadła.

– Już dobrze – szepnęła i wyswobodziła się z mojego uścisku stanowczym gestem.

Była blada i lekko drżała. Westchnąłem ciężko.

– Pani da kluczyki – rzuciłem.

– Co takiego?

– Do samochodu. Zawiozę panią do szpitala.

– Dam radę sama.

– Ma pani zranioną rękę i sama pani wie, że nie czuje się teraz za dobrze. Pewnie wkrótce przejdzie, ale w tym momencie lepiej, żeby nie wsiadała pani za kółko. A równocześnie chce pani już jechać, żeby dowiedzieć się, w jakim stanie jest pan Henryk. Rozwiązanie jest proste: zawiozę panią. I proszę się tak nie krzywić, dobrze pani wie, że mam rację.

– Nawet nie wiem, kim pan jest.

– Lokatorem pana Henryka. Pan Henryk potwierdzi.

– Aha... Tylko że jest w szpitalu.

– Naprawdę szanuję pani ostrożność.

– Teraz to pan drwi.

Pokręciłem głową.

– Nie chce pani dać kluczyków do samochodu obcemu człowiekowi. To zrozumiałe. Ale przecież gdybym miał jakiegokolwiek złe zamiary, spróbowałbym coś zrobić właśnie tutaj i teraz, a zamiast tego zabandażowałem pani dłoń. Naprawdę, nie powinna pani prowadzić samochodu, żeby nie zrobić krzywdy sobie i innym. Żle pani wygląda, ma świeżą ranę i jest poruszona emocjonalnie z powodu tego, co się wydarzyło z panem Henrykiem. A do tego rzuciła pani we mnie kotem.

Przez chwilę zastanawiała się nad moimi słowami i wyraźnie nie podobało jej się, że mam rację. Mimo to sięgnęła do kieszeni i wyjęła kluczyki.

– Z tym kotem to przepraszam – powiedziała.

– Nie gniewam się.

– Zaskoczył mnie pan, a do tego miałam bardzo ciężki dzień. Pozwolę się panu zawieźć do szpitala, ale pod jednym warunkiem. Powie mi pan, co tu się, do diabła, stało.

Nie zastanawiałem się długo. Przedstawiła się jako bratanica pana Henryka, a jej zachowanie, swoboda, z jaką poruszała się po domu, i wiedza na temat tego, co gdzie się znajduje, wskazywały, że rzeczywiście tak jest. Miała więc prawo wiedzieć, w jakie kłopoty się wpakował.

– Zgoda – odparłem, a ona wręczyła mi kluczyki.

Dyzio dopalał papierosa przed bramą samochodowej dziupli, bo inaczej tego nazwać się przecież nie dało. Co prawda na ogrodzeniu wisiał szyld z napisem „Warsztat Samochodowy”, a właściciel chyba faktycznie naprawiał jakieś auta, ale jeśli ktokolwiek wyobrażał sobie typową dziuplę, musiała ona wyglądać właśnie tak jak ten przybytek na warszawskich Włochach. Dość duży teren, zaniedbany i zagracony, otoczony płotem z blachy falistej, żeby nie dało się zajrzeć do środka, a na szczycie ogrodzenia umieszczono zwoje drutu kolczastego. Na podwórku mnóstwo mniej lub bardziej pordezwiątych wraków, stosy śmieci i samochodowych części. A także kojec, w którym szalały dwa wielkie psy – owczarek niemiecki i rottweiler. Ktoś przypadkowy, kto chciałby naprawić samochód, zobaczywszy, jak to wszystko wygląda, natychmiast wybrałby innego mechanika.

Skoro było to tak oczywiste, dlaczego w takim razie dziuplę nie zainteresowała się jeszcze policja? Od tego właśnie był Dyzio. Lubił myśleć, że pracuje w kontrwywiadzie. Płacono mu za to, żeby wiedział, kiedy danym miejscem czy człowiekiem zaczyna się interesować policja. Gdy dawał sygnał, nagle właściciel dziupli, zamiast przyjmować po nocy kolejne podejrzane samochody, całymi dniami siedział znudzony przed warsztatem i czekał cierpliwie na normalnych klientów. Dyzio dowiadywał się takich rzeczy w różny sposób. Czasami wystarczyła rozmowa z właściwą osobą i szybkie przekazanie koperty pod stołem, czasami musiał trochę popracować. Poobserwować okolicę, zauważyć przed dziuplą obcy samochód czy kręcących się w pobliżu ludzi, którzy wcześniej się tutaj nie pojawiali, zebrać informacje, a potem wyciągnąć z nich wnioski – zupełnie jak w kontrwywiadzie. Dbał też o to, żeby każdy przybytek pod jego opieką miał porządek w papierach. Bo najgorzej wpaść, dlatego że skarbowka zainteresowała się, że kogoś stać na luksusowe auto czy remont domu. Dyzio był w tym wszystkim dobry. Dyzio miał doświadczenie. Ale Dyzio wiedział także, że właściciel akurat tej dziupli go oszukuje.

Rzucił papierosa na ziemię i przygniótł obcasem. Potem spokojnie, z rękami w kieszeni, wszedł na teren posesji. Oba psy natychmiast się poderwały i zaczęły dziko ujadać. Dyzio schylił się, podniósł leżący nieopodal metalowy pręt i zbliżył się do klatki. Wkładał go do środka i wyjmował, a psy próbowały go ugryźć, ale zawsze w ostatniej chwili uciekał, żeby zaraz trącić je nim po pyskach. Udało mu się nawet uderzyć wilczura z lekkiego zamachu. Trafił w sam nos i zwierzę najpierw zapiszczało, a potem rzuciło się na niego we wściekłym ataku. Dyzio zarechotał, kiedy pies zderzył się z kratami kojca, odbił się od nich i upadł na ziemię.

– Czemu mi psy drażnisz? – rozległ się głos z boku.

Dyzio jeszcze dwa razy trącił rottweilera, a potem odrzucił pręt za siebie.

– Rozbudziłem ci je trochę, bo się leniły – stwierdził. – Teraz będą lepiej terenu pilnować.

Podszedł do stojącego w drzwiach warsztatu mężczyzny w niebieskich roboczych spodniach i poplamionej koszuli w kratę. Był w średnim wieku, miał brązowe włosy z kilkoma siwymi pasmami, twarz pooraną zmarszczkami i ozdobioną bladą blizną po lewej stronie czoła. Pod nosem dumnie nosił potężny, ale zaniedbany wąs.

– Cześć, Grzesiu – powiedział Dyzio i uścisnęli sobie ręce.

Mechanik odsunął się i wpuścił gościa. W środku były dwa stanowiska robocze. Warsztat był stary, bo zamiast podnośników miał po prostu kanały, do których wchodził mechanicy, żeby obejrzeć auta od spodu. Pod ścianami stało kilka maszyn, jakieś wyważarki, montownice, zestawy do lutowania, prasa hydrauliczna oraz stół roboczy, a nad nim wisiały porozwieszane w nienagannym porządku narzędzia.

– Do biura idziemy? – zapytał mechanik.

– Daj spokój, Grzesiu – machnął ręką Dyzio. – Przecież widzę, że w kieszeni masz już przygotowaną dla mnie paczuszkę.

– Myślałem, że może kawy chcesz się napić.

– Na wieczór? Daj spokój. W tym wieku? Raz, że nie zasnę, dwa, że mi potem w żołądku jeździ.

Mechanik kiwnął głową, jakby to była odpowiedź, której się spodziewał, a potem sięgnął do przedniej kieszeni spodni i wyciągnął poplamioną kopertę. Dyzio ją wziął, zważył w dłoni, zmarszczył przesadnie brwi i zajrzał do środka. Sapnął, udając zdziwienie.

– Mało – stwierdził.

– Tyle, na ile się umawialiśmy.
– No, ale jednak mało.
– Gorszy miesiąc – powiedział mechanik. – Sam chciałeś, żebyśmy się rozliczali od bryki, to powinieneś się liczyć z tym, że czasami jest gorzej, a czasami lepiej.

– A ile samochodów zrobiłeś?
– Przecież ci mówiłem.
– Mówiłeś – przyznał Dyzio. Najpierw schował kopertę do wewnętrznej kieszeni kurty, a potem wyjął komórkę. Pogrzebał w niej chwilę, wreszcie uruchomił filmik i podsunął ekran pod nos Grzegorza. – Ale o tym, że tesłę zrobiłeś, to nie wspominałeś.

Na nagraniu widać było, jak w środku nocy przed dziupłą zatrzymuje się białe auto. Po chwili brama się otwiera i wóz wjeżdża do środka. Sekundę później na ulicy pojawia się Grzegorz, który z lekkim przestachem spogląda najpierw w lewo, potem w prawo i wreszcie zamyka bramę. Na tym nagranie się kończyło.

– Tylko mi teraz nie ściemniaj, że przyjechali tutaj opony zmienić.

Mechanik przełknął ślinę. Na jego czole pojawiły się nagle drobne kropelki potu. Przez moment rozważał, jakie ma opcje, ale szybko doszedł do jednego słusznego wniosku. Jego sytuacja już była zła. I nie było sensu pogarszać jej dodatkowymi kłamstwami.

– Wybacz, ostatnio miałem wydatki. Większe niż zazwyczaj.

– A to niby jakie?

– Leon dostał się na studia, na politechnikę w Monachium. Podobno najlepsza w całych Niemczech. I wiesz, trzeba go było tam wyprawić, załatwić mieszkanie, dać jakieś pieniądze, żeby z głodu nie umarł. A to wszystko w euro.

Dyzio zagwizdał.

– Politechnika i do tego w Monachium! – powiedział i serdecznie klepnął mechanika po ramieniu. – No, gratuluję, stary! Pewnie strasznie jesteś z niego dumny, co?

– No, jestem – przyznał Grzegorz.

– A pamiętasz, jak kilka lat temu się o niego martwiłeś? Że mu oceny poleciały, że w ogóle się do nauki nie przykłada?

– Pamiętam.

– A pamiętasz, co ja ci wtedy mówiłem?

– Żebym dał się młodemu wyszumieć, bo to taka faza i Leon potrzebuje czasu, żeby odkryć swoją prawdziwą pasję.

– I wszystko się sprawdziło! – ucieszył się Dyzio. – Chłopak jest łbski. Będziecie mieli z niego pociechę. Grażynka pewnie też chodzi dumna, co?

– Chodzi – przyznał mechanik. – Każdemu, kto chce słuchać, opowiada, jakie to osiągnięcie. I tym, którzy nie chcą, zresztą też. Kobiety w sklepie to się już przed nią chowają.

Dyzio zarechotał krótko, ale zaraz przybrał poważniejszy wyraz twarzy.

– A jak się między wami układa? – zapytał. – Lepiej?

Grzegorz zwiesił głowę i westchnął ciężko. Potem wydał usta, uciekł wzrokiem gdzieś w bok i raz jeszcze sapnął.

– Sam nie wiem – powiedział wreszcie. – Niby lepiej, ale...

– Ale co, Grzesiu?

– Mam takie poczucie, że to się już kończy, wiesz? Że jesteśmy razem tylko dla dzieciaków. Leon już poszedł na studia, Julkę trzeba jeszcze w życie wyprawić i... I to będzie tyle. Podamy sobie ręce na pożegnanie i każde pójdzie w swoją stronę.

– No daj spokój, Grzegorz. Jak to tak? Przecież ty i Grażynka... Ja wiem, że po drodze było sporo wertepów, ale tak to jest w życiu. A komu ma się udać, jak nie wam?

Mechanik uśmiechnął się lekko i zakołysał dwa razy na piętach.

– Też tak myślałem – przyznał. – Że różne rzeczy się w małżeństwie dzieją, ale my to wszystko przetrwamy. Tylko że ostatnio, jak patrzę na Grażkę, wydaje mi się, że ona po prostu czeka. Czeka na ten moment, kiedy będzie mogła wyjść z domu z walizką i odetchnąć pełną piersią. I wiesz co, Dyzio?

– Co takiego, Grzesiu?

– Ja się zastanawiam, czy nie powinienem jej na to pozwolić. Nie ma co walczyć, nie ma co tego przeciągać, tylko trzeba pomóc jej się spakować i otworzyć szeroko drzwi. Bo ona tego chce. I może właśnie tego po prostu potrzebuje.

– Przecież wy się kochaliście.

– Kochaliśmy, ale przestaliśmy. Wypaliło się.

– Ale żar pewnie pod popiołem jest. Można jeszcze raz rozpalić.

Mechanik machnął ręką.

– Może się da, a może to nam właśnie było pisane. Po co zawracać kijem Wisłę? Nie lepiej po prostu docenić to, co było? – zapytał.

Dyzio przez chwilę rozważał tę kwestię i przyznał przed samym sobą, że w słowach Grzegorza jest sporo racji. A to, że mężczyzna potrafi je w ogóle wypowiedzieć, że dopuszcza do siebie taki, a nie inny scenariusz, świadczy o jego odwadze. Dyziowi zrobiło się przykro. Znał Grzegorza i Grażynę od wielu lat, był świadkiem ich wzlotów i upadków i po ludzku im kibicował. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie mógłby czegoś zrobić, jakoś im pomóc, ale uznał, że nie taka jest jego rola.

Podszedł do stołu z narzędziami i sięgnął po leżący tam młotek. Zamachnął się i odwrócił do Grzegorza.

– No dobra. To dawaj rękę.

Mechanik zrobił wielkie oczy i zadrżał.

– Nie no, Dyzio, przez jedną tesłę?

– Na jednej cię złapałem. Ile innych fur zrobiłeś na boku, to przecież nie wiem.

– Żadnej, kurwa, Dyzio. Jedna była tylko. Jedna jedyna!

– Chciałbym ci wierzyć, Grzesiu, ale sam rozumiesz.

Zrobił krok w jego stronę, a ten podniósł ręce w obronnym geście, po czym zaraz je opuścił i schował za plecami, kiedy uprzytomnił sobie, że Dyzio chce mu przecież pogruchotać palce.

– Ja ci teraz za tę tesłę zapłacę! – krzyknął.

– Grzesiu, kurwa, ale wiesz, że tutaj nie chodzi o pieniądze, a o zaufanie. Chodziłeś z Grażynką na terapię małżeńską, przecież ten psycholog wam to powtarzał. Tutaj jest ta sama sytuacja. Tyle lat współpracowaliśmy, tyle razem przeżyliśmy, tyle razem zbudowaliśmy, a ty postanowiłeś to zmarnować. Teraz nawet jeśli mi zapłacisz, już zawsze będę się zastanawiać, czy robisz furię za moimi plecami. Zawsze. I to wszystko przez jedną głupią tesłę. Powiedz tylko, warto było?

– Dyzio...

– No co?

Mechanik przymknął na chwilę powieki i odetchnął głęboko.

– Ja jestem mężczyzną, Dyzio – powiedział. – A mężczyzna ma swoje potrzeby. Musi zarabiać. Na siebie, na rodzinę, na dzieci.

– A ja ci nie dawałem... – Dyzio chrząknął, bo poczuł nagle drapanie w gardle – ...zarabiać? Nie byłem dla ciebie dość dobry? Co, Grzegorz?

Tamten nie odpowiedział i Dyzio poczuł, że jemu też brakuje słów.

– Dawaj łapę.

– Dyzio...

– Nie dyziuj mi tutaj! Łapa i kończymy to. Wiesz co, nawet do szpitala cię zawiozę. Powiesz, że coś ci na rękę w warsztacie spadło.

– Ale ja tymi rękami pracuję! – wykrzyknął Grzegorz. – Dyzio! Jak ja będę furię rozbierał bez jednej ręki?!

Dyzio się zawahał. W tym, co mówił mechanik, kryło się sporo prawdy. Skradzione samochody głównie sprzedawali na części, tylko w rzadkich przypadkach przebijali blachy i pchali dalej na wschód. Teraz, po wybuchu wojny, stało się to trudne, bo przewieźć coś do Rosji czy na Białoruś było prawie niemożliwe. Grzegorz był dobry w tym, co robił, błyskawicznie rozkładał samochody, ale jeśli zostanie mu do roboty tylko jedna ręka, nie będzie z niego żadnego pożytku.

– Masz rację – powiedział i odłożył młotek na miejsce.

Mechanik wypuścił z ulgą powietrze z płuc. A zaraz potem krzyknął dziko, kiedy w udo wbił mu się nóż. To był popularny motylek, którego rozkładało się w mgnieniu oka.

Dyzio chwycił Grzegorza wolną ręką za koszulę i przyciągnął do siebie. Spojrzał mu prosto w oczy, a potem przekręcił ostrze. Mężczyzna ryknął, z oczu pociekły mu łzy bólu. Dyzio wyciągnął nóż i zadał jeszcze jeden cios.

– Ale nóg do pracy na warsztacie to nie potrzebujesz, nie? – warknął i odepchnął go od siebie.

Grzegorz upadł na podłogę. Skulił się, jakby spodziewał się kolejnego ciosu, i złapał za udo, próbując zatamować krwawienie. Zadrzał, gdy tamten kucnął obok niego. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w czerwone ostrze, niezdolny do jakiegokolwiek oporu.

Dyzio wytarł nóż w jego spodnie i wstał.

– Nigdy więcej nie próbuj mnie robić na furach – powiedział. – Nigdy. I pozdrów ode mnie Grażynkę.

Wyszedł z warsztatu, zostawiając rannego mechanika. Przebiegł przez ulicę i wszedł do stojącego po drugiej stronie samochodu. Przez chwilę zastanawiał się, czy zdemontować ukrytą w pobliskich krzakach kamerkę, ale uznał, że nie ma sensu. Grzegorz dostał nauczkę. Nawet jeśli znajdzie sprzęt, nie odważy się go ruszyć, a kamera będzie mu nieustannie przypominała o tym, co się przed chwilą wydarzyło.

Chciał odjechać, ale zanim uruchomił silnik, w kieszeni zawibrował mu telefon. Spojrzał na wyświetlacz – Zyzio. Odebrał niechętnie.

– Co jest? – rzucił do słuchawki.

– Byliśmy u starego.

– I co?

– I jest problem. Bo stary wynajął sobie chyba ochroniarza. I ten ochroniarz spuścił wpierdol Hyziowi.

Dyzio poczuł pulsujący ból pod czaszką. Jaki ochroniarz? Skąd miałby się wziąć? Jak niby starego na to stać? Zaklął w myślach.

– Cały jest? – zapytał.

– Kto?

– No nie ten pierdolony ochroniarz przecież, nie?! Hyzio!

– Chyba cały. Tylko go napierdala.

– Jak sobie dał spuścić wpierdol, to niech cierpi.

– A co zrobimy ze starym i tym ochroniarzem?

Dyzio uruchomił wóz. Poczul się lepiej, kiedy przez samochód przeszło delikatne drżenie wywołane pracującym silnikiem.

– Zajmiemy się nimi – powiedział. – Zajmiemy się nimi oboma.

Fiat panda stał przed domem. Lekko poobijany i porysowany – nic wielkiego, po prostu jak auto, które ma już swoje lata i było przez ten czas intensywnie użytkowane. W środku panował porządek, żadnych walających się po podłodze puszek po energetykach czy papierków po batonach poupychanych we wszelkich możliwych schowkach. Jego właścicielka zyskała tym w moich oczach. Szanowałem ludzi, którzy dbają o swoją własność. To zawsze wymaga pewnej dyscypliny i samokontroli. Przeszkadzał mi tylko chemiczny zapach z odświeżacza zamontowanego przy kratce wentylacyjnej.

Poczekaliśmy, aż dziewczyna zapnie pasy, i ruszyliśmy.

– Wbić adres do nawigacji? – zapytała, wyciągając komórkę.

– Nie trzeba – powiedziałem. – Znam drogę.

Zmarszczyła brwi.

– Jest pan taksówkarzem?

Zaprzeczyłem.

– Po prostu uważam, że warto znać miasto, w którym się mieszka. Umieć się po nim poruszać bez konieczności korzystania z kawałka zawodnej elektroniki.

– Żartuje pan sobie teraz ze mnie?

– Absolutnie nie.

– Jest pan tym... prepersem? Wie pan, to ludzie, którzy przygotowują się na wypadek jakiejś wojny, katastrofy i tak dalej.

– Lubię myśleć, że to po prostu zdrowy rozsądek – odparłem.

Przyglądała mi się przez chwilę badawczo, próbując najwyraźniej wyrobić sobie zdanie na mój temat. Wreszcie opadła na oparcie i westchnęła ciężko.

– Aldona – przedstawiła się.

– Zygmunt – odpowiedziałem, bo przecież tak przedstawiłem się panu Henrykowi. Musiałem trzymać się jednej wersji.

– Niecodzienne imię. W sensie, że teraz. Rzadko się je spotyka.

– Takie nadali mi rodzice – skłamałem. – Proszę z nimi porozmawiać na ten temat.

– Wolalabym najpierw dowiedzieć się od pana, co właściwie stało się z moim wujkiem.

Przechodziliśmy więc do konkretów.

– No cóż. Niestety nie za wiele wiem. Wróciłem po pracy do domu, usłyszałem jakiś hałas w pokoju pani wujka i poszedłem sprawdzić, co tam się dzieje. W środku oprócz pana Henryka zastałem dwóch mężczyzn. Wyglądali na raczej takich mało sympatycznych. Skóry, krótko ostrzyżeni, złe spojrzenia. Ewidentnie starali się go zastraszyć. Krzyczeli na niego, domagali się spłaty długu, który podobno u nich zaciągnął. Kiedy dałem im znać, że jestem i wszystko widzę, przestali. Wyszli bez słowa.

Świadomie pominąłem w swojej opowieści kilka szczegółów. Nie było sensu informować, że pobiłem jednego z bandytów. Zresztą obawiałem się, że zabrzmi to jak zwykła przechwałka. Nie podzieliłem się też informacją, że mężczyźni uważali ten dom za swój. Lepiej było nie wprowadzać zbędnego zamieszania przed rozmową z panem Henrykiem.

– To oni rozbili wazon? – dopytała. – Widziałam szkło na podłodze.

– Oni – potwierdziłem.

– Potrafiłby ich pan rozpoznać?

– Może – skłamałem, oczywiście, dobrze im się przyjrzałem.

– Coś jeszcze pan może o nich powiedzieć?

– Jeździli audi.

– Zapamiętał pan może numery rejestracyjne?

– Niestety, nie – przyznałem.

I faktycznie to był błąd. Powinienem zwrócić na nie uwagę, kiedy tylko zauważyłem audi na podwórku, ale wtedy założyłem, że to po prostu znajomy lub krewny przyjechał do pana Henryka w odwiedziny.

– To nie ma sensu – odezwała się dziewczyna po chwili i zaraz sprecyzowała: – Ten cały dług, co

niby ma wujek.

– Dlaczego?

– Bo widzi pan, jak on żyje: w starym domu, w spartańskich warunkach. Ciepłej wody prawie nie używa, bo woli się myć w zimnej. Tak przynajmniej mówi. Jest jedynym znanym mi człowiekiem, który jeszcze ceruje skarpetki, zamiast kupować nowe. Mało je, nigdzie nie wychodzi, prawie nie pije. Jego jedyny nałóg to papierosy, poza tym nie pali aż tak dużo. Chodzi mi o to, że nie znam równie oszczędnego człowieka. Zawsze taki był, a już szczególnie po śmierci cioci. Po co miałyby się zadłużać? Na co? Przecież nawet telewizor ma tak stary, że aż trudno uwierzyć, że ciągle działa.

Zwolniłem, dojeżdżając do skrzyżowania, i zatrzymałem się na czerwonym świetle. Przed nami stał jakiś peugeot. Przez tylną szybę widziałem, jak dwójka siedzących na kanapie dzieciaków okłada się zabawkami. Matka co chwila się obracała, żeby ich strofować, ale nie przynosiło to żadnych rezultatów. Światło zmieniło się na pomarańczowe, potem na zielone, peugeot ciągle jednak stał w miejscu, a kobieta próbowała rozwiązać konflikt pomiędzy dziećmi. Dopiero kiedy wóz za nami zatrząbił, ruszyła. Ja również.

– Może nie wie pani wszystkiego o wujku – powiedziałem.

– Co pan sugeruje?

– Nic wielkiego. Po prostu wszystko ostatnio strasznie podrożało. Pani wujek z tego, co się zorientowałem, nie pracuje?

– Jest na emeryturze – potwierdziła.

– Zapewne niewielkiej. W normalnych czasach świetnie sobie dawał radę, ale teraz? Naprawdę niedużo potrzeba, żeby wpaść w poważne kłopoty. Jeden gorszy miesiąc, kiedy na przykład musiał wydać na hydraulika, bo pękła rura w łazience, albo wymienił jakiś sprzęt. A może pojawiły się jakieś inne nagłe wydatki.

– Niby jakie?

Pomyślałem o stosach lekarstw w kuchennej szafce, ale o nich postanowiłem nie wspominać. Wzruszyłem ramionami.

– Po prostu zdaję sobie sprawę, że czasami niewiele potrzeba, żeby znaleźć się w życiowym dołku – rzuciłem.

– No tak... Pan coś o tym wie...

Najwyraźniej szykowała się do tego, żeby zadać mi pytanie, czy właśnie dlatego wynająłem pokój u jej wujka, bo sam popadłem w finansowe kłopoty. I jaka jest dokładnie moja historia. Powstrzymała się jednak, a ja poczułem lekką ulgę. Nie miałem ochoty wymyślać kolejnych kłamstw.

– Dlaczego w takim razie nie poprosił o pomoc? – zapytała Aldona, wracając w rozmowie do tematu wujka i jego domniemanego długu.

– Może nie miał kogo?

– A ja?! – wykrzyknęła oburzona. – Nie mam może dużo, ale mogłabym mu pożyczyć pieniądze! Albo skontaktować go z kimś, kto mu pomoże. A mój tata? Mama? Przecież...

Nie dokończyła tego zdania, jakby nagle zabrakło jej tchu.

– Niektórzy starsi ludzie tacy są – powiedziałem.

– Jacy?

– Dumni – wyjaśniłem. – Nie chcą się narzucać ze swoimi problemami. Uważają, że skoro całe życie radzili sobie sami, teraz też powinni. I nie będą się nikomu narzucać.

– To głupie.

– Może i tak – przyznałem. – Ale czasami duma to jedyne, co ludziom zostaje. I trzymają się jej z całych sił.

– I dlatego wujek miałby pożyczać pieniądze od jakichś podejrzanych typów? – zapytała i potrząsnęła głową. – Nie, to nie ma najmniejszego sensu. On by czegoś takiego nie zrobił.

Nie odpowiedziałem. Sam miałem wątpliwości. Nie znałem pana Henryka za długo. Wyciąganie wniosków na podstawie tych kilku dni, które spędziliśmy w jednym domu, wymieniając w sumie tylko parę zdań, nie byłoby zbyt mądre, ale on naprawdę sprawiał wrażenie człowieka, który mocno stąpa po ziemi. Nie działa impulsywnie. Raczej takiego, który pomyśli, zanim coś zrobi. Zbada wszystkie za i przeciw i dopiero po takiej analizie podejmie decyzję. Ktoś taki miałby pożyczać pieniądze od gangsterów? Przecież ze swoją

emeryturą mógłby dostać kredyt w banku. Tak zresztą zazwyczaj postępują starsi ludzie – zwracają się do dużych instytucji, najlepiej takich, które towarzyszyły im całe życie. Wydaje im się to rozsądne i bezpieczne i w sumie takie jest. Chyba że pan Henryk potrzebował większej gotówki teraz, natychmiast, a – nie oszukujmy się – jego zdolność kredytowa nie była zbyt wielka. Ale niby na co miałyby przeznaczyć te pieniądze? Aldona miała rację. Ten człowiek żył spokojnie i oszczędnie. Tyle że ludzie potrafią zaskakiwać, robić głupie rzeczy, których nigdy byśmy się po nich nie spodziewali. Możliwe też, że padł ofiarą jakiegoś sprytnego oszustwa. Ktoś podał się za Aldonę, powiedział, że potrzebuje dużej sumy pieniędzy, pan Henryk ją zebrał, a kiedy prawda wyszła na jaw, nikomu nie chciał się przyznać do popełnionego błędu. Nie zawiadomił też policji. Scenariuszy było wiele. Na tym etapie każdy był możliwy.

– No i te krzyżówki – odezwała się Aldona.

– Słucham?

– W domu miał mnóstwo krzyżówek – wyjaśniła. – Przyjeżdżam do niego w odwiedziny od lat. Może rzadziej, niż powinnam, ale przyjeżdżam, żeby usiąść, pogadać, wypić herbatę. Sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku. Nigdy ich nie rozwiązywał. Nigdy.

Kolejny szczegół. Kolejna mała zagadka. Zastanawiałem się, czy cokolwiek znaczy.

Jechaliśmy przez moment w ciszy. Było już dość późno, a ruch na ulicach Warszawy wciąż spory, mimo że minęła już pora korków. Spokojnie pokonywaliśmy kolejne skrzyżowania, aż w końcu skręciłem w prawo na ulicę Banacha. Pan Henryk według Aldony trafił do szpitala uniwersyteckiego. Znalazłem wolne miejsce na pobliskim parkingu, wyłączyłem silnik i oddałem jej kluczyki.

– Jak pan wróci do domu? – zapytała.

– Odwiezie mnie pani.

– Nie wiem, ile mi zajmie wizyta. Przez ten czas będzie pan czekał w samochodzie?

– Raczej pójdę z panią. Też chciałbym się upewnić, że panu Henrykowi nic nie jest.

– Aż tak się pan z nim zaprzyjaźnił?

– Byłem przy nim, kiedy miał zapaść. To ja wezwałem karetkę. Powiedzmy, że też się czuję za niego odpowiedzialny.

Nie była tym zachwycona, ale najwyraźniej postanowiła się ze mną nie kłócić. Wsiadła z samochodu bez słowa. Ja chwilę za nią. Wspólnie ruszyliśmy w stronę wejścia do szpitala.

Szpital uniwersytecki to ogromny kompleks z wieloma oddziałami i kilkoma budynkami. Trochę nam zajęło, zanim ustaliliśmy, gdzie trafił pan Henryk. To był jednak koniec naszych sukcesów. Na sam oddział nas nie wpuszczono, pielęgniarka wyjaśniła, że minął już czas odwiedzin, a sam pacjent śpi. Dowiedzieliśmy się przynajmniej, że jego stan się ustabilizował, a życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Zostawiliśmy więc tylko torbę z rzeczami i znaleźliśmy kogoś, kto założył Aldonie szwy. Udało się to zrobić zaskakująco sprawnie. Lekarka była wprost szczęśliwa, że choć raz może zająć się czymś tak prostym. Potem poszliśmy z powrotem do samochodu.

Na parkingu zadzwonił telefon Aldony. Dziewczyna odebrała. Odsunęła się ode mnie na kilka kroków, żebym nie słyszał rozmowy, ale w świetle ulicznych lamp widziałem, jak najpierw blednie ze strachu, a potem czerwienieje ze złości. Skończyła rozmawiać i zaklęła głośno, żeby wreszcie zastygnąć na kilka długich sekund. Wyglądało to tak, jakby przez głowę przebiegało jej teraz tysiące myśli, a ona zastanawiała się, której się chwycić. Wreszcie machnęła zaciśniętą pięścią w powietrzu. Odwróciła się w moją stronę, spojrzała tak, jakby nagle wpadła na jakiś pomysł, a potem energicznie pokręciła głową, sama sobie zaprzeczając. Zaraz jednak stęknęła, wymamrotała pod nosem kolejne przekleństwo i powłócząc nogami, z wątpliwościami wypisanymi na twarzy, ruszyła w moim kierunku.

– Potrzebuje pani pomocy – powiedziałem, kiedy się zbliżyła.

Zamrugnęła zaskoczona.

– Skąd pan wie?

– Ta pantomima była dość oczywista. Stawiam, że najpierw zastanawiała się pani, czy może poprosić kogoś innego, ale z jakiegoś powodu nie chce albo nie może pani tego zrobić. A sprawa jest dość pilna, prawda?

– Znowu: skąd pan wie?

– Gdyby nie była pilna, miałyby pani czas, żeby poszukać kogoś innego do pomocy. Patrząc na pani minę, domyślam się też, że nie chodzi o noszenie mebli czy skoszenie komuś trawnika, tylko o wejście w sytuację potencjalnie konfliktową. I dlatego wołałaby pani kogoś, kogo zna i komu ufa. Niestety, jestem tutaj tylko ja.

– Pan jest jakimś cholernym Sherlockiem Holmesem?

Uśmiechnąłem się lekko.

– Bardzo mi do niego daleko. Po prostu...

– Tak?

– Powiedzmy, że mam doświadczenie. Takie rzeczy jakoś mi się przytrafiają.

Nie tylko nie rozwiązałem jej wątpliwości, ale jeszcze je pogłębiłem. Zastanawiałem się, jak bardzo jest zdesperowana i o co właściwie chodzi. W końcu byłem człowiekiem, którego spotkała może dwie godziny wcześniej, kimś, o kim wiedziała mniej niż niewiele, a kogoś takiego nie prosi się o ratunek w ważnej sprawie. Chyba że stoi się pod ścianą. A ona, jak się okazało, stała.

– To pomoże mi pan?

– Tak – odpowiedziałem.

Uniosła wysoko brwi.

– I nie chce pan wiedzieć, o co chodzi?

– Ustaliliśmy już, że to pilne. Opowie mi pani wszystko po drodze.

Chwilę potem siedzieliśmy w samochodzie. Tym razem ona prowadziła. Uznałem, że tak będzie lepiej. Była podenerwowana, rosło więc ryzyko, że będzie jechała zbyt szybko i niebezpiecznie, ale wołałem, żeby miała jakieś zajęcie. Gdyby siedziała na miejscu pasażera, emocje nieustannie by w niej buzowały, a ona potrzebowała się uspokoić. Jak zresztą każdy, kto znalazł się w sytuacji kryzysowej. Wtedy lepiej myśleć na chłodno.

Poprosiłem, żeby opowiedziała, co się właściwie wydarzyło. Musiała się teraz skupiać na dwóch czynnościach równocześnie – prowadzeniu pojazdu i rozmowie ze mną. Dowiedziałem się więc o Szymonie, jego ojcu, o tym, że mężczyzna bije syna i że Aldona wraz z koleżanką postanowiły coś zrobić. Przyjąłem z uznaniem, że w ogóle chciały zareagować. Większość ludzi w takiej sytuacji odwróciłaby wzrok i albo

udawała, że niczego nie widzi, albo jakoś wytłumaczyła sobie, że bezczynność jest tak naprawdę najlepszym dla wszystkich rozwiązaniem. Samo wykonanie jednak budziło sporo wątpliwości. Zostawiły mężczyznę samego w mieszkaniu, upokorzonego, pokonanego przez dwie dziewczyny i nie zastraszyły na tyle, żeby wybić mu z głowy wszystkie głupie pomysły. Raczej zostawiły go z myślą, że powinien się zemścić. Jeśli nie na Aldonie i jej koleżance, to na synu, a może także żonie – tak po prostu myślą takie typy. Ale dziewczyna już się tego dowiedziała. Szkoda, że w taki sposób.

– Wyrzucili go z domu – powiedziała, kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie Wisły.

– Liczba mnoga?

Niechętnie kiwnęła głową.

– I matka, i ojciec. Mówił, że nawet bardziej ona. Zaczęła na niego wrzeszczeć, że szkaluje rodzinę, ojca chce znowu wysłać do więzienia i że jak mu się tutaj nie podoba, to ma... – Zawahała się. – Wyrzuciła go po prostu. Nawet nie pozwoliła rzeczy zabrać. Szymek teraz czeka na podwórku. Nie wie, co ma zrobić... Zawaliłam, prawda?

– W tym domu i tak nie czekało go nic dobrego – odpowiedziałem wymijająco, bo na rozważanie, co zrobiła źle, przyjdzie czas później. Teraz musieliśmy się zająć chłopakiem.

Dojechaliśmy na miejsce i zaparkowaliśmy przed kamienicą. Na ławeczce na podwórku siedział skulony nastolatek. Cały drżał, bo ubrany był tylko w spodnie i tiszert. Nie pozwolili mu nawet włożyć butów – na stopach ciągle miał klapki kubota. Na nasz widok poderwał się gwałtownie. Bardzo szczupły, nieco przygarbiony, zdawał się składać z samych kolan i łokci. Jego twarz pokrywał lekki trądzik. Jedno oko miał podbite, ale siniak był stary, sprzed kilku dni.

– Aldona! – wykrzyknął słabo.

Podeszliśmy do niego. Bez słowa ściągnąłem kurtkę i podałem chłopakowi. Ten wymamrotał jakieś podziękowania i natychmiast ją założył. Wsadził ręce do kieszeni, żeby ogrzać dłonie, i dopiero wtedy zaczął mi się podejrzliwie przypatrywać.

– Mówiłem, nie trzeba policji – powiedział z wyrzutem.

– Nie jestem policjantem – uspokoiłem go natychmiast.

– To kim?

– To współlokator mojego wujka. Przyjechał ze mną, żeby pomóc – wyjaśniła Aldona.

– Zamiast gadać, po prostu chodźmy do twojego mieszkania i zabierzmy twoje rzeczy – stwierdziłem.

Chłopak potrząsnął głową.

– Drzwi są zamknięte. Matka nie otwiera.

– To weźmiemy klucze i sami sobie otworzymy – wyjaśniłem.

– Niby skąd? – zdziwiła się dziewczyna.

– Od jednego z tamtych. – Wskazałem za siebie. – Który to twój ojciec? – zapytałem chłopaka.

Aldona odwróciła się błyskawicznie i mimowolnie się cofnęła. W naszą stronę właśnie szło trzech mężczyzn. Wszyscy prezentowali ten sam typ: mniejsza lub większa nadwaga i arogancja wypisana na zniszczonych alkoholem twarzach. Palce pewnie śmierdziały im wypalonymi papierosami. Jedyne, co mnie zaskoczyło, to fakt, że każdy z nich miał założone gogle ochronne. A potem przypomniałem sobie, że koleżanka Aldony potraktowała jednego z nich gazem pieprzowym, i wszystko stało się jasne. Nawet mnie to trochę rozbawiło.

– Który to twój ojciec? – powtórzyłem pytanie.

– Ten w środku – wymamrotał chłopak.

– Trzymajcie się z tyłu – rzuciłem do Aldony.

– Ich jest trzech – zaprotestowała.

– I dlatego trzymajcie się z tyłu.

Zrobiłem kilka kroków w stronę mężczyzn. Stanęli. Moja obecność tutaj trochę ich zaskoczyła. Spodziewali się przecież dwóch dziewczyn, a nie faceta, który do tego niespecjalnie wydaje się przestraszony ich srogimi minami.

– A gdzie to homoniewiadamo? – rzucił ojciec Szymka i zarechotał. – Zesrało się to homoniewiadamo? Zesrało się pewnie, nie?

Trącił jednego ze swoich kumpli i ten posłusznie się roześmiał.

Wykorzystałem tych kilka sekund ich wesołości, żeby ocenić sytuację. Wszyscy wyglądali na takich,

którzy musieli wielokrotnie brać udział w bójkach, co wcale nie oznaczało, że potrafią się bić. Sam fakt jednak, że przemoc nie jest im obca, oznaczał większe ryzyko. Byli przez to groźniejsi i mieli przewagę liczebną, ale na szczęście nie przynieśli ze sobą broni – żadnych pałek, noży czy rozbitych butelek. Dopisałem sobie mały plusik.

– Daj nam klucze do domu – zwróciłem się do ojca chłopaka. – Zabierzemy rzeczy młodego i już więcej nas nie zobaczysz.

– Do ciebie nic nie mam – powiedział. – Tylko do dziewczyny. Spierdalaj stąd, to nic ci nie zrobimy.

Zerknąłem na Aldonę. Uśmiechnąłem się do niej uspokajająco, bo chyba się przestraszyła, że mógłbym skorzystać z tej propozycji.

– Słyszałeś?! Spierdalaj! – wrzasnął mężczyzna.

Uderzyłem go. Najpierw lewy prosty, lekki, bo trudno tak z marszu uderzyć mocno, ale szybki. Trafił idealnie w nos. Coś chrupnęło. Ojciec Szymka krzyknął z bólu i zaskoczenia, przez moment nie wiedział, co się wokół niego dzieje, a ja wykorzystałem to, żeby wyprowadzić prawy prosty. Ten miał już moc. Mężczyzna poleciał do tyłu. Po trzech krokach ugięły się pod nim nogi i upadł tyłkiem w kałużę.

Zacząłem bójkę z prostego powodu: wiedziałem, że i tak do niej dojdzie. Ojciec Szymona to najwyraźniej taki typ człowieka, do którego dociera tylko jeden argument – siły. Nie było sensu z nim rozmawiać, próbować przekonać, załagodzić sytuację albo nawet przekupić. Na to ostatnie zresztą szkoda było mi pieniędzy. On tu przyszedł w jednym konkretnym celu: żeby się zemścić i odzyskać poczucie dumy oraz niezdrowej męskości.

No, ale teraz leżał w kałuży i nie wyglądało na to, żeby za szybko miał się z niej podnieść.

Patrzyłem na jego kumpli, którzy mieli teraz dwa wyjścia. Albo stwierdzą, że ta cała awantura to jednak nie ich sprawa i co najwyżej podniosą go z ziemi, po czym wszyscy grzecznie się pożegnamy, albo postanowią być solidarni. Wołałem to pierwsze rozwiązanie. Oni wybrali drugie.

Najpierw ruszył ten z prawej, typ z kozią bródką. Próbował uderzyć lewą. Szeroki zamach, czytelne zamiary. Miał wielką łapę i zdecydowanie wołałbym nią nie dostać. Zrobiłem unik, równocześnie stawiając krok w lewą stronę, tak że teraz Kozia Bródka znajdował się pomiędzy mną a swoim kumplem. Facet przez moment był ustawiony bokiem do mnie. Kiedy się odwrócił, zadałem mu kilka ciosów. Lewa, prawa, lewa. Nie uderzałem mocno, nie chciałem zrobić wielkiej krzywdy. Miał tylko unieść ręce i zasłonić głowę, a tym samym odsłonić brzuch. Kopnąłem go tam z całych sił. Front kick. W tym uderzeniu należy unieść nogę na odpowiednią wysokość, a potem pchnąć ją do przodu jednym stanowczym ruchem biodra. Dzięki temu w kopnięcie wkłada się całą masę ciała, a nie tylko nogi.

Trafiłem i wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze Kozia Bródka stęknął i zgiął się w pół z bólu. Po drugie poleciał do tyłu, prosto na kumpla. Wykorzystałem moment. Dосkoczyłem do nich, chwyciłem ciągle zgiętego w pół Kozia Bródkę za głowę, przytrzymałem i dzieliłem kolaniem. Facet nagle zmiekkł, jakby był zrobiony z plasteliny, po czym padł na ziemię z zakrwawioną twarzą i prawdopodobnie bez kilku przednich zębów.

Został jeszcze ostatni. Do którego teraz dotarło, że z trzech na jednego zrobiło się jeden na jednego i że w tym starciu szanse wcale nie są wyrównane. Postanowił więc zrobić coś, żeby je zwiększyć. Strzelił oczami w bok, dostrzegł leżącą tam deskę i skoczył w jej kierunku. Ja miałem trudniej, bo przede mną leżał Kozia Bródka. Potrzebowałem może sekundy więcej, żeby przez niego przeskoczyć, ale tyle wystarczyło – tamten już schylał się po deskę, której zamierzał użyć jako pałki. W tym samym momencie dopadła do niej Aldona i chwyciła za jej drugi koniec. Siłowali się, walcząc o to, kto ją komu wyrwie. Wściekły mężczyzna, widząc, że nie daje rady, uderzył dziewczynę pięścią w twarz. Ta puściła deskę i zrobiła kilka kroków do tyłu, zasłaniając się rękami, bo spodziewała się kolejnych ciosów. Ale ja już przy nim byłem. Tak, miał w dłoniach tę cholerną deskę, tyle że potrzebował dystansu, miejsca, żeby zrobić porządny zamach. Nie miał na to szans. Chwyciłem go za kurtkę, przygniotłem do ściany i po raz drugi tego wieczora użyłem kolana. Tym razem jednak celowałem w jądra.

Może jestem staroświecki, ale po prostu nie znoszę, jak ktoś bije kobietę.

Mężczyzna ryknął tak głośno, że w kilku oknach zapaliły się światła, a jego krzyk jeszcze długo odbijał się echem w studni przedwojennego podwórka. Zostawiłem go leżącego pod ścianą, skomlącego i płaczącego.

– Jesteś cała? – zapytałem Aldonę.

Opuściła przedramiona i kiwnęła głową.

– Mówiłem, żebyś trzymała się z tyłu.

– Chciałam pomóc.

Podszedłem do ojca Szymona, który właśnie podnosił się z kałuży. Kiepsko mu to wychodziło, bo raz za razem upadał. Dziwne. Przecież aż tak mocno go nie uderzyłem. Kucnąłem obok niego.

– Klucze – powiedziałem.

Zamrugał zaskoczony, jakby nagle pomiędzy synapsami w mózgu przeskoczyła mu jakaś iskra. Najpierw przetarł gogle, a potem po prostu je zdjął. Spojrzał na mnie, po czym omiół wzrokiem podwórko. Oceniał sytuację i sięgnął do kieszeni, żeby podać mi pęk kluczy.

– Tylko proszę mi potem oddać – wyseplenił.

– Nie ma mowy.

Wstałem, machnąłem ręką na Szymona i Aldonę.

– Chodźmy.

Wkrótce byliśmy już pod właściwymi drzwiami. Otworzyłem je szybko i weszliśmy do środka. Matka chłopaka czekała już w korytarzu. Na nasz widok zrobiła wielkie oczy. Ja zresztą też. Nie wiem do końca, kogo spodziewałem się zobaczyć. Przestraszoną ofiarę przemocowego męża? Kolejną zaniedbaną ofiarę alkoholizmu? Tymczasem stała przede mną w pełni umalowana kobieta w bluzce z lamparcie cętki i w legginsach, z wysoko spiętymi blond włosami. Miała zadbane, pomalowane na niebiesko paznokcie. Wydaje mi się, że niedawno je robiła. Kto wie, może faktycznie była ofiarą zarówno męża, jak i alkoholizmu, ale teraz sprawiała wrażenie kogoś, komu jest naprawdę przykro, że widzi swojego syna całego i zdrowego.

– Szymon spakuje tylko swoje rzeczy i znikamy – powiedziałem, a potem delikatnie wypchnąłem go przed siebie.

Poszedł do swojego pokoju, starannie unikając wzroku matki.

– Pomogę ci – rzuciła Aldona i ruszyła za nim.

Wrócili po pięciu minutach. Chłopak miał przewieszoną przez ramię torbę sportową, a w dłoni trzymał wypełnioną ciuchami reklamówkę. Aldona niosła ciężki, wypakowany książkami i zeszytami plecak. Przez ten czas ani ja, ani kobieta nie wymieniliśmy nawet jednego słowa. Odważyła się odezwać, kiedy już mieliśmy wychodzić.

– Nie robi się takich rzeczy – stwierdziła.

– Jakich?

– Nie nasyła się na ojca bandytów. Nie grozi się mu, że wsadzi się go z powrotem do więzienia. Nie opowiada się kłamstw o tym, co on robi w domu. Nie niszczy się rodziny.

Wzruszyłem ramionami i zamknąłem za nami drzwi. Zeszliśmy na dół. Ojciec Szymona gdzieś zniknął, podobnie Kozia Bródka. Został tylko ten trzeci, który ciągle jęczał skulony pod ścianą. Wrzuciliśmy rzeczy chłopaka do niewielkiego bagażnika i wsiedliśmy do samochodu.

– Co teraz? – zapytała Aldona.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy.

– Ja to bym pojechał coś zjeść – odezwał się wreszcie nieśmiało Szymon.

Uznaliśmy, że to całkiem niezły pomysł.

Wróciliśmy do Włoch. Aldona zawiozła nas do jednej z nielicznych czynnych o tej porze knajp. Był to lokal z kebabem przy ulicy Łopuszańskiej. Jego wnętrze niczym nie różniło się od setek innych tego typu przybytków rozsianych po całej Polsce. Na ścianach zdjęcia z Turcji, najwięcej z Istanbulu, ale były też fotografie z Kapadocji – jakieś skały i wielkie kolorowe balony. Z głośników płynęła bliskowschodnia muzyka. Nad ladą umieszczono podświetlane menu, a za ladą ciężko pracowało trzech mężczyzn. Wśród nich wyróżniał się starszy, na oko pięćdziesięcioletni typowy Turek: niski, krępy i z nadwagą, którą próbował ukryć pod białym fartuchem. Miał ciemne, przyprószone siwizną włosy oraz potężny wąs, a także kilka znamion rozsianych po twarzy. Wokół unosił się wyraźny zapach ostrych przypraw, pieczonego mięsa i tłuszczu.

Przy stoliku siedział duży mężczyzna, który najprawdopodobniej także pochodził z Bliskiego Wschodu. Przygarbiony wpatrywał się w ekran swojej komórki i zupełnie nie zwracał na nic innego uwagi. Koło niego leżała torba termiczna. Domyśliłem się, że pracuje w knajpie, dowożąc jedzenie. O tej porze, w środku tygodnia, nie miał jednak zbyt wiele do roboty. W lokalu oprócz nas było jeszcze trzech chłopaków w dresach. Wszyscy dobrze zbudowani, z torbami sportowymi rzuconymi pod stół. Dwóch z nich pożerało kebaby, trzeci, największy, zadawał się butelką wody gazowanej. Kiedy tylko weszliśmy do środka, Aldona zaczęła rozglądać się z nadzieją w oczach, ale ta zaraz znikła i zastąpiło je chwilowe rozczarowanie. Zerknęła na wiszący na ścianie zegar i uśmiechnęła się smutno.

Zajęliśmy miejsca przy stoliku.

– Co chcecie? – zapytała. – Szymon to pewnie kebab, a pan?

– Sam zamówię.

– Niech pan da spokój. Po pierwsze mam tu zniżki. Po drugie przynajmniej tak będę mogła się odwdziżyć za pomoc. To jak? Co pan chce? Wygląda mi pan na padlinożercę, pewnie więc też będzie kebab?

– Na cienkim cieście.

– Sos ostry?

– Łagodny.

Uniosła lekko brwi.

– Coś do tego? Frytki?

– Wodę.

– A dla ciebie, Szymon?

– Frytki i colę – odezwał się chłopak.

Dziewczyna kiwnęła głową, a potem jej wzrok powędrował nad ladę. Zagryzła dolną wargę.

– Cholera.

– Co takiego? – zapytałem.

– Napiłabym się piwa – wyznała szczerze.

– To niech pani weźmie. Ja mogę prowadzić.

– I zawiezie mnie pan do domu? Jak pan potem wróci?

– Myślałem, że prześpi się pani u wujka, a z samego rana pojedziemy go razem odwiedzić.

– Jest jeszcze Szymon. – Wskazała na siedzącego obok chłopaka.

– On też może się przespać u pana Henryka. Jest wolny pokój, zmieście się we dwójkę. Chyba że woli pani pojechać z nim do siebie. Tylko czy ma pani tam warunki?

To był trochę strzał w ciemno, ale wiedziałem, że trafiłem. Dziewczyna nie nosiła obrączki na palcu, prawdopodobnie była świeżo po studiach albo właśnie je kończyła. Nic nie wskazywało na to, żeby dobrze zarabiała albo pochodziła z bogatej rodziny, bo wtedy jeździłaby lepszym samochodem niż fiat panda. Stawiałem więc, że wynajmuje mieszkanie z koleżankami albo pokój u jakiejś starszej osoby, podobnie jak ja u pana Henryka.

– Chyba że masz gdzie się zatrzymać – zwróciłem się do chłopaka. – U dziadków? Jakichś kolegów?

Szymon spuścił wzrok i to wystarczyło mi za całą odpowiedź. Aldona też to zauważyła.

– No i plus tej sytuacji jest taki, że faktycznie będzie mogła pani napić się piwa – zakończyłem.

Prychnęła coś pod nosem, ale potem uśmiechnęła się słabo, przyznając mi tym samym rację.

– Ale tylko jedno – powiedziała, sam nie wiem, do mnie czy do siebie.

Podeszła do lady, gdzie czekał już na nią starszy mężczyzna z szeroko rozłożonymi ramionami. Przytulili się, a potem wymienili kilka zdań, których nie dosłyszałem z powodu płynącej z głośników muzyki. Siedzący obok mnie chłopak wyjął telefon i ze słuchawkami na uszach oglądał filmiki na TikToku. Nie wydawał się nimi szczerze zainteresowany. Raczej unikał w ten sposób rozmowy ze mną. W sumie się nie dziwiłem. Dużo dzisiaj przeżył: został wyrzucony z domu, a potem oglądał, jak obcy facet leje jego ojca. Nawet jeśli go nienawidził, to i tak było dużo. Z pewnością targwały nim sprzeczne emocje i nie do końca wiedział, jak się powinien w stosunku do mnie zachowywać. Dlatego postanowiłem dać mu spokój i czas, żeby sam to wszystko ogarnął.

Aldona dalej stała przy ladzie i rozmawiała z Turkiem, który coś jej tłumaczył. Nagle oboje głośno się roześmieli. Po kilku minutach wróciła z jedzeniem dla nas. Kebab z frytkami i colą dla Szymka, sama kanapka z wodą dla mnie. Dla siebie wzięła kufel piwa i falafel z frytkami oraz surówką. Wszyscy byliśmy głodni, rzuciliśmy się więc na jedzenie. Przez dłuższą chwilę po prostu gryźliśmy, żuliśmy, przełykaliśmy, popijaliśmy i wycieraliśmy chusteczkami sos ściekający nam na brodę. Dopiero kiedy zaspokoiliśmy pierwszy głód, a do jednego z tych pierwotnych ośrodków w naszym mózgu dotarła informacja, że jednak nie grozi nam śmierć z powodu deficytu kalorycznego, zaczęliśmy znowu rozmawiać. A właściwie ja z Aldoną.

Dziewczyna odłożyła sztućce i zerknęła na Szymka, upewniając się, że ciągle ma słuchawki na uszach. Wypiła duży łyk piwa i wbiła we mnie badawcze spojrzenie.

– To kim właściwie pan jest? – zapytała.

– Zygmuntem – powtórzyłem kłamstwo.

– To kim właściwie jesteś, Zygmuncie?

– Chyba najprościej powiedzieć, że życiowym rozbitkiem – odparłem. – Włóczę się trochę po kraju, łapię różne dorywcze prace. Nie mam rodziny ani stałego miejsca zamieszkania.

– Poznałam w życiu różne osoby pogrążone w kryzysie bezdomności, ale żadna z nich nie potrafiła pokonać trzech mężczyzn naraz.

– Nie powiedziałem, że jestem bezdomny.

– Ale powiedziałeś, że nie masz stałego miejsca zamieszkania.

Uważnie słuchała, potrafiła wyciągnąć wnioski i zastosować moje własne słowa przeciwko mnie. Do tego nagle skróciła dystans, przechodząc na ty – nie w ramach sympatii, tylko wywierania nacisku. Była niezła w te klocki, nawet jeśli nie robiła tego wszystkiego świadomie.

– To nie to samo, co bycie bezdomnym.

– Ale dopiero co pobijeś trzech facetów – przypomniała. – Wróćmy do tego.

– No cóż... – wzruszyłem ramionami. – Po prostu potrafię się bić. Mam do tego talent. Trochę szkoda.

– Szkoda?

– Być może gdybym miał smykałkę do innych rzeczy, nie byłbym teraz życiowym rozbitkiem.

Kąciki jej ust powędrowały w górę. Nabiła na widelec połowę falafela, umoczyła go w sosie czosnkowym i włożyła do ust. Żuła, przyglądając mi się spod wpeł przymkniętych powiek.

– No dobra – powiedziała, kiedy przełknęła i wskazała głową w stronę stolika, który zajmowali sportowcy. – A tamtym trzem dałbyś radę?

– Tamtym? Nie wiem. Pewnie nie. To młodzi faceci, wysportowani, silni. Zupełnie inna historia niż tamci na Pradze.

Chwyciła za kufel z piwem, podniosła go, ale zaraz opuściła z powrotem na stół.

– Nie – stwierdziła. – To nie brzmi szczerze. Widzę, jak na nich zerkasz. Już kombinujesz. Pewnie masz plan, co?

Wcale na nich nie zerkałem. Nie było na co ani po co. Tych trzech facetów zajmowało się swoimi sprawami. Nie zwracali na nas uwagi, nie zachowywali się ani głośno, ani agresywnie, nie szukali zaczepki. Nie stanowili żadnego zagrożenia. Rozmawiali, od czasu do czasu się zaśmiali. Po co miałbym marnować czas i energię, żeby obmyślać plan działania na wypadek czegoś, co się nie wydarzy, o ile nie dojdzie do jakiejś totalnie nieprawdopodobnej i absurdalnej sytuacji?

– Nie – odpowiedziałem szczerze.

– Coś tam już się dzieje pod tą czaszką. Co byś zrobił? – zapytała dziwnie podekscytowana. – Rzucił w jednego z nich moim kuflem?

Zerknąłem na jej piwo. Wypiła trochę ponad połowę. Za mało, żeby się upić, ale w końcu ona też miała dzień pełen przeżyć, a teraz te emocje z niej schodziły. Traciła nad sobą kontrolę i nie myślała do końca trzeźwo.

– O co ci chodzi? – zapytałem. – Mam się zacząć przechwalać? Nie robię takich rzeczy. Nie chce mi się.

Nachyliła się w moją stronę.

– W takim razie powiedz mi tylko, czy dałbyś radę temu największemu. Silny jest, nie? I wielki? Byłoby trudno.

Teraz faktycznie zerknąłem na chłopaka, który pił wodę. Przyjrzałem mu się, oceniłem i lekko się uśmiechnąłem. To był błąd. Aldona to zauważyła i natychmiast chwyciła mnie za przegub.

– No co? – rzuciła. – Dałbyś mu radę?

Wyswobodziłem rękę z uścisku. Chciałem wrócić do jedzenia kanapki, ale dziewczyna patrzyła na mnie natarczywie i wiedziałem, że nie odczepi się, dopóki jej czegoś nie powiem.

– Boicie się nie tych rzeczy, których trzeba – powiedziałem.

– Nie rozumiem.

– Tamten facet, ten wielki, jak mówisz. Widzisz mięśnie i wydaje ci się, że powinnaś się go bać, ale przypatrz mu się uważnie.

Odwróciła się do nich i przez długi czas, zdecydowanie za długi, wbijała wzrok w całą trójkę. Ten wielki to zauważył. Zamiast się uśmiechnąć, kiwnąć głową lub wykonać inny zachęcający gest – w końcu obczajała go całkiem atrakcyjna dziewczyna – tylko gniewnie zmarszczył brwi. Aldona błyskawicznie schowała twarz w dłoniach, na jej policzkach pojawiły się rumieńce wstydu, ale w oczach błysnęły wesołe iskry.

– Przypatrzyłam się.

– Wiem.

– To co z nim nie tak?

Westchnąłem.

– Nie chodzi o to, co z nim nie tak, ale kim jest. Na pewno jest wysportowany, na pewno jest dobrze zbudowany, ale ma bardzo szczupłą twarz. Przypomnij sobie jego postawę, sylwetkę. Do tego jego dwaj kumple jedzą kebaba, a on nie.

– Może nie jest głodny.

– A zwróciłaś uwagę na sposób, w jaki pije wodę? Za każdym razem, kiedy podnosi butelkę do ust, jego twarz wykrzywia nieprzyjemny grymas. Jakby sam się na siebie złościł. I pije bardzo małymi łydkami, długo trzyma wodę w ustach.

– Dobra... Co to niby wszystko znaczy?

– Według mnie to kulturysta – wyjaśniłem. – Podejrzewam, że właśnie przygotowuje się do zawodów. Próbuje zrzucić wagę i chyba się odwadnia, żeby lepiej wyglądać na scenie. Co oczywiście oznacza, że jest nieustannie głodny, a więc i nieustannie wściekły, czyli teraz po prostu słaby. Za mało wody w ciele, za mało tłuszczu, za mało energii. I żebyś zrozumiała mnie dobrze, nie mam nic przeciwko kulturystom. Żeby odnieść sukces w tym sporcie, trzeba cholernie ciężko pracować, godzić się na wyrzeczenia i być niewiarygodnie zdyscyplinowanym. Ale to, że ktoś wygląda na silnego, nie oznacza, że ma siłę i potrafi się bić.

Natychmiast spoważniała i zamyśliła się nad moimi słowami. Upiła łyk piwa, a potem z powrotem się do mnie nachyliła.

– No dobra, to jest tutaj ktokolwiek, kogo powinnam się bać?

Bez słowa wskazałem siedzącego w kącie mężczyznę z torbą termoizolacyjną.

– Jego? – zdziwiła się. – Przecież on ma sporą nadwagę i zero kondycji.

– Ma nadwagę – zgodziłem się. – Ale nie byłbym taki pewien tego braku kondycji. Poza tym walki na ulicy to nie zawody. Tutaj nie ma podziału na rundy i sędziego, który przerwie, jeśli ktoś złamie przepisy. Toczą się szybko, kilka, kilkanaście sekund i jest po wszystkim. Na coś takiego na pewno ma siłę.

– Okej, ale jest jeszcze jakiś powód?

Skinąłem głową.

– Jego uszy.

– No, nie są za piękne – przyznała, co dziwne, bez spoglądania na niego, jakby wiedziała, jak wyglądają.

– To uszy kogoś, kto latami trenował zapasy – wyjaśniłem. – Bardzo intensywnie i bardzo ciężko. I to właśnie powinno cię przerażać, kiedy stajesz naprzeciwko kogoś takiego. Bo ten facet jest przyzwyczajony do bólu i będzie wiedział, co chce zrobić w walce. Poza tym jego kłykcie...

– Co z nimi? – Teraz musiała się obejrzeć.

– Są na nich strupy. Niedawno z kimś się bił. Nie zdążyły się jeszcze zagoić.

Aldona podrapała się po brodzie, a potem roześmiała głośno.

– Misiek! – zawołała i odwróciła się do siedzącego w kącie mężczyzny. – Misiek!

Kurier odłożył komórkę i spojrzał na nią pytająco, a ona gestem zaprosiła go do nas. Położył dłonie na blacie stołu, którego użył jako podparcia, i podniósł się ze stęknieniem. Kiedy się wyprostował, okazał się jeszcze większy, niż mi się początkowo wydawało. Mierzył blisko dwa metry, a ważył pewnie sto czterdzieści kilogramów. Może trochę więcej. Podszedł do nas.

– Co jest, Aldonka? – rzucił po polsku, ale z silnym akcentem.

– Mój przyjaciel mówi, że jesteś straaaasznie groźny! – powiedziała.

– Ja? – zdziwił się i wskazał na siebie palcem. – Nie! Ja nie groźny.

– Mówi, że masz uszy zapaśnika i poranione ręce, bo niedawno z kimś się biłeś.

Kurier roześmiał się tubalnie.

– Moje uszy? – Wskazał je również palcem, jakby chciał się upewnić, że używa właściwego słowa. – No, kiedyś ćwiczyłem zapasy, jak wszyscy. Ale nie byłem za dobry. Za duży brzuch, za bardzo lubiłem jeść. Trener nie lubił, jak jadłem. – Poklepał się po brzuchu.

– A ręce? Nie biłeś się z nikim?

– Ja?! – znowu się roześmiał. – Wypadek na skuterze. Bardzo bolało! Ale jedzenie dostarczyłem – dokończył z niemałą dumą.

W tym momencie Turek za ladą przywołał go ruchem dłoni. Kurier pożegnał się z Aldoną, wziął od właściciela knajpy paczkę z jedzeniem, umieścił w torbie i zaraz wyszedł.

– To Misiek – powiedziała Aldona. – W Polsce od trzech lat. Słodki facet. Chyba gej, ale jeszcze nikomu się nie przyznał. Wiesz, dla nich to znacznie większe tabu niż dla nas. Ale jest niesamowicie miły, nawet muchy by nie zabił.

– No cóż... Każdy może się pomylić.

Pokiwała głową zadowolona, a potem dopiła piwo.

– Chodźmy spać – rzuciła.

Zgodziłem się. Daliśmy znać Szymonowi, że już idziemy, a Aldona pożegnała się ze stojącym za ladą Turkiem. Zanim wyszliśmy, zerknąłem jeszcze na miejsce, gdzie siedział Misiek. Nie dlatego, że spodziewałem się tam cokolwiek znaleźć. Mój wzrok bezwiednie tam powędrował przyciągany niedawną obecnością mężczyzny. Bo mogę się mylić w wielu kwestiach, ale jednego byłem pewien – Misiek kłamał.

Dyzio zaczął od tego, co najważniejsze – zebrania informacji. Przejechał obok domu starego. Wszystkie światła w środku były pogaszone. Na podwórku nie dostrzegł żadnego samochodu. Pokręcił się trochę po sąsiednich uliczkach, a potem wrócił. Nic się nie zmieniło, zrobił więc kolejną pętlę. Dopiero kiedy się upewnił, że naprawdę nikogo nie ma w środku, zatrzymał auto, ale uliczkę dalej. Wolał, żeby nikt nie kojarzył jego wozu z tą nieruchomością. Potem spokojnym spacerkiem poszedł na miejsce. Przede wszystkim musiał zadbać o to, żeby nie zwracać na siebie uwagi, a najłatwiejszy sposób polegał na udawaniu, że jest się dokładnie tam, gdzie się powinno. Pewność siebie była jednym z najlepszych kamuflaży.

Dlatego Dyzio nawet się nie rozglądał, kiedy otwierał furtkę na posesję starego. Wszedł jak do siebie i spokojnie skierował się za budynek. Tam już nikt z ulicy nie mógłby go zobaczyć, nawet sąsiedzi z drugiej strony, bo pomiędzy obiema posesjami za ciągiem garaży rosły wysokie drzewa. Jasne, gdyby się uważnie przyglądali, wypatrywali, coś by zauważyli, ale pewnie mieli ciekawsze zajęcia.

Zbliżył się do drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał, ze środka jednak nie dochodziły żadne odgłosy. Sięgnął po wytrychy. Pomyślał, że zamek jest stary i prymitywny, otworzyłby go więc z zamkniętymi oczami. W rzeczywistości musiał sobie pomóc, włączając niewielką latarkę. Wolał ją od tej w telefonie – dawała więcej światła, a równocześnie jej promień był bardziej skoncentrowany. A więc łatwiejszy do ukrycia.

Siłował się z zamkiem przez kilka minut, z każdą chwilą coraz bardziej zirytowany. W pewnym momencie miał po prostu ochotę walnąć w drzwi barkiem. Przecież ta stuletnia spróchniała rama natychmiast by puściła. Zacisnął jednak zęby i w końcu mu się udało. Odetchnął głęboko i otarł pot z czoła.

Wszedł do środka. Założył rękawiczki, które zawsze nosił przy sobie przygotowany na takie okazje. Zwyczaj jeszcze ze starej pracy, gdzie wszystkiego brakowało i człowiek musiał pamiętać o najbardziej podstawowym wyposażeniu. Co prawda jego zachowanie cechowała nadmierna ostrożność. Nie zamierzał przecież niczego kraść. Zresztą, co miałyby wynieść z tego domu? Telewizor, który nadawał się tylko na skup złomu? Tanie reprodukcje obrazów? Poza tym nawet gdyby jakimś cudem znalazł coś, co byłoby cokolwiek warte, i tak nie zamierzał tego zabierać. Przyszedł po informacje.

Co powiedział Zyzio? Że stary zatrudnił ochroniarza. To nie miało sensu. Facetowi brakowało pieniędzy, dostawał tę swoją emeryturkę, z której żył od pierwszego do pierwszego. Zaoszczędził może parę stów, nie więcej. I miałyby je wydać na ochronę? Dyzio w to wątpił. Zresztą, kogo by wynajął za takie pieniądze?

No dobrze, ale ktoś pobił Hyzia, a Hyzio przecież nie był ułomkiem. Kto?

Dyzio zaczął się zastanawiać, czy nie popełnili błędu podczas sprawdzania ofiary, doszedł jednak do wniosku, że nie. Dokładnie przyjrzeni się staremu. Emeryt, samotny, żadnych dzieci. Jedyna rodzina to brat mieszkający poza Warszawą, z którym niewiele go łączyło, bo nie odwiedzali się nawet na święta. Kiedyś ten dom stanowił ich wspólną własność, ale stary spłacił brata jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Żadnych wpływowych przyjaciół, żadnych przyjaciół w ogóle. Typowy samotnik. Od czasu do czasu odwiedzała go tylko bratanica, i na tym koniec.

Co tu się wydarzyło?

Dyzio wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Skierował się najpierw do łazienki. Omiótł ją światłem latarki i zatrzymał się przy umywalce. Na półce stał jeden plastikowy kubek ze szczoteczką do zębów, ale były aż dwa różne zestawy do golenia, oba używane. Na podłodze zaś dostrzegł resztki rozbitego ceramicznego kubka. Pewnie wcześniej stała w nim druga szczoteczka z pastą.

Żaden ochroniarz nie zamieszkałby tu na stałe. To nie był bodyguard, a ze starego żadna Whitney Houston. Czyli kto? Dyzio podrapał się po czole. Ktoś z rodziny? Jakiś daleki krewny, który odnalazł się po latach?

Przeszedł do najbliższego pokoju. Ktoś tutaj się niedawno wprowadził. Dyzio otworzył szafę. W środku znalazł męskie ubrania. Nic charakterystycznego – dżinsy, bluzy bez nadruku, jednokolorowe tiszerty, raczej ciemne niż jasne. I niezłej jakości, jakby dla właściciela ważniejsza była ich funkcja niż wygląd. Nic więcej z nich nie wywnioskował.

Rozejrzał się po pokoju. Otworzył pozostałe szafki, ale nie znalazł w nich żadnej osobistej rzeczy. Niczego, co zbliżyłoby go do poznania tożsamości tajemniczego mężczyzny.

Nagle kątem oka dostrzegł zbliżające się światła samochodu. Wyłączył latarkę. Ulicą przejeżdżało ciemne auto. Zważywszy na sylwetkę, kilkuletnie bmw w wersji kompaktowej. Zwolniło odrobinę przed domem starego, jakby kierowca szukał właściwego numeru, a potem znowu przyspieszyło. Dyzio poczekał kilka uderzeń serca i na powrót włączył latarkę.

Na nocnej szafce leżała jakaś książka. Podniósł ją i zerknął na tytuł. *Worek kości* Stephena Kinga. Kojarzył autora, ale nic jego autorstwa nie czytał, może widział kiedyś jakąś ekranizację. Rzucił okiem na opis na okładce i stwierdził, że to nie dla niego. Przekartkował powieść w nadziei, że znajdzie tam jakąś zagubioną karteczkę lub odręcznie robione na marginesach notatki, ale na nic nie trafił.

Odłożył książkę na miejsce. Podrapał się po głowie i wreszcie musiał przyznać, że nic tutaj nie znajdzie. Przeszedł przez kuchnię do pokoju starego. Tam z kolei na podłodze leżał rozbity wazon. Szafa była otwarta. Ktoś chyba zabrał z niej część ubrań. Na skołtunionej pościeli leżał kot, który na widok Dyzia tylko podniósł głowę, zamachał dwa razy ogonem i wrócił do przerwanej drzemki.

Mężczyzna wyłączył latarkę i przez chwilę po prostu stał w ciemności, zastanawiając się, czego właściwie ma szukać. Wtedy zauważył kolejne światła samochodu. Zbliżył się do okna. Znowu to samo bmw. Znowu zwolniło przed domem starego. Raz to mógł być przypadek, ale dwa razy? Nie. To niemożliwe.

Dłoń Dyzia mimowolnie powędrowała do kieszeni. Poczul się pewniej, kiedy palce objęły zimną rękojeść noża. Szkoda, że paralizator zostawił w aucie. Nie spodziewał się, że będzie mu potrzebny.

Bmw zwiększyło prędkość i odjechało. Nie miał czasu zastanawiać się nad tym, co się dzieje. Czuł, że powinien się pośpieszyć. Zaczął przeszukiwać szafki. W jednej z nich znalazł teczkę z dokumentami. Otworzył ją, licząc, że będzie w niej jakaś umowa, którą stary podpisał z tajemniczym mężczyzną, ale nic takiego nie było. Tylko normalne sprawy: wyciągi z emerytury, pisma z urzędu gminy, kilka wizytówek. No i pisma z sądu.

Dyzio mimowolnie się uśmiechnął.

Zamknął teczkę i odłożył na miejsce. Wyjął drugą. W tej było jeszcze mniej przydatnych informacji. Sama dokumentacja lekarska, wyniki badań. Nic nie rozumiał, ale też nic go z tego nie interesowało. Wreszcie trzecia teczka, najcieńsza i czerwona w przeciwieństwie do tamtych dwóch białych. Otworzył ją podekscytowany, ale czekało go rozczarowanie. Teczka była pusta.

Zaklął pod nosem.

Znowu światła samochodu. Zgasił latarkę i po raz trzeci podszedł do okna. Nie zdziwił się specjalnie, kiedy zauważył bmw. Tylko że tym razem już nie zwalniało, po prostu stanęło przed domem.

Dyzio sięgnął po nóż i otworzył go szybkim, sprawnym ruchem. Chciał być gotowy na każdą ewentualność.

Kierowca wychylił się w stronę domu. Potem opuścił na chwilę głowę, a gdy wreszcie się wyprostował, przyłożył telefon do ucha. Czekał tak długo, cały czas wpatrzony w okna. Wreszcie odjechał.

Dyzio odetchnął. Tamten prawdopodobnie chciał się spotkać ze starym. Przejeżdżał obok, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w środku. Wreszcie zaczął podejrzewać, że wszyscy śpią, postanowił więc zadzwonić do starego, ale gdy w domu mimo to nie zapaliło się światło, uznał, że nikogo nie ma. Dyzio miał przeczucie, że tamten już nie wróci.

Tylko kim on był?

Ochroniarzem? Raczej nie. Facet przecież tutaj mieszkał, pewnie miał własne klucze. Nie bawiłby się w robienie kółeczek, tylko po prostu wszedł do domu.

Nagle coś go tknęło. Pomyślał o zachowaniu kierowcy bmw i wyczuł w nim pokrewną duszę.

Schował nóż i sięgnął po telefon. Wybrał numer, którego nie miał zapisanego w aparacie, ale znał go na pamięć.

– Co jest? – w słuchawce odezwał się chropowaty, niezadowolony głos.

Dyziowi nie podobał się ten ton. Za dużo facetowi płacili, żeby miał fochy za to, że raz na jakiś czas ktoś do niego zadzwoni późnym wieczorem. Ale awantura nic by teraz nie dała.

– Mam pytanie – powiedział Dyzio. – Kontrolne.

– Dawaj.

– Pojawił się u was niedawno jakiś prywatny detektyw? Wiesz, żeby pogadać, przedstawić się,

wypytać o jakieś sprawy.

– O nasze sprawy? – zapytał podejrzliwie mężczyzna. – Bo jeśli...

– O dowolne sprawy.

W słuchawce rozległo się westchnienie.

– Przyszedł jeden, może z tydzień albo dwa tygodnie temu. Nie pamiętam.

– Czego chciał?

– Pytał o babkę, taką starszą, która narobiła sobie długów w banku i strzeliła samobója.

Dyziowi przeszedł po plecach nieprzyjemny dreszcz.

– I co?

– I nic. Sprawa czysta. Żadnych działań osób trzecich. Wszystko elegancko zamknięte. A co? Czemu cię to interesuje?

– Nie interesuje – skłamał gładko.

– To czemu pytasz o prywatnego detektywa?

– Grześkowi wydawało się, że ktoś włóczy się koło jego warsztatu. A skoro to nikt od was, pomyślałem, że może jakiś prywaciarz.

– Aha...

– Jakby coś się działo, dasz znaka?

Mężczyzna po prostu się rozłączył, odpowiedź jednak była oczywista. Dyzio natychmiast usunął połączenie z historii rozmów, chociaż korzystali z kart SIM zarejestrowanych na ludzi, którzy nie mieli o tym pojęcia. Rzecz jasna, i tak zostawał ślad w billingach, ale po co ułatwiać robotę innym?

Uznał, że nic więcej tutaj nie znajdzie. Zamknął pootwierane przez siebie szafki, sprawdził jeszcze szybko, czy nie pozostawił po sobie żadnych śladów, a potem wyszedł z domu. Szybkim krokiem pokonał dystans dzielący go od własnego samochodu. Wsiadł i wybrał kolejny numer. Mężczyźnie, który odebrał, powiedział wszystko, co się wydarzyło do tej pory.

– Znakomicie. – Usłyszał w odpowiedzi. – W końcu się zaczyna robić ciekawie.

Henryk obudził się nad ranem w szpitalnym łóżku. Bez patrzenia na zegarek wiedział, że dochodzi piąta. Od lat codziennie budził się o tej samej porze. Najwyraźniej starsi ludzie naprawdę potrzebowali mniej snu.

Westchnął, obrócił się, poprawiając poduszkę pod głową, i wtedy zauważył, że obok ktoś siedzi. Ciemna sylwetka. Poczul ukłucie strachu, bo pierwsza myśl była taka, że i tu go odnaleźli. Że w szpitalu także nie dadzą mu spokoju. Potem przyszła złość. Pożałował nagle, że nie jest te trzydzieści, cholera, nawet dziesięć lat młodszy i nie ma pod ręką swojego kozika. W swoim czasie potrafił się nim sprawnie posługiwać. Ludzie na ulicy bali się go zaczepiać, bo wiedzieli, że z Henrykiem nie ma żartów. Później się uspokoił. Ale pamiętał też, jak wracali kiedyś z żoną z imprezy sylwestrowej i zaczepiło ich paru pijanych drabów. Wystarczyło, żeby jednego w rękę dziabnął, a drugiemu przejechał ostrzem po ryju, i natychmiast odpuścili, w ukłonach im Szczęśliwego Nowego Roku życzyli.

Ale teraz był stary, słaby i, co najgorsze, nie miał pod ręką noża.

– Dzień dobry, panie Henryku.

Natychmiast rozpoznał ten głos.

– Zygmunt – wychrypiał i poczul, że ma suche gardło. – Jak pan tu wlaź? Wpuścili pana?

– Okazuje się, że dużo łatwiej wejść tutaj nad ranem niż wieczorem.

– Jakoś nie jestem zdziwiony. Wody bym się napił.

Mężczyzna schylił się, wyjął z foliowej torby butelkę wody mineralnej, odkręcił nakrętkę i podsunął ją pod usta Henryka, jakby chciał go napoić. Ten zirytowany wyrwał mu ją z rąk, chociaż kosztowało go to nadspodziewanie dużo wysiłku, i wypił dwa niewielkie łyki. Okazało się, że więcej nie chce ani nie potrzebuje. Oddał butelkę.

– Teraz bym się wyszczał – powiedział.

– Poszukam kaczki.

– W dupie mam kaczki. Nie będę z niej korzystał. Nie jestem inwalidą.

Mężczyzna przez chwilę trwał nieporuszony, a potem wstał z krzesła i wyciągnął do niego rękę. Pan Henryk niechętnie się jej chwycił. Poczul się upokorzony tym, że inny facet musi go odprowadzać do toalety, choć miał na tyle rozumu, by wiedzieć, że sam sobie nie poradzi. Wywróci się gdzieś na korytarzu, nie wstanie o własnych siłach i będzie musiał czekać, aż ktoś mu przyjdzie z pomocą. To byłoby jeszcze gorsze.

Mężczyzna poprowadził go korytarzem, trzymając pod ramię. Szli powoli, krok za krokiem. Jedna z pielęgniarek, mijając ich, się zatrzymała. Popatrzyła chwilę, marszcząc brwi i już otwierała usta, zapewne żeby zapytać, dlaczego pacjent nie leży w sali i kim jest towarzyszący mu mężczyzna, ale nagle zrezygnowała. Najwyraźniej uznała, że nic złego się nie dzieje, a sama pod koniec zmiany była już zbyt zmęczona. A może pomyślała, że skoro Zygmunt jest na oddziale w porze, kiedy teoretycznie nie powinno go tutaj być, to najwyraźniej ma do tego prawo. W każdym razie poszła dalej.

Znaleźli toaletę. Weszli do środka.

– Pisuar czy kabina?

– Kabina – odpowiedział Henryk.

Chciało mu się tylko sikać, ale wolał, żeby jego lokator nie patrzył na niego podczas tej czynności. Nie dlatego, że się wstydził, tylko czuł się słaby. Nie wiedział, ile zajmie mu teraz zwykle zdjęcie spodni od piżamy, w którą go przebrano poprzedniego dnia.

Mężczyzna zaprowadził go do jednej z kabiny i tam zostawił, ale drzwi ciągle były lekko uchylone. Kiedy Henryk próbował się odwrócić, żeby je zamknąć, zakręciło mu się w głowie, zachwiało się, a nogi zrobiły się miękkie. Podtrzymał się ścian, żeby nie upaść.

– Powinien pan sikać na siedząco. – Usłyszał.

– Jak baba? – warknął.

– Ja sikam na siedząco, a nie jestem babą.

Henryk zawahał się.

– Dlaczego? – zapytał.

– Dlaczego sikam na siedząco? – upewnił się tamten. – Po pierwsze nie ma wtedy ryzyka, że nie

trafię i oszczam deskę lub podłogę. Po drugie podczas sikania na stojąco powstaje rozbryzg, nawet jeśli trafiamy do muszli. Kropelki moczu, chcemy czy nie, wylatują z sedesu na podłogę, ściany, dosłownie wszędzie. Dlatego też powinno się opuszczać klapę przed spuszczeniem wody.

Henryk stęknął. Odwrócił się, upewnił, że drzwi są zamknięte, i dopiero wtedy opuścił spodnie, a potem usiadł. Wysikał się. Pomyślał, że tak faktycznie jest wygodniej. Wstał, zaciskając zęby. Musiał podeprzeć się o ściany. Doceniał, że tamten nie zapytał, czy mu pomóc, chociaż na pewno słyszał jego zmagania z własną słabością. Podciągnął spodnie i wyszedł.

– Serio sikasz na siedząco? – zapytał.

– Nie. Ale powinienem.

Henryk uśmiechnął się krzywo. Pozwolił się wziąć pod ramię i wspólnie wrócili do sali, gdzie z ulgą położył się na łóżku i ku swojemu zaskoczeniu poczuł, że mógłby jeszcze zasnąć. Spojrzał na Zygmunta.

– Po co przyszedłeś? Bo przecież nie dlatego, że się martwisz o moje zdrowie.

– Pogadać.

– O czym?

– O tym, że wczoraj ktoś się włamał do pańskiego domu. Mnie z Aldoną nie było. Swoją drogą, to naprawdę pana bratanica?

Henryk przytaknął.

– Tak się tylko upewniam. No więc dom stał pusty do późnej nocy. Zanim wróciliśmy, ktoś się włamał.

– Coś ukradł?

– Chyba nie.

– To skąd wiesz, że się włamał?

– Drzwi wejściowe były otwarte, a na pewno zamykałem je na klucz, zanim wyjechaliśmy do szpitala. Książka, którą czytam, leżała w innej pozycji, niż ją zostawiłem. Jeszcze parę takich szczegółów. Ktoś był w środku i grzebał w naszych rzeczach.

– Ale po co, jak nic nie ukradł?

– Tego właśnie chciałem się od pana dowiedzieć.

Henryk poprawił się na łóżku i wzruszył ramionami.

– Kim byli ci dwaj faceci z wczoraj? – ciągnął Zygmunt.

– Nie wiem. Nie znam ich.

– Twierdzili, że ma pan jakiś dług do spłacenia.

Pomimo całej swojej słabości i złego samopoczucia Henryk poczerwieniał.

– Nie mam – warknął. – Od nikogo pieniędzy nie brałem.

Tamten pokiwał głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– To o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał.

Henryk zacisnął szczęki. Na samą myśl, że musi się tłumaczyć z czegoś, czego nie zrobił i z czym nie miał nic wspólnego, tętno zaczynało mu przyspieszać.

– Niby wziąłem pożyczkę z jakiegoś banku czy czegoś takiego – powiedział i zaraz dodał z pogardliwym prychnięciem: – Pół miliona. Pismo nawet przyszło.

– I co pan wtedy zrobił?

– Jak to co? Odpisałem im, że żadnej pożyczki nie brałem i żeby się ode mnie odczepili. I tyle. Przez pewien czas był spokój, a potem... – Urwał.

– Co się wydarzyło później?

– Przyszedł wyrok z sądu z nakazem zapłaty. Wpisali mi dług do hipoteki i zagrozili, że jak nie zapłacę, to zabiorą mi dom. A potem zaczęli pojawiać się ci dwaj. Dopytywali, kiedy wreszcie oddam pieniądze. Dawali jakieś papiery do podpisania, ale wszystkie wyrzucałem. Fotografowali całą posiadłość bez mojej zgody... – Zamilkł, bo poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Potrzebował paru chwil, żeby dojść do siebie. – Filmowali, coś tam mierzyli, grozili. A teraz weszli do domu i widziałeś, co się stało.

– Widziałem – potwierdził Zygmunt.

– Ale ja żadnych pieniędzy nie pożyczałem – raz jeszcze powiedział Henryk. – A pół miliona to w życiu na oczy nie widziałem.

– Wierzę panu. Do sądu pan z tym poszedł?

– Znajoma mi poleciła kuzyna, co niby jest po prawie. Poszedłem z nim porozmawiać. Spojrzał w papiery, pokręcił głową, że ciężka sprawa. Że już jest wyrok i niby można skarżyć, ale to będzie długie i skomplikowane. I że lepiej jakoś się z nimi dogadać, na raty rozłożyć.

– A policja?

– A po co miałem do nich pójść? – zdziwił się Henryk. – Przecież nikt mi niczego nie ukradł.

– Z kimś pan jeszcze na ten temat rozmawiał?

– Przychodził jeszcze jeden, grzeczniejszy. Ale komornikiem groził. Zostawiał jego wizytówki, kazał się skontaktować.

– Skontaktował się pan?

– Gdzie tam! Kazałem mu się pocałować w dupę. Z komornikami to złodzieje rozmawiają i oszuści, a ja jestem uczciwym człowiekiem!

Zygmunt sięgnął po butelkę z wodą, odkręcił ją i podał Henrykowi. Ten na moment się zawahał, ale poczuł, że rzeczywiście chce mu się pić. Pociągnął dwa kolejne, tym razem dużo większe łyki.

– Aldona wie? – zapytał mężczyzna.

– O tym niby długu? Nie, nie chciałem jej martwić. Brata zresztą też nie.

– Rozumiem.

– O włamaniu jej powiedziałaś?

– Nie. Zresztą sama nic nie zauważyła – wyjaśnił Zygmunt. – Co pozostawia nam do obgadania ostatnią sprawę. Ona wie, że jest pan chory?

Henryk zastygł bez ruchu. Za wyjątkiem dłoni, która mimowolnie zacisnęła się na szpitalnej pościeli.

– A ty... niby skąd? – zapytał cicho.

– Przez przypadek widziałem pańskie leki w szafce. Nie wiem, na co są, ale jest ich całkiem sporo i nie wyglądają jak lekarstwo na przeziębienie. A potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego właściwie postanowił pan wynajmować pokój. Aldona też była zaskoczona. Opowiedziała mi, że od lat mieszkał pan sam.

– Nie słyszałeś, co ci przed chwilą opowiedziałem? Potrzebuję pieniędzy, Zygmunco.

Wymawiając to imię, Henryk wyraźnie dał do zrozumienia, że nie wierzy w jego prawdziwość. Tamtego jednak to nie zraziło. Pokręcił tylko głową.

– I jak niby moje kilkaset złotych pomoże spłacić panu półmilionowy dług? – zapytał. – Nie, to nie to. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie chodziło panu o ochronę, tylko że to też nie ma za dużo sensu. Nie wiedział pan, na kogo trafi, czy pański lokator stanie w pańskiej obronie, gdyby coś się wydarzyło. A przede wszystkim, nie wiedział pan, czy będę wtedy w domu. Za dużo pytań, wątpliwości, niewiadomych. Potem mnie olśniło: chodziło po prostu o to, żeby ktokolwiek pojawiał się w domu. Regularnie, najlepiej codziennie, na wypadek gdyby przewrócił się pan w łazience albo nie potrafił wstać z łóżka. Albo gdyby trzeba było zadzwonić po pogotowie.

Przerwał na kilka sekund, jakby chciał dać mu czas do namysłu, na ułożenie sobie tego wszystkiego w głowie i podjęcie decyzji, czy podzielić się z nim swoją tajemnicą.

– To co to jest? – zapytał wreszcie.

– Płuca – wymamrotał Henryk.

– Poważna sprawa?

– Najpoważniejsza.

– Przykro mi.

Henryk nie odpowiedział, bo nic mu nie przychodziło do głowy. Także dlatego, że nie miał doświadczenia w prowadzeniu takich rozmów. Nie powiedział o tym nikomu, nawet Aldonie i rodzonemu bratu. U lekarza było zupełnie inaczej – bardziej formalnie, człowiek wiedział więc, na czym stoi i jak powinien się zachować.

– No... – wydusił wreszcie z siebie. – Szkoda... Chciałoby się jeszcze trochę pożyć, ale to nie jest najgorsze. Najgorszy jest strach.

– Przed śmiercią?

– Nie. Tego jakoś się nie boję. Nie że taki odważny jestem, ale albo sobie w głowie ułożyłem, że na każdego przyjdzie czas, albo to jeszcze do mnie nie dociera.

– To czego się pan boi?

Henryk uniósł palec i postukał nim kilka razy w skroń.

– Że mi się na łeb rzuci – powiedział. – Że zgłupieję, oszaleję albo co innego mi się z mózgiem stanie.

– Krzyżówki – rzucił Zygmunt i zaraz wyjaśnił: – Aldona na nie zwróciła uwagę. Podobno wcześniej pan ich nie rozwiązywał, a teraz jest ich mnóstwo.

– Ta... Tak właśnie sprawdzam, czy głowa jeszcze zdrowa.

– I co?

– Chyba zdrowa.

Mężczyzna klepnął go w ramię i wstał z krzesła, jakby zbierał się już do wyjścia.

– Niby nie powinienem się tym długim przejmować – odezwał się Henryk. – Długo nie pociągnę. Do tego czasu chuja zobaczą, a nie pieniądze ode mnie. A jak będę martwy, to co mi po domu.

– Ale...

– Ale to dla Aldony miało być – wyznał. – Swoich nie mam. Pomyślałem, że jej zostawię. Szczególnie że... to dobra dziewczyna. Może trochę naiwna, ale dobra. Bardziej innym pomaga niż sobie. Przydałoby jej się. Miałaby łatwiej w życiu. Dlatego tak się wkurzam.

Zygmunt podrapał się po brodzie.

– No cóż – stwierdził po chwili. – Wypadałoby się chyba zorientować, kto próbuje panu ukraść dom.

Wróciłem ze szpitala z poczuciem, że wizyta u pana Henryka była w pewnym sensie błędem. Gdyby nie nasza rozmowa, pewnie bym się spakował i zostawił to wszystko za sobą. A może tylko się oszukiwałem. Przecież stałem się częścią tej afery w momencie, kiedy przyłożyłem jednemu z osiłków, i teraz po prostu chciałem się dowiedzieć, o co tu chodzi. Zadzwoiłem więc do Wikusia, powiedziałem mu, że jestem chory i biorę kilka dni wolnego. Nie wydawał się zachwycony. Chyba też za bardzo mi nie uwierzył, ale ciągle męczyły go wyrzuty sumienia, że wyrzucił mnie z mieszkania, nie robił więc kłopotów. Gorzej, że nie będę zarabiał, ale tydzień, dwa powinienem dać sobie jakoś radę.

– Wrócił! – powitał mnie okrzyk Szymona, kiedy tylko otworzyłem drzwi.

Aldona wybiegła do przedpokoju, cała czerwona na twarzy i wściekła.

– Już miałam dzwonić na policję! – wrzasnęła.

– Dlaczego? – zdziwiłem się. – Martwiła się pani o mnie?

– Nie! – krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem niż przed chwilą. – Dlatego że ukradłeś mi samochód!

– Pożyczyłem – powiedziałem.

Ściągnąłem buty, zawiesiłem kurtkę na wieszaku i poszedłem do siebie do pokoju. Aldona podążyła za mną. Daleko zresztą przecież nie miała.

– Gdzie byłeś?

– W szpitalu u pana Henryka. Dowiedzieć się, jak się czuje.

Przez moment wyglądała tak, jakby zastanawiała się, czy powinna mi uwierzyć.

– I co u niego? – odezwała się w końcu.

– Dobrze. Odpoczywa.

– Dlaczego nie zabrałeś mnie ze sobą?

– Bo chciałem porozmawiać z nim sam na sam.

– Po co?

To było dobre pytanie.

– Bo tak jest łatwiej, wygodniej, szybciej – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Kiedy rozmawia się z kimś w cztery oczy, jest większa szansa, że ten ktoś będzie szczery. A jeśli będzie kłamał, to nie będę się zastanawiał z mojego czy... – zawahałem się na ułamek sekundy, ale skoro sama mówiła do mnie per ty, postanowiłem się dostosować – ...z twojego powodu.

– Z mojego? Czemu miałyby kłamać z mojego powodu? – zdziwiła się.

– Jest mnóstwo przyczyn. Począwszy od tego, że może chce cię ochronić, a skończywszy na poczuciu własnej dumy, która nie pozwala przyznać się do popełnionego błędu przed bliską osobą. A ja naprawdę chciałem się dowiedzieć, w jakie kłopoty wpadł pan Henryk.

Chyba zamierzała mi zaprzeczyć, ale знаła swojego wujka lepiej ode mnie i wiedziała, że mam rację.

– Czego w takim razie się dowiedziałeś, Zygmunco?

Moje fałszywe imię wypowiedziała z przekąsem. Wydało mi się to nawet zabawne i urocze. Szymon przez cały czas przysłuchiwał się, schowany za jej plecami. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie kazać mu odejść, ale uznałem, że skoro przez pewien czas będzie tutaj mieszkać, ma prawo wiedzieć, na czym stoi.

Opowiedziałem pokrótce o tym, czego dowiedziałem się w szpitalu od pana Henryka. Skupiałem się na samych konkretach. Pomiąłem wspólną wizytę w toalecie i kwestię nowotworu. To nie ja powinienem przekazywać jej takie wieści. Pan Henryk najwyraźniej nie chciał, żeby bratanica o tym wiedziała, powinienem więc to uszanować. Mniej więcej w połowie Aldona usiadła na moim łóżku i chwyciła się za głowę.

– To jest w ogóle możliwe? – zapytała. – Wziąć na kogoś kredyt na pół miliona złotych?

– No przecież żaden problem – odezwał się z boku Szymon.

Drgnęła, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego obecności, a ja posłałem mu pytające spojrzenie. Lekko się spłoszył. Chyba pożałował, że się odezwał.

– W internecie wystarczy tylko w zły link kliknąć, żeby zainstalować trojana – powiedział. – Kumpel kiedyś kliknął, bo myślał, że wygrał darmowy dostęp do strony z kamerkami, i natychmiast mu wjechali na konto. To znaczy jego starym. Do czysta je zrobili. Co prawda za wiele tam nie było, ale i tak się bał, że

starzy się dowiedzą, że to przez niego. Ale się nie dowiedzieli.

Aldona westchnęła ciężko.

– A widzisz tu jakiś komputer, Szymon? – zapytała.

– No... No nie.

– Właśnie. Bo wujek żadnego nie ma.

– To tak można?

– No raczej.

– Ale... ale... – Chłopak nagle odzyskał rezon, a oczy mu zabłyśły, jakby znalazł rozwiązanie trudnej zagadki. – Nie trzeba przecież komputera. Wystarczy komórka, nie?

– Widziałem telefon pana Henryka – odezwałem się, wyręczając Aldonę. – Da się przez niego dzwonić i wysyłać esemesy, ale już nie połączyć z internetem. Chyba nawet nie ma aparatu fotograficznego. A nawet jeśli ma, to taki, że na zdjęciu twarz wygląda jak zbiór kolorowych kwadratów.

– Aha – mruknął chłopak. – Ale kredyt da się wziąć.

– Pół miliona! – krzyknęła Aldona. – Przecież to jest kupa kasy! Rozumiem, że jakąś chwilówkę wyłudzić, ale po pół miliona przecież trzeba gdzieś pójść, pokazać się, podpisać jakieś dokumenty! Nikt nie daje pół miliona ot tak!

To, co mówiła, brzmiało sensownie. Żeby dostać kredyt hipoteczny na podobną sumę, ludzie biegają raz po raz do banku. Składają wnioski, zaświadczenia, poświadczenia, ubezpieczenia, poręczenia, a nawet jeśli wszystko się zgadza, nie mogą być pewni decyzji. Skąd więc te pół miliona złotych? Kto je wziął? I w jaki sposób wrobił w to pana Henryka?

– Zaczniemy od rzeczy podstawowych – powiedziałem. – Gdzieś tu muszą być jakieś związane z tym dokumenty. Zawiadomienia, pisma polecane, wyrok sądu i tym podobne sprawy. Pan Henryk wspominał też, że kontaktował się z nim jakiś komornik. Spróbujmy chociaż dowiedzieć się, kto jest w to zamieszany, a potem pójdziemy jednym z tropów.

Aldona po chwili zastanowienia kiwnęła głową.

– Pójdę poszukać w pokoju wujka.

– Pomogę ci – zaproponowałem.

– Wolałabym nie. Wystarczy już, że jedna osoba grzebie w jego prywatnych rzeczach.

Wcale nie jedna, bo ktokolwiek wczoraj tu był, także je przejrzał, ale postanowiłem jej o tym nie mówić. Uznałem też, że nie powinienem się z nią kłócić. Skoro nie potrzebowała w tym zakresie mojej pomocy, to niech tak będzie. Zresztą, z taką robotą poradzi sobie sama.

– Wziąłem z domu komputer, to pogrzebię w necie – odezwał się Szymek. – Poszukam podobnych spraw. Jakie tu jest hasło do wi-fi?

– Tutaj nie ma wi-fi – odpowiedziała mu Aldona.

Chłopak zrobił wielkie oczy, nie do końca wierząc w to, co słyszy. Chyba przez chwilę naprawdę zastanawiał się, czy dziewczyna nie robi sobie z niego żartów.

– W takim razie skorzystam z komórki – mruknął.

Rozeszli się. Ponieważ zostałem bez żadnych zadań, po prostu położyłem się na łóżku i zastanawiałem się, co powinniśmy zrobić. Czułem, że nasi wczorajsi goście mogą być kluczem do rozwiązania tej zagadki. Cokolwiek by mówić o bankach, raczej nie wysyłają bandytów do klientów z kredytem, nawet półmilionowym. Zorganizowana przestępczość, no cóż... Podobnie jak w przypadku banków, dużo złego można by powiedzieć o takich ludziach jak Czarny, ale zazwyczaj nie nachodzą osób, które tak naprawdę nie wiszą im pieniędzy. Kim więc byli ci dwaj? I co ważniejsze, kto ich przysłał?

– Mam! – zawołała Aldona z pokoju pana Henryka.

Wstałem z łóżka. Nie zdążyłem jednak dojść do kuchni, kiedy usłyszałem nieśmiałe pukanie do drzwi. Otworzyłem. Po drugiej stronie stała starsza kobieta o farbowanych na blond włosach i ustach pomalowanych czerwoną szminką. Ubrana była w brunatne futro sięgające prawie kostek, spod którego wystawał sklepowy fartuch. Miała ładne oczy, zielone, sympatyczne. Na mój widok zrobiła zdziwioną minę.

– Kim pan jest? – zapytała.

– A pani? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

Zmarszczyła brwi, cofnęła się odrobinę, a ja zrozumiałem, że znaleźliśmy się w impasie. Żadne z nas nie zamierzało się odezwać, dopóki to drugie nie zdradzi swojej tożsamości.

– Pani Wiktoria! – zawołała za moimi plecami bratanica pana Henryka.
– Aldonka! – ucieszyła się kobieta i ruszyła przed siebie. Musiałem zrobić krok w bok, bo inaczej by mnie staranowała.
Padły sobie w objęcia jak stare znajome.
– Co pani tu robi, pani Wiktorio? – zapytała dziewczyna.
– Przyszłam dowiedzieć się, co z panem Henrykiem.
– To już pani wie?
– No właśnie nic nie wiem! Tyle że wczoraj pogotowie przyjechało. Dzisiaj rano się dowiedziałam i od razu przybiegłam. No może nie od razu, ale jak w sklepie trochę luźniej się zrobiło. To co z Henrykiem?
– Pani Wiktoria tak mocno chwyciła ją za ramiona, że Aldona aż syknęła z bólu.
– Wczoraj gorzej się poczuł. Coś z sercem. Dlatego zabrali go do szpitala.
– Biedaczek. A wiadomo, co z nim teraz?
Aldona wskazała palcem na mnie.
– Pan Zygmunt był dzisiaj u niego w odwiedzinach – powiedziała.
Kobieta odwróciła się w moją stronę.
– Pan Zygmunt... – powtórzyła powoli, z namysłem, jakby próbowała skleić w swojej pamięci moją twarz z imieniem. – Wiktoria. – Wyciągnęła w moją stronę dłoń tak, jakby oczekiwała, że ją pocałuję.
Postanowiłem spełnić to niewypowiedziane życzenie. Schyliłem się i cmoknąłem powietrze tuż nad jej palcami. Kiedy się wyprostowałem, po raz pierwszy zauważyłem aprobatę w jej spojrzeniu. Aldona za to przewróciła oczami.
– To jak się czuje pan Henryk? – zapytała pani Wiktoria.
– Lepiej niż wczoraj. Jego życiu obecnie nie zagraża żadne niebezpieczeństwo – odparłem i nawet poczułem lekkie zadowolenie, że udało mi się nie skłamać.
– No to dzięki Bogu – powiedziała i od razu się przeżegnała.
– Pani Wiktoria prowadzi sklep spożywczy niedaleko. Jeden z nielicznych, który się ostał, a który nie jest Żabką ani nie należy do żadnej innej sieci.
Kobieta, słysząc słowa Aldony, mimowolnie się wyprostowała i nawet wypięła nieznacznie pierś jak do orderu.
– Ponad czterdzieści lat tutaj handluję. Ma się tych starych klientów. Ale kto wie, ile się jeszcze utrzymamy.
– Oby jak najdłużej, pani Wiktorio, oby jak najdłużej. Pani tutaj w okolicy to przecież prawdziwa instytucja. Wszystkich pani zna, wszystko wie, każdego kojarzy! Przecież bez pani to wszystko się zawali!
– Miód na moje serce, Aldonko, miód. No ale ile ja jeszcze popracuję? To już nawet nie o te płazy chodzi, tylko o zwykłe zdrowie.
– Ale skoro pani tak dobrze zna okolicę i wie, co się dzieje – włączyłem się do rozmowy – to może kojarzy dwóch młodych typów, którzy jeżdżą audi.
Pokrótce opisałem jej naszych wczorajszych gości. Słuchała mnie uważnie, a potem zrobiła zmartwioną minę.
– Przykro mi, nie kojarzę. Ja się w ogóle na samochodach nie znam. Ale mogę popytać.
– Bardzo mi pani pomoże.
– To ma coś wspólnego z panem Henrykiem? Oni są od tego pana?
– Jakiego pana? – zapytałem.
Pani Wiktoria po raz pierwszy podczas tej wizyty straciła pewność siebie.
– No bo tak że trzy tygodnie temu pojawił się w sklepie taki pan i zaczął rozpytywać, czy ja kojarzę jakichś starszych ludzi, którzy mają problemy finansowe. I ja wiem, że pan Henryk nie jest starszy, ale... – zawahała się. – Źle zrobiłam, że powiedziałam?
– Raczej nie – odparłem uprzejmie.
– Bo on opowiadał, że pracuje w takiej firmie, która pomaga w takich sytuacjach. Dług rekonstruuje... Nie, jakoś inaczej. No to pomyślałam, że dam znać o panu Henryku, bo a nuż... pomogą.
– Pamięta pani, jak się nazywał ten mężczyzna? – zapytałem.
– Marcin chyba...
– A nazwisko?

Bezradnie rozłożyła ramiona.

– Może zostawił wizytówkę?

– Niestety... – powiedziała przez ściśnięte gardło.

Kolejne pięć minut spędziliśmy na uspokajaniu pani Wiktorii i upewnianiu jej, że nic złego nie zrobiła. Chyba nie była o tym do końca przekonana, kiedy od nas wychodziła, ale pożegnaliśmy ją z ulgą.

– To dobra kobieta – zapewniła Aldona po zamknięciu drzwi. – Tylko że... szybciej mówi, niż myśli. I chyba czasami zbyt ufa ludziom.

– Zdarza się – stwierdziłem. – A co ty znalazłaś?

Dała mi znać, że bym poszedł za nią. W pokoju pana Henryka na stole leżały rozłożone dokumenty. Wskazała na niewielki kartonik, na którym ciemnym drukiem widniało czyjeś imię i nazwisko, numer telefonu, a nad tym wszystkim polskie godło.

– Kontakt do komornika – powiedziała, stukając palcem w kolejny dokument. – Prawdopodobnie w związku z sądowym wyrokiem o wpisaniu pożyczki do hipoteki. Chociaż nie rozumiem, jak można wydać taki wyrok, skoro wujek nie wziął tej pożyczki!

– Tym zajmiemy się później.

Zgodziła się ze mną.

– Pożyczki udzieliła firma Trapper. – Wskazała na kolejną kartkę.

– Poszukam czegoś na jej temat w necie! – krzyknął Szymon.

Wziąłem do ręki dokument i przeczytałem fragment zaznaczony przez nią długopisem.

– Po co sprawdzać w internecie, skoro możemy ich po prostu odwiedzić? – zapytałem.

Skórzany fotel był już tak wysłużony, że zapadał się pod jego ciężarem. Dyzio miał go od chyba dwudziestu lat. Kupił za pierwszą łapówkę albo jedną z pierwszych, nie pamiętał. Był bardzo z siebie dumny, wtachał go nawet sam na drugie piętro. Pot lał się z niego wtedy strumieniami, ramiona omdlewały z wysiłku, a ówczesna żona popatrzyła na niego jak na wariata i zaczęła narzekać, opowiadać coś o nowej lodówce i kuchence mikrofalowej. Strasznie się na nią wkurzył, a ona na niego. Zamiast się cieszyć nowym fotelem, rzucali w siebie talerzami.

Chyba dwa lata później zniknęła. Nie przejął się tym zbyt. Okazało się, że odeszła do nauczyciela z liceum. Takiego, co był czytany i nawet wiersze pisał. Szybko pożalowali. Oboje. Ona, bo zorientowała się, ile taki nauczyciel zarabia (tyle co gównu) i nawet na papier, żeby sobie dupę podetrzeć, go nie stać. On, bo zrozumiał natychmiast, że tej biedy ona mu nie wybaczy. Zmienił więc robotę, na jeszcze głupszą, co Dyzio potem wykorzystał i wciągnął go do jednego ze swoich interesów. Facet nawet się nie zastanawiał, kiedy usłyszał propozycję, chociaż w zamian dostawał ochłapy. Był w takim stanie, że wskoczyłby na główkę do pustego basenu, byleby żona się zamknęła. Bo teraz to była jego żona, a nie Dyzia. Dyzio się z nią rozwiódł. Nie miał tylko pewności kiedy, ale że się rozwiódł, to wiedział.

Siedział bez ruchu i wpatrywał się w stojącą na szklanym stole butelkę wódki. Zastanawiał się, jak do tego doszło, że jest w trzech czwartych pusta. W koszu na śmieci w kuchni znalazł puste puszkę po piwie. I to by się zgadzało, bo pamiętał, jak wrócił zmęczony do domu i pomyślał, że otworzy sobie jedno i obejrzy coś w telewizji. Jak jednak doszło do tego, że teraz bolała go głowa, a w brzuchu jakby stado diabłów urządziło sobie małe igrzyska olimpijskie? Jego żołądek zmieniły w basen, a jelita w tor bobslejowy.

Odetchnął i otarł spocone czoło. Wódka, papierosy w popielniczce i leżąca nieopodal szminka. Skąd ona się tutaj wzięła? Kolejna pierdolona zagadka.

Jęknął, kiedy jego uszy zaatakował ostry dźwięk domofonu. Podniósł się z fotela, co nie było wcale takie łatwe, i poszedł odebrać.

– To my. – Usłyszał głos Hyzia.

Wpuścił ich do środka. Zdjął zasuwy z drzwi i schował się w sypialni, żeby się ubrać. Wyjął z szafy koszulkę polo i czyste spodnie. O ile z tym pierwszym poszło łatwo, o tyle te drugie stawiały opór. Miał problem, żeby wsadzić stopy w nogawki, a kiedy wreszcie mu się udało, okazało się, że wkłada dzinsy tył na przód. Zaklął wściekle i wtedy usłyszał otwierające się drzwi od mieszkania.

– Jesteśmy, wujku! – krzyknął Zyzio.

– Zaraz będę! – odwrzasnął.

Zdjął spodnie, odwrócił je i podjął kolejną próbę. Tym razem poszło łatwiej. Rozejrzał się po sypialni. Na stoliku przy łóżku dostrzegł opakowanie ibuprofenu. Otworzył, ale czekało go kolejne tego dnia rozczarowanie – blister był pusty.

– Kurwa... – wymamrotał.

Spojrzał jeszcze w lustro, poprawił rzadkie włosy i po raz ostatni otarł pot z czoła. Wyszedł z sypialni.

Hyzio i Zyzio czekali na niego w salonie. Zyzio był starszy, Hyzio młodszy. Ksywki zaczęły się od Dyzia, który przychodził do roboty w niebieskiej czapeczce z daszkiem. Akurat wtedy w telewizji leciały *Kacze opowieści*. Wszystkie dzieciaki to oglądały. No i skojarzyło się jednemu kumplowi z roboty, który miał akurat małych synów, i zaczął wołać na niego Dyzio. Dyzio początkowo się wkurzył, ale potem doszedł do wniosku, że mógł mieć gorzej. Inny facet został Pryschem, a jeszcze kolejny Klaczą. Dyzio na tym tle nie wypadał wcale tak źle, a kiedy zaczęli z nim pracować siostrzeńcy, oczywiście było, że zostaną Hyziem i Zyziem. Chociaż w tej konfiguracji Dyzio powinien być jednak Donaldem.

– Jest kawa? – zapytał, wchodząc do salonu.

Po raz pierwszy mógł się dobrze przyjrzeć Hyziowi. Chłopak całą jedną stronę twarzy miał opuchniętą, oko fioletowe. Ledwo przez nie widział.

– Kawa! – powtórzył. – Zrobiliście?

Spojrzeli po sobie niepewnie. Hyzio oczywiście jednym zdrowym okiem.

– Nie wiedzieliśmy, że trzeba. Poza tym ledwo weszliśmy i to twój dom, wujek – odpowiedział

Zyzio.

– Jak wam czegoś nie powiedzieć, to sami nie zrobicie – warknął. – Gonisz, Hyzio, do kuchni i kawę zrób. Byle mocną.

Hyzio posłusznie wyszedł z salonu. Usłyszeli, jak grzebie w szafkach, a potem dźwięk pracującego ekspresu. Zyzio tymczasem przestępował z nogi na nogę i wodził wzrokiem po gołych ścianach i białym suficie. Dyzio wrócił na swój fotel. Opadł na niego z ulgą i miał wrażenie, że nawet głowa trochę mniej go łupie.

Po chwili wrócił Hyzio. Na tacce przyniósł trzy kubki wypełnione czarną kawą. Każdy wziął po jednym. Dyzio upił łyka. Kawa faktycznie była mocna i gorzka, aż wykręcała pysk. Taką lubił. Zaczął się rozglądać za paczką papierosów, ale nigdzie jej nie widział. Pewnie wczoraj wypalił całą. Mógłby sięgnąć po elektronicznego papierosa. Miał gdzieś tutaj, ale nie lubił. Dla niego to było jak dymanie w gumce – niby prawie to samo, ale przyjemność minimalna.

– I na chuj ci to MMA przyszło, Hyziu? – rzucił.

Jego siostrzeniec lekko poczerwieniał. Zacisnął dłoń w pięść, ale zaraz ją rozprostował, chyba przestraszony, że wuj mógłby zauważyć ten gest.

– Zaskoczył mnie, skurwiel – mruknął.

– Co to był w ogóle za typ?

– No mówiliśmy – włączył się Zyzio. – Stary sobie ochroniarza musiał wynająć.

– Ta, ochroniarza. Dwóch od razu. Z psami.

– No tam żadnego psa nie było...

– Wiem, kurwa, że nie było! – wrzasnął i od razu pożałował, bo kiedy tylko podniósł głos, od razu mocniej rozboleła go głowa. Zupełnie jakby sam się młotkiem walnął. Upił trochę kawy i zacisnął zęby. – A ty czemu bratu nie pomogłeś? – zapytał po chwili.

Zyzio wzruszył ramionami.

– Było mówione, że mamy tylko starego nastraszyć, a nie robić rozróbę.

– Aha... Czyli się podzieliliście, tak? Jeden wpierdol zbiera, a drugi straszy. Co, potem się planowaliście zamienić? A może chciałeś czekać, aż bratu ręce połamie, zanim coś zrobisz?

Zyzio nie wiedział, co odpowiedzieć. Dyzio przymknął na chwilę oczy i wtedy poczuł, jak ostro burczy mu w brzuchu, a zaraz potem przychodzi seria bolesnych ukłuc. Wiedział, co to znaczy. Poderwał się z fotela, odstawił kubek z kawą na stolik, wylewając przy okazji połowę, i popędził do ubikacji, odpychając po drodze Zyzia. Wpadł do toalety. Zaciskał mocno pośladki i modlił się, żeby spodnie tym razem nie sprawiały mu żadnych kłopotów. Bo zesranie się przy siostrzeńcach to była jedna z najgorszych rzeczy, jaka mogła go spotkać. Nie wiedział nawet, jak miałby po czymś takim odbudować swój autorytet. Gacie jednak gładko poleciały w dół. Siadł na kiblu i wypróżnił się. Odgłosy, które przy tym wydawało jego ciało, były tak głośne, że słyszeć go musieli nie tylko Zyzio i Hyzio, ale i cały pion.

Skończył. Podtarł się i poszedł do łazienki, żeby umyć ręce. Zamknął za sobą drzwi i zamarł. W wannie leżała kobieta w obcisłej czarnej sukience ze sporym dekoltem, w rozmazanym makijażu i z burzą kasztanowych włosów. Przez chwilę przestraszył się, że ona nie żyje. Ale nie, kobieta nagle zamrugła i usiadła niezgrabnie, jeżdżąc pośladkami po akrylowym tworzywie. Włosy opadły jej na twarz, więc je poprawiła.

– Kto ty, kurwa, jesteś? – zapytał.

– Sandra.

– I co tu robisz?

– Zadzwońeś wczoraj, że chce ci się dymać, to przyjechałam.

W zboląlej, zmęczonej głowie zaczęły mu się pojawiać przebłyśki wczorajszego wieczora.

– I podymałem?

– No. Mocno mnie zerznąłeś. Dawno nikt tak dobrze mnie nie zerznął.

– Skończyłem?

– Aha. Na twarz mi się spuściłeś. Dlatego taka rozmazana jestem.

– A dlaczego leżysz w wannie?

– W nocy zaczęłaś się rzucać. Krzyczeć, że mi wpierdolisz, bo się puściłam z nauczycielem fizyki. Schowałam się w łazience i zamknęłam drzwi na zamek.

– Ale teraz były otwarte.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– No tak. Pewnie otworzyłam, jak poszłam siku zrobić.

– I wróciłaś spać do wanny.

– No na to wygląda. Też zrobiona byłam.

Dyzio odkręcił ciepłą wodę, umył ręce mydłem, po czym wytarł je w wilgotny i brzydko pachnący ręcznik, bo nigdy nie pamiętał, żeby go wyprać, po czym wrócił do siedzącej w wannie kobiety.

– Masz papierosy? – zapytał.

Sięgnęła po leżącą obok niej torebkę i wyjęła paczkę cienkich mentolowych papierosów. Dyzio uważał, że to syf, ale trudno, wyboru nie miał. I tak były lepsze od tego elektrycznego gówna, a Zyzio i Hyzio nie palili. Wziął jednego i pokazał na migi, żeby podała ogień. Sandra podsunęła mu zapaloną zapalniczkę. Zirytowany, wyrwał ją z jej rąk i sam sobie odpalił, po czym wrzucił do wanny. Zaciągnął się głęboko, a potem wydmuchał dym w stronę kratki wentylacyjnej. Pomyślał, że sąsiadka z góry, stara prukwa, znowu się będzie rzucać, że jej fajkami w domu śmierdzi. Ale miał ją w dupie.

– Zapłaciłem ci? – zapytał kobietę w wannie.

Zauważył, że się zawahała. Pewnie zastanawiała się, co odpowiedzieć. Szacowała ryzyko i oceniała potencjalną nagrodę.

– Z góry – powiedziała i na potwierdzenie swoich słów poklepała torebkę.

Ucieszył się, że podjęła taką, a nie inną decyzję, że nie próbowała go oszukać. Zdążył ją polubić. Nie wczoraj wieczorem, bo z tego niewiele pamiętał. Nie był nawet pewien, czy faktycznie ją dymał. Tutaj mogła go oszukać, ale w tę kwestię akurat wnikać nie chciał. Teraz ją polubił i nie chciał jej robić krzywdy.

– Pomogę ci wyjść z wanny, Sandra – powiedział. – I niestety będziemy musieli się pożegnać. Normalnie zaproponowałbym kawę i posiłek regeneracyjny, ale akurat mam gości.

– Jasne.

Chwyciła go za rękę, a gdy ją podciągnął, ostrożnie wyszła z wanny. Tył jej sukienki był cały mokry od wody kapiącej z prysznica. Razem opuścili łazienkę. Dyzio zignorował zaskoczonych siostrzeńców. Odprowadził kobietę do drzwi, poczekał, aż się ubierze i zamówi przez aplikację transport, po czym wrócił do chłopaków.

– Powinniśmy zrezygnować – wypalił Zyzio.

– Z czego? – zdziwił się Dyzio.

– No z tego! Ja, kurwa, nawet nie wiem, co my właściwie robimy.

– Zarabiamy pieniądze.

– Ale na haraczach też zarabialiśmy pieniądze i przynajmniej wiedziałem za co.

– Haracz – mruknął Dyzio. – Takie trudne słowo. I takie brzydkie. Gdzie ty się go nauczyłeś, Zyziu?

Chłopak się spał i zerknął na brata, szukając u niego wsparcia, ale stał akurat po stronie zapuchniętego oka, Hyzio więc nawet go nie widział.

– Chodzi mi o to, że, kurczę, od początku było wiadomo, że to jest takie skomplikowane. Że coś się zesra. I się zesrało.

– Zesrało się, bo spotkaliście jednego kolesia, który wpierdolił Hyziowi? – wyszczał Dyzio.

– Po prostu myślimy, że trzeba wrócić do prostszych rzeczy.

– Myślicie? Serio? Hyzio też tak myśli?

Odwrócił się do drugiego siostrzeńca. Tamten najpierw zamarł, a potem nieśmiało pokiwał głową. Dyzio skończył palić mentolowego i wrzucił niedopałek do popielniczki.

– Słuchajcie, chłopaki – zmienił ton na bardziej przyjazny. – Proste rzeczy są fajne, bo są proste, ale tam nie ma pieniędzy. A na tym, czym się teraz zajmujemy, naprawdę można zarobić. Prawdziwe, dorosłe pieniądze. Tego przecież chcemy, nie? Porządnie w końcu, kurwa, zarabiać.

Bracia popatrzyli po sobie i pokiwali głowami.

– To posadźcie w końcu dupska, a ja wam wytłumaczę, jaki jest plan.

Siedziba firmy Trapper mieściła się w jednym z tych srebrnych wieżowców, które wyrosły w ostatnich latach na warszawskiej Woli na dawnych terenach fabrycznych. Wraz z pojawieniem się drugiej linii metra miasto się zmieniło. Deweloperzy walczyli o każdy skrawek przestrzeni, o każdy budynek, który można było wyburzyć po to, żeby na jego miejscu postawić kolejny szklany biurowiec.

Na parterze znajdowała się duża, jasna, otwarta przestrzeń, przedzielona w połowie szeroką recepcją i bramkami bezpieczeństwa. Żeby przez nie przejść, należało posiadać specjalną kartę lub zostać wpuszczonym przez jedną z dwóch kobiet, które siedziały za kontuarem. W jedną i w drugą stronę płynęły strumienie mężczyzn w garniturach i kobiet w garsonkach. Niektórzy pędzili do pracy, inni na spotkania, a jeszcze inni śpieszyli się do znajdującej się w holu kawiarni jednej z popularnych sieci, żeby kupić coś do picia lub jedzenia.

Podeszliśmy z Aldoną i Szymkiem do recepcji. Pracująca tam dziewczyna z włosami spiętymi w kok dała nam znak, że musi najpierw skończyć rozmowę. Powiedziała kilka słów do słuchawki telefonu stacjonarnego i ją odłożyła, a potem uśmiechnęła się do nas tak, jak to robią profesjonaliści – bezosobowo i z fałszywą życzliwością.

– W czym mogę pomóc?

– My do firmy Trapper – powiedziałem.

Jej palce zatańczyły na leżącej przed nią klawiaturze. Zerknęła na niewielki ekran i dłoń powędrowała z powrotem w stronę słuchawki.

– A do kogo konkretnie? – zapytała.

– Do kogoś, kto zajmuje się tam kredytami.

Dłoń odsunęła się od słuchawki. Dziewczyna wciąż się do mnie uśmiechała, ale w jej spojrzeniu dało się nagle dostrzec niechęć i znużenie.

– Podstawową działalnością firmy Trapper jest udzielanie kredytów i pożyczek. Dosłownie wszyscy tam właśnie tym się zajmują.

– W takim razie na pewno znajdzie się ktoś, kto będzie chciał z nami porozmawiać – powiedziałem.

Dziewczynie coraz trudniej było utrzymać uśmiech na twarzy. Sięgnęła po telefon, wybrała numer i poczekała, aż ktoś po drugiej stronie odbierze.

– Dzień dobry. Jest tu gość do was. Nie, nie był umówiony. Dobrze. Dobrze. Przekażę.

Odłożyła słuchawkę.

– Niestety, nie mogę państwa wpuścić, jeśli nie jesteście umówieni.

– Proszę jeszcze raz zadzwonić i powiedzieć, że my w sprawie pożyczki.

– Już o tym wspominali. Podobno to się często zdarza, że ludzie się mylą, ale oni nie załatwiają formalności pożyczkowych w swoim biurze. Proszą, żebyście państwo skontaktowali się z jednym z ich konsultantów lub wypełnili formularz na stronie internetowej.

Tonem głosu dała do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną. Szybko zerknęła w bok, gdzie stał ochroniarz w ciemnym garniturze pod krawatem, z logo firmy naszytym na ramieniu. Najwyraźniej chciała się upewnić, że tam jest, na wypadek gdybym zaczął sprawiać kłopoty.

Podziękowałem i odszedłem od recepcji. Stailiśmy kilka metrów dalej.

– I co teraz? – zapytała Aldona.

– Musimy jakoś dostać się do środka.

– Jak, skoro nie chcą nas wpuścić?

– No, ja mam pomysł – odezwał się Szymon. – Ale to będzie kosztowało pewnie stówkę. I trochę zajmie.

– Chcesz przekupić recepcjonistkę? – rzuciła z przekąsem Aldona.

– Chcę zrobić coś innego.

Popatrzyła na niego wyczekująco, ale już nic nie powiedział. Sięgnąłem do portfela. Byłem ciekaw, co wymyślił, a to był najprostszy sposób, żeby to sprawdzić. Poza tym mogłem się dowiedzieć, z jakiej ulepiony jest gliny. Wyjąłem stułotowy banknot i podałem chłopakowi. Zadowolony wyszczerzył zęby.

– Będzie zrobione.

Wyszliśmy na zewnątrz. Szymon odszedł na bok i gdzieś zadzwonił. My z Aldoną usiedliśmy na pobliskim murku. Przez długą chwilę po prostu czekaliśmy, kuląc się przed podmuchami jesiennego wiatru i obserwowaliśmy sznur przejeżdżających ulicą samochodów. A właściwie ja się kuliłem, bo ona siedziała z nosem w komórce. Szymon tymczasem chodził to w jedną, to w drugą stronę, uważnie kogoś wypatrując. Minęło tak chyba ponad pół godziny i zacząłem się już zastanawiać, czy przypadkiem za bardzo nie uwierzyłem w plan chłopaka.

– Skurwysyn – odezwała się pod nosem Aldona.

– Kto?

Poderwała głowę, chyba zaskoczona tym, że ją usłyszałem. Może nawet nie zdawała sobie sprawy, że powiedziała to na głos.

– Czytam o tym komorniku, który nękał wujka – wyjaśniła. – Wyjątkowy drań. Uwziął się na jednego faceta, samotnego ojca z dwójką dzieci, jednym chorym. Wyobrazasz sobie, że zajął nawet psa tego chorego dziecka? Ukochane zwierzę całej rodziny, a on chciał je wystawić na aukcję!

– I wystawił?

– W ostatniej chwili udało im się zebrać pieniądze w internecie i uratowali zwierzaka. I taki facet postanowił dopaść mojego wujka. To on wysłał wczoraj tych dwóch bandziorów.

– Komornicy zazwyczaj tak nie postępują.

– Aha! I nie zajmują zwierząt domowych. Najwyraźniej wujkowi trafiła się wyjątkowa szuja. Zresztą wygląda na takiego. Sam popatrz.

Podsunięła mi pod nos swój telefon. Na ekranie zobaczyłem otyłego mężczyznę pod sześćdziesiątkę, który spod krzaczastych brwi patrzył w stronę obiektywu, a mięsiste usta układały się w taki sposób, jakby zaraz miała wydobyć się z nich jakaś groźba.

W tym momencie do Szymona podszedł patykowaty chłopaczek w bluzie z kapturem i w kurtce sportowej. Przywitali się, przybijając sobie piątki i zaczęli rozmawiać. Szymon pokazał na budynek, z którego wyszliśmy, ten drugi pokiwał głową, po czym zamienili jeszcze kilka słów i patykowaty poszedł w stronę wieżowca. Sekundę później zniknął w jego wnętrzu. Szymon usiadł obok nas na murku.

– Kto to? – zapytałem.

– Kolega z dzielni.

Kolega wrócił do nas po jakichś dziesięciu minutach bardzo z siebie zadowolony.

– Łatwizna – rzucił i pomachał nam przed oczami kartą dostępu.

– Jedna! – krzyknął Szymon. – Miałeś załatwić co najmniej dwie.

– Ale załatwiłem jedną, ziomek. Bierzesz, to płać. Nie bierzesz, spierdalaj.

Szymon skrzywił się, ale sięgnął do kieszeni po banknot, który mu wcześniej dałem. Podniosłem się, wziąłem od niego stówkę i przedarłem na pół, po czym jeden kawałek dałem patykowatemu, równocześnie zabierając mu kartę dostępu.

– Ej, co jest?!

– Zrobiłeś połowę roboty, dostajesz połowę zapłaty – oznajmiłem. – To chyba uczciwe, nie uważasz?

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, dałem Szymonowi i Aldonie znać, że idziemy. Poszliśmy w stronę wieżowca, zostawiając kolesia przy murku. Tamten zmiażdżył swoją połowę banknotu w kulkę i rzucił na ziemię. Potem się zreflektował i szybko ją podniósł.

– Będę miał przez to kłopoty, jak wrócę do domu – powiedział Szymon, ale tonem tak pełnym zadowolenia, że chyba nie przejął się tym przesadnie.

– Poradzisz sobie – mruknąłem. – Ja z Aldoną wchodzę, ty zostajesz.

– Dlaczego?

– Bo nie jesteś tam na górze potrzebny, a tutaj się przydasz, żeby odwrócić uwagę recepcjonistki. Lepiej, żeby nas nie zauważyła, jak będziemy wchodzić.

– A jak mam to zrobić?

– Po prostu do niej podejdź i zapytaj, czy możesz pochodzić po biurach i porozdawać ulotki.

– A jeśli się zgodzi?

– Nie zgodzi. A wtedy powiesz jej, że to ulotki na temat twojej kuzynki, która choruje na białaczkę i zbiera na drogą terapię gdzieś w Stanach Zjednoczonych.

– Ale ja nie mam przy sobie żadnych ulotek.

– Nieważne. Po prostu zrób show, a potem poczekaj na nas w kawiarni.

Szymon przez chwilę się zastanawiał i wreszcie kiwnął głową. Klepnąłem go po ramieniu, żeby dodać trochę odwagi. Chłopak skierował się do recepcji. Poczekałem, aż zacznie rozmawiać z pracującą tam dziewczyną, i dopiero wtedy ruszyłem do bramki. Przysunąłem kartę do czytnika. Zapaliło się zielone światło, przeszedłem na drugą stronę i zaraz kucnąłem, jakbym chciał zawiązać buty. Zerknąłem w stronę ochroniarza, ale ten nie zwracał na mnie uwagi. Szymon ciągle rozmawiał z recepcjonistką. Wstałem, równocześnie odwracając się i rzucając Aldonie kartę. Dołączyła do mnie po kilku sekundach. Szybkim krokiem ruszyliśmy w stronę wind. Niedaleko nich znajdowała się tablica informacyjna. Odnaleźliśmy firmę Trapper na osiemnastym piętrze.

Akurat przyjechała winda i wysiadło z niej dwóch młodych mężczyzn w szarych garniturach. Rozmawiali o jakimś meczu piłkarskim w lidze hiszpańskiej. Zajęliśmy ich miejsce, wcisnęliśmy odpowiedni przycisk i ruszyliśmy w górę. Aldona roześmiała się głośno.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Nic – odpowiedziała, ocierając wierzchem dłoni łzę rozbawienia. – Po prostu akcja jak z jakiegoś filmu szpiegowskiego.

Dojechaliśmy na odpowiednie piętro. Tam podeszliśmy do oszklonych drzwi, nacisnąłem guzik dzwonka, rozległo się ciche brzęczenie i już mogliśmy wejść. Kolejna przeszkoda pokonana.

– Szlag. – Usłyszałem za sobą głos Aldony i pomyślałem, że trafiła w sedno.

Znaleźliśmy się w kolejnym holu. Przed nami znajdowała się kolejna recepcja z kolejną pracującą w niej dziewczyną. I kolejne drzwi chronione kartą dostępu. Wątpiłem, żeby nasza tutaj pomogła. Prawdopodobieństwo, że patykowaty ukradł taką należącą do pracownika firmy Trapper, było znikome.

– W czym mogę państwu pomóc? – Usłyszeliśmy przyjazny głos recepcjonistki.

W przeciwieństwie do koleżanki z dołu patrzyła na nas ze szczerą sympatią, tyle że i tak nie miałem pojęcia, co powiedzieć, żeby przepuściła nas dalej.

Wtedy pomógł nam przypadek. Akurat z części biurowej wychodziła jedna z pracownic. Podbiegłem do drzwi, zanim zdążyły się zamknąć, i wszedłem do środka. Aldona ruszyła za mną, a za nami zaskoczona recepcjonistka.

– Ale co państwo robią?! – krzyczała. – Tutaj nie wolno!

Kilka osób pracujących w open spacie podniosło głowy znad komputerów, żeby sprawdzić, co się dzieje. Szedłem dalej, mijając kolejne pomieszczenia i ignorując wciąż próbującą przemówić nam do rozsądku recepcjonistkę. Odczytywałem plakietki przy drzwiach, aż wreszcie znalazłem tę właściwą – „Prezes”.

Otworzyłem drzwi i wparowałem do niewielkiego gabinetu o szarych ścianach. Na jednej wisiał plakat z zawodnikiem tajskiego boksu, który właśnie wymierzał kopniak w worek treningowy, i hasłem *The pain you feel today will be the strength you feel tomorrow* – „Ból, który czujesz dzisiaj, stanie się siłą, którą poczujesz jutro”. Naprzeciwko nas znajdowało się panoramiczne okno na całą wysokość pomieszczenia, z widokiem na dachy i wieżowce Warszawy. Za umeblowanie służyły dwa regały wypełnione kodeksami, poradnikami i segregatorami, krzesła ustawione pod ścianą, a także nowoczesne wysokie biurko, za którym siedział mężczyzna w granatowym, świetnie dopasowanym garniturze. Na nasz widok podniósł się z ergonomicznego fotela. Miał czarną gęstą brodę i okulary w modnych oprawkach.

– Przepraszam, panie Bartku, próbowałam ich zatrzymać! Oni tutaj po prostu weszli! Tak bez słowa.

– Chcemy jedynie porozmawiać – powiedziałem.

– Już wzywam ochronę, panie Bartku!

Mężczyzna w garniturze uśmiechnął się lekko i machnął lekceważąco ręką.

– Nie trzeba – odparł i zaraz dodał coś, co na chwilę odebrało mi mowę: – To jest przecież mój przyjaciel! W czym mogę ci pomóc, stary?

Michaśka studiowała, chociaż nie była do końca tego pewna. Chodziła na zajęcia, co prawda rzadziej niż częściej, ale nikt jej z nich nie wyrzucał, co było dobrym znakiem. Nie zdziwiłaby się jednak za bardzo, gdyby w czasie sesji egzaminacyjnej okazało się, że skreślono ją z listy studentów i nikt jej o tym nie powiedział, ponieważ... No cóż, wszyscy się jej bali. Michaśka bowiem bez oporów rzucała każdemu ówcowi prosto w oczy, co o nim myśli. W pewnym momencie poskutkowało to tym, że zmęczeni nieustanną walką ludzie zaczęli jej po prostu unikać, a ona nie wiedziała, jak się w takiej sytuacji zachować. Ignorowanie stało się dla niej absurdalnie męczące i niepokojące. Nawet fakt, że demonstracyjnie zaczęła chodzić do damskiej toalety, wszyscy pomijali milczeniem, a ona szykowała się już do walki z uniwersyteckimi odpowiednikami JK Rowling. Wkurzało ją to tym bardziej, że według niej wyższa uczelnia powinna właśnie być miejscem sporów, dyskusji, kłótni, a nie milczenia. W chwilach słabości starała się wmówić sobie, że osiągnęła zwycięstwo. Pokazała wszystkim, że oto, proszę, może chodzić do damskiej toalety i świat się nie zawalił, nikogo nie zgwałciła i nic strasznego się nie wydarzyło. Wszystko jest zwyczajne i normalne. Szybko jednak uprzytomniała sobie, że tylko się okłamuje. Nic się nie zmieniło. Dziewczyny i chłopaki wciąż będą przechodzić te same trudności, znosić te same docinki i krzywe spojrzenia wykładowców, tak samo będą stać na korytarzu i zastanawiać się, z której toalety mają prawo korzystać, że o szatniach na zajęciach sportowych Michaśka litościwie już nie wspomni.

Dlaczego rzadko pojawiała się na uniwersytecie? Wolą wylegiwać się do późna, a potem zajmować się czymś konkretnym. Czasami był to aktywizm w internecie, który raz oznaczał prowadzenie poważnych dyskusji na facebookowych grupach, a raz po prostu trollowanie prawaków na różnych bzdurnych stronkach i twitterowych profilach – w zależności od tego, na co Michaśka akurat miała ochotę i czas. Wiele godzin poświęcała też na pracę w stowarzyszeniu. Pisała mejle i wydzwaniała do różnych firm i instytucji z prośbą o dary, które potem mogły przekazać najbiedniejszym (nauczyła się już, że lepiej robić to zdalnie, niż chodzić na spotkania), pracowała w magazynie, ogarniała korespondencję i sprawy formalne. Dawała z siebie wszystko w nadziei, że cały ten wysiłek się opłaci i zmieni trochę świat na lepsze. A co pewien czas, bywało, że co tydzień, jeździła ze znajomymi na granicę, żeby w nocy włóczyć się po pustkowiach w poszukiwaniu potrzebujących pomocy ludzi. Uchodźców.

Dzisiaj zamiast na uniwersytet postanowiła pojechać do stowarzyszenia. Wiedziała, że jest jeszcze dość wcześnie, ale nie chciało jej się siedzieć w wynajmowanym z kilkoma znajomymi mieszkaniu. Szczególnie że poprzedniej nocy zajmująca sąsiedni pokój para została wyrzucona z imprezy i postanowiła przenieść ją do nich. Nie trwało to długo, bo ludzie byli nawaleni, ale i tak w całym mieszkaniu śmierdziało teraz przetrwonionym alkoholem, trawą i rzygowinami. Do tego na gastrofazie wyżarli wszystko z lodówki, Michaśka wyszła więc z domu głodna.

Wysiadła z autobusu i zamiast do lokalu stowarzyszenia skierowała się do knajpy Taty Turka. W środku był tylko jeden klient, jakiś mężczyzna, który zachłannie pożerał kebab z frytkami. W rogu siedział Misiek, jak zwykle w za dużej polarowej bluzie, jakby próbował ukryć własną tuszę. Głowę miał zwieszoną, sprawdzał coś na ekranie komórki. Michaśka lubiła jego brodę, ciemną i gęstą, a także – co było dla niej samej trochę dziwne – niemalże zrastające się brwi, ale choć podobał jej się jako mężczyzna, nie startowała do niego. Wszyscy mówili, że Misiek jest gejem, tylko on sam musi sobie to jeszcze uświadomić. Dlatego wiedziała, że nie ma u niego najmniejszych szans.

Podeszła do lady i Tata Turek uśmiechnął się szeroko na jej widok. Dlatego właśnie lubiła tutaj przychodzić. To było jedno z niewielu miejsc w całej Warszawie, gdzie czuła się naprawdę akceptowana. Nikt jej tutaj nie oceniał, nikt nie rzucał krzywych spojrzeń, nikt nie obmawiał za plecami. Z obsługi rzecz jasna, bo z klientami bywało różnie. No i znajdowała się tu też tylko jedna toaleta – koedukacyjna, co również nikomu nigdy nie przeszkadzało. Chociaż Michaśka przyznawała, że obsikane deski to coś obrzydliwego.

– Jak tam, królewno? – powiedział Tata Turek, o tej porze sam za lady.

– Wszystko w porządku, papo.

Oczy mężczyzny załśniły z zadowolenia. Podobało mu się, kiedy go tak nazywały.

– Falafel? – zapytał.

Kiwnęła głową, żeby potwierdzić zamówienie. Od razu sięgnęła do kieszeni po portfel, ale gestem dał jej znać, że nie chce zapłaty.

– Tylko nie mów pozostałym. – Mruknął do niej porozumiewawczo.

– Jasne – rzuciła wesoło.

Oczywiście wszystkie wiedziały, że Tata Turek ma do nich słabość i daje im od czasu do czasu zjeść za darmo. Musiały tylko przyjść same i najlepiej w porze, kiedy w knajpie jest mało ludzi. Tata Turek nie chciał, żeby wieść o jego dobrym sercu się rozeszła i innym dziewczynom zrobiło się smutno. One natomiast starały się go przesadnie nie naciągać i czasem po prostu umawiały się, która powinna dostać teraz obiad za darmo, bo na przykład krucho u niej z kasą. Wtedy taka dziewczyna szła do Taty Turka sama, a pozostałe przychodziły pół godziny później. Zazwyczaj się udawało.

Poczekwała, aż Tata Turek przygotowuje zamówienie, i odebrała je. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie powinna usiąść, aż wreszcie podeszła do stolika Miśka. Mężczyzna wyglądał na smutnego, postanowiła więc dotrzymać mu towarzystwa.

– Mogę? – zapytała, wskazując na krzesło naprzeciwko.

Misiek poderwał głowę znad komórki i zaraz schował ją do kieszeni spodni.

– Proszę, proszę, proszę... – powiedział trochę jak na gust Michaśki zbyt usłużnym tonem.

Nie lubiła, kiedy tak się do nich zwracał. Źle się wtedy czuła. Nie chciała wchodzić w te postkolonialne buty ani być traktowana inaczej tylko dlatego, że akurat ona urodziła się w kraju nad Wisłą, a on nie, że ona miała biały kolor skóry, a on śniady. Przecież mieszkał tu już trzy lata. Same pomagały mu zalegalizować pobyt, miał wszystkie potrzebne dokumenty. Rozumiała, że może nie będzie tutaj czuć się jak u siebie, ale powinien już móc z nią porozmawiać bez zginania przy tym karku.

Usiadła naprzeciwko i zaczęła jeść swój falafel.

– Co słyhać, Misiek? – zapytała pomiędzy jednym gryzem a drugim.

– Dobrze, dobrze – powiedział. – Wszystko dobrze.

Nigdy nie narzekał, co też ją wkurzało. Przecież pracował jako dostawca jedzenia w barze z kebabem. Nie wiedziała, jakie miał wykształcenie, ale to przecież nie mógł być szczyt jego marzeń! Chociaż – upomniała się natychmiast w duchu – jeśliby zaczął narzekać, to oberwałoby się też jego szefowi, czyli Tacie Turkowi, a Michalina wolałaby nie znaleźć się pomiędzy tymi dwoma facetami, bo obu uwielbiała.

– Cieszę się – odparła.

Misiek przyglądał jej się przez chwilę, marszcząc czoło, i wreszcie zapytał:

– A jak ty?

– Też dobrze.

– Ale rząd zły.

– Rząd zły – potwierdziła.

Misiek wyciągnął przed siebie osiem palców. Michaśka prychnęła, wypluwając na stół kawałki falafela. Rozbawił ją.

– Przepraszam – powiedziała.

Wytarła stół chusteczkami i wyrzuciła je do śmietnika.

– A jak Jafar? Odzywał się do ciebie? – zapytała, wracając do jedzenia.

– Dobrze, dobrze! Jafar dobrze! – zawołał Misiek. – Szczęśliwy w Berlinie. Dzwonił. Mówił, że jest okej.

– Fajnie – mruknęła.

Trochę była zawiedziona, że Jafar się do nich nie odezwał. Nie oczekiwała wiele. Tylko zapewnienia, że u niego wszystko w porządku. Rozumiała jednak, że po tym, co go spotkało w Polsce, potrzebuje trochę czasu, żeby odpocząć, uporządkować sobie w głowie i przypomnieć też o dobrych rzeczach, których tu doświadczył.

Rozległ się sygnał przychodzącego esemesa. Misiek wyjął telefon z kieszeni i spojrzął na ekran. Na moment z twarzy zniknęła typowa dla niego dobroć i życzliwość, a zastąpił ją jakiś dziwny, nieprzyjemny wyraz. Zaraz schował komórkę i wstał od stołu.

– Przepraszam. Dostawa – powiedział.

Porwał leżącą obok torbę termoizolacyjną i pośpiesznie wyszedł z knajpy. Michaśka została sama

i nagle uświadomiła sobie, że Misiek nie wziął żadnego jedzenia od Taty Turka. Zapomniał? Nie, to niemożliwie. Miał w torbie przygotowaną wcześniej porcję? Jeszcze głupsze. Przecież nie siedziałby tutaj spokojnie, czekając, aż żarcie wystygnie. Klienci nie lubili zimnego. A potem przypomniała sobie ten dziwny wyraz twarzy, kiedy Misiek odebrał wiadomość. Strach? Zdenerwowanie? Nie potrafiła się zdecydować, ale jednego była pewna – wydarzyło się właśnie coś dziwnego. Pomyślała, że mężczyzna wpadł w kłopoty, a ponieważ Michaśka nie lubiła, kiedy jej przyjaciółom działo się coś złego i nie przywykła zostawiać takich spraw samym sobie, odłożyła niedojedzoną porcję falafela na stół i popędziła za Miśkiem.

Grono osób gotowych nazwać mnie przyjacielem było niewielkie i stojący przede mną brodac z garniturze do niego nie należał, a jednak tak właśnie mnie określił. Co prawda powiedział to z lekką ironią w głosie, ale równocześnie wydawał się szczerzy. Jakby naprawdę z jakiegoś powodu uważał, że łączyła nas wyjątkowa więź.

Skołowana recepcjonistka jeszcze chwilę stała w drzwiach, aż w końcu dał jej znać, że może sobie iść, i wyszedł zza biurka. Aldona delikatnie trąciła mnie łokciem, oczekując chyba wyjaśnień, ale wciąż nie wiedziałem, co mógłbym powiedzieć. Szukałem w zasobach pamięci twarzy zbliżającego się mężczyzny, nie potrafiłem jednak przyporządkować jej do żadnego konkretnego imienia, nazwiska czy ksywy. Czyżby się pomylił? Wziął mnie za kogoś innego? Byłby to szczęśliwy traf. Ale powiedział to z taką pewnością, że odrzuciłem tę możliwość. Skądś się znaliśmy, tylko skąd?

– Bartek Sokół – przedstawił się i podał rękę Aldonie.

Zakłopotana uścisnęła ją.

– Aldona – bąknęła.

Mnie trącił przyjacielsko w ramię.

– Dobrze cię widzieć – powiedział i zaraz zapytał: – Jak głowa, stary?

Kliknęło. Ring bokserski i te idiotyczne zawody, na które wyciągnął mnie Wikuś. Stał właśnie przede mną facet, który tamtego dnia mnie znokautował.

– W porządku – odparłem. – Przez kilka dni bolała, ale teraz jest okej.

– Cieszę się – rzucił. – Po samej walce miałem trochę wyrzutów sumienia. Zastanawiałem się, czy nie przesadziłem, bo przecież nie biliśmy się o jakieś mistrzostwo świata, ale sam wiesz, jak jest na ringu. Automatyzmy biorą górę i nie dumasz nad każdym ruchem, tylko działasz.

Kiwnąłem głową.

– Dobra. – Klasnął w dłonie. – Ale rozumiem, że przyszedłeś w jakiejś konkretnej sprawie. Mam nadzieję, że nie po pożyczkę, bo przysięgam, słowo harcerza, ja się tym nie zajmuję, chociaż jestem prezesem tego bajzlu. Mogę wam dać jednak kontakt do jednego z moich lepszych przedstawicieli, który się wami zajmie.

– Faktycznie, nie przyszliśmy tutaj po pożyczkę – włączyła się Aldona.

Sokół spojrział na nią pytająco i gestem dłoni poprosił, żeby rozwinęła temat.

– Przyszliśmy tutaj dlatego, że chcecie zabrać mojemu wujkowi dom. Bo nie spłacił pożyczki. Tylko że on nigdy nie brał u was żadnego kredytu. A tych pół miliona to nawet nie widział na oczy.

Sokół zmarszczył brwi.

– Pół miliona? – powtórzył za nią. – To bardzo dużo pieniędzy. Ma pani jakieś dokumenty, z którymi mógłbym się zapoznać?

Dziewczyna sięgnęła do torby i wyjęła białą teczkę ze wszystkimi informacjami i pismami na temat sprawy, które udało nam się znaleźć w domu pana Henryka. Sokół wrócił za biurko, przejrzał pobieżnie kilka pierwszych stron, a potem sięgnął po telefon.

– Cześć, Anka, tutaj Bartek. Słuchaj, wypadło mi coś pilnego. Przełoż, proszę, to spotkanie sprzedażowe, które mieliśmy mieć za pół godziny. Na kiedy? Nie wiem. Tak... Poczekaj, sprawdzę w swoim kalendarzu. – Kliknął kilka razy myszką i wbił wzrok w ekran laptopa. – Nie, jutro nie dam rady. Pojutrze? Świetnie. To jesteśmy umówieni na pojutrze. Tak, o tej samej godzinie. Genialnie. Dzięki i przepraszam wszystkich ode mnie.

Skończył rozmowę i odłożył komórkę na blat biurka.

– Wybaczcie – rzucił w naszą stronę i wrócił do lektury dokumentów.

Skupił się na nich całkowicie i przez moment miałem wrażenie, że zapomniał o naszej obecności. Popatrzyliśmy na siebie z Aldoną, ale żadne z nas nie wiedziało, co powinniśmy teraz zrobić. Ostatecznie zdecydowaliśmy się poczekać w jego gabinecie. Także z tego powodu, że nie byłem pewien, czy jeśli wyjdziemy, to wpuszczą nas z powrotem. Sokół potraktował nas z życzliwością, której się nie spodziewałem, nie mogliśmy jednak wykluczyć tego, że gdy tylko przekroczymy próg, zdecyduje się wezwać ochronę.

Po około piętnastu minutach skończył czytać. Odłożył dokumenty do teczki, zapiął ją i podsunął

w naszą stronę. A potem zamrugał kilka razy zaskoczony, jakby nagle przypomniał sobie o naszym istnieniu.

– Cholera... – mruknął wyraźnie zmieszany. – Przepraszam. Nawet nie zaproponowałem wam niczego do picia. Może chcecie jakąś kawę, herbatę, wodę? Mogę zadzwonić i...

– Nie trzeba – przerwała mu Aldona, wskazując palcem na teczkę. – Co z tym?

– No tak – powiedział. – Faktycznie wygląda na to, że przyznaliśmy twojemu wujkowi pożyczkę w wysokości pół miliona złotych. Tylko że to dziwna kwota. Nawet jak na nas.

– Dlaczego? – zapytałem.

Sokół podrapał się po karku. Znowu wstał od biurka, jakby zależało mu na tym, żeby podczas tej rozmowy być bliżej nas. Zastanawiałem się, na ile to prawdziwa potrzeba, a na ile jakaś strategia, której nauczył się na szkoleniu z prowadzenia negocjacji.

– Czy wiecie, czym zajmuje się firma Trapper?

– Udzielaniem pożyczek – odparłem.

– To prawda – przyznał. – Tak samo jak banki, różne Bociany i Providenty czy nawet lombardy. Wszyscy zajmujemy się udzielaniem pożyczek, ale wszyscy się od siebie różnimy. Wiecie, czym się wyróżnia Trapper?

– Bandyckim oprocentowaniem? – rzuciła Aldona.

Sokół przyjrzał jej się uważnie i uśmiechnął się lekko.

– To prawda. Oprocentowanie naszych pożyczek jest wysokie, ale...

– Nie ma przymusu. Umowy podpisują dorośli ludzie, którzy doskonale znają warunki, wiedzą, na co się piszą i bla, bla, bla – weszła mu w słowo. – Tak naprawdę wasz model biznesowy polega na tym, że znajdujecie ludzi w ciężkiej sytuacji materialnej, którym często brakuje wiedzy finansowej, sprzedajecie im trochę nadziei, a potem wyciskacie ich jak cytrynę. Kropelka po kropelce.

Brodacz pokiwał głową z miną, jakby słyszał podobne przemowy już dziesiątki razy.

– Pani wie, ile wynosi u nas współczynnik spłaconych pożyczek? – zapytał.

– Nie wiem.

– Jakies dziewięćdziesiąt trzy procent. Zaskakująco dużo, jeśli chce pani znać moje zdanie. Szczególnie na tle oddziałów z innych krajów. Ale takie są fakty. Dziewięćdziesiąt trzy procent. Z tego wynika, że nasze oprocentowanie, przyznaję, wysokie, nie jest na tyle wysokie, żeby ludzie nie byli w stanie spłacić pożyczek. Co więcej, ankiety pokazują, że większość jest zadowolona z warunków, jakie im przedstawiliśmy...

– A co niby mieliby napisać?

– A ponad sześćdziesiąt procent poleciliby nasze usługi swoim znajomym – dokończył cierpliwie Sokół. – Nad tym współczynnikiem musimy popracować. Zależy mi, żeby był trochę wyższy.

– Czym więc wyróżnia się Trapper? – włączyłem się do tej rozmowy.

– Zaczniemy od tego, że jesteśmy polskim oddziałem brytyjskiej firmy. Nazwa Trapper nawiązuje oczywiście do dziewiętnastowiecznych traperów, którzy poszukiwali złota i przygody na dziewiczych terenach północnej Ameryki.

– I przy okazji doprowadzili do ludobójstwa tamtejszej ludności i degrengolady przyrody, czego najlepszym przykładem jest smutny los bizonów – powiedziała Aldona.

– No cóż... Firmę zakładano w latach osiemdziesiątych, kiedy na te rzeczy patrzyło się trochę inaczej.

– Aha, okres zaczadzenia reaganomiką i neoliberalizmem. Tak bardzo wszyscy wtedy odlecieli, że kac po tej imprezie trwa do dzisiaj.

Sokół pokiwał głową, jakby przyznawał jej rację.

– Chodzi mi o to, że celujemy w ludzi przedsiębiorczych: właścicieli małych firm, osoby prowadzące jednoosobową działalność gospodarczą, a nawet rolników. W tych, którzy z jakiegoś powodu potrzebują wsparcia finansowego, ale nie mogą go dostać z innych źródeł.

– Dlaczego banki im nie pomogą? – zapytałem.

– Przepisy – wyjaśnił Sokół. – Nasi klienci nie łapią się w sztywne bankowe wytyczne. I żeby nie było, nie krytykuję tutaj banków. One prowadzą trochę inny biznes, operują na innym poziomie ryzyka. My mamy większą swobodę. Przyznaję, że część, może nawet większość naszych klientów, to osoby, którym na jakimś etapie powinna się noga. Mają kłopoty, a my stajemy się dla nich ostatnią deską ratunku. I właśnie dlatego, tak jak pani zauważyła, proponujemy...

– Żądacie – poprawiła go.

– Żądamy – zgodził się – wysokiego oprocentowania. Ale to dlatego, że podejmujemy duże ryzyko.

Wysłuchałem tego cierpliwie, ciągle jednak nie wiedziałem, co to wszystko ma wspólnego z panem Henrykiem. Był emerytem, nie przedsiębiorcą.

– Powiedziałeś, że ta kwota, pół miliona, jest dziwna. Dlaczego? – spytałem.

– No cóż... Bo jest wysoka. Oczywiście, zdarzają się nam takie pożyczki. Może w liczbach bezwzględnych jest ich nawet sporo, ale procentowo niewiele. Operujemy raczej na niższych kwotach, najczęściej kilkadziesiąt tysięcy – wyjaśnił.

– Ale to wy jej udzieliliście?

– Tak.

– Uważamy, że doszło do pomyłki – powiedziałem. – Jak Aldona wspominała, jej wujek się z wami nie kontaktował, nie zawarł żadnej umowy, nie wziął pieniędzy. Przyszliśmy, żeby wyjaśnić tę sprawę i najlepiej wstrzymać na pewien czas egzekucję długu, aż dowiemy się, co się właściwie stało.

– No cóż... – mruknął Sokół i zakłopotany spuścił wzrok. – W tym akurat nie za bardzo jestem w stanie wam pomóc.

– Oczywiście! – krzyknęła Aldona, wyrzucając ramiona w górę.

– Dlaczego? – zapytałem, równocześnie dając jej gestem znać, żeby się uspokoiła.

– Bo dług już nie jest nasz.

– Ale to wy udzieliliście też pożyczki – powiedziałem.

– Zgadzam się – przyznał Sokół. – Tak jak wam wspominałem, współczynnik zwrotów pożyczek wynosi około dziewięćdziesięciu trzech procent. Co oznacza, że tylko siedem procent jest niezwracanych.

– Potrafimy liczyć – prychnęła Aldona.

– Co robicie więc z tymi pożyczkami, które nie są spłacane? – zapytałem.

– Sprzedajemy te długi. – Wzruszył ramionami. – Słuchajcie, walka o zwrot nie jest taka łatwa. Trzeba stworzyć dział windykacji, etaty dla pracujących tam osób, zapewnić im samochody służbowe, telefony, nawiązać współpracę z kancelarią prawną, która w skrajnych przypadkach będzie przygotowywać pozwycy i występować w naszym imieniu w sądzie. To wszystko po prostu kosztuje i trwa. I jeśli to podliczyć, a potem porównać z ewentualnymi, wcale nie tak pewnymi zyskami, okazuje się, że się nie opłaca. Dlatego dla całej naszej organizacji łatwiej i lepiej jest sprzedać dług za ułamek jego wartości, a zaoszczędzone w ten sposób zasoby przeznaczyć na naszą podstawową działalność.

– Czyli podsumowując, wpakowaliście mojego wujka w jakąś lipną pożyczkę, której nie było, a potem sprzedaliście jego dług i umywacie od całej sprawy ręce – powiedziała Aldona. – Pięknie, kurwa, pięknie. Kapitalizm w najczystszej postaci. Wszyscy zarabiają, tylko nie zwykli ludzie.

– Słuchajcie. – Sokół rozłożył ręce. – Naprawdę bardzo mi przykro w związku z tym, co spotkało waszego wujka.

Nie poprawiłem go, że to tylko wujek Aldony.

– To bardzo dziwna sprawa i z czymś takim jeszcze się nie spotkałem – dodał.

– Bo niespecjalnie się interesujesz, czym zajmuje się twoja firma – rzuciła dziewczyna.

– Słucham?

– To jest dziwna sprawa i z taką się nie spotkałeś, bo umywacie ręce – powtórzyła. – Natychmiast sprzedajecie długi i nie interesujecie się, dlaczego ludzie nie spłacają kolejnych rat, co się z nimi dzieje i czy faktycznie wzięli od was jakąkolwiek pożyczkę. Macie to w dupie, dopóki tabelki w Excelu się zgadzają. Równie dobrze takich spraw mogą być w firmie dziesiątki, ale nie masz o tym najmniejszego pojęcia, bo nie wpływają na wasz ogólny wynik finansowy i narzucane przez centralę kapijaje. A to, że kilkadziesiąt osób będzie mieć złamane życie... Co was to obchodzi, nie?

Sokół zagryzł wargę i zapatrzył się w punkt gdzieś nad ramieniem dziewczyny. Tkwił tak przez kilkanaście sekund, zastanawiając się nad czymś, a potem wrócił za biurko. Sięgnął po teczkę i znów ją otworzył, równocześnie uruchamiając laptopa. Przerzucał kartki jedna za drugą, wynotowując kluczowe z jego punktu widzenia informacje. W końcu poskładał wszystko z powrotem i oddał teczkę.

– Sprawdź to, co mogę – powiedział. – Poproszę jeszcze o jakiś kontakt do pani, żebym mógł przekazać informacje, jak już coś uda mi się ustalić. Niczego nie obiecuję, ale mam nadzieję, że chociaż trochę pomogę wyprostować całą tę aferę.

Aldona wzięła teczkę. Znalazła na biurku długopis i kartkę papieru, po czym pośpiesznie napisała na niej swoje imię, nazwisko i numer telefonu. Podsunęła ją Sokołowi.

– Dzięki.

Widać było, że to słowo z trudem przeszło jej przez gardło. Kiedy opuściła gabinet, poczekałem, aż drzwi się za nią zamkną.

– Dlaczego nam pomagasz? – zapytałem.

Sokół zdjął okulary, przetarł szkła szmatką wyjętą z szuflady i z powrotem założył je na nos.

– Z dwóch powodów – odpowiedział. – Wasz wujek wpadł w jakieś tarapaty. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby Trapper miał z tym cokolwiek wspólnego, ale chciałbym jakoś to wyjaśnić.

– A drugi powód?

– Może to głupie, ale... – Zawiesił na chwilę głos. – Spotkaliśmy się na ringu, skrzyżowaliśmy rękawice. Ty i ja jesteśmy członkami jednego plemienia, a plemię powinno sobie nawzajem pomagać.

– Jakie to plemię?

Spojrzał na mnie tak, jakby odpowiedź na to pytanie była oczywista.

– Wojowników.

Dyzio zaparkował przy ulicy Orzechowej, która świetnie oddawała charakter tej dzielnicy Warszawy. Było tu miejsce i na nowoczesny kompleks biurowy, i na działające od dziesięcioleci warsztaty samochodowe, hurtownie alkoholi czy nawet złomowisko, a także na kilka domów, według niego nadających się już tylko do wyburzenia i zajmujących przestrzeń, którą dałoby się znacznie lepiej wykorzystać. Dyzio zatrzymał się przed sporej wielkości działką przerobioną na parking dla korpulentów z pobliskich biurów. Doceniał pomysłowość właściciela. Maksimum zysku przy minimalnej inwestycji własnej. Bo co on tam zrobił? Kupił szlaban i budkę dla jakiegoś emeryta, który był potrzebny nawet nie do pilnowania terenu, ale zbierania pieniędzy.

Przeszedł kilka kroków w jedną stronę, a potem zawrócił. Oddychał głęboko i wyciągał twarz do listopadowego słońca. Głowa ciągle bolała, co go męczyło i denerwowało. Przecież nie wypił poprzedniego wieczora nawet tak dużo. Były czasy, że po czymś takim wystarczyłyby mu dwa ibuprofeny i byłby świeży i radosny jak skowronek.

Dość użalania się nad sobą. Miał kilka rzeczy do załatwienia. Hyzia i Zyzia wolał trzymać z daleka, oddelegował ich więc do jakichś mało istotnych pierdół, które wypełnią im dzień.

Wyjął telefon i wybrał numer swojego znajomego.

– Co znowu? – Usłyszał w słuchawce jego niezadowolony głos.

Skrzywił się. Naprawdę, powinien odbyć z tym facetem dyscyplinującą rozmowę na temat nastawienia do współpracy.

– Chciałem dopytać o tego prywatnego detektywa.

– Po co?

W Dyziu rosła irytacja i czuł potrzebę, żeby dać jej ujście. Kac i wściekłość to przecież zabójcza mieszanka, która może doprowadzić na krawędź zawału.

– Hyzio i Zyzio brzydzą się pedałami, wiesz? – powiedział.

– Co to ma, kurwa, do rzeczy?

– Ale jak im tylko powiem słowo, dopadną twojego synka, gdy będzie palić papierosy na przerwie w zaułku koło szkoły. Wywiozą go do lasu, a potem przeruchają jak tanią dziwkę i zostawią z gołą dupą z jakimś, kurwa, żołądkami w środku, żeby go jeszcze dziki wyjebały. Takie są dzielne i karne chłopaki. Dlatego zmień swój ton, bo jeszcze nawet nie zacząłem się zastanawiać nad tym, co zrobię z twoją żoną. Chociaż ty masz ją gdzieś, może więc po prostu powiem jej, co robisz w środę wieczorem z tymi kurewkami, i zostawię numer do jakiegoś dobrego prawnika. Co ty na to?

Na moment w słuchawce zapadła niemal całkowita cisza. Dyzio słyszał tylko nerwowy oddech i równie nerwowe przełykanie śliny. Żałował, że nie widzi faceta, przynajmniej wiedziałby, która groźba zrobiła na nim większe wrażenie.

– Co z tym prywatnym detektywem? – zapytał ostrożnie mężczyzna.

– Chcę znać jego imię i nazwisko. Wszystkie informacje: dla kogo pracuje, sam czy z kimś. I jeśli zapytasz po co, to przysięgam, dzwonię po Hyzia i Zyzia.

Kolejne nerwowe przełknięcie śliny.

Dyzio poczuł nagły przyływ pogardy do tego człowieka. Gdyby on był na jego miejscu, nikomu nie pozwoliliby tak do siebie mówić. No, ale jego ze służby wywalili, a zostawili samych posłusznych mięczaków. Pomasażował sobie czoło i pomyślał, że świat faktycznie schodzi na psy.

– Wyślę ci wszystkie informacje.

– Grzeczny chłopiec – rzucił i natychmiast się rozłączył.

Schował komórkę i odetchnął głęboko. Tak jak się spodziewał, ten krótki wybuch przyniósł mu większą ulgę niż wszystkie tabletki przeciwbólowe, które łyknął w domu.

Nagle ujrzał idącego w jego stronę potężnego mężczyznę o bliskowschodniej urodzie. Misiek. Dostał esemesa i od razu przybiegł na wezwanie. Dyzio doceniał to posłuszeństwo i okazywany w ten sposób szacunek. Żadnego głupiego gadania, żadnej niezadowolonej miny. Człowiek robi to, co do niego należy.

Gestem dał mu znać, żeby wsiadł do samochodu, i zajął miejsce po stronie kierowcy. Misiek po chwili otworzył drzwi i niezgrabnie usiadł na siedzeniu pasażera. Zabawnie było patrzeć, jak próbuje się na

nim zmieścić ze swoją tuszą i z tymi grubymi łapami oraz nogami. Kojarzył mu się z bernardynem. Wielki pies, włochaty, ale taka maskotka raczej, co to biega po górach i przynosi wszystkim wódkę w śmiesznej beczułce, którą ma pod szyją. Dyzio widział kiedyś film o tym, jak taki wielki kochany bernardyn został pogryziony przez nietoperza i od tego czasu wpierdalał każdego, kto stawał mu na drodze. Miał nadzieję, że Miśka nigdy nie ugryzie żaden nietoperz.

– Masz coś dla mnie? – zapytał.

Tamten podał mu torbę termoizolacyjną. Dyzio otworzył ją i zajrzał do środka. Uśmiechnął się lekko, widząc leżące na dnie równo popakowane zwitki banknotów.

– A gdzie kebab? – rzucił.

– Słucham?

– Kebab miał być. Z frytkami i tym waszym sosem ostrym ostrym.

Misiek zamrugał, a Dyzio zaklął w myślach. Miał problem z odczytaniem bliskowschodnich twarzy. Nie wiedział, czy siedzący obok gość jest teraz zdziwiony, przestraszony czy wkurzony. Ale zaraz samo się wyjaśniło.

– To ja pójde po kebab, panie szefie – powiedział Misiek, chwytając za klamkę.

– Czekaj! – krzyknął Dyzio i chwycił go za ramię. – Żartowałem! Zresztą raz tylko wzięłem od was kebab z tym sosem ostrym ostrym i nigdy, kurwa, więcej. Tak mi ryj powykręcało, że siostrzeńcy mnie nie poznali.

– Czyli kebab nie? – upewnił się Misiek.

– Kebab nie – potwierdził.

Sięgnął po leżącą z tyłu płócienną torbę, bo dostanie teraz foliowych graniczyło z niemożliwością, i zaczął przerzucać do niej zwitki banknotów. Rozliczenie transakcji z ostatniego tygodnia. Pomysł był prosty i równocześnie genialny, tak przynajmniej uważał Dyzio. Kto zamawiał kebab w nocy z piątku na sobotę? Imprezowicze. Czego potrzebowali, oprócz kebabu oczywiście? Dziwek, alkoholu i narkotyków. Tego pierwszego Dyzio był raczej konsumentem niż producentem, to drugie dało się kupić w dowolnej Żabce lub na stacji benzynowej, ale na tym trzecim wiedział, jak zarobić. Dzwoniłeś więc po kebab i jeśli znałeś odpowiednie hasło, oprócz kanapki mogłeś dostać amfę, zielone, tabsy czy nawet kokainę, a na kurierów z torbami termicznymi na tych ich skuterkach lub w małych samochodzikach nikt nie zwracał uwagi. Przekonanie do tego planu Turków było łatwiejsze, niż Dyzio się spodziewał. Każdy z nich miał coś za uszami, każdy z nich obawiał się, że zrobi coś źle i wyślą go z powrotem na Bliski Wschód, a Dyzio wiedział, jak na tych obawach zagrać. Poza tym dzięki swoim kontaktom faktycznie miał kilka asów w rękawie. No i co tu dużo mówić, każdy z tych chłopaków, nawet taki Misiek, chciał porządnie zarobić. Kupić sobie nową konsolę, wysłać trochę pieniędzy rodzinie w obozie dla uchodźców w południowej Turcji, a na wożeniu kebabów nikt jeszcze kokosów nie zrobił.

Skończył przerzucać pieniądze. Wziął w palce ostatni zwitek, wyciągnął kilka banknotów i podał je Miśkowi.

– Dziękuję, panie szefie.

– To za dobrą robotę. Pamiętaj, ja zawsze doceniam, jak ktoś porządnie wykonuje swoją pracę i nie próbuje kręcić wałków na boku. Bo jeśli tylko zaczyna kręcić, to... – Przejechał palcem po swojej szyi w uniwersalnym geście. – Rozumiesz, Misiek.

– Tak. Ja rozumiem. Pan lubi dobra praca. A ja dobry pracownik. Nie robię... – zawiesił głos, próbując sobie przypomnieć słowo, które przed chwilą usłyszał – ...wałek.

– I tak ma zostać – powiedział Dyzio i poklepał go po owłosionym policzku.

– Czy pan myślał, panie szefie?

– Ja zawsze myślę, Misiek.

– Ale czy pan, panie szefie, myślał o tym, co ja mówiłem. O mój plan.

No tak, wielki plan Miśka. Dyzio generalnie doceniał ludzi z inicjatywą. Trochę liczył na to, że jego siostrzeńcy kiedyś się wykażą, wpadną na jakiś pomysł i nie będzie im musiał nieustannie mówić, co i kiedy mają robić. Ale plan Miśka był dziwny. Zaskakująco dobry, choć trochę szalony i niebezpieczny. Wykraczający poza wszystko, co tutaj robili. Dyzio nie wiedział, co o tym sądzić. To byłby zupełnie inny poziom zysków, ale także ryzyka.

– Myślałem – odparł.

– I co? Dobry plan?

– Dobry – powiedział, zanim zdołał ugryźć się w język. Zaraz jednak uniósł palec. – Ale ma luki, Misiek! To znaczy błędy! Rzeczy, z których nie zdajesz sobie sprawy, bo nie jesteś stąd.

– Ja wiem. Dlatego ja mówię o tym panu szefowi. Czy pan szef powiedział o tym pana szefowi?

Dyzio zagryzł ze złości zęby.

– To ja jestem szefem – warknął, a Misiek mimowolnie się odsunął, prawie wbił się tym swoim wielkim cielskiem w drzwi.

– Ale drugi szef...

– Ja jestem szefem.

Mężczyzna powoli kiwnął głową.

– Tak. Pan jest szef.

– Jeden szef. Jedyne, który cię interesuje!

– Tak. Przepraszam, panie szefie. Jeden.

Dyzio odetchnął głęboko. Znowu rozboleła go głowa. Zerknął na Miśka. Zaczął się zastanawiać, ile ten Turek tak naprawdę wie. Brał go do różnych zadań przy różnych projektach, bo pomimo gabarytów dziwnie nie zwracał na siebie uwagi. Z tą torbą termiczną na ramieniu idealnie wtapiał się w tło. Łatwo go było wysłać na obserwację albo zlecić podrzucenie kamery pod warsztat Grzesia. Bywało, że stał gdzieś z boku i czekał cierpliwie, kiedy Dyzio omawiał interesy z siostrzeńcami. Nie martwiło go to specjalnie, bo Misiek wydawał się trochę ograniczony intelektualnie. Taki olbrzym, którym łatwo kierować. Ale jego plan był naprawdę sprytny. Oczywiście każdy debil może mieć moment olśnienia. Dyzio miał nadzieję, że to właśnie taki przypadek.

W tym momencie poczuł, że w kieszeni zawibrował telefon. Wyjął komórkę i spojrzął na wyświetlacz. Kontakt żalił się, że nie ma pojęcia, kto mógł wynająć prywatnego detektywa. No cóż, Dyzio oczywiście będzie musiał ustalić to na własną rękę, jak zawsze. Otaczali go ludzie niekompetentni, których utrzymanie zdecydowanie za dużo kosztowało. Przynajmniej miał dane detektywa: imię, nazwisko, nazwę agencji.

– Czy ja coś mogę zrobić dla pana szefa? – zapytał Misiek. – Coś, żeby przeprosić?

– Tak – warknął Dyzio. – Możesz spierdalać. I następnym razem przynieś, kurwa, kebab.

– Kebab dla pana szefa. Będzie kebab.

Ciągle siedział w samochodzie i gadał coś tą swoją łamaną polszczyzną. Dyzio odwrócił się w jego stronę. Na szczęście wystarczyło jedno złe spojrzenie, żeby Misiek zrozumiał, w czym rzecz. Chwycił za klamkę i wyskoczył z wozu. Niemal się przy tym przewrócił. Dyzio wyrzucił za nim torbę, uruchomił wóz i odjechał. Tamten natomiast ze zwieszoną głową poszedł z powrotem do baru z kebabami.

Żaden z nich nie zauważył ukrywającej się za stojącym niedaleko samochodem dostawczym Michaśki.

- Porażka – powiedziała Aldona.
- Obiecał, że nam pomoże.
- Tacy ludzie pomagają innym tylko wtedy, kiedy mają w tym swój interes. Jaki niby on ma?
- Może nie chce, żeby jego firma traciła pieniądze z powodu lipnych kredytów? – zauważyłem.

Burknęła coś pod nosem. Postanowiłem nie ciągnąć tematu, szczególnie że sam czułem pewne rozczarowanie. Liczyłem na to, że po wizycie w firmie pożyczkowej czegoś się jednak dowiemy, wyjdziemy stamtąd chociaż z jednym konkretem. Tymczasem mieliśmy tylko mgliste przyrzeczenie, że Sokół przyjrzy się całej sprawie. Mało.

- Dokąd teraz jedziemy? – zapytał Szymek z tylnego siedzenia.
- Do komornika, którego wizytówkę znaleźliśmy w rzeczach pana Henryka – odpowiedziałem.
- A po co?
- Żeby z nim porozmawiać.
- A po co?

Odwrociłem się do chłopaka.

- Zapytasz też, czy daleko jeszcze?

Wyszczrzył zęby w odpowiedzi i rzucił:

- Daleko jeszcze?
- Nie – mruknęła Aldona.
- To po co do niego jedziemy?

Najwyraźniej nie chciał odpuścić.

– Bo skoro nachodził pana Henryka, musiał mieć jakiś powód. Zapewne kupił jego dług od firmy Trapper. Facet zna się na takich sprawach, ma narzędzia, wie, jak postępować w tego typu sytuacjach. Dla niego to pewnie gratka.

– No tak, ale komornicy to chyba raczej do sądu chodzą, a nie wysyłają bandziorów na ludzi, nie? – zauważył Szymek.

– Ludzie są różni – odpowiedziałem, w myślach jednak przyznałem mu trochę racji. Po komorniku prędejm bym się spodziewał założenia sprawy w sądzie, a nie wynajmowania gangsterów, tyle że postępowanie sądowe potrafi się ciągnąć latami. Być może temu człowiekowi po prostu się śpieszyło i postanowił pójść na skróty. Nie byłoby w tym nic niezwykłego. Chciwość potrafi odebrać rozum nawet najmądrzejszym.

– To nie byłby pierwszy raz – odezwała się zza kierownicy Aldona. – Słyszeliście o Jolancie Brzeskiej?

Przytaknąłem, na twarzy Szymka za to pojawił się wielki znak zapytania.

– Działaczka lokatorska, która została zamordowana – wyjaśniła. – Do dzisiaj nie znaleziono winnych, przynajmniej oficjalnie. Wcześniej sprzeciwiała się grupie cwaniaków, którzy próbowali ukraść jej mieszkanie na podstawie lipnych papierów. Była zastraszana i nękana, ktoś próbował się do niej włamać, męczył ją na wszystkie sposoby i zamienił jej życie w koszmar, byle tylko osiągnąć swój cel. W końcu znaleziono spalone ciało Brzeskiej na obrzeżach Lasu Kabackiego. I tak to właśnie wygląda w Polsce. Jest przyzwolenie na niszczenie życia starszych, często bezbronnych osób na podstawie wymyślonych, oszukańczych roszczeń. Nawet jeśli oznacza to śmierć tych ludzi. Komornik, który zabrał dziecku ukochanego psa, byłby zdolny do takiego świństwa.

– Może trzeba opisać to w internecie – odezwał się Szymon. – Nagrać jakiś filmik, wrzucić na TikToka.

Aldona zaśmiała się krótko, złośliwie.

– Tylko jeśli chcesz zobaczyć setki komentarzy na temat tego, że długi trzeba płacić, nawet jeśli w życiu nie wzięłeś żadnej pożyczki, albo że trzeba czytać to, co się podpisuje. Daj spokój – prychnęła. – To dziki kraj dzikich ludzi. A jeśli jesteś słaby, możesz liczyć tylko na darmowe wiaderko pełne pogardy.

Po tej przemowie Szymon ukrył się gdzieś na tylnym siedzeniu, co było sporym osiągnięciem, biorąc pod uwagę rozmiary tego wozu.

Wkrótce dojechaliśmy na miejsce. Biuro komornika Tomasza Guźca mieściło się w przedwojennej kamienicy na Ochocie. Tabliczki przy bramie informowały, że oprócz niego swoją siedzibę ma tutaj radca prawny i notariusz. Wszystko w jednym miejscu, jakby sprzedawali się w pakiecie, żeby było taniej. Tym razem jednak żadna recepcjonistka nie broniła nam wejścia – należało jedynie nacisnąć guzik domofonu przy bramie. Nikt nawet nie pytał, kim jesteśmy. Po prostu usłyszeliśmy sygnał otwierający drzwi.

Wejście do właściwej klatki znajdowało się od razu po prawej, tak że nie musieliśmy przechodzić przez podwórko. Tam znajdował się kolejny domofon. Znowu nacisnęliśmy odpowiednik guzik i usłyszeliśmy w odpowiedzi bzyczenie. Zamiast pojechać windą na drugie piętro, skorzystaliśmy ze schodów.

Biuro komornika było kwadratowym pomieszczeniem o białych ścianach, na których zawieszono godło państwowe i kilka dyplomów uznania za udział w jakichś akcjach charytatywnych. Przy sporym biurku z telefonami za komputerem siedziała około pięćdziesięcioletnia zadbana blondynka w biznesowym kostiumie. Obrzuciła nas spojrzeniem, szybko coś oceniła i dopiero wtedy się odezwała z uśmiechem.

– W czym mogę państwu pomóc?

– My do Tomasza Guźca.

– Pan komornik jest zajęty.

Odruchowo zerknęła w stronę uchylonych drzwi na końcu korytarza. Podeszedłem tam i zaraz dobiegł do mnie wkurzony męski głos.

– Tak, kurwa, nie można! Nie można, kurwa! – ryczał mężczyzna, a na potwierdzenie tych słów rozległo się głucho uderzenie, jakby walił pięściami w ścianę lub blat biurka. – Gdzie są moje pieniądze?!

– Panie komorniku, ale moja wnuczka... ona miała urodziny i tak marzyła... – odpowiedziała mu ewidentnie przestraszona kobieta.

– A ja marzę o nowym mercedesie! I co, kurwa?! I nie mogę go sobie kupić przez takich ludzi jak pani!

– Ale to co ja mam zrobić, panie komorniku?

Przez chwilę dochodziło mnie tylko wściekłe sapanie.

– Zabrać wnuczce ten jebany prezent i go sprzedać.

Usłyszałem kroki. Odsunąłem się w momencie, kiedy drzwi się otworzyły i z gabinetu wyszła drobna kobieta w nijakim brązowym swetrze i spodniach, które wyglądały, jakby wzięła je z garnituru swojego ojca. Była tak zasuszona, że nie dało się nawet ocenić, czy ma sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt lat. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, ujrzałem w jej oczach łzy i strach. Minęła mnie bez słowa, drobiąc, jakby bała się stawiać większe kroki.

Pchnąłem zamykające się za nią drzwi i wszedłem do środka. Dawno nie widziałem człowieka, który by tak pasował do własnego nazwiska. Tomasz Guziec był otyłym starszym mężczyzną. Koszula i marynarka z trudem opinały jego wielkie ciało. Zamiast paska do spodni nosił szelki. Miał krótko obcięte, tłustawe czarne włosy przyprószone siwizną, pękaty nos, a pod nim zaniedbany wąs. Tłuste policzki zwiślały mu jak u buldoga. Jego małe ciemne oczy błyszczały złośliwie, jakby upokorzenie kobiety przed chwilą sprawiło mu satysfakcję.

– Kim pan jest? – wycharczał na mój widok.

– Zygmunt – odpowiedziałem, czując, że powoli przyzwyczajam się do tego imienia.

– Jaki, kurwa, Zygmunt?

– Przychodzimy w sprawie mojego wujka Henryka Lipca – odezwała się Aldona, wsuwając się za mną do gabinetu.

Komornik zmarszczył brwi, przez co jego oczy niemal w całości zniknęły w zwałach tłuszczu na twarzy. Nagle wykrzywił ją nieprzyjemny grymas, jakby przypomniał sobie, o kim mowa.

– A pani to kto?

– Aldona Lipiec.

– Córka? Nie...

– Bratanica – wyjaśniła.

– Bratanica... – powtórzył za nią. – I ma pani pewnie potwierdzone notarialnie upoważnienie od wujka, żeby prowadzić ze mną tę rozmowę?

Aldona zamarła, a on prychnął.

– Czyli nie. W takim razie – wskazał na drzwi – proszę wypierdalać.

– Na pana miejscu uważałbym z językiem – powiedziałem.

– Bo co?

– Bo nie rozmawia pan ze starszą bezbronną kobietą, którą może pan bezkarnie obrażać – odparłem, robiąc krok w jego stronę. – I może pan bardzo, ale to bardzo swoich słów pożałować.

Komornik cofnął się, obszedł biurko. Otworzył lewą szufladę i wyjął z niej kompaktowy pistolet, chyba czeską CZ P-10 M. Położył ją na biurku i niemal całą przykrył wielką dłonią. Spojrzał na nas znacząco.

Szybko przeanalizowałem nasze położenie i co tu dużo mówić, nie wyglądało dobrze. Nie tylko ze względu na to, że on miał broń, a my nie. Nawet bez niej nie byłoby dużo lepiej, bo facet nie chciał z nami rozmawiać, a nam brakowało odpowiednich argumentów, by go do tego przekonać. Można by użyć gołej siły, ale to zawsze jest ostateczność. Poza tym siedząca na korytarzu kobieta na pewno zawiadomiłaby policję i prawdopodobnie musielibyśmy uciekać, zanim dostalibyśmy odpowiedzi. Pozostawało mi tak naprawdę jedno. Popatrzeć na tego człowieka, przeanalizować jego zachowanie i zastanowić się, czy ktoś taki byłby zdolny do wysłania dwóch bandziorów do domu pana Henryka. Uznałem, że tak.

– Spotkamy się jeszcze, panie komorniku – powiedziałem powoli. – W trochę innych okolicznościach, w trochę innym czasie, a wtedy ta zabawka z szuflady panu nie pomoże. Po prostu odpowie nam pan na wszystkie pytania. Czy tego będzie pan chciał czy nie.

Kiedy tylko skończyłem mówić, pomyślałem, że popełniłem błąd. Niepotrzebnie się odsłoniłem, ale zdenerwowała mnie jego arogancja i to, w jaki sposób potraktował przed momentem tę kobietę. Chciałem, żeby chociaż na chwilę stracił pewność siebie, poczuł strach, dlatego wytrzymałem jego spojrzenie. On pierwszy odwrócił głowę, spojrzał w dół, jakby chciał się upewnić, że pistolet ciągle jest pod ręką.

Uśmiechnąłem się. Dałem Aldonie i Szymkowi znak, że na nas czas. Opuściliśmy kancelarię. W przedpokoju przy biurku ciągle stała starsza kobieta w brązowym swetrze. Rozmawiała o czymś z asystentką. Kiwnąłem im głową na pożegnanie.

Kiedy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, Aldona odetchnęła głęboko.

– To była prawdziwa broń? – zapytała.

Przytaknąłem. Zanim jednak zdołałem coś powiedzieć, drzwi od klatki schodowej otworzyły się i wyszła z nich kobieta w swetrze.

– Złapałam pana! – zawołała na mój widok.

– W czym mogę pomóc? – powiedziałem, odwracając się w jej stronę.

A potem wypadki potoczyły się błyskawicznie. Przyznaję, nie doceniałem jej. Nie spodziewałem się, że może być do tego zdolna. Zresztą, czemu miałyby coś takiego zrobić? Byłem jej potencjalnym sojusznikiem, a nie wrogiem, ale i tak to zrobiła, a ja nie zdążyłem zareagować. W jej chudej dłoni nagle pojawił się nóż. Niewielki scyzoryk, nie trzeba jednak wiele, żeby zabić człowieka. Czubek ostrza dźgnął mnie lekko w brzuch. Nie zrobiła mi krzywdy, bo to miało być tylko ostrzeżenie.

– Masz się odpiardolić od komornika Guźca – wyszczała mi prosto w twarz, a ja poczułem w jej oddechu silny zapach miętówek. – To święty człowiek jest! Święty! Będiesz go nachodzić, to sama cię wypatroszę!

Nie spuszczając ze mnie wzroku, schowała scyzoryk do kieszeni, a potem ruszyła w stronę bramy.

– Niech pani poczeka! – krzyknęła nad moim ramieniem Aldona.

Kobieta zatrzymała się w pół kroku.

– Możemy panią zaprosić na kawę? – dokończyła dziewczyna.

Bartosz Sokół spojrzął ponad ramieniem na siedzącego naprzeciwko Adama i zobaczył swoje odbicie w szybie warszawskiej restauracji. Poczł się nagle nie tyle zmęczony, ile zniechęcony. Zajadał właśnie polędwicę wołową w sosie z czarnego pieprzu na biznesowym lunchu, który nie miał żadnego celu poza tym, żeby nażyć się na koszt firmy. Adam i Łukasz reprezentowali spółki, z którymi współpracował, raz po raz robili wspólne projekty, więc oczywiście dało się to wszystko uzasadnić, ale podczas trwającego prawie godzinę spotkania ani razu nie poruszyli kwestii biznesowych. Gadali natomiast o tym, co zawsze. Adam dzielił się swoimi opowieściami z weekendu – jakie kluby odwiedził, jakie laski przeleciał i, ściszym już głosem, ile koki przy tym wciągnął. Dorzucał do tego kilka pijackich anegdot, które śmieszyłyby Sokoła, gdyby był dziesięć lat młodszy. Potem przychodziła kolejna część opowieści, czyli skarżenie się na potężnego kaca, który miał następnego dnia, a który uniemożliwił mu zaplanowaną od dawna wspaniałą aktywność. Rowerowa wyprawa do Kampinosu z przyjaciółmi, kurs wspinaczki skałkowej, rozpoczęcie przygotowań do półmaratonu warszawskiego, a nawet wyjście na miasto, żeby sprawdzić nową restaurację – wszystko to musiało zostać przełożone na święte nigdy z powodu odsypiania szaleństw poprzedniej nocy i pozbywania się z organizmu szkodliwych alkoholowo-narkotykowych toksyn. Adam jakby nie dostrzegał powiązania jednego z drugim. Przy każdym ich spotkaniu dzielił się klubowymi opowieściami, żeby potem żalić się na „niespodziewanego i dziwnie silnego” kaca.

Historie Łukasza były równie powtarzalne. Żonaty, ojciec trójki dzieci, mieszkający w nowo wybudowanym domu pod Warszawą, opowiadał o zakończonych remontach, trwających remontach i wreszcie planowanych remontach. A także o szkole i zajęciach dodatkowych swoich pociech, problemach z dojazdem do pracy, które zawsze były dla niego równie zaskakujące jak dla Adama zmagania z kacem, planach na wakacje i/lub zimowe ferie.

Sokół miał wrażenie, jakby Łukasz w którymś momencie swojego życia zmienił się w chomika, który nieustannie biega na kołowrotku i nie zauważa nawet, że tak naprawdę stoi w miejscu. Najgorsze jednak było to, że wszystko wydawało się nieprawdziwe, jakby ktoś odciął ich od rzeczywistego życia i rzeczywistych emocji. Bartek miał w sobie jednak dość pokory, żeby zauważyć, że jego sytuacja wcale nie jest taka zła. Dobrze zarabiał, miał własne mieszkanie i udaną karierę. Ale złota klatka wciąż pozostawała klatką.

Westchnął znad talerza z wołowiną. Łukasz spojrzął na niego pytająco.

– Co jest? – zapytał. – Problemy jakieś?

– Z panienkami, z chłopakami? – rzucił Adam, przeżuwając krewetkę.

Sokół pokręcił głową.

– Nie. Po prostu jestem trochę zmęczony. Wczoraj był ciężki trening.

– Powinieneś sobie odpuścić – zauważył Łukasz.

– Dzięki za troskę, ale wołałbym nie. Dzięki tym treningom trzymam go w ryzach – powiedział i uderzył się kilka razy otwartą dłonią po brzuchu.

Nieprawda, nie miał żadnego problemu z nadwagą, ale było to najłatwiejsze wyjaśnienie, dlaczego ciągle trenował.

– Nie mówię, że masz zupełnie zrezygnować ze sportu – stwierdził Łukasz. – Jest parę innych rzeczy, które możesz robić zamiast tego twojego MMA. Poza tym wiesz, zegar tyka, wskazówki przesuwają się tylko w jedną stronę, a to jest kontuzyjna zabawa. Lepiej sobie znajdź coś spokojnego, zanim ktoś ci rozpierdoli kolana.

Sokół ugryzł się w język, by nie powiedzieć, że nie potrzebuje sportowych porad od faceta, który w ciągu ostatnich dwóch lat przytył jakieś dwadzieścia kilogramów i musiał w związku z tym wymienić wszystkie ubrania.

– Może ja powinienem przyjść na ten twój trening? – rzucił Adam.

Łukasz parsknął.

– Ty?

– No tak. Wiesz co, szukam czegoś dla siebie. Z bieganiem coś nie wyszło, to chyba nie dla mnie, a dobrze by było wrócić do dawnej formy.

Sokół znał go od lat i nie miał zielonego pojęcia, o jakiej „dawnej formie” Adam mówił. Zmusił się

do uśmiechu.

– Jasne. Wpadaj – powiedział, zdając sobie doskonale sprawę, że jeśli tamten przyjdzie, to tylko raz i tylko po to, żeby po rozgrzewce porzygać się na matę.

Był konsekwentny jedynie w przepuszczaniu kasy na alkohol, dziewczyny i koks.

Porozmawiali jeszcze chwilę o pierdołach, a potem jak na sygnał spojrzeli na zegarki na przegubach – nieprzyzwoicie drogi, ale niezbędny rekwizyt w przedstawieniu, które codziennie odgrywali – i zgodnie stwierdzili, że czas wracać do pracy. Chociaż gdyby spędzili w tej knajpie resztę dnia, pewnie i tak nie zrobiliby to żadnej różnicy. Zapłacili rachunek, złożyli się zgodnie na napiwek i opuścili restaurację.

Adam poszedł do swojego biura, podczas gdy Łukasz z Bartkiem ruszyli ulicą w stronę stacji metra Rondo ONZ. Kilkanaście metrów dalej Łukasz zaparkował srebrnego mercedesa. Na ich widok chodzący o kulach starszy mężczyzna o schorowanej twarzy, w zbyt dużej kurtce i wełnianej czapce nasuniętej na oczy, zgiął się wpół. Łukasz przystanął przy swoim wozie, przyjrzał mu się uważnie, a potem przywołał mężczyznę ruchem ręki.

– Tak, proszę pana? – odezwał się facet, zbliżając się do nich z wyraźnym wysiłkiem.

– Co to, kurwa, jest? – zapytał Łukasz, wskazując na drzwi samochodu. Przez sam ich środek ciągnęła się długa, głęboka rysa.

– Ja... ja nie wiem, proszę pana.

– To jest zniszczony lakier, debilu – warknął Łukasz. – Przyszedłeś do mnie, pytasz mnie, kurwa, czy mi samochodu popilnować, dwie dychy ci dałem i patrz teraz, jak mi tego samochodu popilnowałeś! To jest mercedes, debilu. Tego mi szwagier nie zaszpachluje! To jest kilka tysięcy złotych w plecy! Masz kilka tysięcy?!

– Ja...

– Pytam się, czy masz kilka tysięcy! – ryknął Łukasz. – Bo tyle jesteś mi teraz winien!

– Ale to nie ja zrobiłem – odpowiedział przerażony mężczyzna.

– Ty albo nie ty! Skąd mam, kurwa, wiedzieć?! To tobie dałem pieniądze, żebyś wozu pilnował, i patrz, jak go upilnowałeś! Po co się zabierasz do czegoś, czego nie potrafisz, debilu, zrobić?! – wrzeszczał Łukasz i na koniec pchnął jeszcze mężczyznę tak mocno, że ten by się przewrócił, gdyby Sokół w ostatniej chwili nie chwycił go pod ramię i nie przytrzymał.

– Daj spokój, Łukasz – odezwał się Bartek. – Przecież to już było. Sam mi opowiadałeś, że najmłodszy ci to zrobił łopatką ogrodową.

Łukasz zamarł. Potem zamrugał i uśmiechnął się szeroko, próbując w ten sposób ukryć nagłe zmieszanie.

– No jasne, że było. Chciałem sobie tylko trochę z kumplem pożartować. Nie, stary?

Klepnął starszego mężczyznę w ramię. Zdecydowanie zbyt mocno, by można to uznać za przyjacielski gest.

– Tak, proszę pana – wydusił z siebie tamten.

Łukasz przestał się uśmiechać, spojrzął na Bartka i skinął mu głową. Wsiadł do swojego wozu, a gdy wyjeżdżał z parkingu, samochód, który właśnie jechał ulicą, musiał gwałtownie zahamować, żeby uniknąć zderzenia. Potem mercedes ruszył gwałtownie przed siebie.

– Przepraszam pana – odezwał się Bartek. – Kolega miał zły dzień.

– I to jest powód, żeby się na mnie wyżywać?

– Nie – przyznał Sokół. – To po prostu dupek.

Po drodze do biura odebrał jeszcze telefon od Łukasza. Ten zaczął tłumaczyć, że ma już dość tych samozwańczych parkingowych, którzy najczęściej są pijaczkami, a ta ich propozycja pilnowania samochodu to tak naprawdę groźba, że coś z nim zrobią, jeśli nie dostaną przysłowiowego piąta. Bartek przypomniał sobie mężczyznę z parkingu – na pewno nie był pijany, wyglądał raczej na chorego i nieszczęśliwego. Wysłuchał jednak Łukasza i nie kłócił się z nim, tylko jak najszybciej zakończył rozmowę, wymawiając się nagłym zebraniem.

Gdy usiadł już na swoim fotelu, pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to kartka z numerem telefonu towarzyszący jego rywała z ostatnich zawodów. Przypomniał sobie tę dziewczynę i pomyślał, że w jej gniewie było coś szczerego i prawdziwego. Całą sobą wykraczała poza ten okropny korporacyjny świątek, który ostatnio coraz bardziej kojarzył mu się z więzieniem. Aldona w ogóle nie przypominała Adama

wyczekującego piątku, bo tylko nawalenie się do granic możliwości i przypadkowy seks nadawały sens jego życiu, ani Łukasza, który nie radził sobie z rodzinno-mażeńskimi frustracjami, wyżywał się więc na Bogu ducha winnym człowieku dorabiającym sobie parę groszy do renty. Sprawiała wrażenie, jakby o coś jej w życiu chodziło, jakby miała jakiś cel. Nagle poczuł przemożną ochotę, żeby się z nią spotkać, porozmawiać, poznać lepiej.

Wyjął z kieszeni komórkę i nie spuszczać oczu z kartki, wybrał odpowiedni numer.

Tomasz Guziec obserwował na ekranie komputera, jak do systemu wpadają kolejne sprawy, a program reaguje w odpowiedni sposób. Pomyślał, że jeszcze trochę, a człowiek zupełnie nie będzie potrzebny. Zresztą nawet teraz miejsce dla ludzi coraz bardziej się kurczyło. Miało być szybciej, sprawniej i taniej, a że często bywało przy tym gorzej, już nikogo nie obchodziło. Kiedyś wyglądało to inaczej, kiedyś samemu trzeba było o wszystko zadbać, przypilnować, podpisać, dostarczyć. Komornik nie siedział za biurkiem, tylko spotykał się z ludźmi, rozmawiał z nimi, poznawał ich historie, dramaty, a równie często narażał się na ich gniew. Dlatego w pewnym momencie on kupił sobie pistolet. Rzadko go potrzebował, ale jeśli już, wystarczyło go jedynie wyciągnąć, żeby wszyscy natychmiast się uspokoili. Raz tylko nacisnął spust, strzelił zresztą w powietrze. Dawno temu, w połowie lat dziewięćdziesiątych. Pojechał zająć samochód i maszyny jednemu producentowi folii z biedafiremką pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy. Facet czekał już z dwoma ostatnimi pracownikami, uzbrojonymi w pręty i łomy. Guziec nie był jakoś szczególnie z tego dumny, ale do dzisiaj lubił przypominać sobie wyraz jego twarzy, kiedy rozległ się huk wystrzału. I to dźwięczenie prętów uderzających o beton, kiedy pracownicy pośpiesznie wyrzucali je przed siebie i podnosili ręce. Tak, wciąż sprawiało mu to przyjemność.

Ostatnio jednak kłopotów było mniej. Wierzyście spokojniejsi, jakby bardziej cywilizowani. Kiedy po raz ostatni ktoś mu groził? A tak, przypomniał sobie, przecież dzisiaj. Ten dziwny facet z dziewczyną, która przedstawiła się jako bratanica Henryka... Pstryknął kilka razy palcami, ale nazwisko ciągle mu uciekało. Przyszedł też z nimi jakiś nastolatek. Tak, to była zabawna sytuacja. Uśmiechnął się lekko na jej wspomnienie. Serce nawet mocniej mu wtedy zabiło i znowu poczuł, że żyje. Nie tęsknił za dawnymi czasami, po prostu miło było sobie przypomnieć, jak to dawniej bywało.

Guziec wyprostował się i odgiął lekko do tyłu, żeby rozciągnąć bolące od siedzenia plecy. Zamknął laptopa, ściągnął z oparcia krzesła marynarkę i szybko ją włożył. Wyszedł z gabinetu i sięgnął po kurtkę. Jego asystentki, pani Jadwigi, już nie było. Skończyła pracę ponad godzinę wcześniej. On sam też miał już opuścić biuro, kiedy nagle o czymś sobie przypomniał. Wrócił do gabinetu, otworzył szufladę biurka i zabrał pistolet. Wsunął go do wewnętrznej kabury przy pasku spodni, po czym wyszedł z kancelarii.

Odnalazł na parkingu swojego mercedesa. Wóz miał już dziesięć lat. Guźca było stać na nowy, ale z upływem czasu zaczął się przywiązywać do rzeczy. Co z tego, że kolejne modele miały jakieś elektroniczne wodotryski, skoro ten miał fotel idealnie wyprofilowany pod kształt jego ciała.

Uruchomił radio i z głośników popłynęły dźwięki *Uwertury tragicznej* Brahmsa. Guziec nie przepadał za muzyką klasyczną, miał jednak słabość do tego kompozytora. Być może dlatego, że obu ich oskarżano o brak poczucia humoru. *Uwertura tragiczna* miała mieć zresztą zupełnie inną nazwę i wydźwięk, ale kiedy Niemiec dowiedział się, co o nim mówią, wyrzucił wszystkie pogodne akcenty i postawił na ponury nastrój. Przede wszystkim jednak Brahms Guźca uspokajał, a to było ważne podczas jazdy w warszawskich korkach, szczególnie jeśli miało się broń. Broń bowiem dziwnie działała na ludzi – niczym żywa istota skłaniała ich do podejmowania ryzyka, którego normalnie by nie podjęli. Tak jak wtedy, w połowie lat dziewięćdziesiątych w manufakturze folii. Kiedy zobaczył tamtych facetów z prętami i łomami, powinien po prostu wsiąść z powrotem do samochodu i wrócić kilka dni później w asyście policji. Zamiast tego wyciągnął pistolet i strzelił w powietrze. Tak, osiągnął swój cel. Rzucili pręty, podnieśli ręce, ale chwilę potem z domu stojącego przy fabryczce wyłonił się starszy, zupełnie siwy facet w szarych dresowych spodniach i białym podkoszulku. W dłoni trzymał strzelbę. Był to ojciec właściciela firmy. Przez chwilę tak na siebie patrzyli. Stary na Guźca, Guziec na starego. Komornik czuł, jak plecy spływają mu potem. Raz po raz zaciskał palce na rękojeści pistoletu, a ludzie, z którymi przyjechał, żeby zarekwirować majątek dłużnika, wymieniali się przerażonymi spojrzeniami.

Aż wreszcie stary nacisnął spust. Też strzelił w powietrze. Huk wydawał się sto razy głośniejszy niż ten z pistoletu. Guziec pamiętał, że choć wyglądał na spokojnego i opanowanego, w głowie kotłowało mu się tysiące myśli. Bał się, ba, był po prostu przerażony, że zaraz się zacznie. Będą do siebie strzelać, ktoś zostanie ranny, być może nawet zginie.

Ale, co dziwne, na tym się skończyło. Stary po prostu strzelił w powietrze, jakby chciał pokazać, że on też może, albo chodziło mu o coś zupełnie innego. W każdym razie, przez cały czas stał na ganku ze

strzelbą w rękach i obserwował, jak ładują do ciężarówki kolejne maszyny i zabierają jego synowi samochód. Pod koniec Guziec poczuł potrzebę, żeby do niego podejść i się pożegnać, ale powstrzymał się. To mogło być odebrane jako prowokacja. Lepiej było nie ryzykować.

Zerknął we wsteczne lusterko. Zmarszczył brwi, a później delikatnie uśmiechnął się pod wąsem. Wjeżdżając w Wawelską, lekko przyspieszył, przynajmniej na tyle, na ile pozwalały mu ruch i sygnalizacja świetlna, czyli nieznacznie.

Skręcił w Aleje Jerozolimskie i powtórnie zerknął w lusterko. Mlasnął zadowolony, że jednak się nie pomylił. Wtedy rozdzwonił się jego telefon. Na wyświetlaczu systemu samochodowego zobaczył imię: Aga. Ucieszył się i natychmiast odebrał.

– Dzień dobry, córeczko! – powiedział wesoło.

– Cześć, tato.

– Czemu zawdzięczam twój telefon?

– A to muszę mieć jakiś powód, żeby do ojca zadzwonić?

– Nie musisz – zgodził się pogodnie.

– Co u ciebie słychać? – zapytała.

– Wszystko w porządku, kochanie. Pracuję trochę, ale nie przemęczam się. Ot, płynie dzień za dniem, na spokojnie.

Nie odpowiedziała od razu. Prawie potrafił wyobrazić sobie jej śliczną okrągłą twarz i to, jak mimowolnie bierze kosmyk blond włosów i zamyślona owija go sobie wokół palca.

– Nie okłamujesz mnie?

Roześmiał się i wykorzystał moment, żeby zerknąć w lusterko. Nic się nie zmieniło.

– A czemu miałbym cię okłamywać, Aguś?

– Nie wiem.

– Córeczko, ja już mam swoje lata, szykuję się na emeryturę. Swoje w życiu zarobiłem. Co miałem zrobić, to zrobiłem. Po co mam się teraz przemęczać? Pracuję tyle, żeby się nie nudzić. Wszystko.

– No dobrze – powiedziała, ale nie był pewien, czy mu uwierzyła.

– A jak tam u was, słoneczko?

– Ech... – powiedziała przeciągle i wyobraził sobie, jak teraz z kolei kręci zde gustowana głową. – Johnowi marzyły się polskie kielbaski na kolację. Najlepiej z polskim piwem. Wiesz, jak on je uwielbia.

Wiedział. Od kiedy John – jeszcze kilka lat temu szczupły członek drużyny wioślarskiej – ożenił się z jego córką, szybko zaczął nabierać ciała. I dosłownie oszalał na punkcie polskich mięs, wędlin oraz kielbas.

– I co?

– I nie ma!

– W polskim sklepie też?

– W polskim sklepie też! – potwierdziła. – Coś tłumaczyli, że na granicy jest tłok, bo pieprzony brexit. Dobrze, że przynajmniej piwo kupiłam. No, ale tego w polskim sklepie to zabraknąć nie może, nie?

– Jakby zabrakło, pewnie by zamieszki wybuchły.

– A żebyś wiedział! – Zaśmiała się do słuchawki. – Ale to nie nasi by się buntowali, tylko Angole, bo przecież tych ich sikaczy nie da się pić!

– No nie da się... Słuchaj, Agnieszko, to może ja przygotuję jakąś paczkę z kielbasami i wam wyślę, co?

– A mógłbyś? – zapytała po chwili namysłu. – To nie będzie kłopot?

– Żaden kłopot, córeczko. Sama przyjemność. Do tego lepiej wiem od ciebie, co lubi John. Taką mu paczkę przygotowuję, że zostaniesz żoną roku.

– Raczej ty teściem roku.

– Też dobrze.

– Ale się porobiło, nie? – rzuciła Agnieszka. – Jeszcze niedawno oni nam paczki przysyłali, a teraz my im musimy wysyłać. Zawalili to strasznie. Strasznie!

Już chciał powiedzieć, że w takim razie mogłaby pomyśleć o powrocie do Polski, ale się powstrzymał. Agnieszka lubiła sobie ponarzekać, ale dobrze jej było w Anglii. Pracę tam miała, męża, przyjaciół, a tutaj co na nią czekało? Tylko on.

– Jeszcze się odbijecie – pocieszył ją. – A jak tam Jeremi?

- Och! Muszę ci wysłać zdjęcia, jak dzisiaj w parku z kolegami w piłkę grał.
- Strzelił jakieś gole? – zapytał, zerkając w lusterko: wszystko było po staremu.
- Tutaj się nie gra na gole. Po prostu podawali sobie piłkę.
- Aha.
- Wyślę ci filmik.
- A ja wam paczkę z kielbasami!
- Mamy *deal*! Pa, tato! Uważaj na siebie.
- I wy na siebie – powiedział.

Połączenie się zakończyło, zanim zdążył dodać, że ją kocha. Te słowa zawsze trudno przechodziły mu przez gardło. Grzęzły gdzieś tam, jakby się lepily do strun głosowych. Nie nauczył się ich szybko wymawiać, a Agusia rzadko miała dość cierpliwości, żeby czekać, aż je wreszcie z siebie wydusi.

Z głośników znowu poleciał Brahms. Po kilkadziesiąciu minutach Guziec zjechał z trasy S8 w stronę Podkowy Leśnej. Rzadko już zerkał w lusterko wsteczne. Po prostu wiedział, co w nim zobaczy.

Wreszcie dojechał do domu, który mieścił się na obrzeżach Podkowy, na zalesionej w połowie działce. Wybudował go ponad dwadzieścia pięć lat temu, ale duży, jednopiętrowy ceglany budynek z czarnym dachem ciągle godnie się prezentował. Szkoda tylko, że teraz mieszkał w nim sam. Uwielbiał to miejsce, tę ciszę przerywaną jedynie śpiewem ptaków. A rano, kiedy wstawał i wychodził na dwór, pierwszym zapachem, który do niego docierał, była intensywna woń sosnowej żywicy. Na terenie posiadłości zmieścił się nawet niewielki staw. Kilka lat temu zarybił go i od czasu do czasu siadał na ławeczce na brzegu, wyciągał wędki i łowił sobie rybę na kolację.

Nacisnął przycisk na pilocie i gdy brama się otworzyła, wjechał na brukowany podjazd. Poczekał, aż wybrzmia ostatnie nuty walca, i dopiero wtedy wysiadł. Spojrzał na zegarek, pokręcił głową i wyszedł na ulicę.

Mniej więcej kilkadziesiąt metrów dalej, na wysokości posesji sąsiada, znanego warszawskiego okulisty, zatrzymał się samochód, który śledził Guźca przez całą drogę do domu. Niebieski fiat panda. Komornik ruszył zdecydowanym krokiem w tamtą stronę. Jego dłoń na wszelki wypadek powędrowała ku ukrytej w kaburze broni. Był ciekaw, co zrobi kierowca. Najprawdopodobniej uruchomi silnik i odjedzie. Wcześniej jednak będzie musiał zawrócić, Guziec więc dla zabawy zdąży jeszcze parę razy uderzyć otwartą dłonią w dach. A może – choć tego wolałby uniknąć – ruszy z piskiem opon wprost na niego. Ale to było mało prawdopodobne. Te czasy już minęły.

Taką przynajmniej miał nadzieję.

Panda jednak stała. Komornik podszedł do samochodu i zastukał w szybę. Ta się obniżyła. Za kierownicą siedział ten sam mężczyzna, który ledwo kilka godzin wcześniej groził mu w jego własnym gabinecie.

– Wjeżdża pan? – zapytał Guziec i wskazał palcem na otwartą bramę.

Mężczyzna przez moment się zastanawiał, a potem kiwnął głową.

– No i dobrze. Niech się pan zatrzyma na podjeździe.

A potem odwrócił się i spokojnie ruszył z powrotem w stronę domu. Kilka sekund później usłyszał za plecami, jak mężczyzna uruchamia silnik samochodu.

Dyzio nie lubił prowizorek, a ta akcja niewątpliwie do takich należała, niemniej trzeba było ją wykonać. Początkowo wszystko szło jak z płatka. Dostał imię i nazwisko prywatnego detektywa, który włączył się po jego dzielnicy i nawet jeśli sam jeszcze nie bruździł, to pracował dla kogoś, kto bruździć zamierzał. I właśnie na poznaniu personaliów tego kogoś Dyziowi zależało najbardziej. Następnie musiał wykonać trochę pracy wywiadowczej. Kiedyś to było znacznie trudniejsze: musiał się nachodzić, poobserwować, pobyc w terenie, a dzisiaj wystarczył telefon z dostępem do internetu. Dzięki niemu Dyzio dowiedział się, że Marcin Klinas urodził się w 1987 roku, pochodzi z Warszawy i zdobył wyższe wykształcenie na jednej z prywatnych uczelni na kierunku bezpieczeństwo wewnętrzne. Później służył kilka lat w policji, odszedł z niewiadomego powodu, zdobył licencję prywatnego detektywa i otworzył własną agencję. Pracował dla prywatnych klientów, był też podwykonawcą większych firm. Opinie miał raczej dobre, ale bez szczegółów. Wiadomo, ludzie nie lubią się chwalić, że dzięki detektywowi dowiedzieli się o zdradzie małżonki lub małżonka. Określany był jako uczciwy, profesjonalny i rzetelny, ale żadna z tych rzeczy nie pomogła Dyziowi w ustaleniu najważniejszej z jego punktu widzenia kwestii, a mianowicie tego, kto wynajął detektywa, żeby zbadał sprawę samobójstwa staruszki. Dlatego Dyzio po potrzebne mu informacje postanowił udać się do źródła i włamać się do agencji detektywistycznej pana Klinasa.

I wtedy zaczęły się kłopoty. Okazało się, że Hyzio i Zyzio są potrzebni do innego zadania, o czym poinformował go wspólnik. Nie żeby to było polecenie. Dyzio nigdy by nie pozwolił na to, żeby ktokolwiek mu rozkazywał, zwłaszcza ktoś, kto nie jest jego szefem. Niemniej zawsze kiedy tamten dzwonił z jakimś pomysłem, rozmowa tak się toczyła, że koniec końców Dyzio zawsze się zgadzał na jego prośby. I zawsze potem czuł się w pewien sposób upokorzony. Nie mógł się przyczepić do żadnego zdania czy choćby nawet słowa, tamten w żaden sposób nie okazywał zniecierpliwienia ani braku szacunku, a jednak Dyzio wciąż miał wrażenie, że został potraktowany jak przedszkolak, wobec którego trzeba być miłym i stanowczym, a jak się nim odpowiednio pokieruje, zrobi to, czego się od niego wymaga. I proszę, właśnie tak się stało.

Ponieważ Dyzio został sam, zadzwonił po pomoc do pierwszej osoby, która przysłała mu do głowy. Misiek. Zdecydowało ich wcześniejsze spotkanie, to, jak bardzo Misiek starał się zrobić na nim wrażenie. Dyzio pomyślał, że da mu się w końcu wykazać.

– Ale Tata Turek! Mam dzisiaj rozwozić kebaby – zaprotestował Misiek.

– Tata Turek może mnie pocałować w dupę! Niech sam wskoczy na ten skuterek czy hulajnogę i rozwozi żarcie. A jak będzie protestować, zapytaj go, czy pewne papiery mają powędrować do ABW.

Tata Turek oczywiście nie protestował, a Misiek czekał w umówionym miejscu o umówionej godzinie, mając torbę termoizolacyjną z logo pewnej aplikacji do zamawiania jedzenia.

Nikt nigdy nie zwraca uwagi na dostarczycieli żarcia.

Pojechali na Mokotów w okolice alei Niepodległości, gdzie jak zawsze trudno było zaparkować. Trochę kręcili się po tamtejszych uliczkach, aż wreszcie znaleźli wolne miejsce niedaleko jakiejś szkoły podstawowej lub przedszkola. Stamtąd poszli w stronę jednego z niskich bloków ukrytych w kwadracie: aleje Niepodległości, Raclawicka, Wołoska i Rakowiecka. Dopiero minęła godzina dwudziesta, ale niewiele osób kręciło się o tej porze na ulicach. Dyzio pomyślał, że to plus poruszania się po okolicy, którą zamieszkują głównie emeryci.

Odnalazł właściwy blok. Przywołał do siebie Miśka.

– Jest tak. Siedzisz tutaj, jakbyś miał przerwę albo szukał adresu, i wyczekujesz.

– Ale na co?

– Na tego faceta. – Podsunął mu pod nos telefon ze zdjęciem Marcina Klinasa. – Jak tylko się pojawi, dzwonisz do mnie. Porusza się ciemnym bmw w wersji coupé... Wiesz, co to jest coupé?

Misiek pokiwał głową.

– Po naszymu to znaczy to samo – powiedział.

– Czyli? – zapytał Dyzio, żeby się upewnić.

– No... bez dupy, panie szefie.

– Właśnie! – Dyzio mimowolnie zarechotał. – Czarne lub granatowe. Widzisz takie, jak tu gdzieś parkuje, dzwonisz do mnie. Rozumiesz?

Misiek przytaknął. Na wszelki wypadek Dyzio wysłał mu zdjęcie Klinasa.

Potem poszedł do drzwi wejściowych na klatkę schodową. Początkowo miał zamiar czekać, aż ktoś z niej wyjdzie, ale stwierdził, że będzie za długo. Poza tym może się okazać, że o tej porze już nikt się nie wybiera na spacer. Nastawiał się na szybką pracę z wytrychem, ale nie było to wcale konieczne. Zamek był wysłużony. Wystarczyło mocniej pchnąć ramieniem, żeby dostać się do środka.

Biuro Klinasa mieściło się na parterze. Światło na klatce zapaliło się automatycznie, co akurat Dyziowi się nie podobało. Wolał pracować tylko w świetle latarki, ale nie zamierzał narzekać. Włożył gumowe rękawiczki, postawił torbę na ziemi i spojrzął na zamki. Cmoknął z zadowoleniem. Co prawda antywłamaniowe drzwi wyglądały solidnie, same jednak zamki miały pewnie około dziesięciu lat. Jeden był zwyczajny. Wystarczyło go tak naprawdę wyrwać, co oczywiście zostawiłoby ślad, dlatego Dyzio musiał go otworzyć. Potrzebował kilkunastu sekund, żeby wszystkie zapadki trafiły na właściwe miejsce i mógł go przekręcić. Został drugi zamek, teoretycznie antywłamaniowy, ale na tyle leciwy, że nie stanowił żadnej przeszkody. Dyzio aż poczuł lekkie rozczarowanie. Spodziewał się, że prywatny detektyw bardziej dba o bezpieczeństwo. Wyciągnął z torby pistolet do otwierania zamków, wybrał odpowiednią końcówkę, nacisnął przycisk i po prostu czekał. Ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, jakie to jest łatwe.

Minutę później, gdy zapadki wskoczyły tam, gdzie trzeba, nacisnął klamkę. I zamarł. Nie tylko dlatego, że w przedpokoju ciągle było włączone światło. Przez moment bał się, że ktoś jest w biurze, ale nie. W pozostałych pomieszczeniach panowała ciemność. Poczekał kilkanaście sekund na wypadek, gdyby uruchomił się jakiś alarm, a gdy nic takiego się nie stało, wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Zaczął się rozglądać dookoła, szukając kamer, żadnej jednak nie dostrzegł. Po raz kolejny poczuł coś na kształt rozczarowania. Klinas przecież pracował wcześniej jako policjant! Powinien naprawdę lepiej zabezpieczyć swoją agencję. Dyzio na jego miejscu zamontowałby alarm, który wysyła powiadomienie na komórkę, kiedy ktoś niepowołany wchodzi do środka, a kamera nagrywa intruza i wysyła film w czasie rzeczywistym na zewnętrzny serwer. Ale tutaj nic takiego nie było. Włamanie się do agencji detektywistycznej okazało się równie łatwe, jak włamanie do przedszkola, koło którego Dyzio zaparkował.

Założył z powrotem torbę na ramię i wyjął niewielką latarkę, ale dzięki zapalonemu w przedpokoju światłu nie musiał jej włączać. Mieszkanie było niewielkie: dwa pokoje, kuchnia i łazienka. Jeden pokój pusty, w drugim mieściło się biuro. Na jego wyposażenie składało się biurko z leżącym na nim laptopem, dwie szafy pełne książek i segregatorów z dokumentami, kilka profesjonalnych walizek, w których zapewne znajdował się sprzęt fotograficzny i być może aparatura do podsłuchów lub coś do bardziej agresywnej inwigilacji, i wreszcie – wymagany przez prawo – przytwierdzony do podłogi sejf. Z nim też Dyzio by sobie poradził, gdyby było trzeba. Potrzebowałby tylko ciężkiego młota i łomu, ale zrobiłby przy tym dużo hałasu i zamieszania, a dzisiaj chciał być dyskretny. Zamierzał się tu tylko rozejrzeć w nadziei, że rozwiązanie zagadki tajemniczego klienta samo wpadnie mu w ręce.

Czym powinien się zająć najpierw? Przez moment kusiły go segregatory, uznał jednak, że nic w nich nie znajdzie oprócz pism od wspólnoty mieszkaniowej i rachunków. Straci tylko czas, a nie chciał spędzić go tu za dużo.

Uruchomił więc laptopa. Kiedy przyszło do wpisania PIN-u, sięgnął do torby po pędzel i proszek daktyloskopijny – nie używany przez polską policję argenterat, który zostawiał niemożliwe do wyczyszczenia srebrne smugi, ale był najbardziej popularny i najtańszy, a coś znacznie lepszego, co później wystarczyło tylko wytrzeć nawilżoną chusteczką.

Posypał proszkiem górny rząd klawiatury laptopa, gdzie znajdowały się cyfry. Delikatnie zaczął gładzić je pędzelkiem, usuwając nadmiar proszku, aż pojawiły się odciski palców. Oczywiście nie chciał ich ściągnąć. Nie były mu przecież do niczego potrzebne. Musiał tylko sprawdzić, których klawiszy najczęściej używa Klinas. Najwięcej odcisków znajdowało się na jedyńce, siódemce, ósemce i dziewiątce.

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy – wyszeptał do siebie. Rok urodzenia Klinasa.

Zmarszczył brwi. Data urodzin to najczęściej wybierane przez ludzi hasło. Prywatny detektyw mógłby jednak postawić na coś mniej oczywistego, ale w sumie już kiepski zamek w drzwiach oraz brak alarmu wskazywały, że dość nonszalancko podchodził do kwestii bezpieczeństwa.

Dyzio wpisał „1987” i czekała go niespodzianka, gdyż napis na ekranie poinformował go, że wpisał zły PIN. Zastanowił się przez moment. Ustawienie kodu jest jedną z pierwszych czynności, które muszą wykonać użytkownicy po uruchomieniu nowego komputera. Wybierają najczęściej datę swojego urodzenia,

bo jest to pierwsza czterocyfrowa liczba, która przychodzi im do głowy. W tym wypadku było prawdopodobnie tak samo, ale Klinas w ostatniej chwili się zreflektował, że powinien wybrać coś mniej oczywistego. Pozostał przy tych samych cyfrach, lecz zmienił ich kolejność. Jednak prawdopodobnie jemu również się śpieszyło. Chciał rozpocząć pracę, a ustawianie kodu traktował jak zwykłą formalność. Wybrał więc coś, co na pewno będzie pamiętać lub co łatwo sobie przypomni. Dyzio podjął drugą próbę i wpisał 9871. Tym razem komputer natychmiast się uruchomił.

Wszedł w program pocztowy i przejrzał pobieżnie nagłówki, a gdy nie znalazł niczego, co by go zainteresowało, sprawdził folder z wysłanymi wiadomościami. Od razu zwrócił uwagę na mejla zatytułowanego „Raport – Włochy”. Natychmiast na niego kliknął. W środku znajdowała się tylko krótka informacja, że detektyw załącza raport z wykonanych dotychczas działań. Dopiero gdy Dyzio otworzył załącznik, znalazł to, czego szukał. Na samej górze widniało imię i nazwisko klienta: „Tomasz Guziec. Komornik sądowy”. Zdziwił się. Co komornik miał wspólnego z tą sprawą? Dlaczego w ogóle go to interesowało? Po co wynajmował prywatnego detektywa?

Poniżej dopisano, że zgodnie z życzeniem klienta raport został wysłany także na adres domowy w Podkowie Leśnej. Najwyraźniej komornik nie chciał, żeby te dokumenty trafiały bezpośrednio do kancelarii.

Zanim zdołał przeczytać coś więcej, usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Ktoś szybkim krokiem wszedł do gabinetu. Dyzio nie zdążył zareagować. Poczul tylko złość na Miśka, że ten nie wykonał swojego zadania. Pewnie gdyby przyszedł z nim Hyzio i Zyzio, nic takiego by się nie stało.

Klinas był wysportowanym mężczyzną. Miał zaczesane do tyłu brązowe włosy i miłe dla oka, regularne rysy twarzy. W skórzanej kurtce przypominał trochę archetyp pozytywnego bohatera serialu kryminalnego. Właśnie kogoś takiego kobiety chętnie widziałyby u boku swoich córek. W dłoni trzymał pistolet.

– Kim ty, kurwa, jesteś i co tutaj robisz? – rzucił wściekły.

Dyzio szybko analizował swoje możliwości. Każde kłamstwo, które przychodziło mu do głowy, wydawało się zbyt niewiarygodne lub po prostu głupie. Poza tym to krótkie czasowe okienko, kiedy można próbować się wyłgać, właśnie się zamknęło. Teraz najbardziej nawet prawdopodobna historia będzie oczywistym łgarstwem. Pozostawała próba ucieczki lub walka, tylko że pomiędzy nim a detektywem znajdowało się biurko. Zanim Dyzio je obejdzie, Klinas zdąży strzelić, a odległość między nimi była tak niewielka, że musiałby być zupełną fujarą, żeby nie trafić.

– Gdybym nie zapomniał zgasić światła... Kurwa – syknął detektyw. – Gadaj! Kim jesteś!

To dlatego wrócił. Włączone światło w przedpokoju. Dyzio był zły na siebie, że nie wziął pod uwagę takiego scenariusza.

– Łatwiej nam będzie rozmawiać, kiedy opuścisz broń – powiedział.

Detektyw tylko się roześmiał. A śmiech zagłuszył odgłos kroków. Za plecami Klinasa pojawił się nagle wielki cień, który wznosił pięść, a potem opuścił ją z impetem prosto na jego głowę. Mężczyzna jęknął. Jego nogi natychmiast zrobiły się miękkie. Upadł do przodu i uderzył czołem o kant biurka. Rozległo się nieprzyjemne chrupnięcie, a potem bezwładne ciało osunęło się na podłogę.

Dyzio odetchnął głęboko. Nie musiał niczego sprawdzać. Sam ten dźwięk powiedział mu wszystko – detektyw był martwy, zanim uderzył o ziemię.

Zaparkowałem pożyczonego od Aldony fiata obok mercedesa Tomasza Guźca i poszedłem za nim do domu. Wnętrze było przestronne, zadbane i czyste. Wysokiej jakości meble bez śladu kurzu i dużo zieleni. Wszystkie rośliny świetnie sobie radziły, żadna nie usychała. Zastanawiałem się, czy Guziec sam dba o dom czy wynajmuje kogoś do pomocy. Ta druga wersja wydawała się bardziej prawdopodobna. Nie brałem pod uwagę żony, bo na jego dłoni nie widziałem ślubnej obrączki, nie dostrzegałem też żadnych śladów obecności kogoś poza nim samym. Ten dom wyraźnie mówił, że jego właściciel nie tylko ma pieniądze, ale także potrafi je wydawać.

Niewiele było jednak tam rzeczy osobistych. Tylko trzy zdjęcia, portrety. Pierwszy, w srebrnej ramce przepasanej czarnym kirem, sądząc po fryzurze i stroju uśmiechniętej kobiety po trzydziestce, wykonano kilkanaście lat temu. Kolejny przedstawiał dwudziestokilkuletnią pulchną dziewczynę o blond włosach, a trzeci czarnowłosego tęgiego chłopaka. Domyśliłem się, że to rodzina Guźca. Był wdowcem.

Komornik podszedł do wykonanego na wymiar, wypełnionego po brzegi regału i ściągnął z niego kilka grubych pozycji, odsłaniając ukryty za nimi sejf. Dał znak, żebym się do niego zbliżył. Kiedy to zrobiłem, wręczył mi do potrzymania książki, a sam wyjął z kabury pistolet i zamknął go w sejfie. Odwrócił się do mnie i długo, uważnie mi się przypatrywał.

– Jeśli coś spróbujesz – powiedział spokojnie – to rozerwę cię na strzępy.

Coś w jego głosie, dziwny spokój i pewność, sprawiły, że nie zabrzmiało to jak pusta groźba. Kiwnąłem głową na znak, że rozumiem. Wziął ode mnie książki i wstawił je z powrotem na miejsce, ukrywając sejf.

– Zapasy? – zapytałem.

– Judo – odpowiedział. – A teraz brazylijskie jujitsu, bo prawdziwego judo już nie ma.

Nie rozwijał tematu, a ja nie naciskałem. Wyjął z barku butelkę whisky, nalał sobie do szklanki i spojrzał na mnie pytająco. Pokręciłem głową.

– Po co mnie pan śledził, panie... – pstryknął palcami, próbując sobie przypomnieć moje fałszywe imię – Zygmuncie?

– Chciałem pogadać.

– Rozmawialiśmy już w kancelarii.

– Tak – przyznałem. – Ale wtedy przyszliśmy do pana ze złym nastawieniem.

– Dlaczego?

– Naczytaliśmy się opowieści o tym, jak zajął pan ukochanego psa małej chorej dziewczynki.

Guziec prychnął rozbawiony.

– Pieprzony Pietrzak, zawsze to do mnie wraca – powiedział. – To nie był pies tej dziewczynki, tylko dłużnika. Jakaś wysoko oceniana, niewiarygodnie cenna suka. Jedyna istota, którą naprawdę kochał i na której mu zależało. No i żadne z jego dzieci nie było chore. Wie pan, skąd w ogóle wziął pomysł z tą chorobą? Jeden z jego wierzycieli zbierał pieniądze na zagraniczną operację swojego dziecka. Pietrzak obiecał, że je rozmnoży, a wszystko ukradł.

– Odzyskał je pan?

– W końcu – przyznał. – Część dzięki temu psu, o resztę trzeba było walczyć innymi sposobami, co zajęło za dużo czasu... Ludzie mówią, że komornik zabiera, ale to nieprawda. Komornik oddaje. Tym właśnie się zajmujemy. No dobra, a co zmieniło pana nastawienie do mnie?

– Pani Iwona.

– A! – mruknął, jakby wcale go to nie zdziwiło. – Pani Iwona. Dobra kobieta, ale trzeba ją pilnować.

– Nazwała pana świętym człowiekiem. I groziła mi nożem.

– Taak... Jest też trochę narwana. Jej mąż narobił im długów. Jakies kiepskie interesy z kiepskimi ludźmi i do tego bukmacherka. Potem męża trafił szlag. Serducho czy wieńcówka i szambo wybiło. Pani Iwona sama zajmuje się wnuczką, bo córka jest alkoholiczką, która straciła prawa do opieki. Pomogłem jej to ogarnąć. Skonsolidowaliśmy dług, wzięliśmy pożyczkę na spłacenie najważniejszych zobowiązań, znaleźliśmy jej pracę i jakoś to spłaca miesiąc po miesiącu. Ale trzeba ją pilnować i potrząsnąć od czasu do czasu, tak jak dzisiaj. Nie jestem z tego przesadnie dumny, żeby sprawa była jasna, ale tak to wygląda.

Opowieść Guźca pokrywała się z tym, co powiedziała nam wcześniej starsza kobieta, gdy Aldona zabrała ją na kawę. Jak już schowała nóż i zeszło z niej napięcie, strasznie się rozgadała.

– Dlaczego pan to zrobił? – zapytałem.

Postukał palcem w szklanę z whisky. Zauważyłem, że nie upił ani kropelki.

– Mam już swoje lata – odpowiedział po chwili. – Dzieciaki dorosły, zaczęły swoje życie. Robią inne rzeczy, kancelarii im więc nie przekażę, a ja żyję więcej niż dobrze. Stać mnie na to, żeby też solidnie pracować, bardziej patrzeć na ludzi niż na pieniądze. Tak jak się powinno robić w tym zawodzie.

Zakołysał alkoholem w szklance i wskazał na mnie palcem.

– To co? Zdałem? – zapytał kpiąco.

– To nie był test. Czego pan chciał od pana Henryka? Czemu próbował się pan z nim skontaktować?

Wydał usta, jakby zastanawiał się, czy powinien odpowiedzieć na kolejne pytanie. Na szczęście zdecydował, że tak.

– Z powodu mojej teściowej.

– To znajoma pana Henryka?

Pokręcił głową.

– Nie. Wydaje mi się, że nigdy się nawet nie spotkali. Łączyło ich tylko to, że oboje mieszkali we Włochach. Ona co prawda w innej okolicy, miała mieszkanie w jednym z bloków przy ulicy 1 Sierpnia. Aha, i jeszcze to, że oboje zostali oskarżeni o wzięcie pożyczek w jakichś szemranych firmach.

– Użył pan czasu przeszłego. „Mieszkali”.

– Moja teściowa nie żyje. Powiesiła się.

– Bardzo mi przykro.

Wzruszył ramionami.

– Po śmierci jej córki, a mojej żony, która zginęła lata temu w wypadku samochodowym, nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktu. O wszystkim dowiedziałem się już po jej śmierci, kiedy wyszły na jaw sprawy spadkowe. Okazało się, że była bardzo zadłużona – westchnął. – I wie pan co, mam do niej żal, że się do mnie nie odezwała, nie poprosiła o pomoc. Razem byśmy wymyślili, jak wyjść z tej sytuacji.

– Co się stało z długiem po jej śmierci?

– Podobnie jak w przypadku pana Henryka dług obciążał hipotekę mieszkania. Miały je odziedziczyć moje dzieci jako jedyni jej spadkobiercy, ale poradziłem im, żeby zrzekły się spadku, i przeszło na wierzyciela. A ja zacząłem się interesować całą sprawą. Kilka rzeczy zwróciło moją uwagę.

– Jakich?

– Po pierwsze pożyczka w absurdalnie wysokiej kwocie. Rozmawiałem z przyjaciółkami teściowej. Przyznawały, że żyła skromnie, ale starczało jej do pierwszego i jeszcze odkładała. Po co miałyby wziąć kilkaset tysięcy złotych pożyczki, których najwyraźniej na nic nie wydała? Do tego nie do końca udało mi się ustalić, skąd niby wzięła te pieniądze. Dług wędrował od jednego raju podatkowego do drugiego. Przez Cypr, Kajmany, Luksemburg, aż w końcu mieszkanie przejął ostateczny beneficjent, jakiś zagraniczny fundusz inwestycyjny, który kupuje u nas mieszkania na pęczki i nie ma nic wspólnego z tym pierwotnym dłużnikiem. Jaka firma tak robi?!

– Nie wiem – przyznałem. – Nie znam się za bardzo na sprawach finansowych.

– Żadna – warknął. – To od początku wyglądało na jakiś przekręt. I zacząłem się zastanawiać, czy ktoś jeszcze padł jego ofiarą.

– Dlatego wynajął pan prywatnego detektywa – domyśliłem się.

– Skąd pan wie?

– Jakies trzy tygodnie temu w miejscowym sklepie pojawił się facet, który rozpytywał o starsze osoby z problemami finansowymi. Teraz, jak poznałem pańską stronę tej historii, to łatwo dodać dwa do dwóch. Znalazł pan kogoś oprócz pana Henryka?

Podniósł w górę trzy palce.

– Jeden mężczyzna ma siedemdziesiąt lat, drugi osiemdziesiąt trzy, a kobieta siedemdziesiąt dziewięć.

– Co się z nimi stało?

– Ta sama historia. Długi, wyrok sądu, wpis do hipoteki, a potem kłopoty. Nachodzenie, zastraszanie, listy, groźby pozwów. Ten osiemdziesięcioletni był tak przerażony, że zgodził się na wszystko. Oddał

mieszkanie i teraz tuła się po przytułkach albo sypia na ulicach. Strasznie źle to na niego wpłynęło. Niewiele mówi, wciąż się boi. Kontakt z nim jest bardzo utrudniony. Szukam właśnie miejsca, gdzie by go przygarnęli na stałe. Ten drugi był w lepszej kondycji. Zaczął się stawiać.

– I co?

– I w końcu poszedł na ugodę. Oddał swoje M-3 we Włochach w zamian za kawalerkę w Płońsku. Skontaktowałem się z nim. Jest wściekły, ale równocześnie przerażony. Niewiele mi powiedział.

– A kobieta?

– Ona z kolei miała postępującą demencję. Sama uwierzyła, że wzięła dług, i przytakiwała nachodzącym ją ludziom. Oddała im mieszkanie w zamian za pokój w domu opieki, który miała mieć opłacony do końca życia. Pojechałem do niej, żeby z nią porozmawiać. Liczyłem na to, że trafię na jeden z lepszych dni i coś mi powie.

– I powiedziała?

– Nawet jej tam nie było. Podobno została wypisana na własną prośbę i pojechała do rodziny.

– A tej już nie udało się panu odnaleźć?

– Ona nie miała rodziny, u której mogłaby się zatrzymać. Była sama jak palec. Nie wiem, z kim wtedy odjechała, ale przepadła jak kamień w wodę.

Kiedy Guziec skończył mówić, aż zatrzęsł się ze złości. Wypił whisky jednym haustem, nawet się przy tym nie krzywiąc, i zaraz poszedł po dolewkę.

– Jestem pewien, że za wszystkie te przypadki odpowiadają ci sami ludzie. Ten sam sposób działania, te same mechanizmy i wybór ofiar. Stare samotne osoby, które nie mogą się obronić, bo nie ma kto im pomóc. Oczywiście każda z tych spraw różni się szczegółami. W przypadku mojej teściowej bardzo zaryzykowali, bo zwrócili się do komornika. Weszli nawet do mieszkania w asyście policji w celu sprawdzenia stanu nieruchomości. Przy pozostałych woleli jednak załatwić to w inny sposób. I niespecjalnie im się dziwię.

– Dlaczego?

– Bo w momencie, kiedy w grę zostaje włączony komornik, sprawę można zacząć wyjaśniać. Dłużnik... domniemany dłużnik – poprawił się – przestaje być bezradny. Do tego czasu wszystko może się dziać za jego plecami. Chyba.

– W jaki sposób?

Guziec przeszedł kilka kroków w bok i usiadł w skórzanym fotelu. Zająłem miejsce naprzeciwko niego.

– Biorę na pana lipną pożyczkę – zaczął opowiadać. – Od razu składam pozew do sądu elektronicznego o wydanie nakazu zapłaty. I tutaj pojawia się pierwsza trudność, bo nakaz zapłaty teoretycznie trafia do pana, a pan na niego odpowiada, czyli zgłasza sprzeciw.

– Ale ci ludzie nie odpowiedzieli?

– Nie. – Pokręcił głową. – Siedemdziesięciolatek nawet nie pamięta, by przyszło do niego takie pismo, ale tak się zdarza. Czasami pisma trafiają pod błędny adres, gdzie mieszkaliśmy dawniej. Czasami po prostu gubią się po drodze albo ktoś, komu daliśmy upoważnienie, odbiera w naszym imieniu i zapomina przekazać. W tej pracy widziałem już wszystko. Jak było z waszym Henrykiem?

– Zapytam. Co się dzieje dalej?

– Nakaz zapłaty się uprawomocnia i ja jako oszust jestem już do przodu. Idę do sądu i wnioskuję o wpisanie hipoteki przymusowej. Tutaj znowu dłużnik powinien dostać powiadomienie. Jeśli nie wnosi sprzeciwu, hipoteka się uprawomocnia. I jesteśmy tu, gdzie jest pan Henryk. Ale od tego momentu zaczynają się dla mnie schody. – Postukał się szklanką w pierś. – Żeby uzyskać nieruchomość, muszę iść do komornika, a on spotyka się z dłużnikiem. I gdy ten zapyta, o jaki, cholera, dług chodzi, zaczyna się wyjaśnianie. Czy wszystko się zgadza, czy nie doszło do żadnej pomyłki. Sprawa może znowu trafić do sądu.

– Ale pańskiej teściowej komornik nie pomógł?

Pokiwał smętnie głową.

– Niestety. Ale co do zasady...

– Lepiej to załatwić wcześniej. Stąd te nękania, groźby, niespodziewane wizyty. Cały arsenał, żeby wyrzucić staruszkę lub staruszkę z mieszkania. A jeśli się nie udaje, to idziemy na układ, jak z tym

siedemdziesięcioletkiem z Płocka.

– Tak.

Ułożyłem sobie w głowie cały ten schemat. Powtórzyłem go krok po kroku. Cały czas coś mi tam nie grało.

– Po co to robić? – zapytałem.

– Jak to po co? Żeby przejąć mieszkanie za lipny dług, którego pewnie zresztą nigdy nie było.

– We Włochach?

– Każda z tych nieruchomości to kilkaset tysięcy złotych. Duże kilkaset tysięcy złotych. A ich wartość będzie z każdym rokiem rosła, chociażby ze względu na Okęcie.

– Samoloty raczej zniechęcają do zakupu mieszkania w pobliżu lotniska.

Zaśmiał się tubalnie.

– Warszawa jest chyba jedyną stolicą z lotniskiem prawie w centrum miasta! To ponad osiemset hektarów, które po prostu się marnują. Prędzej czy później Okęcie zostanie zlikwidowane. I nawet nie mówię o tym centralnym porcie imienia baranów. Wybuduje się tam kompleks biurowców albo nowe osiedle. To będzie oznaczało nowe inwestycje, drogi, może nawet podciągną metro, chociaż jest już przecież kolejka, która może pełnić taką funkcję. Tak czy siak, ceny wszystkiego w okolicy pójdą w górę.

Wstałem z fotela. Skóra zaskrzypiała przy tym cicho. Przeszedłem kilka kroków w jedną stronę, potem w drugą. Zawsze najlepiej mi się myśli w ruchu. Ruch wymusza lepszą pracę z oddechem, krew szybciej krąży, a dzięki temu mózg jest bardziej natleniony.

– To ciągle zbyt skomplikowane – powiedziałem. – Zbyt dużo znaków zapytania, zbyt dużo ewentualnych przeszkód, zbyt dużo możliwości, żeby całe to oszustwo się wydało. Chociażby pańska teściowa. Gdyby tylko do pana zadzwoniła...

– Ale nie zadzwoniła.

– Albo gdyby któraś z innych osób poszła do dobrego adwokata.

– Ale nie poszła – zauważył Guziec.

Ten plan był brawurowy, wręcz arogancki, jakby jego twórca specjalnie wystawiał się na niebezpieczeństwo, bo bawi go świadomość, że wystarczy jeden fałszywy krok, jedno nieprzewidziane wydarzenie, a czeka go porażka. Ale Guziec miał rację: plan na razie działał. A kolejną ofiarą miał być pan Henryk.

– Od czego się zaczyna? – zapytałem.

– Co pan ma na myśli?

– Przecież nie można wziąć kredytu na kogoś ot tak. – Pstryknąłem palcami. – Gdyby to było takie proste, wszyscy by to robili.

– Wystarczą dane osobowe: imię, nazwisko, adres, PESEL. To łatwiejsze, niż się panu wydaje. Niestety, takie sprawy też znam z doświadczenia. – Podniósł szklanekę i przypatrywał się przez moment bursztynowemu płynowi, a potem odstawił ją na tekturową podstawkę leżącą na stoliku. Złożył dłonie w piramidkę. – Teraz ja – powiedział.

– Nie rozumiem.

– Pan zadawał pytania, teraz moja kolej. Chcę się dowiedzieć wszystkiego, czego dowiedzieliście się o panu Henryku i jego kłopotach.

Dałem mu ręką znak, żeby zaczynał. Rozmawialiśmy jeszcze przez prawie dwadzieścia minut. Nie widziałem powodu, żeby cokolwiek przed nim ukrywać. Zadawał rzeczowe pytania, ja równie rzeczowo odpowiadałem. Na koniec wymieniliśmy się na wszelki wypadek numerami telefonów.

– Jeszcze jedna rzecz – dodał, kiedy się żegnaliśmy. – Rozumiem Aldonę, to jego bratanica, ale pan? Czemu pan się w to miesza? Tylko wynajmuje pan u niego pokój. Mógłby pan po prostu spakować swoje rzeczy i znaleźć nowe lokum.

– Chyba z tego samego powodu, dla którego pan pomaga pani Iwonie. Ktoś to musi zrobić – odpowiedziałem.

Zrozumiał.

Bartek Sokół zadzwonił do Aldony późnym wieczorem, już po wyjściu Zygmunta. Zaskoczył ją, bo nie spodziewała się, że jeszcze kiedykolwiek będą rozmawiać. Podejrzewała raczej, że po ich wizycie na każdej wolnej ścianie w siedzibie firmy Trapper wywieszono podobizny jej i Zygmunta z prośbą, żeby pilnie zawiadomić ochronę, kiedy tylko pojawią się w okolicy. Jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy powiedział, że sprawdził informacje i chciałby na ten temat porozmawiać. Od słowa do słowa podała mu adres domu wujka, gdzie przebywała z Szymonem. Nie chciała chłopaka zostawiać teraz samego. Czuła się za niego odpowiedzialna, bo to ona przecież rozpoczęła tę awanturę z jego rodzicami. Dobrze jednak zrobiła. Znała Szymona od dawna, wielokrotnie z nim rozmawiała, pomagała mu w nauce, stała się jego powiernicą i – jak miała nadzieję – przyjaciółką. Zawsze był przygaszony, smutny, rozglądał się niepewnie na boki, jakby w każdej chwili spodziewał się najgorszego, tymczasem wystarczył jeden dzień z nimi, żeby zaczął chodzić wyprostowany i częściej się uśmiechał. Jakby spadł mu z serca jakiś ciężar. Miała wrażenie, że poczuł się z nimi bezpieczny, co było nieco absurdalne, biorąc pod uwagę to, czym właśnie się zajmowali. Aldona wiedziała, że ten stan nie potrwa wiecznie. Chłopak musiał za kilka dni wrócić do szkoły, mieć gdzie mieszkać i znaleźć kogoś, kto się nim zaopiekuje, a ona nie wiedziała, co powinna z tym zrobić.

Siedziała w pokoju wujka, głaskała kota, który przycupnął jej na kolanach, i z nudów przeglądała rozwiązywane przez wujka krzyżówki. Nawet nieźle mu szło. Miał zaskakująco bogatą i wszechstronną wiedzę. Kogokolwiek innego podejrzewałaby o to, że szukał odpowiedzi w internecie, ale wujek nie miał przecież dostępu do sieci.

Usłyszała pukanie do drzwi. Szymon wstał z kanapy, na której leżał z komórką w ręku, i pobiegł otworzyć. Aldona ostrożnie odłożyła kota i poszła za nim. Wyrzała do przedpokoju akurat w momencie, kiedy do domu wchodził Bartek Sokół. Nie miał już na sobie garnitur, tylko buty turystyczne, oliwkowe spodnie w typie bojówek, zielonkawy polar i kurtkę przeciwdeszczową. Aldona pomyślała, że na pierwszy rzut oka przypomina teraz ubiorem kilku znajomych chłopaków z organizacji humanitarnych zajmujących się pomocą uchodźcom. Ale tylko na pierwszy rzut oka, bo metki, jakoś wykonania i materiały mówiły, że te ciuchy warte są co najmniej dwa tysiące złotych, jeśli nie więcej. Nikogo z jej znajomych nie byłoby na to stać.

Sokół przywitał się z nią skinieniem głowy, a potem, jakby zawstydzony, wykonał krok w jej stronę i wyciągnął rękę. Uścisnęła ją. To samo zrobił z Szymonem.

– Chcesz się czegoś napić? – zapytała. – Herbaty, kawy?

– Woda wystarczy – odpowiedział.

Poprowadziła go do pokoju wujka Henryka i poszła do kuchni. Kiedy wróciła, siedział przy stole. Kurtkę zawiesił na oparciu krzesła. Miał długopis w ręku i dopisywał kolejne hasło do krzyżówki. Gdy postawiła przed nim szklankę z wodą, wyprostował się i miała wrażenie, że nawet lekko się zaczerwienił. Szymon leżał z powrotem na kanapie ze wzrokiem utkwionym w komórcę.

– Przepraszam – powiedział Sokół, wskazując na magazyn z szaradami. – Nie mogłem się powstrzymać.

– Rozwiązujesz krzyżówki? – zapytała lekko kpiącym tonem, z powodu którego zaraz zrobiło jej się głupio.

– To dobre ćwiczenie dla mózgu – wyjaśnił. – Wszystkie zagadki, łamigłówki, rebusy. Uwielbiam na przykład anagramy.

– Czyli w scrabble też grasz?

– Zazwyczaj w sieci – przyznał.

Zajęła to samo miejsce, co wcześniej. Rozglądała się chwilę za kotem, ale gdzieś zniknął.

– Jak to się zaczęło? – zapytała.

– Scrabble?

– W scrabble sama czasami gram. Krzyżówki.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Moi rodzice bardzo dużo pracowali. Wiadomo, w latach pięćdziesiątych, wczesnych dwutysięcznych chwyciło się każdą okazję.

– Kult zapierdolu.

– Możesz to tak nazywać – zgodził się. – Opiekowała się mną głównie babcia. W domu miała być cisza i spokój, bo dziadek albo stawiał pasjansa, albo rozwiązywał krzyżówki. To pewnego dnia siadłem obok niego i też zacząłem rozwiązywać. Dziwne, ale spodobało mi się. I nagle okazało się, że mamy z dziadkiem wspólną pasję.

– Słodka historia.

Wzruszył ramionami.

– Czego się dowiedziałeś?

Zawahał się, a potem westchnął ciężko.

– Niestety niewiele – przyznał. – Ale... Pamiętasz, jak mówiłem, że dziwi mnie ta kwota? Że jest z jednej strony wysoka, a z drugiej udzielona osobie fizycznej, czego zazwyczaj nie robimy, bo nasz klient to zupełnie kto inny?

– Tak.

– Zacząłem więc szukać. Byłem ciekawy, z kim konkretnie podpisał umowę i jak to przeszło przez nasze sito, bo jednak umowy na tak wysokie kwoty dodatkowo sprawdzamy. Przegrzebałem pożyczki, których udzieliliśmy przez ostatnie dwa lata.

– I co?

Rozłożył bezradnie ręce.

– Niczego nie znalazłem. Nie udzieliliśmy pożyczki twojemu wujkowi. Nie mogliśmy też sprzedać jego długu.

– Ale przecież w dokumentach, które dostał, jest nazwa waszej firmy.

– Wiem. Dlatego jeszcze raz to sprawdzę. Napisałem też bezpośrednio do Londynu, bo może ktoś załatwił to z pominięciem mnie, od razu z nimi.

– To w ogóle możliwe? – zapytała.

Sokół jakby nagle przygasł. Skrzywił się i jego wzrok powędrował gdzieś na korytarz.

– Teoretycznie nie – przyznał. – Ale praktycznie... Wiesz, niby jestem prezesem polskiego oddziału, czasami jednak nie wiem, co tam robię. Wszystkie ważne decyzje zapadają w Londynie. My dostajemy dyspozycje, wdramy je, a handlowcy jadą w Polskę wykonać plan sprzedaży i potem raportują to mnie, a ja jestem jakby kimś, kto przekłada papiery pomiędzy biurkami w Warszawie i Londynie.

– Och... Czyli wykonujesz po prostu *bullshit job* – stwierdziła.

– *Bullshit job*?

– Musisz przeczytać Graebera.

Zmarszczył czoło, jakby naprawdę próbował zapamiętać to nazwisko.

– A wracając do mojego wujka, przecież naprawdę mamy dokumenty...

– Wiem – przerwał jej łagodnie. – Dlatego też napiszę do naszego działu *forensic* czy innego *compliance*, żeby dowiedzieć się, co powinniśmy w tej sytuacji zrobić. Na ten moment jednak mam wrażenie, że ktoś się pod nas podszywa!

W tej samej chwili rozległ się huk pękającej szyby i przez okno coś wpadło do środka. Aldona odwróciła się. W firankę zaplątała się szklana butelka z wetkniętą w szyjkę zapaloną szmatą. Już ułamek sekundy później spadła na ziemię. Pękła. Rozlała się z niej jakaś ciecz, która natychmiast zajęła się ogniem, a wraz z nią firanka.

Sokół zareagował błyskawicznie. Poderwał się z krzesła, chwycił za szklanekę z wodą i wylał ją na płomień. Niewiele to niestety pomogło, szarpnął więc za firankę, ściągając ją w dół. Zaczął deptać płonąca tkaninę, a w końcu porwał z oparcia krzesła kurtkę i zaczął nią uderzać o podłogę, żeby stłumić ogień. Aldona miała wrażenie, że patrzy na to jak na jakiś film lub artystyczny performance. Dopiero po kilku sekundach jej ciało zaczęło reagować i zrozumiała, że to dzieje się naprawdę. Popędziła do kuchni. Za nią Szymon. Nabrali wody do pierwszych lepszych garnków, które wpadły im w ręce, i wrócili do pokoju. W tym czasie Sokołowi udało się prawie opanować ogień, ale i tak chlusnęli w miejsce, gdzie niedawno się paliło.

Bartek wyjrzał przez okno, a potem bez słowa wybiegł z domu.

– Zostań tutaj – rozkazała Szymonowi i popędziła za mężczyzną.

Wypadła na dwór w momencie, kiedy na Sokoła rzucił się ktoś z pałką. Nie widziała go wyraźnie.

Sokół zrobił unik, uderzył napastnika w twarz, potem kopnął. Pałka wypadła tamtemu z ręki i kiedy Bartek schylił się, żeby ją podnieść, dostał kopniaka prosto w brzuch. Zgiął się wpół i opadł na kolana. Aldona rzuciła się, żeby mu pomóc, gotowa walczyć, ale nie było to konieczne, bo napastnik zaczął uciekać. Podała rękę Sokołowi, a ten, wstając, skrzywił się z bólu.

– Jak dziecko – mruknął, chyba raczej do siebie niż do niej. – Dałem się zrobić jak dziecko.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wziął głęboki oddech i pobiegł z pałką w dłoni za napastnikiem.

Aldona została sama. Nie wiedziała, co powinna zrobić. Wrócić do Szymona i sprawdzić, czy z nim wszystko w porządku? Ale nie słyszała żadnych hałasów. Nie wołał też o pomoc. Po krótkim wahaniu pobiegła więc za Sokołem.

Później nie do końca potrafiła sobie przypomnieć dokładny przebieg wypadków. Miała wrażenie, że jej mózg pod wpływem stresu odciął się od większości doznań. Skupił się tylko i wyłącznie na tym, co najważniejsze, albo po prostu nie trudził się zapamiętywaniem detali, uznając, że i tak do niczego jej się nie przydadzą.

Gdy wybiegła na jezdnię, z bocznej uliczki wyjechało ciemne audi. Pędziło tak szybko, że aż nim zarzuciło na zakręcie. Niemal uderzyło w płot najbliższej posesji, ale kierowca w ostatniej chwili odzyskał kontrolę nad pojazdem, wyprostował koła i wcisnął pedał gazu. Silnik ryknął i wóz ruszył do przodu jak dzikie zwierzę.

Aldona wyskoczyła na środek jezdni, krzycząc i machając rękami. Audi zbliżało się do niej, połykając w zastraszającym tempie kolejne dzielące ich metry, a ona nie rozumiała, dlaczego samochód nie zwalnia. Przecież kierowca musiał ją widzieć. Powinien się zatrzymać, żeby jej nie przejechać. W ostatniej chwili, w jakimś krótkim przeblysku zdrowego rozsądku dotarło do niej, że on właśnie to chce zrobić.

Było jednak za późno na jakąkolwiek reakcję. Potężna siła uderzyła ją w bok, a potem rzuciła na ziemię. Aldona wylądowała na jezdni. Uderzyła tyłem głowy o asfalt i przed oczami zatańczyły jej gwiazdy. Leżała, dysząc, i dopiero po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach dotarło do niej, że po pierwsze ciągle żyje, a po drugie oddycha jej się tak ciężko, bo przygniata ją coś wielkiego. I tym czymś jest Bartosz Sokół.

– Jesteś cała? – Usłyszała jego głos.

– Jestem – wyszeptła, chociaż nie była pewna, czy to prawdziwa odpowiedź.

– W ostatniej chwili zdążyłem. Skurwiele.

– Tak – potwierdziła słabym głosem. – Skurwiele.

A potem się rozplakała, bo zrozumiała, że gdyby nie leżący na niej teraz mężczyzna, byłaby martwa.

Dyzio drapał się po głowie, przyglądając się detektywowi. Facet był równie martwy jak świeżo ścięte drzewo. Jeszcze drgała mu z jakiegoś powodu lewa noga, ale było już po wszystkim. Jedyne, co mogli teraz zrobić, to posprzątać.

– Miałeś mnie ostrzec, Misiek! – warknął.

Turek skulił się mimowolnie, jak szczeniak, który się boi, że zaraz dostanie w nos gazetą.

– Ja... ja go nie zauważyłem, panie szefie. Żadnego bmw, nie. Na koniec widzę, że ktoś wchodzi, to idę sprawdzić kto. No i to był on – tłumaczył niezgrabnie.

Dyzio prawie poczuł coś na kształt współczucia do tego wielkiego, niezgrabnego bałwana, z którego ramienia ciągle zwisała torba kurierska. Faktycznie, w tych ciemnościach miał prawo go nie zauważyć. Zresztą widział jego zdjęcie tylko przez krótką chwilę, no i zapewne detektyw, podobnie jak oni, zaparkował gdzieś dalej, gdzie znalazł wolne miejsce, i dotarł do klatki na piechotę. Niemniej Misiek nie wykonał zadania, a potem zabił faceta jednym ciosem pięści. Ale to też nie było najgorsze rozwiązanie całej sytuacji. Klinas przecież zaskoczył Dyzią nawet nie z ręką w majtkach, ale z gotowym do akcji fiutem na wierzchu. Metaforycznie rzecz ujmując, oczywiście. Zagroziłby całej operacji, gdyby nie... Tak, zabójstwo było posunięciem radykalnym, ale i skutecznym.

Postanowił, że opierdzieli Miśka później. Teraz musieli zająć się trupem. Dyzio mógł sobie pogratulować – zawsze dobrze mu szło myślenie pod presją, a plan działania już sam układał mu się w głowie.

Nachylił się nad ciałem. Na całe szczęście nie krwawiło, a więc nie zostawiło żadnych plam, które należałoby najpierw wyczyścić. Przeszukał kieszenie spodni i kurtki Klinasa. Znalazł pęk kluczy do biura i domu, kluczyki do bmw, telefon, a potem portfel. W środku znalazł dowód, prawo jazdy, karty bankowe i kilka luźnych rachunków oraz banknotów. Żadnych zdjęć żony i dzieci oraz brak obrączki na palcu. Czyli nie był żonaty. To dobrze. Przy odrobinie szczęścia minie kilka dni, zanim ktoś z najbliższej rodziny zacznie go szukać. W takich sprawach to kupa czasu.

– Zostań tutaj – rozkazał Miśkowi. – I niczego nie dotykaj. Rozumiesz?

– Tak, panie szefie.

– Dobrze.

Opuścił biuro detektywa, już na klatce ściągając kominiarkę. Najpierw poszedł do swojego wozu i z torby ze sprzętem w bagażniku wyjął niepozorne urządzenie. Po drodze zahaczył o otwarty sklep monopolowy. Kupił tam małąkę wódki i paczkę papierosów. Potem wrócił pod blok i zaczął krążyć wokół, szukając wzrokiem bmw Klinasa, raz po raz naciskając trzymany w kieszeni pilot. W końcu jedno z aut zamrugało światłami. Stało zaledwie dwieście metrów od klatki. Znakomicie, pomyślał Dyzio, nawet nie trzeba go będzie przestawiać.

Wrócił do biura. Przez moment zastanawiał się, jaki powinien być ich kolejny krok. Niewątpliwie trzeba było pozbyć się ciała, ale co z całą resztą? Czy zabrać ze sobą komputer? Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że nie. Każda akcja powoduje reakcję, każda próba zatarcia śladów sama zostawia ślad. Liczył się umiar. Ta cała sytuacja powinna wyglądać jak najmniej podejrzenie. Dlatego komputer zostawią na miejscu, a Dyzio po prostu usunie z niego te dokumenty, które dotyczą ich operacji. Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że takie dane zawsze da się odzyskać. Żeby mieć pewność, powinien zniszczyć twardy dysk, połamać go na drobne kawałki i najlepiej porozbijać młotkiem, ale coś takiego zwróciłoby uwagę najgłupszego nawet policjanta.

Siadł do komputera. Przez kilka minut przeczesywał foldery, a potem usuwał wszystkie pliki, które wydały mu się podejrzane. Następnie wyczyścił zawartość kosza. Nie był pewien, czy postępuje słusznie. Być może powinien jednak zabrać laptop? Tylko czy coś by to dało? Detektyw mógł mieć kopie zapasowe tych plików na zewnętrznym dysku schowanym choćby w sejfie. Być może już wysłał ten raport, nie korzystając z programu pocztowego, tylko z jakiejś skrzynki pocztowej, a Dyzio nie miał czasu sprawdzać też historii przeglądarki. Możliwości było zbyt dużo. Nie. Należało zachować spokój, postępować z umiarem. Do tej pory przynosiło to dobre rezultaty, dlatego więc akurat w tej sytuacji miałyby się nie sprawdzić?

Wyłączył komputer. Co z komórką? Gdyby miał pod ręką Hyzia i Dyzia, dałby ją jednemu z nich, kazał pojeździć po Warszawie, a na koniec wejść do jakiegoś zatłoczonego baru i zostawić niby przypadkiem na stoliku, kiedy pójdzie do kibla. Ktoś by ją na pewno zwinął i problem sam by się rozwiązał. Zresztą do planu, który zamierzał wykonać, i tak potrzebował dwóch osób, ale nie siostrzeńców. Dbał o nich, lepiej, żeby o niczym nie wiedzieli.

A może po prostu zostawić telefon detektywa w biurze? Śledczy pomyślał, że Klinas go zapomniał. Dyzio szybko odrzucił ten pomysł – to by nie przeszło. Nie w dzisiejszych czasach, kiedy ludzie prędzej gubili własną głowę niż komórkę. Dlatego włożył ją do kieszeni, a potem otworzył buteleczkę z wódką i wylał całą na twarz oraz szyję detektywa.

– Bierzemy go pod ramiona i wynosimy stąd – powiedział do Miśka.

Turek bez słowa wykonał polecenie. W tym aspekcie był lepszy od Hyzia i Zyzia, którzy na pewno zarzuciliby go masą niepotrzebnych pytań. Wyszli na klatkę schodową, gdzie na chwilę przystanęli, żeby Dyzio mógł zamknąć drzwi. Już na dworze zrobili kolejny przystanek. Tam wsadził trupowi papierosa w usta i go odpalił. Fajka pewnie i tak w końcu wypadnie, ale przez chwilę będzie dobrze wyglądać.

– Idziemy – rzucił.

Poprowadził Miśka w stronę samochodu detektywa.

– Chodź, stary, chodź – mówił niby do Klinasa. – Spiłeś się jak świnia. Jak świnia! Ale położymy cię do łóżeczka i jutro będziesz jak nowo narodzony. I znowu będziesz mógł się napić...

Opowiadał takie głupoty przez całą drogę do bmw na wypadek, gdyby kogoś spotkali. Przypadkowy przechodzień niewątpliwie wzięłyby ich za dwójkę facetów, którzy odprowadzają pijanego kolegę do domu. I jeśli nie zaczęłyby się uważnie przyglądać – a dlaczego by miał, ludzie na taki widok najczęściej odwracają wzrok lub nawet przechodzą na drugą stronę ulicy – nie dostrzegłyby niczego podejrzanego. Było to lepsze niż zawijanie ciała w dywan, którego zresztą w biurze nie było, i wynoszenie z domu w ramach rzekomej przeprowadzki.

Dotarli bez przeszkód do bmw. Dyzio otworzył tylne drzwi i gdy położyli ciało na kanapie, wyprostował się, ocierając pot z czoła. Zmęczył się bardziej, niż przypuszczał, chociaż to przecież Turek wziął na siebie większy ciężar. Trochę niepokojąca była ta siła Miśka.

– Dobra – powiedział, wręczając mu kluczyki. – Zapnij mu pasy, żeby go nie rzucało w czasie jazdy jak dziwkę po kościele. Poczekasz na mnie w samochodzie, aż podjadę, i ruszysz za mną. Zrozumiałeś?

– Tak, panie szefie.

– Świetnie. Aha, i jeszcze jedno. – Dał Miśkowi niewielkie urządzenie. – Wsadzisz to do portu USB natychmiast, jak wsiądziesz. Na pewno jakieś jest.

– Dobrze.

– No... – Zawahał się na moment, a potem klepnął Turka po ogromnym ramieniu. – Damy sobie z tym radę.

Urządzeniem, które mu wręczył, był zakłócaacz sygnałów GPS. Dyzio nie wiedział, czy samochód detektywa jest wyposażony w jakikolwiek nadajnik, ale lepiej było dmuchać na zimne.

Wrócił do swojego wozu. Wyjął z kieszeni komórkę Klinasa, wsadził ją pod tylne koło, a potem uruchomił silnik i przejechał po niej kilka razy. Wysiadł, podniósł zmasakrowany telefon, po czym złamał go na pół. Śmieci wrzucił do kieszeni i dopiero wtedy ruszył.

Podjechał do bmw, dał Miśkowi znać, że ma się go trzymać, a potem skierował się do miejsca pod Warszawą, które zlokalizował wcześniej. Miał w głowie kilka miejscówek do wykorzystania w takich sytuacjach. To akurat było niewielkim, podłużnym, ale jednak dość głębokim jeziorem. Wzdłuż jednego brzegu ciągnęły się zabudowania wsi, wzdłuż drugiego pola i nieużytki, a także droga szutrowa, którą teraz wykorzystali. Jezioro należało do jakiegoś stowarzyszenia czy koła rybackiego, łowić ryby oraz pływać mogli więc tu wyłącznie jego członkowie. Zresztą wodą była na tyle mętna, że nie przyciągała amatorów. Poza tym nawet jeśli ktoś wpadnie na pomysł, żeby zażyć kąpieli, to najwcześniej za parę miesięcy.

Na miejscu wyjęli ciało detektywa, rozebrali je i zabrali wszystkie rzeczy osobiste. Potem znaleźli kilka ciężkich kamieni i przyczepili do ciała za pomocą srebrnego scotcha. Nie było to idealne rozwiązanie, ale tylko takimi narzędziami w tej chwili dysponowali.

– Wrzuć je teraz do jeziora – powiedział Dyzio, a Misiek po raz kolejny bez słowa wahania wykonał polecenie.

Chwycił zwłoki pod pachy i uniósł. Żeby je zatopić, musiał wejść do wody aż po pas. Wtedy się zatrzymał i spojrzał pytająco na Dyzia.

– Głębiej – rozkazał mu mężczyzna.

Turek sapnął, ale zrobił parę kroków do tyłu.

– Jeszcze głębiej!

Wszedł aż po szyję, a potem nawet nieproszony pociągnął za sobą ciało jeszcze dalej, płynąc przez kilka metrów, żeby wreszcie je puścić i pośpiesznie zawrócić na brzeg. Kiedy stanął na lądzie, miał niezadowoloną minę i szczekał zębami.

– Zimno mi, panie szefie.

– Wyschniesz w samochodzie. Włącz sobie nawiew.

– Ale...

– Kurwa, Misiek! – syknął Dyzio, postanawiając zdusić w zarodku najmniejszy nawet przejaw sprzeciwu. – Czy ty widzisz, co ja tu robię?! Ja ci pomagam, Misiek! Bo ty wiesz, co ty zrobiłeś?! Zabiłeś człowieka! Policjanta zabiłeś! – skłamał, chociaż nie do końca, bo Klinas był przecież kiedyś policjantem. – Ty wiesz, co w Polsce robią z takimi jak ty?

Zamykają za kratami na kilkadziesiąt lat, ale Misiek ze swoją krzepą i pięściami jak młoty świetnie poradziłyby sobie w więzieniu, dodał w myślach. I pewnie miałyby tam lepiej niż w tej tureckiej wiosce, z której przyjechał.

– Wskakuj do bmw – rzucił już łagodniejszym tonem. – Została nam ostatnia rzecz.

Zrobił to specjalnie. Gdyby jego plan się nie powiódł i ktoś kiedyś odnalazł samochód, to lepiej, żeby znajdowały się w nim ślady biologiczne Miśka, a nie jego.

Kilkadziesiąt minut później byli już we Włochach i podjeżdżali pod warsztat. Grzesio czekał na nich na podwórku. Kulał lekko i zerkał przestraszony na Dyzia, jakby obawiał się, że ten znowu dźgnie go nożem.

– Prezent ci przywiozłem, Grzesiu! – powiedział wesoło Dyzio i wskazał na bmw.

– Co to za wóz?

– No co ty, nie rozpoznajesz? Beemka przecież. Ma parę lat, ale za to jest za darmoszkę. Możesz to potraktować jako gest dobrej woli.

– Ale co ja mam z nią zrobić? – zapytał cicho mechanik.

Dyzio spowaźniał.

– Rozebrać na części – powiedział – i je sprzedać. Gówno mnie obchodzi, gdzie i komu. Kasę możesz sobie zatrzymać, jak mówiłem, ale samochód ma zniknąć. Ma go nie być. Ma się rozplynać. Kapewu? I masz to zrobić teraz, zaraz, na wczoraj.

Grzesio przełknął ślinę.

– Chryste, Dyzio, czyj to wóz...

– Nie chcesz, kurwa, wiedzieć. Dla własnego dobra. Zrozumiałeś?

– Tak.

– I jeszcze jedno. Jeśli spróbujesz zrobić jakiś numer z wozem, jeśli spróbujesz mnie wychujać, to następnym razem mój nóż nie trafi w nogę, ale trochę wyżej. – Dyzio chwycił go za krocze i ścisnął. Nie za mocno. Nie chciał mu zrobić krzywdy, tylko postawić znaczącą kropkę na koniec swojej wypowiedzi.

Mechanik zapiszczał, pobladł, a w jego oczach pojawiły się łzy.

– Nie będzie żadnego numeru – powiedział tak cicho, że ledwo go było słyhać.

– No to super, że się rozumiemy – mruknął zadowolony Dyzio. – To udanej roboty.

Puścił Grzesia, a potem ruszył do swojego wozu. Po drodze machnął na przyglądającego się tej scenie Turka.

– Wskakuj, Misiek – rzucił, wsiadając do samochodu. – Podwiozę cię do domu.

– Dziwne miejsce na przechadzkę – rzuciłem głośno z oddali, żeby nie przestraszyć Aldony nagłym pojawieniem się tuż obok.

Poprzedniej nocy, po moim powrocie od komornika, tak naprawdę niewiele się wydarzyło. Dowiedziałem się, co się stało, a potem wymieniliśmy się informacjami. Ja tym, co usłyszałem od Guźca, Sokół tym, co wyciągnął ze swojej firmy. Nie analizowaliśmy jednak wiadomości, tylko poszliśmy spać, bo wszyscy, szczególnie Aldona, byli roztrzęsieni i potrzebowali odpoczynku. Po kilku godzinach snu, ze świeżym umysłem, mieliśmy zastanowić się, co powinniśmy teraz zrobić.

Sokół został na noc. Uparł się, że chce nas pilnować. Aldona też nie wróciła do siebie. Oddałem jej więc swoje łóżko, a my urządziliśmy sobie postanie w kuchni.

On wstał pierwszy. Nad ranem. Na dworze było jeszcze ciemno. Ubrał się pośpiesznie i zapukał do pokoju Aldony, żeby się pożegnać. Słyszałem ich prowadzoną szeptem rozmowę. Tłumaczył, że musi już jechać, żeby wziąć prysznic, umyć zęby i przebrać się w czyste ciuchy, ale będą w kontakcie. Dziewczyna podziękowała za pomoc i jakiś kwadrans później wyszła z domu. A ja poszedłem za nią.

Nie ukrywałem się przesadnie. Trzymałem się kilkanaście metrów z tyłu. Szliśmy uliczkami Włoch, którymi z rzadka przejeżdżały auta, a za tło dźwiękowe służyły nam śpiew ptaków i szum samochodów z pobliskiej alei Krakowskiej. Wkrótce dotarliśmy na niewielki cmentarz znajdujący się na tyłach salonu Forda.

Kiedy się odezwałem, Aldona odwróciła się w moją stronę. W jej spojrzeniu najpierw pojawiło się zaskoczenie, a później lekkie rozbawienie połączone z rezygnacją.

– Chciałam pobyć sama – powiedziała.

– Wiem. Powinienem to uszanować, ale wczoraj prawie wpadłaś pod samochód.

– Chciał mnie przejechać! – rzuciła wściekle.

Według Sokoła niemal weszła pod pędzący wóz, machając rękami i w ostatniej chwili udało się ściągnąć ją z ulicy. Uznałem jednak, że nie ma co tego roztrząsać.

– I dlatego zaczęłaś myśleć o śmierci? – zapytałem.

– Wręcz przeciwnie. Przyszłam zerknąć na ten grób. Zauważyłam go, kiedy tu byłam ostatnim razem.

Popatrz.

Wskazała na nagrobek, przed którym stała. Było na nim tylko nazwisko. Bez daty narodzin, bez daty śmierci, a nawet imienia.

– Zakleпали sobie kwaterę – powiedziała. – I nic dziwnego. Cmentarz prawie w sercu miasta, dobra lokalizacja. Może nie tak prestiżowy jak Powązki, ale nie trzeba będzie jeździć na Bródno. Dla mnie to trochę symboliczne. My, biedacy, zabijamy się w Warszawie o mieszkania i to, jak widać, dosłownie, a bogaci wykupują sobie dobre miejsca na cmentarzu. Na przyszłość. A może nawet, kurwa, jako inwestycję.

– Nie wiesz, czy są bogaci.

– Może i nie, ale i tak ich na to stać. – Wzruszyła ramionami. – Chciałam po prostu popatrzeć na niego przez chwilę i pomyśleć o tym, co się wydarzyło. Przepracować to, że ktoś chciał spalić dom mojego wujka, a ja byłam w środku.

– Jeśli to cię pocieszy, to nie chcieli go spalić.

– Wrzucili nam do środka butelkę z benzyną.

– No właśnie – powiedziałem. – To drewniany budynek, dość stary, a drewno jest wysuszone. Gdybym ja chciał go spalić, oblałbym benzyną lub inną łatwopalną substancją od zewnątrz. Bardzo starannie i w kilku miejscach, żeby pożar zaczął się z różnych stron i trudniej było go ugasić. Oni natomiast wrzucili butelkę do środka, do pokoju, w którym wiedzieli, że są ludzie. Do tego była chyba wypełniona do połowy.

– Czyli nie chcieli podpalić domu? – zapytała.

– Tylko zastraszyć – odparłem. – Pokazać, że nie cofną się przed niczym. Kolejny element ich gry, która ma ostatecznie skłonić pana Henryka do oddania domu.

– Wujek jest w szpitalu.

– Mogą tego nie wiedzieć.

Szarość jesiennego poranka zaczęła powoli ustępować blaskowi dnia. Zza chmur wyłoniło się na

moment słońce i zrobiło się odrobinę cieplej i przyjemniej.

– Co powinniśmy teraz zrobić? – zapytała. – Pójść na policję?

– Możemy.

– Ale...

– To nie mój dom i nie moje życie – zauważyłem. – Nie ja powinienem podejmować decyzję, co należy zrobić w takiej sytuacji.

– Pytam cię o radę.

– Mamy po swojej stronie Tomasza Guźca, który grzebie w tym od dawna. Mamy Sokoła. Mamy znacznie więcej informacji niż jeszcze wczoraj. Gdyby to ode mnie zależało, drażyłbym dalej i dowiedział się czegoś więcej o tej grupie. Kto do niej należy, jak działają, jak wybierają ofiary. Dopiero wtedy, z pełnym pakietem danych, poszedłbym na policję – powiedziałem.

Aldona stuknęła dwa razy czubkiem buta o nagrobek, jakby chciała sprawdzić, czy jest wystarczająco solidny.

– Zatem tak zrobimy.

– A twój wujek?

– Pójdę go dzisiaj odwiedzić. Wracajmy.

Ruszyliśmy w drogę powrotną. Aldona milczała, zatopiona w swoich myślach. Nie pośpieszałem jej. Najwyraźniej ciągle potrzebowała czasu, żeby przepracować wszystko to, co się wydarzyło w ciągu ostatniej doby.

W domu okazało się, że wrócił Sokół. Przebrał się i ogolił. Teraz miał na sobie dzinsy, koszulę w kratę i ciemną marynarkę.

– Pozwoliłem sobie nastawić kawę – powiedział, kiedy weszliśmy. – I kupić kilka rzeczy na śniadanie, bo w twojej lodówce była straszna pustka, Aldona.

We dwójkę przygotowali jedzenie, a po kilkunastu minutach siedzieliśmy już wszyscy przy stole, pożeraliśmy kanapki i popijaliśmy ciepłą jeszcze kawę. Była mocna i bardzo gorzka. Dobra.

– To jaki jest plan? – zapytał Sokół, kiedy Aldona wyjaśniła mu, że na razie nie chce zgłaszać napaści na policję i zamierza sama prowadzić śledztwo.

Przełknęła to, co miała w ustach, a potem podrapała się po czole.

– Właściwie to sama jeszcze nie wiem – przyznała. – Trzeba by chyba z kimś porozmawiać.

– Z kim?

Aldona przez chwilę myślała nad odpowiedzią, a potem wzruszyła ramionami.

– Trzeba zacząć od początku – odezwałem się.

– Czyli?

– Od pożyczki – wyjaśniłem. – Ktoś ją wziął na nazwisko pana Henryka. Pytanie, kto i jak to możliwe. Czego potrzeba, żeby zaciągnąć taką pożyczkę? – zapytałem, spoglądając na Bartka.

– No cóż, przede wszystkim kogoś, kto zechce jej udzielić. A biorąc pod uwagę kwotę z jednej strony i wiek oraz dochody pana Henryka z drugiej, żadna firma na rynku nie podpisałaby z nim umowy. Nie na takich warunkach.

– Tylko że nie wiadomo, czy te pieniądze zostały w ogóle komukolwiek wypłacone – zauważyłem. – Pan Henryk na pewno ich nie dostał. Myślę, że nigdy ich nie było. Liczył się sam papier, zobowiązanie, z którym można iść do sądu. Pytanie więc brzmi, czego potrzeba do podpisania takiej umowy.

– Danych osobowych – odpowiedział po chwili namysłu Sokół. – Imię i nazwisko akurat łatwo zdobyć, ale z adresem, PESEL-em i numerem dowodu jest już trudniej.

– No nie do końca – odezwał się Szymon. – Teraz oszuści są bardzo sprytni. Wysyłają mejle, podszywając się pod banki. Wszystko wygląda bardzo legitnie, a ludzie im odsyłają komplet informacji na swój temat. Nawet skany dowodów!

– Wujek nie korzysta z internetu – przypomniała mu Aldona.

– Ano tak – przyznał chłopak. – To może ktoś mu dowód ukradł?

Spojrzeliliśmy wszyscy na dziewczynę.

– Nic o tym nie wiem. Nie mówił nic na ten temat.

– Może nie chciał cię martwić?

– Skradzionym dowodem? Raczej by tego przede mną nie ukrywał, a nawet jeśli, to przecież nie jest

głupi. Sam by poszedł na policję i zgłosił sprawę.

– Ale nie możemy być tego pewni – zauważyłem, a ona niechętnie kiwnęła głową.

– Zapytam go o to dzisiaj – powiedziała. – Chociaż jestem przekonana, że nikt mu nie ukradł dowodu.

– Podał swoje dane przez telefon? – rzucił kolejny pomysł Szymon. – Wiecie, ktoś się przedstawił jako telemarketer z banku albo poinformował, że pan Henryk wygrał jakąś nagrodę, tylko najpierw musi podać swoje dane, żeby można było zweryfikować. I pan Henryk podał, a jak się okazało, że żadnej nagrody nie ma, to ze wstydu nikomu się nie przyznał.

Ta hipoteza brzmiała bardzo sensownie, ale Aldona skomentowała ją krótkim wybuchem śmiechu.

– Nie znacie wujka. Jeśli tylko dzwoni do niego jakiś telemarketer, to albo od razu się rozłącza, albo zaczyna na niego krzyczeć, że mu dupę zawracają i nie dają spokoju. Najbardziej nie lubi tych od fotowoltaiki. – Zerknęła na nas i przewróciła oczami. – No dobra, widzę wasze miny. Zapytam go o to.

Wziąłem kolejną kanapkę ze wspólnego talerza. Jadłem powoli, zastanawiając się nad dostępnymi hipotezami. Jeśli ktoś ukradł panu Henrykowi dowód osobisty, nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Mogło się to stać wszędzie i trwało ułamek sekundy. Szukaj wiatru w polu. Aldona była jednak przekonana, że gdyby faktycznie skradziono mu dokumenty, toby o tym wiedziała. Wierzyłem jej. Druga hipoteza, czyli wyłudzenie danych przez fałszywego telemarketera, też nie dawała nam wielkich możliwości, w dodatku coś mi tu nie grało. Miałem wrażenie, że w tej historii przestępcy chcą być bardzo blisko swoich ofiar. Móc od początku do końca patrzeć im w oczy, jakby strach starszych ludzi był dla nich równie ważny, co wyłudzone nieruchomości. A tacy raczej nie rozpoczynaliby operacji od rozmowy telefonicznej.

Raz jeszcze próbowałem ułożyć sobie cały schemat tego przekrętu. Przypomniałem sobie wszystko, co mi opowiedział Guziec, i nagle w mojej głowie pojawiła się jakaś myśl. Początkowo ledwo zwróciłem na nią uwagę, ale zaraz do niej wróciłem. Im bardziej się jej przyglądałem, tym bardziej wydawała mi się sensowna.

– Twój wujek ma konto bankowe? – zapytałem Aldonę.

– Eee... Nie wiem. Chyba nie.

– To w jaki sposób odbiera emeryturę?

W jej oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Listonosz!

– Listonosz – potwierdziłem. – Czyli ktoś zaufany, szczególnie dla ludzi starszych. Ktoś, kogo znają od lat, bo odwiedza ich w domach i reprezentuje ważną instytucję państwową, właściwie jest urzędnikiem. I wreszcie ktoś, kto bez problemu znajdzie pretekst, żeby zajrzeć do czyjegós dowodu osobistego. A przepisanie lub nawet zapamiętanie potrzebnych danych to przecież kilka, kilkanaście sekund.

– Cholera... – mruknęła dziewczyna. – Naprawdę wierzysz, że członkiem tej grupy jest listonosz?

– To tylko hipoteza, którą trzeba zweryfikować – odparłem. – I tym właśnie dzisiaj się zajmę. Spróbuję się dowiedzieć, kto tutaj pracuje na rewirze.

– Ja pojadę w odwiedziny do wujka – stwierdziła. – Wypytam go o to wszystko. Może coś jeszcze z niego wyciągnę.

– Pojadę z tobą – zaoferował się Sokół.

– I weźcie ze sobą Szymka. – Wskazałem na chłopaka. – Nie powinien tutaj zostawać sam.

– Hej! – zaprotestował Szymon. – Poradzę sobie.

Wystarczyły jednak spojrzenia całej naszej trójki, żeby zrozumiał, że nie ma sensu dyskutować.

– A ty będziesz sam? – zapytała mnie Aldona. – Wydaje mi się, że potrzebujesz pomocy. Kogoś, kto zna okolicę i tutejszych ludzi.

– To prawda, ale ty jedziesz do szpitala.

– Nie myślałam o sobie – stwierdziła. – Zadzwońię po Michaśkę.

To jednak trochę dziwne i niezręczne, pomyślała Aldona, idąc w towarzystwie Bartosza Sokoła szpitalnym korytarzem. Szła przecież odwiedzić chorego krewnego, a na takie wizyty nie zabiera się kogoś, kogo dopiero co się poznało, tylko... No właśnie, kogo? Partnera? Chłopaka? W każdym razie kogoś bliskiego. Tyle że dotarło to do niej dopiero, kiedy dojechali do szpitala, a głupio jej było powiedzieć Sokołowi, żeby czekał na nią w samochodzie. Szczególnie że to był jego samochód i faktycznie poświęcał swój czas, żeby im pomóc, a mógł po prostu machnąć na to wszystko ręką. Szymon został na parkingu. Naburmuszony, powiedział, że będzie tam na nich czekać.

Doszli do drzwi właściwej sali. Zapukała kurtuazyjnie, bo były otwarte na oścież, i wsunęła głowę do środka. Wujek leżał z poduszkami ułożonymi troskliwie pod plecami. Na kolanach rozłożone miał czasopismo z krzyżówkami, nad którym zawisała drżąca dłoń z długopisem. Aldonę ścisnęło w sercu. Pomyślała, że w szpitalnym łóżku wygląda na drobnego i słabego. Tutaj tak się zmienił czy zawsze taki był, a ona po prostu tego nie dostrzegała? Przestraszyła się, że ta druga wersja może być prawdziwa.

Wujka poznała lepiej, kiedy przyjechała na studia do Warszawy. Ciocia już wtedy nie żyła, a rodzice nie mieli za dużo pieniędzy. Przygarnął ją więc i oddał pokój, który teraz zajmował Zygmunt. Przemieszkała u niego rok, a potem poszła na swoje. Nie dlatego, że było jej tam źle. Wręcz przeciwnie, polubiła wujka i tę jego szorstkość, rzeczowość, milkliwość, ale też życzliwość. Zawsze spokojnie, krok po kroku, rozwiązywał wszystkie problemy, które stawiało przed nim życie. Nie skarżył się, nie narzekał, po prostu robił swoje. Pomagał jej na tyle, na ile mógł i potrafił. Tak naprawdę wyprowadziła się dlatego, że niezręcznie na przykład było przyprowadzać chłopców do domu brata jej własnego ojca, a w pierwszych latach studiów chętnie korzystała z uroków wolności i uczyła się seksu, własnego ciała oraz upodobań. Poza tym miała daleko na uniwersytet.

Znalazła więc sobie pracę, zarobiła trochę w wakacje i skorzystała z propozycji znajomych, którzy szukali właśnie sublokatora. Potem mama dostała lepszą posadę, rodzice zaczęli pomagać, a ona coraz częściej brała zlecenia na mniejsze i większe roboty przy różnych projektach dla zaprzyjaźnionych NGO-sów. Niemniej regularnie odwiedzała wujka. Przyjeżdżała na godzinę, dwie, żeby wypić z nim herbatę i trochę pogadać, chociaż częściej po prostu razem milczeli. Lubiła to. W jej chaotycznym często życiu były to chwile autentycznego wypoczynku. A do tego wujek jedną uwagą czy pytaniem potrafił rozjaśnić Aldonie w głowie, pomóc ułożyć klocki we właściwy sposób. No i miło było mieć w tym wielkim mieście kogoś, na kim mogła naprawdę polegać. Korzystała więc z tego chyba bardziej, niż wujek zdawał sobie sprawę.

A teraz to on potrzebował jej pomocy.

– Cześć, wujku – powiedziała, wchodząc do sali i mimowolnie ścisząc głos, kiedy zorientowała się, że na drugim łóżku jakiś mężczyzna cicho pochrapuje z książką rozłożoną na piersi.

– Aldonka! A co ty tu robisz? – zapytał wujek i natychmiast zrobiło jej się miło, bo usłyszała autentyczną radość w jego głosie.

– Odwiedzam cię. Sprawdzam, czy czegoś nie potrzebujesz, a także...

Zawahała się. Nagle przyszło jej do głowy, że może nie powinna poruszać teraz sprawy fałszywego długu, bo może lepiej, żeby wujek odpoczywał.

– Co także?

– Chcieliśmy panu zadać kilka pytań – odezwał się Bartek Sokół, mijając Aldonę i wyciągając dłoń w stronę Henryka.

Ten odłożył długopis na krzyżówkę i przywitał się uściskiem.

– Bartosz Sokół. Jestem prezesem polskiego oddziału firmy Trapper.

Henryk zmrużył powieki.

– Ta... – mruknął.

– Bartek nam pomaga! – powiedziała szybko Aldona.

– Staram się. Podobno to w naszej firmie wziął pan tę feralną pożyczkę. Od razu powiem, że w naszych systemach nie ma po niej najmniejszego śladu.

– To skąd się wzięła? – zapytał Henryk.

– Próbujemy to właśnie ustalić – odparł Sokół. – Proszę mi wierzyć, mnie też zależy, by dowiedzieć

się, o co w tym wszystkim chodzi. Bo ta sytuacja uderza w reputację firmy, którą prowadzi.

Henryk skrzywił się, jakby nie był do końca przekonany. W tym momencie leżący na drugim łóżku mężczyzna chrząknął, chrapnął, a potem zaczął przeraźliwie kaszleć, jakby się zakrztusił. Aldona chciała już pobiec po pielęgniarkę lub lekarza, ale tamten się uspokoił i znowu spokojnie oddychał.

– Robi tak co kilka, kilkanaście minut – odezwał się Henryk. – W nocy nie da się spać, ale poza tym to porządny facet. – Zamilkł na moment, po czym machnął ręką. – Jakie macie te pytania? – rzucił zrezygnowany.

Popatrzyli po sobie, nie wiedząc, które z nich powinno zacząć. Wreszcie odezwała się Aldona. Krótko opowiedziała o tym, czego dowiedziała się do tej pory. Wujek słuchał uważnie i czasami podnosił palec, prosząc w ten sposób, żeby na moment się zatrzymała. Na jego czole pojawiały się wtedy głębokie zmarszczki, jakby wszystko układał sobie w głowie, a potem dawał znać, żeby mówiła dalej. Wreszcie doszła do hipotez, które układali tego ranka, i zadała mu pytania. Henryk upierał się, że nikt nigdy nie ukradł mu dowodu osobistego. Nie był głupi, wiedział, że w takiej sytuacji trzeba natychmiast iść na policję i do banku. Nie dostał żadnego mejla, bo z internetu nie korzysta i nie zamierza. Wszyscy to chwala, ale jemu się nie podoba i do niczego nie jest potrzebne. Nie podawał też nikomu swoich danych osobowych przez telefon, bo – jak już raz powiedział – nie jest głupi.

– A co z listonoszem? – zapytała Aldona. – Dawałeś mu kiedyś swój dowód osobisty?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Ale że pan Mirek? – rzucił. – Miałby mieć coś z tym wspólnego? To wrażliwy człowiek, poeta. Kiedyś nawet dzieci uczył.

– Dawał mu pan swój dowód do skserowania lub coś takiego? – wtrącił się Bartek.

Henryk odwrócił głowę, a Aldona zorientowała, że wujkowi zrobiło się teraz po prostu wstyd.

– Było coś takiego – wymamrotał i zaraz chrząknął, kiedy dotarło do niego, jak cicho mówi. – Jakoś rok temu? Może krócej – dodał nieco głośniej. – Przyszedł do mnie z emeryturą i powiedział, że coś się w systemie zmieniło. Jakieś przepisy w rozporządzeniu ministra. Nie pamiętam dokładnie. W każdym razie powiedział, że musi dowód sprawdzić i wpisać go do systemu. I że to jednorazowa sprawa.

– Co to niby za system? – zapytał Sokół.

– Nie wiem. Pocztowy jakiś.

– Słyszałeś coś o tym? – Aldona zerknęła na Bartka, a ten pokręcił głową.

– Ale to nic nie znaczy – dodał zaraz. – To nie jest moja dziedzina. My w firmie nawet z poczty nie korzystamy, tylko z usług firmy kurierskiej. Panie Henryku, a jak wyglądało to wpisywanie do systemu?

– No, wziął mój dowód osobisty, coś tam zeskanował z obu stron, powiedział, że wszystko się zgadza, i oddał razem z emeryturą.

Zeskanował, powtórzyła w duchu Aldona. Czyli zrobił zdjęcia, tak po prostu. Na oczach człowieka, którego wystawił jako ofiarę wyjątkowo perfidnego oszustwa. Aż nią zatrzęsło. Pomyślała, że gdyby teraz stanął przed nią ten listonosz, bez zastanowienia rzuciłaby mu się do gardła. I nieważne, co stałoby się z nią dalej.

– Czyli pan Mirek... – powiedział cicho Henryk.

Aldona nachyliła się do Bartosza, trąciła go lekko palcami i wskazała ruchem głowy na drzwi. Natychmiast zrozumiał. Pożegnał się, podziękował za poświęcony czas, życzył zdrowia i wyszedł z pokoju.

– Długo tu jeszcze zostaniesz? – zapytała wujka.

– Lekarze mówią, że jeszcze trochę, bo trzeba zrobić parę dodatkowych badań. Ale ja już chcę do domu. Szpital to nie miejsce, żeby... – Urwał w połowie, jakby w ostatniej chwili czegoś się przestraszył.

– Żeby co, wujku?

– Żeby tak leżeć na dupie i nic nie robić – dokończył głośno, ale z udawaną złością, a w oczach pojawiły mu się wesołe iskierki.

Aldona uśmiechnęła się i chwyciła go za dłoń. Ścisnęła ją delikatnie.

– Chciałam tylko powiedzieć, wujku, że to nie twoja wina.

– Co nie moja wina?

– No, ta cała afera z listonoszem, chociaż nie mamy jeszcze pewności, że to on.

Wesołość nagle zniknęła z twarzy Henryka.

– Człowiek powinien być mądrzejszy – powiedział cicho.

– Nie możesz tak myśleć. To, że ufasz ludziom, których znasz od lat, nie jest przecież błędem. To nie jest twoja wina, że cię oszukali, tylko ich. Pamiętaj o tym, dobrze?

Pokiwał głową, ale ona nie była wcale pewna, czy faktycznie się z nią zgadza, czy robi tak tylko po to, żeby ją uspokoić. Podniósł rękę i wskazał palcem na otwarte drzwi.

– Tamten facet – mruknął.

– Bartek.

– No, Bartek. Pierwsze wrażenie zrobił na mnie kiepskie. Nie wiem, coś takiego jest w jego twarzy, w oczach... Ale potem go polubiłem. Sympatyczny facecik, dobry materiał na... Kiedyś się mówiło: na męża, ale teraz chyba mówicie inaczej, nie? Partner?

Aldona parsknęła.

– Wujku, ja go znam ledwo od wczoraj.

– Czasami tyle wystarczy, Aldona – powiedział wujek. – Czasami tyle wystarczy.

Z Michaśką miałem się spotkać w południe w siedzibie stowarzyszenia, w którym działała Aldona, co mnie trochę irytowało, bo oznaczało to zmarnowanie kilku godzin. Postanowiłem je wykorzystać, włócząc się trochę po okolicy. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiekowi przyda się znajomość miejscowej topografii.

Gdy równo w południe wszedłem do siedziby stowarzyszenia, czekał tam na mnie pulchny chłopak w okularach, z długimi, ciemnymi, zaczesanymi za uszy włosami. Ubrany był w luźne, obszerne ciuchy, jakby chciał się w nich schować, ale kiedy na mój widok się poderwał i ruszył naprzeciwko z wyciągniętą do przywitania ręką, jego postawa i energiczne ruchy zdradzały, że nie ma problemów z nieśmiałością.

– Michaśka.

Potrzebowałem sekundy, a potem podałem jej rękę.

– Zygmunt.

– Nie wyglądasz na Zygmunta – odpowiedziała.

– Dlaczego?

– Zygmunt powinien mieć wąs. I łysinę.

– Wąs zawsze mogę zapuścić, a włosy ściąć.

– Co do włosów, zgoda, ale z wąsem to już nie taka prosta sprawa, bo Zygmunt ma takiego, którego hoduje się przez pokolenia. Twój ojciec musiałyby mieć wąs, twój dziadek musiałyby mieć. I uczyłybyś się od nich, jak go nosić i o niego dbać.

Pokiwałem głową.

– No cóż... Może coś w tym jest, ale ty też nie wyglądasz na Michaśkę.

Cofnęła się o krok, zacisnęła pięści, równocześnie wyciągając w moją stronę głowę i szczerząc drapieżnie zęby, jakby zaraz zamierzała mnie ugryźć.

– A jak kto?

– Powiedziałbym... Gosia?

Całe ciało Michaśki w jednej sekundzie się rozluźniło, a ona sama wybuchnęła śmiechem.

– Skurwiel z ciebie, wiesz?

– Niektórzy faktycznie tak uważają.

– No dobra. – Klasnęła w dłonie. – To co, czas poszukać tego listonosza, tak?

Okazało się, że Michaśka wykonała wcześniej pewną pracę, a konkretnie pochodziła po osobach, którym pomaga stowarzyszenie, i pytała o listonoszy. Dzięki temu stworzyła listę kilku nazwisk, przynajmniej częściowo uzupełnioną adresami.

– Włochy to w sumie mała dzielnica – wyjaśniła. – Jeszcze całkiem niedawno była osobnym miasteczkiem, stąd tutaj ulica Kazimierza Wielkiego.

– Chyba nie rozumiem – powiedziałem.

Już wcześniej nią szedłem i zwróciłem uwagę ze względu na brak pewnej kartograficznej logiki. Inne ulice w okolicy powinny nawiązywać do pozostałych królów Polski lub piastowskich książąt. To miałyby sens, ale zamiast tego nosiły nazwy takie jak Skromna czy Geologiczna.

– To taka mała ulica ukryta gdzieś na boku – zaczęła tłumaczyć Michaśka. – A za patrona ma jednak Kazimierza Wielkiego, nie? Takiemu Kazimierzowi wypadałoby w Warszawie dać jakąś reprezentatywną arterię, a ma osiedlową drogę. No, tylko że nadali jej to imię, jak Włochy jeszcze były Włochami, a nie częścią Warszawy. Po przyłączeniu okazało się, że w stolicy nie ma Kazimierza Wielkiego, i zostawili go tutaj. Zresztą działo się to za czasów ciężkiego PRL-u, może więc komunistom pasowało, żeby Kazika mieć gdzieś na peryferiach.

Teraz zrozumiałem, o co jej chodziło.

– To wróćmy do listonosza.

– No dobra, listonosz. Zebrałam info, kto chodzi po dzielnicy, co nie było takie trudne, bo tutaj ludzie dzielą się na dwie kategorie. Tych, którzy traktują Włochy jako sypialnię i właściwie mają wyjebane na wszystko, oraz tych, którzy żyją tutaj od pokoleń albo wsiąkli w dzielnice. Tych drugich jest niestety coraz mniej, ale ciągle tu mieszkają i sporo wiedzą. Wystarczy tylko popytać.

Wziąłem do ręki listę i przyjrzałem się uważnie.

– Kto chodzi z listami do pana Henryka?

– Mirek Sosnowski.

Znalazłem to nazwisko na liście. Był przy nim jego adres.

– Mieszka we Włochach czy...

– Włochy.

Nie wypuszczałem listy z rąk. Dostrzegłem lukę w naszej hipotezie. Niemożliwe, żeby jeden listonosz obsługiwał całą wielką dzielnicę, a dotychczasowe ofiary szajki mieszkały co prawda we Włochach, ale raczej nie były sąsiadami. Co z kolei oznaczało, że w spisek musieliby być zaangażowani wszyscy listonosze w okolicy, ale to wydawało mi się mało prawdopodobne. Im więcej ludzi, tym większa szansa, że któryś z nich w końcu pięknie, coś komuś powie specjalnie lub przypadkiem.

– Oni mają swoje rejony, prawda?

– Tak, ale niekoniecznie się ich trzymają.

Spojrzałem pytająco na Michaškę.

– To jest Warszawa, duże miasto, dużo pracy, a listonosze zarabiają... No, co mam ci powiedzieć, może gdzieś na głębokiej prowincji to wciąż atrakcyjna praca, ale nie tutaj.

– Czyli mają braki kadrowe?

– Ogromne! Do tego wystarczy, że ktoś zachoruje i wszystko zaczyna się sypać, a przesyłki leżą i czekają. Ale – Michaška wzniosła palec – ponieważ listonosze zarabiają tak mało, chętnie biorą nadgodziny. Co oznacza, że każdy z nich ma swój rejon i że tak naprawdę pracują wszędzie.

To rozwiązywało przynajmniej jedną zagadkę i sprawiało, że nasza hipoteza robiła się trochę bardziej prawdopodobna.

– No dobra – powiedziałem. – Poszukajmy tego Mirka.

Michaška uśmiechnęła się szeroko, jakby tylko na to czekała.

Najpierw wykonała kilka telefonów, zbierając informacje, po czym poprowadziła mnie przez dzielnicę. W pewnym momencie dostrzegliśmy samotnego mężczyznę, który szedł ulicą, ciągnąc za sobą wózek z przesyłkami pocztowymi. Przyglądałem mu się przez chwilę z bezpiecznej odległości. Nosił kurtkę z logo Poczty Polskiej i wełnianą czapkę, pod którą się pocił, bo co chwila ją zdejmował, przecierał chusteczką czoło i zakładał z powrotem. Około pięćdziesięciu lat, z lekką nadwagą, co mnie zaskoczyło, biorąc pod uwagę zawód, który wykonuje. Listonosze zazwyczaj są szczupli, bo codziennie pokonują kilkanaście kilometrów. Już samo zjedzenie odpowiedniej ilości pokarmu, żeby uzupełnić stracone w ten sposób kalorie, było osiągnięciem. Ten najwyraźniej potrafił do tego dołożyć coś ekstra. Do otyłego ciała nie pasowała szczupła twarz z orlim nosem i mocnymi rysami. Kiedyś musiał być przystojnym mężczyzną, ale teraz sprawiał wrażenie przede wszystkim zmęczonego i rozczarowanego. Chodził lekko przygarbiony i powłóczył nogami, jakby nie chciało mu się nawet stawiać porządnie kroków.

Obserwowaliśmy go przez pewien czas. Najwyraźniej nie miał dużo przesyłek do rozniesienia, bo wiele czasu zajmowały mu pogawędki z napotkanymi ludźmi. Witały go głównie starsze osoby. Pewna siwowłosa kobieta zdawała się na niego czekać – wypatrywała go przez okno, a kiedy tylko się pojawił w zasięgu jej wzroku, wybiegła na dwór, pośpiesznie zarzucając sweter. Odebrała list, a potem energicznie zapraszała listonosza do siebie. Mówiła bardzo głośno, więc nawet ja usłyszałem, jak namawia go na „kawkę z ciasteczkami”. Mirek w końcu uległ i zniknął we wnętrzu domu na kilkanaście minut. Wyszedł z niego z uśmiechem na twarzy, który jednak zniknął natychmiast, kiedy wrócił do przerwanej obchodu. Pomyślałem, że jeśli takich przerw na poczęstunek ma więcej, to tłumaczy jego nadwagę.

– Będziemy tak za nim chodzili? – zapytała Michaška.

– Nie.

Zobaczyłem i dowiedziałem się już wszystkiego, czego chciałem. Pan Mirek dobrze nadawał się na naszego podejrzanego. Znał ludzi w okolicy i pozostawał z nimi w serdecznych stosunkach. Bez problemu wyobrażałem sobie, jak prosi staruszkę od ciastka i kawy o dowód, a potem zniknął z nim na kilka minut. Kobieta pewnie nawet byłaby zadowolona, że dzięki temu spędził u niej trochę więcej czasu. To wszystko oczywiście jeszcze nie oznaczało, że był winny. Miałem jednak pomysł, jak to sprawdzić.

– To co zrobimy?

– Poczekamy na niego w domu.

– U pana Henryka?

– Nie. U niego.

– Naprawdę będziemy teraz to robić? – zapytała Michaśka.

Kiwnąłem głową.

– Już wolałam, jak go śledziłyśmy. Było nudno, ale przynajmniej coś się działo.

– Na tym polega ta robota.

– Na siedzeniu?

– Na czekaniu.

Skrzywiła się, jakbym właśnie powiedział coś przykrego, ale rozumiałem jej zniecierpliwienie. Zrobiło się zimno, Michaśka wsadziła więc ręce do kieszeni i skuliła się. Znajdowaliśmy się na osiedlu niskich, trzypiętrowych bloków, wybudowanych jeszcze w PRL-u i z pobliskiej ławeczki obserwowaliśmy klatkę schodową prowadzącą do mieszkania naszego listonosza. Spędziliśmy w ten sposób już ponad godzinę i przez ten czas nie wydarzyło się absolutnie nic ciekawego, jeśli nie liczyć dwóch srok, które pokłóciły się o błyszczący papierek na ziemi.

– Czym się zajmujesz? – zapytałem, żeby pomóc Michaśce zabić czas.

Sam byłem przyzwyczajony do długich okresów beczynności, nie miałem nic przeciwko temu, o ile takie czekanie miało do czegoś doprowadzić. A to miało. Potrzebna była tylko odrobina cierpliwości.

– Ale tak w życiu?

– W życiu – potwierdziłem.

– Studiuję... chyba.

– Chyba?

– No chyba... Nieważne zresztą. Poza tym to głównie pomagam. Stowarzyszeniu, uchodźcom z Ukrainy i tym gorszym uchodźcom na granicy białoruskiej...

Zawiesiła głos i zerknęła na mnie, zapewne sprawdzając, jak na to zareaguję.

– Co dokładnie robisz?

– Jeżdżę tam z ekipą, zresztą z okolicy. Teraz zajęli budynek przy pomniku ofiar Kopernika. W sensie ofiar katastrofy tego samolotu Kopernik, kiedy zginęła ta... no, ta piosenkarka...

– Anna Jantar – pomogłem jej.

– No właśnie! Tam są takie budynki otoczone murem. Kiedyś było to schronisko ze szkołą dla nieletnich, w sensie poprawczak. Dzieciaki czekały tam na wyroki, a przy okazji się uczyły. No ale zamknęli, bo mieli zrobić w tym miejscu szkołę dla sędziów i prokuratorów. Ale nie zrobili i teraz to niszczeje.

– I ten budynek zajęli?

– Nie! No co ty! To cały wielki kompleks. Drut kolczasty, strażnicy, co chwila ktoś przyjeżdża z ministerstwa sprawiedliwości, żeby zrobić wielkie, kurwa, nic. Za tym kompleksem stoją puste budynki, nie wiadomo czyje. Może kiedyś należały do schroniska albo instytutu, który jest po drugiej stronie płotu. W każdym razie chłopaki zajęły taki niski blok, jednopiętrowy, z halą. Nikt go nie pilnuje, i się tam urządziły, na razie nikt ich stamtąd nie wyrzuca.

– I z nimi jeździsz na granicę białoruską?

Michaśka energicznie pokiwała głową.

– Regularnie! Tamtędy ciągle próbują przejść ludzie! Niby jest ten płot, ale przechodzą górą, dołem, przepływają rzekami. Nikt im nie pomaga. Gubią się potem na bagniskach, a jak już z nich wychodzą, trafiają na strażników granicznych lub żołnierzy. Jeśli mają szczęście, trafiają do ośrodka dla cudzoziemców, a jeśli pecha, co się zdarza częściej, z powrotem na Białoruś.

– Czyli sama chodzisz po bagnach i szukasz uchodźców?

– Nie sama, z ekipą.

– I co robicie, gdy kogoś znajdziecie?

Zawahała się na moment, jakby nagle przyszło jej do głowy, że może nie powinna mi jednak tego wszystkiego opowiadać.

– Pomagamy. Bo ktoś musi – powiedziała. – A ty co o tym myślisz?

– To, że idzie nasz listonosz. – Wskazałem ruchem głowy mężczyznę zmierzającego w stronę bloku.

– Zostań tutaj.

- Dlaczego?
- Bo zrobię teraz coś, w czym wolałbym, żebyś nie uczestniczyła.
- Ale ja się nie boję.
- Wiem, będziesz jednak potrzebna mi później. Zostań tutaj i czekaj.

Żeby nie przedłużać tej dyskusji, wstałem i ruszyłem w stronę listonosza, który właśnie wchodził do klatki schodowej.

- Pan poczeka! – krzyknąłem, kiedy już miał zamykać drzwi.

Instynktownie zatrzymał się i spojrzał na mnie. Zyskałem dwie, trzy sekundy, żeby do niego dobiec. I tyle właśnie mi wystarczyło.

– Dziękuję – powiedziałem z uśmiechem, przytrzymując drzwi i dając mu ręką znak, żeby szedł przodem.

Zawahał się. Wiedział, że powinien jakoś zareagować, przynajmniej zapytać, kim jestem lub co tutaj robię, zamiast wpuszczać obcą osobę na klatkę. Podobnie jednak jak większość ludzi w takiej sytuacji uznał, że lepiej nie wsadzać nosa w nie swoje sprawy. Gdyby postanowił inaczej, powiedziałbym, że idę w odwiedziny do ciotki. Trzeba mieć wyjątkowego pecha, żeby trafić na kogoś, kto drażyłby temat.

Weszliśmy do środka. Budynek miał trzy piętra, nie był więc wyposażony w windę. Listonosz wspiął się na drugie, ja kilka kroków za nim. Kiedy wyciągnął klucze z kieszeni, stanąłem metr, może półtora od niego, opierając się dłonią o barierkę. Otworzył drzwi i dopiero wtedy odwrócił się do mnie z niewyraźną miną.

- Pan coś ode mnie chce? – zapytał niepewnie.

Trochę mnie zaskoczył. Przez całą drogę na górę mowa jego ciała zdradzała, że czuje się niepewnie, mając mnie za plecami. Trzymałem dystans, ale to zawsze niepokojące, kiedy nieznany mężczyzna z jakiegoś powodu idzie za tobą krok w krok. Wydawało mi się, że będzie próbował jak najszybciej wejść do mieszkania, on jednak wybrał konfrontację. Prawdopodobnie odwagi dodały mu otwarte drzwi. Instynktownie wydawało mu się, że będzie w stanie się za nimi schować, gdyby sprawy potoczyły się w złą stronę. Mylił się.

Wpadłem w niego całym ciałem, wpychając go do środka. Równocześnie przytrzymałem za kurtkę, żeby się nie wyrócił. Kiedy przekroczyliśmy próg, uderzyłem go pięścią w brzuch i puściłem. Listonosz zgiął się wpół, a potem opadł na kolana. Dyszał rozpaczliwie z szeroko otwartymi ustami jak świeżo wyjęty z wody bożonarodzeniowy karp. Z oczu ciekły mu łzy. Zamknąłem za nami drzwi, chwyciłem go za kołnierz kurtki i zaciągnąłem w głąb mieszkania. Wciąż zwiżał się z bólu i wiedziałem, że ten stan trochę potrwa, miałem więc czas, żeby się rozejrzeć.

Kuchnia, łazienka oraz dwa pokoje wyposażone w mieszaninę mebli z lat dziewięćdziesiątych i ikeowskich zestawów. Pod jedną ze ścian stał regał wypełniony książkami, a wśród nich całą półkę zajmowały te same egzemplarze dwóch poetyckich tomików podpisanych „Miroslaw Sosnowski”. Na ścianach wisiały obrazki kupione na straganach w Kazimierzu Dolnym czy Zakopanem. Do tego zdjęcia Mirka z jakąś brunetką. Pochodziły z różnych lat. Na tych najwcześniejszych kobieta szeroko się uśmiechała, radośnie i z ulgą, jakby właśnie podjęła jakąś trudną decyzję i okazało się, że wybrała słusznie. Z biegiem lat jednak uśmiech gasł, a na ostatnich kąciki jej ust ledwo się podnosiły, a w oczach dało się dostrzec z trudem ukrywane rozżalenie.

- Pieniądze...
- Nie chcę pieniędzy – powiedziałem, wracając do listonosza.
- To czego chcesz? – wysapał.
- Pogadać.
- Pogadać? O czym?
- O tym, co zrobiłeś.
- Co zrobiłem?

Nachyliłem się nad nim. Trudno było ocenić, czy kłamał, bo wciąż zwiżał się z bólu. Chyba uderzyłem go mocniej, niż miałem zamiar.

– Ci starsi ludzie uważają cię za przyjaciela – zacząłem. – Pewnie dlatego, że jesteś jedyną osobą, która regularnie ich odwiedza. Wpada na ciastka i kawę, rozmawia i interesuje się nimi. Można powiedzieć, że jesteś dla nich bliższy niż ich własne dzieci. No i do tego jesteś listonoszem. Ten znaczek na twojej kurtce

ciągle budzi zaufanie, a ty to wykorzystujesz, żeby wyciągnąć ich dane i wziąć na nich lipne kredyty.

– Nie mam... pojęcia... o... co... chodzi...

Z trudem podniósł na mnie wzrok. Poczerwieniał na twarzy, wyglądał tak jak ktoś, kto nie umie się zdecydować: wymiotować czy nie.

Mogłem go jeszcze przycisnąć. Potrząsnąć nim, postraszyć i uderzyć kilka razy, co może skłoniłoby go do mówienia, ale były dwa problemy. Pierwszy natury etycznej, drugi technicznej. Pierwszy polegał na tym, że nie wiedziałem, czy listonosz jest winien. Ta wersja wydawała mi się najbardziej prawdopodobna, istniała jednak spora szansa, że nie miał z tym nic wspólnego, a wówczas znęcałbym się nad niewinnym człowiekiem. Zresztą już i tak wtargnąłem do jego domu i go uderzyłem. A co do drugiego problemu – nawet jeśli okazałoby się, że bierze udział w spisku, to czy byłem w stanie nastraszyć go bardziej niż jego mocodawcy? Być może tak, być może nie, ale jakoś nie miałem ochoty tego sprawdzać.

– Wiem, co zrobiłeś – więc tylko powiedziałem. – Pamiętaj o tym.

A potem wyszedłem.

– I czego się dowiedziałeś? – spytała niecierpliwie Michaśka, kiedy dołączyłem do niej na dole.

– Jeszcze niczego – stwierdziłem zgodnie z prawdą, a ona posłała mi pytające spojrzenie. – Lepiej, żeby mnie tutaj teraz nie było, za to ty powinnaś zostać i obserwować wejście do bloku. Masz telefon z aparatem fotograficznym?

– Oczywiście – rzuciła, jakby to było najgłupsze pytanie na świecie.

– Każdemu, kto wejdzie do tej klatki w ciągu najbliższej godziny, zrobisz zdjęcie. Tylko dyskretnie. Bo właśnie w tej chwili pan Mirek do kogoś dzwoni.

– Niby do kogo?

– To zależy. Jeśli jest niewinny, na policję, żeby zgłosić wtargnięcie i pobicie. Jeśli jest zamieszany w tę sprawę, właśnie informuje o wszystkim swoich mocodawców, a oni przyjadą tu najszybciej, jak mogą, żeby dowiedzieć się, co się dokładnie stało.

Przyjrzałem się Michaśce. Patrzyła na mnie hardo, dziwnie podekscytowana. Nie byłem pewien, czy powinienem dawać jej to zadanie do wykonania, czy nie narażałem jej na niepotrzebne ryzyko, ale tylko tak mogliśmy się czegoś dowiedzieć.

– Nie zrób tylko nic głupiego – poprosiłem. – Pamiętaj, to są naprawdę niebezpieczni ludzie.

Klepnąłem ją po ramieniu i odszedłem. W duchu miałem nadzieję, że listonosz nie ma z tą całą awanturą nic wspólnego, a jedynymi osobami, które wejdą do klatki, okażą się funkcjonariusze policyjnego patrolu.

Po wizycie u wujka znowu zrobiło się trochę niezręcznie. Zygmunt z Michaśką włączyli się za listonoszami, a Sokół i Aldona nie wiedzieli, co powinni zrobić, dlatego rozstali się na przyszpitalnym parkingu. Sokół powiedział, że musi jechać na kilka godzin do firmy. Skontaktuje się z Londynem, spróbuje ich zainteresować całą sprawą i może uda mu się zdobyć jakieś informacje na temat tego dziwnego kredytu. Umówili się, że po południu zjedzą coś wspólnie u Taty Turka.

Za to Szymon zniknął, ale sprawa szybko się wyjaśniła. Kiedy Aldona zadzwoniła, obrażonym tonem oznajmił, że nie chciał mu się czekać i po prostu wrócił do domu. Potem zaczął narzekać, że nie ma wi-fi, dlatego musi wykorzystywać internet w komórce. Zirytowana poradziła mu, żeby poszedł do miejscowej biblioteki, gdzie na pewno jest wi-fi. Odpowiedział, że się zastanowi, ale szczerze wątpiła, by skorzystał z tej możliwości.

Do spotkania z Bartkiem zostało jej kilka godzin, pojechała więc do wynajmowanego mieszkania i siadła do komputera. Odpowiedziała na zaległe mejle, których oczywiście zebrało się nieprzyzwoicie dużo i natychmiast wywołały w niej falę wyrzutów sumienia, że zaniedbuje sprawy stowarzyszenia, a przecież sporo osób liczyło na pomoc.

W ostatniej chwili zorientowała się, że powinna jednak się zbierać. Pośpiesznie spakowała do torby ciuchy na zmianę i wzięła prysznic, bo czuła, że jej skóra ciągle pachnie wczorajszą nocą – potem, paloną benzyną oraz strachem. Spojrzała na swoją twarz w lustrze i znów pomyślała o Bartku. Może powinna się umalować? Nie miała na to co prawda czasu, ale w końcu jechała spotkać się z facetem, który... No, ale jej się podobał i w związku z tym chciała jakoś wyglądać. Tyle że widział ją przecież bez makijażu. Czy teraz nie będzie to dziwne i zbyt ostentacyjne, jeśli przyjdzie umalowana?

Biła się tak przez chwilę z myślami, a potem, złościąc się na siebie, sytuację i społeczną konwencję, sięgnęła po kosmetyczkę, pogodzona z tym, że przyjdzie na spotkanie spóźniona.

Kiedy pojawiła się u Taty Turka, Sokół był już oczywiście na miejscu. Spodobało jej się to, lubiła punktualnych mężczyzn. Siedział przy stoliku i sprawdzał coś w komórce, ale regularnie zerkał w stronę drzwi. Na jej widok natychmiast się poderwał, uśmiechając się radośnie, co sprawiło, że ona również się uśmiechnęła. Zrobiło jej się jakoś przyjemnie i od razu spanikowała, bo nie wiedziała, jak się z nim przywitać. Oficjalnie, uściskiem ręki? A może się do niego przyjacielsko przytulić? W końcu uratował jej wczoraj życie, a teraz bezinteresownie pomagał. Tylko czy to nie będzie za dużo?

Na szczęście to on wykonał pierwszy krok – zdecydował się na szybki, nienachalny uścisk. Kolejny plus, ceniła facetów, którzy wiedzą, czego chcą. Oboje zajęli miejsce przy stoliku.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytała i od razu zrobiło jej się głupio.

Nie powinna zaczynać rozmowy tak bezpośrednio, od razu przechodząc do sedna. Pomyślała, że od dawna nie była na porządnej randce. Chociaż to też nie była randka, tylko właściwie profesjonalne spotkanie. Prawda więc okazała się jeszcze smutniejsza: Aldona od dawna nie spotkała żadnego faceta, który by jej się podobał. Dlatego teraz trochę głupiała, jakby zapomniała tych wszystkich ruchów, tekstów, zachowań, które jeszcze parę lat temu przychodziły jej naturalnie.

Sokół na szczęście zupełnie nie zwrócił uwagi na jej zmieszanie.

– Wysłałem wiadomość do Londynu i jeden gość od nich obiecał, że się temu przyjrzy, ale nie wiem, czy cokolwiek z tym zrobią poza naprawdę niezbędnym minimum.

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– Bo ich pierwsze i najważniejsze pytanie dotyczyło tego, czy firma jest uszkodzona. Gdy odpowiedziałem, że nie i najwyraźniej te pieniądze nigdy od nas nie wyszły, od razu się uspokoili.

– Ale ktoś się pod was podszywał!

– Tak. I dlatego zrobią niezbędne minimum, żeby na wszelki wypadek w papierach został ślad, że zareagowali. Ale czy zrobią cokolwiek ponadto? Mam wątpliwości. Będę ich cisnął, ale wiesz, my jesteśmy tylko jednym rynkiem z wielu, a ta sprawa dotyczy tylko pół miliona złotych, co jest tylko ułamkiem naszych aktywów. I to drobnym, więc... – Przerwał, kiedy zobaczył minę Aldony. – Przepraszam. Wiem, że to dotyczy twojego wujka i dla ciebie to nie jest żaden ułamek.

Uśmiechnęła się kwaśno.

– Spoko. Dobrze wiedzieć, jak patrzę na takie historie wielkie korporacje międzynarodowe. Nie żebym kiedykolwiek miała jakiegokolwiek złudzenia.

Sokół już się zbierał, żeby coś odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował, jakby poczuł, że brakuje mu argumentów. Dlatego po prostu wskazał palcem za siebie, w stronę wiszącego nad barem menu.

– Chcesz coś do jedzenia? – zapytał.

– Falafel z frytkami.

– A ja... kebab z sosem... ostrym ostrym? Co to jest?

– Napalm – odezwał się przechodzący obok nich chłopak o gładko wygolonej głowie i w skórzanej kurtce. Z lewego ucha zwisał mu zawadiacko kolczyk z zielonym piórem. – Dodają do niego benzyny i pewnie tłuczonego szkła. O, cześć Dona!

– Cześć, Mike – odpowiedziała dziewczyna.

– Będziesz na imprezie w squacie? Jutro robimy. Bluza już się zapowiedziała, że przyjdzie.

Minęłyście się.

– Naprawdę?

– No! Przed chwilą była, pogadaliśmy chwilę i wyszła.

– Pewnie do stowarzyszenia pojechała – domyśliła się Aldona. – A z jakiej okazji ta impreza?

– No, nasze pierwsze urodziny. I kto wie, czy nie jedyne.

– Mają was wyrzucić?

Chłopak wyszczerzył zęby łobuzersko.

– Wiesz, jak jest, Dona. W każdej chwili mogą sobie o nas przypomnieć. No, lecę. Trzymajcie się, kochani!

Machnął do niej na pożegnanie, ona odpowiedziała tym samym gestem i wyszedł, trzymając w dłoni zawiniętą w srebrną folię kanapkę.

– Faktycznie ten sos ostry ostry jest taki ostry?

– Nie wiem – powiedziała. – Nigdy nie próbowałam. Nie starczyło mi odwagi.

Sokół przez moment się wahał, a potem pacnął otwartą dłonią w stół.

– Dobra. Raz się żyje.

Kiedy złożył zamówienie, Tata Turek, który akurat stał przy kasie, zapytał go dwa razy, czy jest pewien. Powtarzał, że sos jest naprawdę ostry. Sokół potwierdził i wrócił do Aldony.

– No co? – zapytał, widząc jej spojrzenie.

– Dużo ryzykujesz.

– Daj spokój. Jak ostry może być ten sos?

– Mówiłam ci, że nie wiem. Ale pamiętam, jak jeden facet ubrudził sobie nim palec, a potem przetarł oczy, wiesz, tak mimowolnie, i wyładował w szpitalu.

– Teraz sobie ze mnie żartujesz. Bo żartujesz, prawda?

Nie odpowiedziała.

Tata Turek przyniósł ich zamówienie szybciej, niż Sokół się spodziewał. Przed Aldoną postawił talerz z falafelem, a przed nim z kanapką. Klepnął go jeszcze po ramieniu, jakby chciał mu w ten sposób dodać odwagi, i wrócił za ladę. Sokół odwinął srebrną folię i zważył kebab w dłoni.

– Trochę mam tremę – przyznał.

– Nie musisz go przecież jeść. Możesz zamówić coś innego.

– Wiesz, jak wejść facetowi na ambicję.

– Wy i ta wasza samcza duma – prychnęła.

– To ona napędza świat.

– I konflikty zbrojne.

– To prawda. Ale ma też pozytywny wpływ na...

– Będziesz gadał czy w końcu zacniemy jeść? – zapytała.

Sokół wyszczerzył się w uśmiechu i wbił zęby w kebab, odgryzając solidny kęs. Zaczął energicznie przeżuwać. Nagle oczy mu się zaszklily, a twarz stała się czerwona. Otworzył usta, jakby chciał krzyknąć, potem dwa razy uderzył pięścią w stół, żeby wreszcie się poderwać i pobiec do ubikacji. Zamknął się w niej na kilka minut. Kiedy wyszedł, ciężko dyszał, a na policzkach ciągle było widać ślady łez.

Stojący za ladą Tata Turek zaczął się śmiać i klaskać. Zaraz dołączył do niego pracujący na kuchni

chłopak. Sokół spojrział na nich, a potem uklonił się głęboko. Wreszcie zajął miejsce przy stole, równocześnie odsuwając od siebie talerz z kebabem.

– Nie śmieć się – powiedział do Aldony.

– Przecież się nie śmieję.

– On jest naprawdę bardzo ostry.

– Wiem. Tak się przecież nazywa. Ostry ostry. Czyli sam rozumiesz, ostry do potęgi. Zamów sobie coś innego.

– Nie wiem, czy przez najbliższą godzinę będę w stanie cokolwiek przełknąć.

– Biedaczek.

W tym momencie Aldona zobaczyła, jak drzwi baru otwierają się i do środka wchodzi Zygmunt z Michaśką. Poczowała ulgę, że są cali i zdrowi. Niby nie było ich tylko parę godzin, niby mieli tylko sprawdzić teorię z listonoszami, ale i tak czuła niepokój.

Podziękowali, gdy zaproponowała, że coś im zamówi, jadła więc sama, bo Sokół zdecydowanie nie wyglądał na kogoś, kto miałby siłę i ochotę cokolwiek wkładać sobie teraz do ust.

Najpierw Aldona z Bartkiem opowiedzieli o wizycie w szpitalu, potem przyszła kolej na tamtych. Co ciekawe, głównie mówiła podekscytowana Michaśka. Zaczęła od tego, że ich hipoteza się potwierdziła: dane osobowe naprawdę pochodziły od listonosza, który wyłudził je od starszych osób. Potem ze szczegółami opowiedziała, jak go śledzili, wyczekiwali u niego przed domem, jak Zygmunt zniknął na kilka minut w bloku, a potem zostawił Michaśkę na czatach.

– No i po jakichś dwudziestu minutach pojawiło się dwóch typów w skórach. I wyobraź sobie, że przyjechali audycją. Zrobiłam im zdjęcia!

Michaśka wyjęła komórkę i zaczęła pokazywać kolejne fotografie. Nie były może najlepszej jakości, ale dało się rozpoznać ludzi, którzy na nich widnieli.

– Tego młodszego znam – odezwał się Zygmunt, wskazując na jednego z mężczyzn. – Spotkałem go u twojego wujka. Dołożyłem mu trochę.

– A ten drugi?

– Nie wiem. Nigdy go nie widziałem. A wy?

Aldona nachyliła się nad telefonem. Sokół zrobił to samo, a potem zgodnie pokręcili głowami.

– Za to ja go znam! – zawołała tryumfalnie Michaśka. – Widziałam wczoraj, jak gadał z Miśkiem.

– Miśkiem? – zdziwiła się Aldona. – Czego od niego chciał?

– Nie mam pojęcia. Widziałam tylko, że gadali, i Misiek chyba go zna.

Obie dziewczyny zaczęły się rozglądać, ale kuriera w restauracji nie było.

– To co teraz? – zapytała Aldona.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział Zygmunt. – Trzeba usiąść i zastanowić się nad tym, co już wiemy. Przeanalizować, jaki ruch będzie najlepszy.

– Możemy przycisnąć tego listonosza, skoro już wiemy, że to na sto procent przez niego – włączyła się Michaśka.

– Nie – stwierdził stanowczo. – Ten trop już jest spalony. Albo go obserwują i każde pojawienie się w jego okolicy to wejście prosto w pułapkę, albo właśnie zawiadamia, że bierze L-4 i na jakieś dwa tygodnie zniknie z Warszawy.

– Brzmi to trochę tak, jakbyśmy sami sobie zamknęli drzwi przed nosem – odezwał się Sokół, a Zygmunt ku zaskoczeniu Aldony, zamiast się zdenerwować za ukryty w tych słowach zarzut, pokiwał lekko głową.

– Trochę tak – odparł. – Ale nie za bardzo mogliśmy postąpić inaczej. Poza tym wbrew pozorom wiemy więcej niż dzisiejszego ranka. Być może powinniśmy się skonsultować z Guźcem, opowiedzieć mu o naszych odkryciach i się zastanowić, co z tym zrobić.

Sokół sięgnął do kieszeni po komórkę i odblokował ekran.

– Wybaczcie – powiedział po kilku sekundach. – Mejl z firmy. Muszę wracać, bo jest jakaś sprawa związana z jednym z naszych handlowców. Wyślesz mi te fotki? – zapytał na koniec, zwracając się do Michaśki. – Aldona ma mój numer.

Pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł z baru. Zostali we trójkę. Zygmunt zerknął na leżącą nieopodal kanapkę, którą zostawił Sokół.

- Zapomniał? – zapytał.
 - Już nie chciał. Możesz zjeść, jak chcesz. Wziął tylko jednego gryza.
 - A z jakim sosem?
 - Oстрыm ostrym.
- Zygmunt machnął ręką.
- Wolę z łagodnym – oznajmił.

Zamówiliśmy jeszcze na wynos jeden kebab z frytkami dla Szymka i wróciliśmy do domu pana Henryka. Chłopak, znudzony siedzeniem w samotności, naprawdę ucieszył się na nasz widok. Zaczął domagać się sprawozdania z całego dnia, ale ani mnie, ani jej nie chciało się po raz kolejny wszystkiego opowiadać. Wynikało to trochę ze zmęczenia, ale chodziło o coś jeszcze. Aldona była bratanicą pana Henryka, ja tutaj mieszkałem i dobrowolnie, z pełną świadomością, na co się piszę, włączyłem się w śledztwo, natomiast ten dzieciak nie miał żadnych związków z naszą sprawą. Nie wiedziałem, dokąd ta historia ostatecznie nas zaprowadzi, jakie powiązania wykaże, ale chyba lepiej było, by Szymon wiedział mniej niż więcej.

– Powiedz, jak tobie minął dzień – zmieniła temat Aldona.

Chłopak nagle zmarkotniał nad pudełkiem z kebabem.

– Trochę przeglądałem te papiery i coś tam próbowałem szukać w internecie, ale sama wiesz, że tutaj nie ma wi-fi, a ja mam najtańszą komórkę i już wykorzystałem wszystkie gigabajty. Poszedłbym sobie do sklepu i dokupił, ale kasa mi wyszła. To niewiele się dowiedziałem – opowiadał. – A właściwie nic.

– I to wszystko?

– Noo... – To zawahanie się było bardzo znaczące. Chłopak zagryzł wargę, przez moment bił się z myślami, żeby wreszcie dokończyć: – No to wszystko. Nudy. Nie to, co wczoraj.

– A naprawdę? – zapytała Aldona.

– Co naprawdę?

Westchnęła ciężko i pokręciła głową niezadowolona.

– Szymon, proszę cię. Trochę cię znam i widzę, że po pierwsze coś cię gryzie, a po drugie nie mówisz mi całej prawdy. Wiem, że coś się wydarzyło. Chciałabym wiedzieć co.

Szymon zamarł z frytką w połowie drogi do ust. Potem powoli wsadził ją między zęby i przeżuwał zdecydowanie dłużej, niż to było konieczne, jakby próbował zyskać czas. W końcu, kiedy frytka zamieniła się już zapewne w półpłynną miazgę, przełknął.

– Mama dzwoniła – powiedział cicho.

– Czego chciała?

– Nie wiem. Nie odebrałem. Nie zdążyłem.

– I nie oddzwoniłeś do niej?

– No jakoś nie.

– Kiedy dzwoniła?

– No po raz pierwszy koło jedenastej.

– Po raz pierwszy?!

Przytaknął.

– Potem o dwunastej, dwunastej piętnaście, dwunastej dwadzieścia, potem już o pierwszej, a następnie...

– Nie wyliczaj mi godzin, Szymon. Ile razy dzwoniła?

– Kilkanaście? Kilkadziesiąt? W sumie to nie wiem.

– I ani razu nie odebrałeś?

– No nie.

Aldona przeczesła palcami włosy. Obeszła stół nerwowym krokiem, a potem usiadła obok Szymona. Nie odezwała się jednak, po prostu patrzyła na chłopaka. On zaś zwiesił głowę i dłużył palcami w leżącej przed nim kupce frytek.

– Powinieneś oddzwonić – odezwałem się.

– Po co? – burknął.

– Chociażby po to, żeby dowiedzieć się, czego od ciebie chce. I móc na to zareagować.

– Nie mam ochoty.

– Masz do tego prawo – stwierdziłem. – Ale nie znam nikogo, kto odwracałby głowę od kłopotów i dobrze na tym wyszedł.

– Aha... Bo z życiem trzeba się brać za bary, dużo uczyć i wstawać wcześniej rano – rzucił kpiarskim

tonem. – A wtedy na pewno osiągniesz sukces w życiu.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie zamierzam cię uczyć, jak odnieść sukces w życiu, bo jak widzisz, mieszkam kątem u starszego pana. Chcę ci tylko powiedzieć, że nie oddzwaniając do matki, nie sprawisz, że ona magicznie zniknie. Co więcej, jestem pewien, że chcesz się dowiedzieć, po co wydzwania. I jeśli się z nią nie skontaktujesz, będzie cię to zżerać. Ale to jest twój wybór, twoja decyzja.

W oczach Szymona dostrzegłem złość, co wcale mnie nie zdziwiło. Ludziom często się nie podoba, kiedy ktoś mówi im prawdę prosto z mostu. Nawet młodym.

– Szymek, jesteśmy z tobą – powiedziała Aldona, kładąc dłoń na jego dłoni. Chłopak początkowo się wzdrygnął i spał. Dopiero potem, sekunda po sekundzie, zaczął się rozluźniać. – Możemy tutaj być przez cały czas twojej rozmowy z mamą. Włączysz po prostu na głośnomówiący. Kto wie, może chce, żebyś wrócił do domu?

– Ale ja nie chcę wracać do domu! Widziałas, jak u mnie jest! Ona ma mnie w dupie! A ojca interesują tylko kumple i wódka! Po co mam tam wracać?! Nie chcę tam wracać!

– To jej to powiesz – rzuciłem.

– Szymon... – szepnęła Aldona.

– Dobra, dobra – warknął wściekły i sięgnął do kieszeni po telefon. Położył go niemal na środku stołu, a potem teatralnymi, przesadnymi gestami odblokował ekran, wszedł w rejestr połączeń i wybrał ostatnie nieodebrane. Włączył tryb głośnomówiący, więc nagle w całym pokoju rozległ się głośny i wyraźny dźwięk. Szymon drżał, jakby z każdym sygnałem przez jego ciało przechodził prąd. Kiedy w końcu wyciągnął palec w stronę ekranu, by nacisnąć czerwoną słuchawkę, jego matka odebrała.

– Wreszcie! – Usłyszeliśmy jej wściekły, skrzekliwy głos. – Tu mały chuju, gnoju zajebany! Ojca przez ciebie wsadzili! Słyszałeś, pierdolniku głupi, kurwa?! Do więzienia rodzzonego ojca wysłałeś! Ty pieprzony skurwielu, ty gnojku, żebyś ty zdechł, mały wredny chuju! Nigdy z ciebie żadnego pożytku nie było! Tyle że tego pięćset plusa dali! Ale to nie twoja zasługa była! A ojciec w więzieniu! To już twoja wina!

– Przestań... Oddaj... – Niepodziewanie rozległ się czyjś męski głos, który po chwili zastąpiły odgłosy szarpaniny. Po kilku długich sekundach w tle dało się słyszeć kobiecy szloch.

– Szymon! Szymon! Jesteś tam? – odezwał się mężczyzna.

Spojrzałem pytająco na chłopaka.

– To twój ojciec? – zapytałem cicho.

Pokręcił głową.

– Szymon! – krzyknął mężczyzna.

Podniosłem telefon ze stołu i przybliżyłem sobie do ust.

– Szymon jest z nami w pokoju, ale nie chce z wami rozmawiać. Usłyszał od swojej matki wszystko, co powinien. Do widzenia.

– Poczekaj! Czeka! Szymon! Szymon!

Przerwałem połączenie i odłożyłem aparat na stół.

– Kto to był? – zapytałem.

Chłopak przełknął ślinę.

– Chyba mój wujek.

Zmarszczyłem brwi.

– Pytaliśmy, czy masz rodzinę, do której moglibyśmy cię zawieźć. Powiedziałeś, że nie. Nie wspominałeś o żadnym wujku.

– No bo myślałem, że pytaliście o rodzinę tutaj, a wujek jest ze Skierniewic.

– To co robi w Warszawie i czego od ciebie chce?

– Nie mam pojęcia!

Aldona przewróciła oczami i już miała coś powiedzieć, ale znowu rozdzwonił się telefon. Na ekranie wyświetliło się „Matka”. Odebrałem. Tym razem nie włączałem trybu głośnomówiącego.

– Tak?

– Kim pan jest? – odezwał się ten sam mężczyzna.

– Przyjacielem Szymona.

– Gdzie on jest? Czy jest cały i zdrowy?

- Oczywiście, że jest cały i zdrowy – odparłem i wydawało mi się, że usłyszałem westchnienie ulgi.
 - Szymon ma wrócić do domu!
 - To się raczej nie stanie. Nie ma na to ochoty.
 - Źle mnie zrozumiałeś. Szymon ma wrócić do domu w tej chwili, bo zawiadomię policję i zgłoszę porwanie. – Mówił ze złością, ale był śmiertelnie poważny. Nie żartował.
- Zerknąłem na zegarek. Oceeniłem, ile czasu zajmie nam dotarcie do domu chłopaka, biorąc pod uwagę dystans i ruch na drogach o tej porze.
- Będziemy za czterdzieści minut – powiedziałem i się rozłączyłem.

Dyziowi nie podobało się wyznaczone miejsce spotkania. Przede wszystkim dlatego, że musiał zaparkować daleko, aż na Radarowej, a resztę drogi pokonać na piechotę. Przeszedł przez ulicę Komitetu Obrony Robotników, kluczył po parkingach zbudowanych pomiędzy niskimi, grafitowymi biurowcami, które wyrosły jak jakiś zespół formacji skalnych. Cały ten kompleks zawładnął przestrzenią tej części Włoch, jakby znajdował się tutaj od niepamiętnych czasów. Wreszcie Dyzio dotarł na miejsce spotkania – niewielki park, parczek właściwie, który nie wiadomo, jak się tutaj uchował. Nie rozumiał, dlaczego żaden z deweloperów nie wykupił tej działki, nie wyrównał jej i nie postawił kolejnego biurowca albo parkingu. Teraz pewnie wiosną i latem korpuludki z sąsiadujących budynków miały gdzie wyjść, żeby zjeść lunch na ławce, zapalić papierosa lub po prostu poleżeć na zielonej trawie. Jesienią było już zimno, mokro i nieprzyjemnie, park więc świecił pustkami. Dyzio zauważył tylko jednego mężczyznę, który pośpiesznie szedł z psem i co chwila spoglądał na zegarek, jakby dokąś podązał.

Stał nad stawem Sadurka, największą atrakcją tego parku. Zbiornik był niewielki, ale zadbane. Do tego o tej porze roku nie krążyły nad nim komary, a chłodne powietrze płynące od wody przyjemnie go pobudzało. Dyzio zatrzymał się na niewielkim pomoście i oparł się o stalową barierkę. Przez moment po prostu wpatrywał się w ciemną powierzchnię stawu i pozwolił swoim myślom odpłynąć.

– Wiesz, dlaczego lubię to miejsce? – Usłyszał głos za swoimi plecami i przestraszony odwrócił się gwałtownie, podnosząc pięści do obrony przed napastnikiem.

Dopiero po sekundzie uświadomił sobie, że popełnił błąd. Po pierwsze nikt nie próbował na niego napaść. Głos należał do jego współnika, który – i to po drugie – na własne oczy widział jego nerwową, wręcz histeryczną reakcję. Nie świadczyła ona o Dyziu najlepiej i sam zdawał sobie z tego sprawę.

– Dlaczego? – warknął.

Bartosz Sokół wszedł na pomost i podał mu rękę. Dyzio zirytował się. Niby nie było w tym geście niczego złego, ale jednocześnie dowodził protekcyjności. Sokół witał się z nim tak, jakby specjalnie chciał zaznaczyć, że dla niego są równymi sobie partnerami.

– Bo to miejsce pokazuje potencjał tej dzielnicy – odparł. – Jeszcze niedawno było tu wielkie nic, z którym nikt nie wiedział, co zrobić, bo w końcu to działka tuż przy lotnisku. A teraz popatrz. Park, jeden biurowiec, drugi biurowiec, trzeci biurowiec. Wszystko czyste, uporządkowane, przemyślane. Da się! Tylko trzeba mieć pomysł. A jeśli o pomysłach rozmawiamy, wiesz, że kupiłem tę nieruchomość przy Radarowej?

– Którą? Tę przy ogródkach działkowych?

Sokół skinął głową. Dyzio znał to miejsce. Ktoś tam kiedyś próbował wybudować blok lub biurowiec. Nie wyszło. Zanim firma padła, udało się postawić tylko dwa piętra. A ponieważ ktoś czegoś nie przemyślał, to podniosły się wody gruntowe i zalały teren wokół, włącznie z dziurą wykopaną pod fundamenty i garaż podziemny, teraz niedoszły biurowiec wyglądał więc jak ruiny zamku otoczone fosą.

– Tak.

– Po co?

– Jeszcze nie wiem. Tanio było, to wzięłem. Wiesz, Dyzio, ja wierzę w tę dzielnicę.

Zabrzmiało to równocześnie górnolotnie i fałszywie. Obaj zdawali sobie z tego sprawę.

Dyzio poznał go dzięki Hyziowi, który razem z Sokołem chodził do jednego klubu MMA. Trenowali, walczyli w sparingach, ale Sokół był dużo, dużo lepszy. Niemniej przy okazji jakiejś gali wylądowali wspólnie w knajpie, kibicowali, pili, a potem poszli do klubu w centrum. I Hyzio, jak to Hyzio po dragach oraz alkoholu, zaczął za dużo gadać i podzielił się ze swoim nowym kolegą opowieściami z pracy. Później przez kilka dni chodził przestraszony, że tamten pójdzie na policję i wszystko opowie. Nic takiego jednak się nie stało, za to Sokół zadzwonił i poprosił o spotkanie z wujem, bo miał pomysł na pewien biznes. I tak to się zaczęło. Oczywiście Dyzio nie uwierzył mu od razu i sprawdzał go na różne sposoby, ale kiedy zajęli się tą starszą kobietą, którą najpierw umieścili w domu opieki, a potem z niego wyciągnęli, przyjął do wiadomości, że faktycznie siedzą w tym wspólnie.

– Po co chciałeś się spotkać? – zapytał, przechodząc do sedna.

Sokół też oparł się o barierkę.

– Mamy problem.

– Wiem.

– Większy, niż myślisz.

Dyzio zaśmiał się w duchu, przypominając sobie martwego detektywa. Nie, pomyślał, to ty nie masz pojęcia, w co się wpakowałeś. Ale nic nie powiedział.

– Bo?

– Mają twoje zdjęcie. Obserwowali was, jak poszliście odwiedzić listonosza.

Dyzio zaklął w myślach. Zdenerwował się, kiedy odebrał telefon od faceta swojej byłej żony, a potem jeszcze bardziej, kiedy dowiedział się, o co chodzi. Poszedł tam z młodszym siostrzeńcem. Wcześniej sprawdzili teren i nigdzie nie zauważyli tego dziwnego faceta, który pobił Hyzia. Stał tylko jakiś dziwny chłopak... Zatrzymał się przy tym wspomnieniu i ponownie zaklął w myślach. Tym razem znacznie gorzej, wściekły na samego siebie.

– Kurwa – wyszeptał mimowolnie.

– Nie przejmuj się, nie są najlepszej jakości. Ale są. W każdym razie zwęszyli wasz trop.

NASZ trop, bo ty też w tym siedzisz, pomyślał Dyzio, znów to jednak przemilczał. Nie rozumiał, o co chodzi. Dlaczego tak go onieśmiał ten o dwadzieścia lat młodszy facet?

– To po co się z nimi włóczysz? – spytał.

– Bo przyszli do mnie do firmy! – zawołał Sokół. – Do mojego gabinetu. I to jest twoja wina, Dyzio.

– Niby dlaczego?

– Bo ty miałeś, kurwa, sprawdzać, czy obiekty naszych działań spełniają kryteria. Czy nie mają nikogo, kto się nimi zainteresuje. Żadnych dzieci! Żadnych żyjących małżonków! Żadnych bliskich krewnych! Żadnego wykształcenia prawniczego! Pamiętasz?! Całą listę wam sporządziłem.

Oczywiście pamiętał. I pamiętał też, że w całych Włochach nie było pewnie ani jednej osoby, która spełniałaby wszystkie te warunki, ale i tak próbowali. Wyszło jeden raz, drugi, trzeci. Dopiero teraz natrafili na problem. Czy nie sprawdzili tego starucha wystarczająco dokładnie? Być może. Ale gdyby mieli każdego sprawdzać tak, jak wyobrażał sobie Sokół, do dzisiaj byłiby na etapie planowania.

– Gówno czasami wpada w wentylator – powiedział. – Jeśli tak cię to przeraża, trzeba było nie zaczynać zabawy z dużymi chłopcami, tylko dalej siedzieć w piaskownicy.

Po wyrazie twarzy Sokoła, która gwałtownie stężała nieudolnie maskowanym grymasem gniewu i urażonej ambicji, zorientował się, że trafił w jego czuły punkt. Dało mu to sporo satysfakcji.

– Zamiast się przerzucać kiepskimi tekstami, wolałbym wiedzieć, co zrobimy.

Dyzio uśmiechnął się lekko. Nagle to on poczuł się ważniejszy w tej rozmowie.

– Trzeba posprzątać – oznajmił. – I zawiesić naszą operację na pewien czas. Poczekać, aż kurz opadnie, ocenić ryzyko, a potem podjąć decyzję, czy działamy dalej.

Tamten po chwili zastanowienia kiwnął głową.

– Zgadzam się. Jak chcesz to posprzątać?

– Co z rodziną tego dziadygi?

– Aldona, Zygmunt i ten młody? – rzucił Sokół. – Spoko, mam ich pod kontrolą. Po wczorajszej akcji jeszcze bardziej mi zaufali. Trzeba odpuścić staremu i pewnie też się odczepią.

– Ale mają moje zdjęcie.

– Aha... I ciągle nie wiedzą, kim jesteś. Wyluzuj, są jak dzieci we mgle. Poprowadzę ich na manowce. Kłopot jest inny: komornik, do którego dotarli. Tomasz Guziec.

To nazwisko sprawiło, że Dyziowi przeszedł zimny dreszcz po kręgosłupie. Znał je przecież z zapisków prywatnego detektywa.

– Wiem – powiedział.

Sokół przedstawił pokrótce wszystko, czego dowiedzieli się Aldona z Zygmuntem.

– Wygląda na to, że Guziec jest na nas naprawdę cięty. Z powodu swojej byłej teściowej, Anieli – dodał na koniec.

– Zajmę się tym – rzucił Dyzio, w którego głowie zaczął się już formować plan. – Guziec zniknie.

Tamten spojrzął na niego tak, jakby na czubku języka formułowały mu się pytania, ale zdecydował się ich nie zadać. Dyzio pomyślał, że to dobra decyzja.

– Dasz sobie radę? – spytał Sokół.

– A ty? – warknął Dyzio.

- Po prostu pytałem, czy potrzebujesz pomocy.
- Ja zrobię swoje, ty zrób swoje. Zajmij się tymi ludźmi od dziadygi. Zgoda?
- Zgoda.

Podali sobie na pożegnanie ręce i przez chwilę nie odrywali od siebie oczu, próbując się wzajemnie wybadać. Sokół odszedł pierwszy. Dyzio został na pomoście i zastanawiał się, jak powinien zabić Guźca. A potem pomyślał, jak to czasami się zdarzało, sam wpadł mu do głowy.

Tylko ja pojechałem na Pragę. Aldona oczywiście protestowała, ale wytłumaczyłem jej, że w nocy Szymon nie powinien zostawać sam, chociażby ze względu na wczorajszą próbę podpalenia. Mogliśmy oczywiście wybrać się na drugą stronę Wisły w trójkę, ale uznałem, że to może być za duże ryzyko. Nie wiedzieliśmy, co dokładnie wydarzyło się z ojcem Szymona, czy naprawdę trafił do więzienia i co na to wszystko wujek chłopaka. Szymon co prawda wspominał, że wujek jest w porządku, ale przyznał, że słabo go zna. Najrozsądniejsze wyjście było więc takie, że dowiem się, co się dzieje, a potem wrócę do domu pana Henryka i wspólnie podejmiemy kolejne kroki.

Dotarłem na miejsce. Zaparkowałem samochód Aldony niedaleko kamienicy Szymona i poszedłem na podwórko. Rozglądałem się bacznie na boki. Brałem pod uwagę scenariusz, że to zasadzka i zaraz wyskoczy na mnie ojciec chłopaka z kumplami. W takim wypadku nie zamierzałem się z nimi bić. Nie było powodu. Nie miałem nikogo, kogo powinienem bronić, a każda walka to jednak ryzyko przegranej, dlatego opracowywałem już plan ucieczki. Tyle że nikt na mnie nie czekał. Nie zauważyłem też niczego podejrzanego.

Wspiąłem się na piętro, na którym znajdowało się mieszkanie rodziców Szymona, przyłożyłem ucho do drzwi i podsłuchiwałem przez kilka sekund. Ze środka dochodził tylko dźwięk grającego telewizora. Wyciągnąłem z kieszeni klucze, które kilka dni temu zabrałem ojcu chłopaka, i otworzyłem. Wszedłem. Cicho stanąłem w progu dużego pokoju.

Matka Szymona natychmiast mnie zauważyła. Nie dlatego, że była taka spostrzegawcza – po prostu odwróciła głowę w odpowiednią stronę. Poderwała się z tapczanu, jakby w jej ciele ukryto gigantyczną sprężynę. Wyglądała dużo gorzej niż ostatnio. Włosy miała w nieładzie, twarz czerwoną i od wypitego alkoholu, o czym świadczyła stojąca na stole niemal opróżniona butelka wódki, i od płaczu. Owinęła się starym niebieskim szlafrokiem, pod którym kryła się poplamiona koszulka.

– To on! – krzyknęła. – Mietek! To on! To on porwał Szymona! Zapierdol mu, Mietek!

Z fotela po drugiej stronie pokoju powoli wstał mężczyzna. Mierzył około dwóch metrów, ważył pewnie ponad sto kilo. Wielką głowę ozdabiała nierówno przystrzyżone, zmierzwiłone włosy i sporej wielkości wąs. Rysy twarzy miał nierówne, grubo ciosane, jakby wyszły spod dłuta początkującego rzeźbiarza. Ubrany był w ciemne płócienne spodnie i sweter w szaro-granatowe romby. Ruszył w moją stronę, a przy każdym jego kroku podłoga skrzypiała nieprzyjemnie. Zauważyłem, że stopy ma tak wielkie, że kupno butów za każdym razem musiało być nie lada wyzwaniem.

– Zapierdol gnojowi, co mi syna porwał! Za Szymka mu zapierdol!

Olbrzym stanął około metra ode mnie. Przyglądał mi się przez chwilę. Oczy miał brązowe, spokojne i dziwnie łagodne. A potem powoli wyciągnął rękę.

– Mieczysław – przedstawił się. – Wujek Szymona.

Uścisnąłem mu dłoń.

– Zigmunt.

– Szymek jest?

– Mietek! Nie gadaj z nim! Kurwa! Przecież ci mówiłam! To przez niego całe zło! To on mojego misiaczka w kałużę rzucił! Przez niego i przez tę dziwkę!

Mieczysław odwrócił się do kobiety i obrzuciwszy ją niezadowolonym spojrzeniem, przyłożył sobie palec do ust, dając znak, że ma być cicho. Kobieta, o dziwo, posłuchała.

– Szymek jest? – powtórzył swoje pytanie.

– Nie. Przyjechałem sam.

Mężczyzna cmoknął niezadowolony.

– Szkoda – powiedział. – Myślałem, że go do domu zabiorę.

Te słowa na nowo uaktywniły matkę Szymona.

– Ale co?! Jak to?! Co masz go do domu, kurwa, zabierać?! Tu ma dom, duppek jeden! Na ojca ma czekać, żeby mu wpierdolił, kiedy z więzienia wyjdzie!

Mieczysław westchnął i zwiesił potężne ramiona.

– Chodźmy stąd – powiedział zmęczonym głosem.

Kiwnąłem głową na znak, że się zgadzam.

Wyszedłem z mieszkania pierwszy. Matka chłopaka krzyczała za nami i wyzywała nas od najgorszych. Zanim Mieczysław trzasnął jej drzwiami przed nosem, zabrał z wieszaka kurtkę. Przystanęliśmy na podwórku. Mężczyzna wyciągnął z wewnętrznej kieszeni paczkę papierosów i podsunął ją w moją stronę, ale podziękowałem ruchem ręki. Wetknął sobie papierosa do ust i zapalił. W tym momencie okno na piętrze otworzyło się i wychyliła się z niego rozczochrana głowa matki Szymona.

– Ty chuju! – wrzasnęła. – Szwagra miałeś bronić! Porywaczowi wpierdolić! A ty się z wrogiem, kurwa, dogadujesz, konfidencie jebany!

Mietek pokręcił zde gustowany głową i wskazał papierosem na bramę. Przytaknąłem i razem opuściliśmy to ciemne podwórko. Skręciliśmy w lewo, po czym leniwie, bez celu szliśmy praskimi ulicami. Mężczyzna palił powoli, z wyraźną przyjemnością.

– Szymon zdrowy? – zapytał po przejściu kilkunastu metrów.

– Cały i zdrow.

– To ty mojemu szwagrowi kinol rozwaliłeś?

– Zgadza się.

– Ha! I dobrze mu tak! Nigdy nic dobrego z tego człowieka nie było! Moja siostra... – zawahał się na moment, z papierosem palącym się w kąci ust. – No, moja siostra też nie aniołek, taki typ, ale dopiero mężulek sprowadził jej na głowę prawdziwe kłopoty. A ona się w nich chętnie zakopała po samą szyję, nos i uszy.

– To prawda, że ojciec Szymona jest w więzieniu?

– No, teraz chyba w areszcie, ale pewnie zdejmą mu zawiasy i wróci do celi.

– Za co?

– Za włamanie, groźby karalne, naruszenie miru domowego, zamach na życie i zdrowie i co tam jeszcze fantazja prorokowi podpowie.

– Niektórzy prokuratorzy mają jej całkiem sporo – przyznałem. – Do kogo się włamał?

– Do mnie.

Przystanęliśmy na moment. Mieczysław skończył palić, rozejrzał się dookoła i gdy dostrzegł kosz, wyrzucił do niego niedopałek. Potem wrócił do mnie.

– Po co się do pana włamywał?

– Bo szukał Szymka – odpowiedział.

– I sądził, że jest u pana?

– Mniej więcej. Zresztą kto wie, co mu do tego pijanego łba wpadło. Przyjechał do Skierniewic, w środku nocy wybił mi szybę w oknie, wszedł do środka i zaczął wrzeszczeć, że mu porwałem syna i chcę go na kiełbasy przerobić.

– Dlaczego na kiełbasy? – zdziwiłem się.

– Bo prowadzę zakład mięsny. Niewielki, rzemieślniczy taki. Niektórzy piwa robią, ja wędzę.

– Aha. I co się dalej wydarzyło?

– Krzyczał, że mnie zapierdoli, dzieci mi zapierdoli i żonę. Machał nam przed twarzami kawałkiem rozbitego szkła. Bardziej sam się przy tym pociął, niż nam krzywdę zrobił. – Uśmiechnął się krzywo, jakby wspomnienie równocześnie bawiło go i złościło. – Żona z dziećmi zamknęły się w pokoju – kontynuował. – Ja z nim gadałem, dopóki policja nie przyjechała i go nie zawięła. No, wtedy dowiedziałem się o zniknięciu Szymka i jak posprzątaaliśmy w domu i wstawiliśmy szybę, którą ten debil wybił, przyjechałem, żeby dowiedzieć się, co się z chłopakiem stało. W końcu rodzina to rodzina.

Kiedy skończył, popatrzył na mnie wyczekująco. Opowiedziałem mu więc o Aldonie, interwencji i jej skutkach oraz o tym, jak musieliśmy zabrać Szymona z domu dla jego własnego dobra i bezpieczeństwa. Mężczyzna słuchał uważnie, w międzyczasie zapalając kolejnego papierosa.

– Chcę go zabrać do siebie – powiedział, kiedy skończyłem. – Tutaj nie może zostać. Mojej siostrze zupełnie już na mózg padło. Lepiej dla niego, żeby się tu nie pokazywał. Z wami, z całym szacunkiem, też nie powinien siedzieć. Zamieszka u nas. Żona jest nauczycielką, już rozmawiała ze swoją szefową i jakoś go przeniosą do klasy w Skierniewicach. Czwórkę własnych dzieci mam, to piąte nie robi różnicy. Szczególnie że Szymek już duży.

Mówił pewnym siebie tonem, jakby nawet do głowy mu nie przychodziło, że mógłbym się

sprzeciwić. I szczerze mówiąc, miał rację. Sam uważałem, że Szymon nie powinien mieszkać już u pana Henryka. Za bardzo zbliżaliśmy się do czegoś niebezpiecznego. Jeszcze chwilę i naciśniemy komuś groźnemu na odcisk. Komuś, kto nie będzie miał oporów, żeby zrobić krzywdę nawet nastolatkowi. Zresztą małą próbkę Szymon dostał poprzedniej nocy, kiedy wrzucono im do domu koktajl Mołotowa. Poza tym podczas tej naszej krótkiej rozmowy Mieczysław zdobył moje zaufanie. Był konkretny i rzeczowy, dobrze mu z oczu patrzyło, chociaż oczywiście to jeszcze o niczym nie przesądzało. Spotkałem w swoim życiu kilku wyjątkowych drani o minach niewiniątek. Ogólnie jednak scenariusz, w którym Szymon wyjeżdża do Skierniewic i zamieszkuje u wujka, wydał mi się optymalny dla nas wszystkich.

– Gdzie pan zaparkował? – zapytałem.

– Niedaleko.

– Niech pan tu poczeka. Podjadę fiatem pandą. Pojedzie pan za mną i zaprowadzę pana do Szymona.

Dotarliśmy po niecałej godzinie. Szymon ucieszył się na widok wujka, co uznałem za dobry znak, tyle że niespecjalnie spodobał mu się pomysł wyjazdu do Skierniewic. Chciał zostać z nami i kontynuować śledztwo. Wzięliśmy go z Aldoną do kuchni i odbyliśmy blisko dwudziestominutową rozmowę, żeby jednak go przekonać. Zgodził się tylko pod warunkiem, że pozwolimy mu zrobić zdjęcia dokumentów pana Henryka i że będzie prowadził dochodzenie w internecie. Mieliśmy mu też zdawać relacje z postępów w śledztwie. Aldona pomogła mu się pakować, włożyliśmy jego rzeczy do bagażnika opla pana Mieczysława i wkrótce Szymon z wujkiem pojechali do Skierniewic.

– Zostaliśmy sami – zauważyła Aldona.

– Z Sokołem – dodałem.

– Tak.

– I Guźcem – przypomniałem.

– Właśnie! Chcesz do niego zadzwonić?

Spojrzałem na zegarek.

– Nie. Zresztą to nie jest rozmowa na telefon. Trzeba by do niego pojechać, a na to jest dzisiaj za późno. Skontaktujemy się z nim z samego rana.

Ale to on zadzwonił. W środku nocy obudził mnie dzwonek komórki. Zerknąłem na wyświetlacz i natychmiast odebrałem.

– Panie Zygmuncie – usłyszałem przejęty głos komornika – potrzebuję pańskiej pomocy.

Misiek wiedział, że wiele osób boi się dużych ludzi, co w sumie było naturalną i zrozumiałą reakcją. Kiedy spotykasz kogoś, po kim już na pierwszy rzut oka widać, że może zrobić ci krzywdę, masz prawo poczuć respekt, ale także brak zaufania. I złość, bo nikt nie lubi się czuć zagrożony. Sytuacja jest jednak inna, gdy ci duzi są mało bystry. Wtedy bardzo szybko wszyscy zaczynają ich uważać za zwykłych idiotów, często za głupszych, niż są w rzeczywistości. A wtedy ich lekceważą, nabijają się z nich za plecami lub nawet prosto w twarz, traktują protekcjonalnie. Misiek nie był głupcem, ale wiedział, że udawanie go jest dla niego korzystniejsze. Stąd to kaleczenie polskiego, który przecież poznał już całkiem dobrze, to bezsensowne „tak, panie szefie”, „nie, panie szefie”, które podpatrzył na jakimś filmie o amerykańskim południu z początku dwudziestego wieku. Tam czarnoskórzy zwracali się tak do każdego białasa, który stanął na ich drodze. Misiek może i nie był geniuszem, ale był całkiem bystry. A to, że ludzie go nie doceniają, uważał za jeden ze swoich największych atutów.

Tak jak w przypadku Dyzia. Misiek doskonale rozumiał, dlaczego wtedy prowadził samochód z ciałem. Gdyby sprawa się wydała, to on beknąłby za zabójstwo, bo to jego ślady biologiczne znaleziono by w wozie. Rozumiał też, dlaczego dzisiejszego wieczora Dyzio zadzwonił właśnie do niego, a nie do żadnego ze swoich siostrzeńców – wołał ich nie mieszać w poważne sprawy. Im mniej wiedzieli, tym lepiej dla nich. Oznaczało to również, że Misiek będzie jedynym współnikiem, a więc i świadkiem działań Dyzia, a ten prędzej czy później spróbuje się go pozbyć. Nic ich tak naprawdę nie łączyło. Misiek nie był członkiem jego rodziny, tak jak siostrzeńcy, nie prowadził z nim żadnych interesów – służył jedynie jako narzędzie, a narzędzia się wyrzuca, kiedy się zużyją.

A jednak siedział z Dyziem w samochodzie gdzieś w Podkowie Leśnej i czekał. Bo nie przyjechał do Polski po to, żeby wozic jedzenie i handlować pokątnie dragami za marne grosze. On miał znacznie szersze plany, miał pomysły i czekał tylko na okazję, żeby je zrealizować. To Dyzio był dla Miśka narzędziem do celu i to Misiek prędzej czy później go wyrzuci.

– Czyj to dom, panie szefie? – zapytał.

– Pewnego faceta. Nie musisz wiedzieć, kogo dokładnie.

– Co mamy z nim zrobić, panie szefie? Straszyć?

– Nie, nie nastraszyć. Musimy się go... – Dyzio zawahał się na sekundę. – Pozbędziemy się go.

– Jak tego wcześniej, panie szefie? – rzucił po chwili Misiek, starając się, żeby jego głos zabrzmiał odrobinę trwożliwie.

– Nie. Nie jak tego wcześniej. Inaczej.

– To znaczy jak? – Wiedział, że trochę ryzykuje. Głupek nie powinien być dociekliwy, ale skoro miał brać w tym udział, to powinien znać plan Dyzia.

Tamten sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjął z niej strzykawkę i pomachał mu nią przed oczami.

– Wiesz, co to jest? – zapytał.

Misiek poczuł nagłe ukłucie irytacji. Oczywiście, że nie wiedział. Niby skąd? To była zwykła strzykawka, w której mogło być wszystko, poczynając od soli fizjologicznej, a na heroinie kończąc. Ale zdusił to w sobie.

– Nie wiem, panie szefie.

– To skolina, Misiek. Jeden z leków, z których w swoim czasie bardzo chętnie korzystali ratownicy z łódzkiego pogotowia. Ale muszę ci powiedzieć, tak między nami, że nie tylko łódzkiego.

– Aha – odparł, chociaż nie rozumiał, o jakich ratownikach z łódzkiego pogotowia chodzi.

– To lek zwiotczający mięśnie szkieletowe – dodał Dyzio. – A wśród nich jest niezbędna do oddychania przepona. Normalnie aplikujesz ją komuś, kto jest podpięty do maszyny, która oddycha za niego, ale jak już się pewnie domyślasz, Misiek, ja ze sobą takiej nie zabrałem. Kiedy ją wstrzykniemy naszemu pacjentowi, jego mięśnie odmówią posłuszeństwa i przez kilka minut będzie się powoli dusił. Ostrzegam cię, to niezbyt przyjemny widok. Nie musisz patrzeć, możesz odwrócić wzrok, ale musimy zostać do końca, żeby upewnić się, że facet na pewno nie żyje. Rozumiesz, Misiek?

– Tak.

– Nie myśl sobie, że jestem okrutny albo że mnie to bawi – kontynuował Dyzio. – Ale w ten sposób zostawimy minimalne ślady. Żadnych siniaków, otarć. Rozumiesz?

– Chyba tak, panie szefie.

– A wiesz, co jest najlepsze? Skolina błyskawicznie się rozkłada. Facet jest samotny, mieszka sam. Żadnej rodziny. Znajdą go najwcześniej jutro późnym rankiem, kiedy nie przyjdzie do pracy. Może nawet później. Do tego czasu w jego ciele nie będzie ani śladu po tym maleństwie. – Dyzio zarechotał i schował strzykawkę do kieszeni kurtki. – Plan jest taki. Wchodzimy razem, ty przytrzymujesz faceta. Jest duży, ale gruby i stary. Bez problemu dasz radę. Wtedy ja wstrzyknę mu to maleństwo i po paru minutach będzie po wszystkim. Co ty na to, Misiek?

– Zrobi się, panie szefie.

Dlaczego mu o tym wszystkim opowiedział? Pewnie dlatego, że i tak miał zamiar go zabić. Jeszcze nie do końca wiedział, kiedy ani jak, ale decyzja została już podjęta. Uważał, że Misiek za dużo widział, że jest luźnym końcem, którego należy się pozbyć. Nikt nie będzie za nim płakał. No, może Tata Turek wyleje kilka łez, ale on nikomu nic nie powie. Za bardzo się boi. Poza tym Dyzio był naprawdę dumny ze swojego pomysłu na rozwiązanie sprawy i czuł potrzebę, żeby komuś się pochwalić. Nawet jeśli tym kimś miał być durny Misiek, który i tak pewnie nie zrozumiał połowy z tego, co właśnie usłyszał.

Stali ukryci w cieniu potężnego drzewa, które rosło na sąsiedniej działce, i obserwowali willę na obrzeżach Podkowy Leśnej. Na okalającym ją płocie znajdowała się tabliczka z logo jednej z firm ochroniarskich. Dyzio wiedział, jak radzić sobie z takimi alarmami, ale wymagało to czasu, pewnych przygotowań, zebrania informacji. Dzisiaj zdecydował się więc postawić na szybkość i prostotę.

Na początku ulicy pojawiły się światła samochodu. Dyzio zacisnął palce na kierownicy i wychylił się lekko do przodu. Auto się zbliżało, stopniowo tracąc prędkość. Brama od obserwowanej posesji otworzyła się i mercedes wjechał do środka. Właściciel nie kłopotał się z wjeżdżaniem do garażu. Zostawił wóz na podjeździe. Tomasz Guziec wysiadł i poszedł do domu.

Dyzio trącił Miśka.

– Idziemy – powiedział. – Komórkę zostaw w samochodzie.

– Ale wyłączona jest, panie szefie. Jak pan kazał.

– I tak zostaw.

Jedna z jego zasad. Na akcję należało brać tylko to, co niezbędne. Nie było nic gorszego niż chwila, kiedy orientujesz się, że na miejscu zdarzenia wypadły ci klucze z kieszeni. Wysiadł, wziął torbę ze sprzętem, a kluczyki od samochodu schował w specjalnie przygotowanej skrytce przy lewym przednim kole.

Pokonali niewysokie ogrodzenie otaczające posesję, a potem na jego znak założyli kominiarki. Przebiegli teren aż do wejścia do willi. Tam się zatrzymali. Dyzio dał znać Miśkowi, żeby był cicho.

Wchodząc do domu, Guziec wyłączył alarm. Część takich urządzeń oferowała specjalny tryb domowy. Oznaczało to, że czujniki nie reagują na ruch osób znajdujących się wewnątrz, tylko uruchamiają się, jeśli ktoś chce wejść z zewnątrz. Z doświadczenia Dyzia wynikało jednak, że prawie nikt z tego nie korzystał. Ludziom wydawało się, że w środku są bezpieczni. Przed niebezpieczeństwami zewnętrznego świata miał ich chronić tylko zamek w drzwiach.

Dyzio ostrożnie nacisnął klamkę, licząc na to, że będzie otwarte, ale tym razem szczęście mu nie dopisało. Solidne antywłamaniowe drzwi miały już swoje lata. Zamek na dole był dobrej, szwajcarskiej firmy, trudny do pokonania, ale ten na górze był zwyczajny. Dyzio błyskawicznie się z nim uporał. Jeszcze raz nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Uśmiechnął się lekko, wyjął strzykawkę i zdjął osłonkę z igły. Gestem kazał Miśkowi iść przodem.

– Pamiętaj – wyszeptał – masz go tylko unieruchomić.

Turek dał znak, że rozumie.

Z salonu dochodził dźwięk włączonego telewizora. Dyzio uznał, że komornik po całym dniu ciężkiej pracy postanowił się zrelaksować na kanapie, oglądając *Szkló kontaktowe* czy cokolwiek innego, i popijając przy tym pewnie obrzydliwie drogą, obrzydliwie starą i po prostu obrzydliwą whisky. Tym lepiej, szybciej pójdzie.

Ostrożnie przeszli do salonu. Telewizor faktycznie był włączony, ale ani na kanapie, ani na fotelu nikogo nie było. Wtedy usłyszeli za sobą dźwięk spuszczonej wody, a potem otwieranych drzwi. Wkrótce z ubikacji wyszedł Tomasz Guziec. Stał na korytarzu prowadzącym do przedpokoju, dokładnie na wprost

Dyzia.

I cały plan wpiędu, zdążył jeszcze pomyśleć Dyzio. Mógł się odsunąć, żeby przepuścić stojącego za nim Miśka, ale wtedy Guziec zyskałby kilka cennych sekund, które wykorzystałby na ucieczkę, próbę wezwania pomocy albo cokolwiek innego. Cała sprawa się komplikowała.

– Co wy tu, kurwa, robicie? – warknął komornik.

Do Dyzia dopiero po chwili dotarło, co jest w tym wszystkim najgorsze. Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego, ale nie przestraszonego. Było już jednak za późno. Dyzio skoczył na niego ze strzykawką, celując w udo.

Guziec pomimo potężnej tuszy poruszał się błyskawicznie. Zrobił ruch w bok, chwytając go za przegub dłoni ze strzykawką, pociągnął i podstawił mu nogę. Dyzio poleciał na ziemię i dopiero kiedy uderzył w podłogę, zorientował się, co się stało. W tej samej chwili poczuł, jak coś potwornie ciężkiego ładuje mu na plecach. Najpierw stracił dech, a potem ból rozlał się po całym ciele.

Komornik przycisnął się do niego, jakby chciał go naprawdę mocno przytulić, ale równocześnie jego ręka wsunęła się od strony ucha pod szczękę Dyzia, którym nagle szarpnęło i niespodziewanie zamiast na podłodze, znajdował się już na Guźcu. Ten otoczył jego biodra nogami i unieruchomił go. Dyzio czuł się teraz jak przewrócony żółw. I zaczął się dusić, bo mężczyzna coraz bardziej zginał ramię pod jego szczęką, uciskając mu aortę. Dyzio wiedział, że ma zaledwie kilka sekund, zanim straci przytomność.

Gdzie jest Misiek? – przemknęło mu przez głowę. Nie miał jednak ani jak się rozejrzeć, ani nawet jak krzyknąć po pomoc.

Szarpnął prawą ręką. Tą, w której miał strzykawkę. Tamten chwycił go za przegub, ale było już za późno. Dyzio wbił strzykawkę w udo i wcisnął tłok. Pomyślał, że potrzebuje jedynie wytrzymać kilka, może kilkanaście sekund. Wtedy lek zacznie działać, a komornik straci siły. Ale zanim to się stało, Guziec mocniej zacisnął duszenie i Dyzio poczuł, że odpływa.

W ostatnim przeblysku świadomości nagle doszło do niego, że przed chwilą coś go ukłuło. A potem zrozumiał, że wbił strzykawkę we własne udo.

Misiek po prostu stał i patrzył. Mężczyzna, do którego przyszli, był masywny, bardziej otyły niż duży, i wiedział, co robić. A raczej jego ciało wiedziało, bo ruszał się za szybko jak na kogoś, kto musi się zastanawiać nad kolejnym krokiem. Chodziło o pamięć mięśniową, pełny automatyzm. Skutek setek, tysięcy godzin spędzonych na sali ćwiczeń.

Tyle że mężczyzna był też stary i miał znaczną nadwagę. Ile byłby w stanie tak naprawdę walczyć? Kilkadziesiąt sekund? Minutę? Potem opadłby z sił. Na Dyzia mu wystarczyło, Misiek wiedział jednak, że bez trudu by sobie z nim poradził. Mógł więc teraz pomóc Dyziowi. Ale tego nie zrobił.

Patrzył na mężczyznę i pomyślał, że to znak. I że wcześniej się mylił – Dyzio wcale nie był narzędziem, którym mógł się posłużyć na swojej drodze na szczyt, tylko raczej przeszkodą, a teraz ktoś tę przeszkodę usuwał mu z drogi. Powinien być za to wdzięczny.

Począł, aż Dyzio odpłynie. Gdy grubas zrzucił go z siebie, Misiek zrozumiał, że to jest moment na podjęcie decyzji, co zrobić. Zaatakować i zabić? Ale po co? Te parę sekund zawahania wynikającego częściowo z podziwu, jakim jeden wojownik darzy drugiego, a trochę z radości, bo Dyzio właśnie umierał na jego oczach, drogo go jednak kosztowały. Bo tamten poderwał się na nogi, równocześnie sięgając prawą ręką z tyłu, za pas. Misiek natychmiast zrozumiał, że mężczyzna ma tam schowaną broń. Cholerny pistolet. Atak w tej chwili był zbyt dużym ryzykiem. Pozostawało tylko jedno wyjście.

Rzucił się do ucieczki, ale nie w stronę drzwi wejściowych, tylko prowadzących na taras. Otworzył je stanowczym ruchem, przy okazji chyba wyłamując zamek, wypadł na zewnątrz i popędził w stronę ogrodzenia. Spojrzał za siebie dopiero, kiedy znalazł się po drugiej stronie. Mężczyzna go nie gonił. To dobrze, Misiek trochę się obawiał, że tamten będzie próbował do niego strzelać. Z tej odległości do celu w ruchu raczej by nie trafił, ale nigdy nic nie wiadomo.

Dobiegł do samochodu, którym przyjechali, schylił się przy lewym przednim kole i zaczął macać podwozie, aż natrafił na skrytkę z kluczami. Wyciągnął je. W duchu podziękował Allahowi, własnej spostrzegawczości i zapobiegawczości Dyzia. Pomyślał, że może kiedyś nawet pomodli się za jego duszę.

Już się nie śpieszył. Uruchomił silnik i odjechał. Kiedy wyjeżdżał z Podkowy Leśnej, czuł przyjemną ekscytację. Pomyślał, że skoro Dyzio zniknął, jego życie w Polsce wreszcie się zaczyna.

Dojechałem pod dom Guźca w Podkowie Leśnej. Brama była otwarta, jakby zostawił ją specjalnie dla mnie, mercedes stał na podjeździe. Zaparkowałem tuż za nim i wysiadłem. Noc była ciemna. Gęste chmury zasłoniły księżyc na niebie. Stałem w kręgu światła rzucanego przez lampy i poczułem się nieswojo. Gdyby ktokolwiek krył się teraz w ciemnościach, nawet nie miałbym szansy go zauważyć.

Podszedłem szybko do drzwi wejściowych i zapukałem. Nikt nie odpowiedział. Zapukałem po raz kolejny, ale znowu nie doczekałem się odpowiedzi, nacisnąłem więc klamkę i wszedłem do domu. Przystanąłem w korytarzu prowadzącym do salonu. Na podłodze, przysłonięte zwykłym flanelowym kocem, leżało ciało. Należało do mężczyzny, na co wskazywały wystające spod przykrycia buty, ale wyraźnie mniejszego od Guźca. No, chyba że komornik zrzucił w ciągu doby około sześćdziesięciu kilogramów.

Minąłem ciało i skierowałem się do salonu. Tam na obitym skórą fotelu siedział Guzic ze szklanką whisky w jednej dłoni i pistoletem w drugiej. Drzwi prowadzące na taras były szeroko otwarte. Podmuchy chłodnego wiatru raz po raz podrzucały zasłonami.

Chrząknąłem, żeby dać znać o swojej obecności. Komornik drgnął, a potem powoli we mnie wycelował. Przez kilkanaście długich sekund stałem w miejscu, wpatrzony w ciemną lufę, zastanawiając się, czy zdążę uskoczyć, gdyby zdecydował się nacisnąć spust. Podejrzywałem, że nie, chociaż nie sądziłem, by trafił. Trzymał broń tylko jedną ręką. Co prawda pistolet był niewielki, ale siła odrzutu i tak podniesie dłoń. Biorąc pod uwagę odległość, która nas dzieliła, i kąt, pod którym celował, kula powinna przelecieć metr nad moją głową. Mimo to sytuacja nie należała do przyjemnych.

– To pan – powiedział w końcu Guzic i opuścił dłoń z pistoletem.

– To ja. Dzwonił pan po mnie.

– Pamiętam.

– Z powodu tego tam? – Wskazałem głową na trupa w korytarzu.

– Aha.

– Co się stało?

– Wróciłem do domu po pracy – zaczął mówić zmęczonym, monotonnym tonem. – Włączyłem telewizor, bo nie lubię ciszy. A potem, nie zdążyłem się nawet przebrać, zachciało mi się srać. Poszedłem do kibla. Kiedy wróciłem, byli już w środku.

– Byli?

– Dwóch.

– A ten drugi?

– Uciekł.

– A pierwszy?

Guzic pociągnął nosem i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Chciał mnie skurwiel czymś dziabnąć. Rzuciłem nim o ziemię, a potem założyłem mu mataleo. Miał odpłynąć, żebym mógł zająć się tym drugim, ale najwyraźniej przesadziłem... – Przerwał, żeby napić się alkoholu, wstał z fotela i podszedł do trupa.

Ruszyłem za nim. Nachyliłem się nad ciałem i popatrzyłem na niego pytająco.

– Niech pan robi, co chce – mruknął.

Podniosłem koc i spojrzałem na leżącego pod nim mężczyznę. Miał na głowie kominiarkę. Ściągnąłem ją.

– Zna go pan? – zapytał po chwili Guzic.

– Tak.

– Kto to?

– Nie wiem, ale należy do szajki od lipnych kredytów. Odwiedził dzisiaj listonosza, który zdobywał dla nich dane osobowe.

Zdegustowany pokręcił głową.

– Listonosz – powiedział. – Kurwa, to przecież oczywiste. Że też od razu na to nie wpadłem. Jestem debilem. Za dużo czasu spędzam w biurze, za mało na ulicy.

– Zdobywał zaufanie starszych ludzi. Pod pretekstem zmiany regulacji prosił ich o pokazanie

dowodów osobistych.

– Tia... Ale jest jeszcze coś. Pieprzone polecone.

Spojrzałem na niego pytająco.

– Z sądu – sprecyzował. – Ale nie tylko. Chodzi mi o to, że po wybuchu pandemii wprowadzono regulacje, które pozwalały listonoszom odbierać listy polecone za adresatów. Wcześniej trzeba było wypełnić druczek, ale to przecież żaden problem. Wielu starszych ludzi poszło na to ze strachu przed wirusem. Listy oznaczono jako odebrane i łądowały od razu w skrzynkach pocztowych.

– Tylko że te z sądu nigdy do skrzynek nie trafiały.

– Właśnie – potwierdził i zerknął na leżącego mężczyznę. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby chciał splunąć mu w twarz. – W ten sposób doprowadzali do wpisania wierzytelności do księgi wieczystej. Wszystkie za plecami tych biednych ludzi, którzy nawet nie wiedzieli, co zaraz na nich spadnie.

Tak, pomyślałem, teraz to miało więcej sensu. Pożałowałem, że nie przyłożyłem porządnemu temu listonoszowi, kiedy byłem u niego w domu. Nagle nabrałem na to wielkiej ochoty.

– Przeszukał go pan? – zapytałem.

– Nie.

Przyglądałem się to trupowi, to komornikowi. Wątpiłem, żeby był odpowiedzialny za śmierć tego mężczyzny. Mataleo to silne duszenie, ale ludzie mają w sobie naturalne blokady, które zabraniają im robić krzywdę innym. Widziałem to wielokrotnie na treningach, kiedy zawodnicy zakładają dźwignię lub duszenie i czekają na odklepanie, a gdy przeciwnik tego nie robi, sami mimowolnie luzują chwyt. Przewyciężenie tego instynktu wymaga albo specyficznego rodzaju umysłu, albo licznych ćwiczeń. Guziec wyglądał na dużego i silnego. Nie wątpiłem, że byłby w stanie powalić przeciwnika i założyć mu duszenie, ale żeby posunąć się do ostateczności? Czy w ostatniej chwili nie pozwoliłby mu raczej nabrać kolejnego oddechu? Oczywiście walczył na śmierć i życie, został zaatakowany u siebie w domu, adrenalina go oszołomiła, ale i tak...

Przerwałem rozważania i nachyliłem się nad mężczyzną. Sprawdziłem mu wszystkie kieszenie. Nic nie znalazłem, oprócz wbitej w udo strzykawki z wciśniętym tłokiem. Wyjąłem ją i obróciłem w dłoni. Na dnie znajdowała się jeszcze reszka płynu.

– Podejrzewam, że zabiło go nie pańskie mataleo, ale to... – powiedziałem.

Guziec zakręcił whisky w szklance i wypił do końca.

– Byłoby dobrze. Trochę lepiej bym spał – stwierdził.

– Zabił pan kogoś wcześniej?

– To dość intymne pytanie.

– Jesteśmy w dość intymnej sytuacji.

Zaśmiał się krótko.

– Nie. To pierwszy raz.

– To była obrona własna. Ale i tak będzie się pan czuł paskudnie. Potem przejdzie.

– To pan, panie Zygmuncie, z tych doświadczonych?

Nie odpowiedziałem. Jeszcze raz przeszukałem ciało.

– W przedpokoju zostawił jeszcze torbę – dodał po chwili komornik.

– Co w niej jest?

– Nie mam pojęcia.

Poszedłem sprawdzić. Znalazłem tylko kilka wytrychów i sprzęt ślusarski. Wróciłem do Guźca.

– Rozumiem, że skoro zadzwonił pan do mnie, to nie chce wzywać policji.

Przytaknął.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– W mojej pracy – wymamrotał, beknął nagle i przeprosił. – W mojej pracy – powtórzył głośniejszym i wyraźniej – taki trup w domu zawsze źle wygląda.

– To była obrona własna – powtórzyłem. – To on pana zaatakował.

– Ja to wiem, pan to wie, ale nie mam świadków. I żadnych obrażeń, a ten tutaj nie żyje. Prokurator może mieć więc trochę inne zdanie. Poza tym nawet przekroczenie obrony koniecznej to nieprzyjemna sprawa. Trochę za stary jestem, żeby spędzić kolejne lata w sądzie i tłumaczyć, że żaden ze mnie wielbłąd.

– Co więc chce pan zrobić? – zapytałem.

- Najpierw włożyć ciało do bagażnika mojego mercedesa, a potem wywieźć.
- Konkretnie dokąd?
- Poprowadzę pana.
- Mnie?

Wskazał palcem na szklanę z whisky.

– Ja za dużo wypilem, żeby prowadzić. Głupio byłoby się teraz dać złapać po pijaku za kierownicą i z trupem w bagażniku. Z tego na pewno bym się, kurwa, nie wytłumaczył. To co, panie Zygmuncie? Pomoże pan?

Zaczęliśmy od przestawienia fiata pandy, następnie wynieśliśmy ciało z domu do bagażnika mercedesa. Potem ruszyliśmy na północ. Na obrzeżach Warszawy, za trasą S8, wjechaliśmy na nierówną polną drogę, która doprowadziła nas do prostokątnego, w miarę nowego budynku średniej wielkości. Obok znajdował się parking na kilka samochodów, teraz pusty, a z boku rampa przeładunkowa.

– To tutaj – powiedział komornik i wysiadł.

Zrobiłem to samo.

Kiedy Guziec podchodził do budynku, automatycznie zapaliło się światło. Skrzywił się, zasłonił twarz ręką, a potem uderzył kilka razy pięścią w drzwi. Te otworzyły się już po paru sekundach i stanęła w nich pani Iwona. Natychmiast chwyciła go za dłonie, jakby chciała je pocałować, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Pan pokaże, panie komorniku, kochany.

– Zygmunt, otwórz bagażnik.

Zrobiłem to, o co poprosił. Pani Iwona zajrzała do środka. Przekręcając głowę to w lewo, to w prawo, oglądała trupa, a jej twarz wyrażała przy tym jedynie ciekawość.

– Damy radę – powiedziała po chwili. – Większe bydlaki tutaj trafiały. Niektóre to nawet pod sto kilo. Pan sobie to wyobraża, panie mecenasie. Jakbym takiego na ulicy zobaczyła, to bym się zesrała. Za przeproszeniem.

– Pani Iwono!

– Tak, panie komorniku, idę po wózek. Zajmiemy się nim.

Kiedy pobiegła do budynku, zapytałem:

– Co to za miejsce?

– Krematorium dla zwierząt, głównie psów. Załatwiłem tu pracę pani Iwonie, a ona zgodziła się dla mnie specjalnie rozpalić dzisiaj w piecu.

Po chwili usłyszeliśmy terkot kół wózka do przewożenia ciał. Spojrzałem na leżącego w bagażniku trupa i pomyślałem, że trochę jeszcze minie, zanim wreszcie się położę.

Misiek wrócił do Warszawy i zaparkował na jednym z osiedli w warszawskim Ursusie. Resztę drogi planował pokonać nocnym autobusem lub nawet na piechotę. Wiedział, że samochód jest całkiem nowy, zadbane, przez wiele dni nikt nie zwróci na niego uwagi. Wyciągnął ze schowka swoją komórkę, a potem telefon należący do Dyzia i uruchomił ten drugi. Aparat domagał się wpisania PIN-u. 8361. Banalne. Misiek podejrzwał go przy kilku spotkaniach, kiedy Dyzio sprawdzał coś na komórce i odblokowywał aparat. Kolejny dowód na to, że tamten po prostu go lekceważył.

Sprawdził rejestr połączeń – czysty, jakby z telefonu nigdy nie korzystano. Skrzywił się niezadowolony. Wiedział, że Dyzio nie jest w tej układance najważniejszy. Miał swoje biznesy, trzymał łapę na paru brudnych interesach, pobierał haracze od różnych ludzi, w zamian oferując ochronę, ale był jeszcze ktoś. Ktoś, kto wymyślił ten przekręt z nieruchomościami. Misiek nie do końca wiedział, na czym on polega, ale dzięki temu, że uważano go za głupka, nikt nie gryzł się w język w jego obecności. Szczególnie Zyzio i Hyzio. Kiedyś przywiózł im kebaby i towar na imprezę. Obaj mieli mocno w czubie i zaczęli gadać o jakimś starszym mężczyźnie, któremu zajebali mieszkanie. Zupełnie nie przejmowali się obecnością Miśka. Potem był wyczulony na ten temat, zapamiętywał każdy związany z nim detal. Nie miał jeszcze wszystkich informacji, ale wiedział wystarczająco dużo. Najważniejsze jednak, że był ktoś jeszcze. Ktoś sprytniejszy od Zyzia i Hyzia, sprytniejszy nawet od Dyzia. Ktoś, kto doceni pomysł Miśka i potencjalne zyski, które może przynieść jego realizacja. Tylko jak miał dotrzeć do tej osoby?

Podrzucił w dłoni komórkę Dyzia. Liczył, że znajdzie tu jakieś podpowiedzi. Co za rozczarowanie.

W tym momencie aparat zaczął wibrować. Misiek wbił wzrok w wyświetlający się na ekranie numer. Odebrał i przyłożył telefon do ucha. Nic nie powiedział, po prostu słuchał.

– Załatwiłeś sprawę? – zapytał głos po drugiej stronie.

„Załatwiłeś sprawę”. Oczywiście, mogło chodzić o wiele rzeczy: umówienie kogoś do fryzjera, zrobienie zakupów lub zapłacenie sprzątacze, ale śmiertelnie poważny ton rozmówcy wskazywał, że chodzi o coś bardzo konkretnego. A godzina wykonania połączenia sugerowała, że miało to dużo wspólnego z ich wizytą w Podkowie Leśnej. Misiek próbował rozpoznać głos. Nie należał on jednak ani do Zyzia, ani do Hyzia, ani do nikogo, kogo znał.

– Nie – odpowiedział.

Usłyszał ciszę w słuchawce. Był pewien, że w tym momencie jego rozmówca zastanawia się, czy się nie rozłączyć. Ale tego nie zrobił.

– Kto mówi? – zapytał tamten. – I gdzie jest Dyzio?

– Dyzio nie żyje. Powinniśmy się spotkać.

Znowu cisza, kilka sekund gorączkowego zastanawiania się. Misiek jednak był dziwnie spokojny. Miał wrażenie, że złapał tego mężczyznę na haczyk, że jest po prostu ciekawy tego, co się stało. I że będzie chciał poznać odpowiedzi. Nie mylił się.

– Wyślę ci czas i miejsce spotkania. Na ten numer.

Potem mężczyzna się rozłączył.

Po wszystkim pani Iwona zapytała, co chcemy zrobić z prochami. Było nam wszystko jedno, powiedziała więc, że w takim razie dorzuci je do tych psich i wyśle do utylizacji. Uznaliśmy, że to idealne rozwiązanie. Potem wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy z powrotem do Podkowy Leśnej.

– Ten pański detektyw – zacząłem rozmowę po przejechaniu kilku kilometrów, podczas których ciszę wypełniała tylko puszczone przez Guźca muzyka klasyczna. – Czemu do niego nie zadzwonił pan po pomoc?

– Bo nie jestem w stanie się z nim skontaktować. Próbowałem dzisiaj, wczoraj właściwie, wielokrotnie. Nie odbiera, nie odpowiada na wiadomości.

– Myśli pan, że go dorwali?

– Teraz już tak.

Pokonaliśmy w milczeniu kolejnych kilka kilometrów. O tej porze warszawskie drogi były właściwie puste. W nielicznych oknach domów i bloków paliło się światło. Guziec spał się lekko, kiedy z naprzeciwka nadjeżdżał radiowóz. I rozluźnił się dopiero wtedy, kiedy policjanci zniknęli gdzieś daleko w tylnym

lusterku.

– Powinien pan na kilka dni wyjechać – odezwałem się.

Guziec nachylił się nad radiem i ściszył lekko muzykę.

– Mam robotę w kancelarii – burknął.

– Na pewno może poczekać.

– Nawet nie mam gdzie zniknąć, a pan wybaczy, w Bieszczady nie chce mi się jechać.

– To nie musi być aż tak daleko – zauważyłem. – Mógłby odwiedzić pan dzieci. Na pewno się ucieszą z wizyty. I wnuki też, jeśli pan ma.

Pokręcił głową.

– Córka siedzi w Londynie, to jednak daleko. Nie mogę tak po prostu zwalić jej się na głowę. Od razu będzie wiedziała, że wydarzyło się coś złego.

– Próbowali pana zabić. Nie wiemy, co się wydarzyło z tym detektywem, ale tak, zgadzam się, że najprawdopodobniej już nie żyje. I przed chwilą spaliliśmy faceta w piecu, w którym normalnie lądują owczarki niemieckie. Nie uważa pan, że rozsądne byłoby zejść napastnikom na pewien czas z oczu?

– Byłoby – przyznał Guziec.

– Ale pan nie zamierza być rozsądny?

– Zamierzam, nawet bardzo, ale nie będę przed nimi uciekał.

Dojechaliśmy do Podkowy Leśnej. Przed domem komornik nacisnął przycisk na pilocie i brama otworzyła się z cichym chrzęstem. Wjechałem na podjazd.

– Ja pierwszy, dobrze? – zwróciłem się do mężczyzny.

Zmrużył powieki. Czekałem, aż oburzony zaprotestuje i powie coś o tym, że to jego dom i ze wszystkim sam sobie poradzi. Najwyraźniej jednak dotarło do niego, że nie zrobiłoby to na mnie wrażenia, bo zrezygnowany machnął ręką.

Wątpiłem, żeby napastnicy wrócili tu tej samej nocy – za duże ryzyko, ale nie można było tego wykluczyć. Obszedłem więc cały dom, sprawdziłem łazienki, ubikacje i szafy. Zajrzałem nawet na strych. Nikogo nie znalazłem. Wróciłem jeszcze do salonu. Walczyłem z drzwiami prowadzącymi na taras, ale nie dało się ich zamknąć. Zamek był wyłamany. I to właśnie tak, siłującego się z drzwiami, zastał mnie komornik.

– Niech pan zostawi – rzucił. – I tak śpię na górze.

– Ktoś tu może wejść.

– Obaj wiemy, że dzisiaj już nie wrócą. A jeśli wrócą, będę gotów.

Uparty był, ale też bardzo spokojny. W jego słowach nie dosłyszałem brawury ani strachu. Po prostu podjął pewną decyzję, przekonany, że sobie poradzi. A jeśli nie, zamierzał ponieść tego konsekwencje.

– Dzisiaj pewnie nie – potwierdziłem. – Ale jutro? Pojutrze?

– Nigdzie nie wyjadę. Mam znajomego, który prowadzi agencję ochroniarską, nie takie gówno jak to, co wisi na moim płocie. On zatrudnia chłopaków po Gromie, Formozie i innych takich. Zadzwoń do niego, poproszę, żeby mi przysłał tu ze dwóch. Wtedy będzie pan spokojny.

– Będę. Ale co pan mu powie?

– Że jeden dłużnik mi groził. I wydaje mi się, że to nic poważnego, ale moja córka jest przewrażliwiona.

Pokiwałem głową.

– Nie chce go pan w to wciągać?

– Nie.

– Ani zawiadamiać policji?

– Nie.

– To czego pan chce?

– Ci ludzie doprowadzili moją teściową do samobójstwa. Chcę, żeby ich pan znalazł. Chcę, żeby zrobił im pan krzywdę.

Czekałem chwilę na to, żeby zakończył swoją wypowiedź logiczną konkluzją – że jest gotowy mi za to zapłacić, ale nic takiego nie powiedział.

– Spróbuję – obiecałem.

Aldona nie mogła zasnąć, przewracała się na tapczanie z boku na bok. Kot wykazywał anielską

cierpliwość, bo za każdym razem podnosił się, przechodził w nowe miejsce i tam układał na pościeli, ale nawet on w pewnym momencie miał dość. Miauknął przeciągle, zeskoczył na podłogę i podreptał do kuchni.

Podniosła się i przeczesała palcami włosy. Pomimo tego, że w domu było zimno, a ogień w piecu już dawno przestał się palić, była cała spocona. Ściągnęła z siebie kołdrę i postawiła stopy na drewnianej podłodze.

Kiedy Zygmunt wychodził w środku nocy, namawiał ją, żeby wzięła taksówkę i pojechała do siebie. Odmówiła. Nie chciała zostawiać domu wujka bez opieki. Na wypadek gdyby znowu pojawili się ci bandyci, którzy próbowali go spalić. Odparł, że to mało prawdopodobne. „W takim razie nie mam powodów, żeby przenosić się do mieszkania, prawda?” – rzuciła.

Wtedy ta odpowiedź wydawała jej się bardzo sprytna, teraz nie była tego taka pewna. Zygmunt obiecał, że dowie się, czego chce od niego Guziec, i wróci jak najszybciej. Oceniał, że zajmie mu to od godziny do półtorej. Dwadzieścia minut, żeby dotrzeć na miejsce, dwadzieścia minut rozmowy, dwadzieścia minut, żeby wrócić. Nie było go już ponad trzy godziny.

Czy martwiła się o niego? Trochę, nie potrafiła jednak zasnąć z powodu strachu o siebie. Wybudzał ją każdy szmer. Każdy odgłos przejeżdżającego ulicą samochodu sprawiał, że serce biło jej mocniej. Do tego drewniane ściany nieustannie pracowały, oddychały, a pod podłogą Aldona była niemal pewna – mieszkało stado myszy. To był optymistyczny scenariusz. W pesymistycznym grupa złoczyńców robiła właśnie podkop, żeby zamontować od dołu ładunek wybuchowy i wysadzić cały dom w powietrze.

Tak, zdawała sobie sprawę, jak absurdalna jest to wizja, ale była ciemna noc, a ona sama.

Włożyła buty, wstała z łóżka i wzięła do ręki metalowy pręt. Znalazła go wcześniej w szopie na podwórku i przyniosła, żeby mieć się czym obronić w razie ataku. Obeszła dom. Nie znalazła żadnego napastnika ani żadnej myszy, tylko kot w kuchni obrzucił ją niechętnym spojrzeniem, przekonany, że przysłała tutaj po to, żeby i w tym miejscu przeszkadzać mu w spokojnym śnie.

Zarzuciła na ramiona kurtkę i wyszła na zewnątrz. Nocne jesienne powietrze przyniosło jej chwilową ulgę i ostudziło głowę, ale na gołych nogach natychmiast pojawiła się gęsia skórka. Aldona sprawdziła podwórko. Podeszła do bramy i wyjrzała na ulicę. W lewo, w prawo. Nie zauważyła ani nic podejrzanego, ani wracającego z Podkowy Leśnej Zygmunta.

Wróciła do domu i rozebrała się, ale zamiast wskoczyć pod pierzynę, usiadła przy stole. Przed nią walały się na wół rozwiązane krzyżówki, których widok tak ją niespodziewanie rozczulił, że zebrało się jej na płacz. Kilka łez pociekło po policzkach. Sięgnęła po telefon. Powinna zadzwonić do Zygmunta, sprawdzić, co się stało i czy wszystko z nim w porządku, ale zamiast wybrać jego numer, wybrała numer Bartka Sokoła. Chciała, żeby był tutaj razem z nią, poczułaby się bezpiecznie, a gdyby mogła po prostu położyć głowę na jego klatce piersiowej, natychmiast by zasnęła. Nie nacisnęła jednak zielonej słuchawki. Trochę dlatego, że było późno i taki telefon trąciłby desperacją, a trochę dlatego, że nie chciała, by widział w niej słabą, przerażoną dziewczynkę, która musi schronić się za męskim ramieniem. Poza tym nagły żal tak mocno ścisnął ją za gardło, że nie była pewna, czy zdołałaby wydusić z siebie choć słowo.

W tym momencie usłyszała odgłos otwieranych drzwi, a potem ciężkie kroki. Poderwała się z krzesła i chwyciła metalowy pręt, szykując się do zadania ciosu. W kuchni zapaliło się światło, kot miauknął niezadowolony, a chwilę później w progu pokoju pojawił się Zygmunt. Przyjrzał się uważnie Aldonie, kiwnął głową, jakby wyrażał aprobatę, i powiedział krótko:

– Wróciłem.

Potem poszedł do siebie bez słowa wyjaśnienia, co się właściwie stało i dlaczego nie było go tak długo.

Aldona odłożyła pręt i położyła się do łóżka. Ku swojemu zaskoczeniu wkrótce zasnęła.

Spotkanie w tym samym miejscu, w którym niecałą dobę wcześniej rozmawiał z Dyziem, wiązało się z pewnym ryzykiem, ale Sokół lubił park przy stawie Sadurka nie tylko ze względu na ciszę, zieleni i drzewa. Akurat tego ranka ważniejsze były dla niego pobliskie biurowce. W garniturze i wełnianym płaszczu, z teczką przewieszoną przez ramię i telefonem przy uchu, jakby prowadził właśnie ważną rozmowę, niczym kameleon wtapiał się w otoczenie pełne pędzących do pracy korpulentów. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Stanowił element tła, podobnie jak pan kanapka z torbą pełną żarcia, które zamierzał wcisnąć biedakom bez drugiego śniadania.

Sokół wykorzystywał swoją niewidzialność, żeby obserwować teren parku i pomostu, na którym wyznaczył spotkanie. Nie był głupi ani naiwny. Jeśli Dyzio nie żył, a wszystko na to wskazywało, bo w żaden sposób nie mógł się z nim skontaktować, chciał najpierw dowiedzieć się, kto ma jego telefon.

Na pomoście nikt się jednak nie pojawił. Sokół odczekał jeszcze piętnaście minut, udając, że albo sprawdza coś w telefonie, albo do kogoś dzwoni. W końcu uznał, że wystarczy. Ktokolwiek odebrał telefon poprzedniej nocy, postanowił nie przychodzić na spotkanie. Nad konsekwencjami tego faktu i kolejnymi krokami Bartosz postanowił więc zastanowić się już u siebie w biurze.

Wsiadł do zamówionego ubera i kazał się zawieźć do centrum. Kierowca chciał podjąć rozmowę, prawdopodobnie po to, żeby wydać się sympatycznym i zdobyć dobrą opinię w aplikacji, ale Sokół dał mu do zrozumienia, że woli ciszę.

Z powodu korków jechali pół godziny. Wykorzystał ten czas na odpoczynek. Po prostu przymknął powieki i pozwolił swoim myślom odpłynąć. Wiedział, że wkrótce będzie potrzebować świeżej głowy i pełnej koncentracji.

Wjechał na górę windą, przywitał się z recepcjonistką oraz pracownikami i wszedł do swojego gabinetu. Ledwo zdążył zdjąć płaszcz i odłożyć teczkę, zadzwonił telefon na jego biurku. Podniósł słuchawkę.

– Przepraszam, panie Bartku – głos recepcjonistki był nerwowy i niepewny. – Ale jest tu pan z kebabem dla pana.

– Z kebabem?

– Tak.

– Nie zamawiałem kebabu.

– Mówi, że miał pan odebrać przy jakimś... no, stawie, ale już pan pojechał, więc on przyjechał tutaj i...

Sokół nie słuchał dalszego ciągu tej niezgrabnej wypowiedzi. Zmroziło go i zrobiło mu się gorąco równocześnie.

– Wpuść go do mnie – powiedział i odłożył słuchawkę.

Chwilę potem do gabinetu wszedł mężczyzna, którego Sokół natychmiast rozpoznał – cholerny pan kanapka z biurowców obok stawu. Najwyraźniej nie tylko on postanowił najpierw zbadać sytuację i nie tylko on potrafił się dobrze kamuflować w korporacyjnym krajobrazie. Zupełnie nie zwrócił wtedy na faceta uwagi, a powinien, bo przecież był wielki. Tylko ta torba na jedzenie... Jak jednak dotarł aż tutaj?

– Jak przeszedłeś ochronę na dole? – zapytał więc, przechodząc od razu do rzeczy, które go interesowały.

Mężczyzna wzruszył potężnymi ramionami.

– Proste. Byłem tuż za tobą. Poczekalem, aż będziesz przy windach i powiedziałem ochroniarzowi, że przywiozłem dla ciebie kebab.

– Tyle wystarczyło?

– Ludzie pomagają dostawcom jedzenia. Każdy w końcu chce jeść.

Sokół wskazał mu krzesło naprzeciwko biurka. Sam oparł się o jego blat i skrzyżował ręce na piersiach.

– Kim jesteś? – zapytał.

– W Polsce mówią na mnie Misiek – odparł, nie ruszając się z miejsca.

– A nazywasz się?

– Za mało się znamy.

Bartosz pokiwał głową.

– Dyzio naprawdę nie żyje?

– Naprawdę.

– Kto?

– Facet, do którego przyjechaliśmy, żeby się nim zająć. Zaskoczył nas. Miał pistolet. Załatwił Dyzia, a ja uciekłem.

Sokół zrobił w myślach szybki rachunek sumienia. Zastanawiał się, czy i jak szybko da się go skojarzyć z martwym Dyziem. Kontaktowali się telefonicznie, korzystając z kart SIM zarejestrowanych na lipne osoby, rzadko pokazywali się razem, najczęściej wymieniali wiadomości przez Hyzia, kiedy spotykał się z nim na treningach. Na pierwszy rzut oka był więc bezpieczny. Oczywiście, jeśli ktoś pogrzebie głębiej, na pewno coś znajdzie, ale tym Sokół będzie martwił się później – o ile rzeczywiście do tego dojdzie. Teraz powinien się zająć stojącym przed nim mężczyzną.

– Dziękuję, że osobiście przekazałeś mi tę wiadomość – powiedział. – Czy Dyzio obiecał ci jakieś pieniądze?

– Nie.

– Mogę ci zaproponować... powiedzmy dziesięć tysięcy za twój wysiłek. I uznamy, że nasze sprawy są zakończone. Tak?

Misiek powoli pokręcił głową.

– Chcesz więcej? – zapytał Sokół. – To pomyliłeś adresy. Te dziesięć tysięcy to gest dobrej woli. Nie nadużywaj jej.

Mężczyzna był od niego większy i zapewne silniejszy, a jego uszy świadczyły o tym, że uprawiał zapasy lub inne podobne sztuki walki. Pokonanie go w walce wręcz byłoby wielkim problemem, ale przecież w biurze nie odważy się go zaatakować.

– Chcę zrobić biznes – odezwał się Misiek.

– Biznes? Jaki biznes?

– Jak z Dyziem.

Sokół się skrzywił.

– Raczej nie – powiedział. – Dyzio pracował kiedyś w policji, miał kontakty na lokalnej komendzie i nie tylko. Trzymał całą dzielnicę za gardło. A ty co? Wozisz kanapki.

Mężczyzna zrobił krok w jego stronę.

– Dyzio był stary i się bał – odparł. – Miał kontakty w komendzie i co? Policjantów zawsze można kupić. A że trzymał dzielnicę za gardło? Ja ją chwycę za jaja.

Bartosz poczuł, jak serce zaczyna mu mocniej bić. Ale wcale nie ze strachu, tylko z ekscytacji. W oczach tego olbrzyma dostrzegł dziki głód. Miał wrażenie, że stoi przed nim prawdziwa bestia, straszna i nienasycona, która dopiero co wyrwała się na wolność. To było tak, jakby w jednej sekundzie znalazł bratnią duszę.

– Jaki interes chcesz ze mną zrobić? Naprawdę taki jak z Dyziem?

– Nie. Lepszy. Wiem, że z Dyziem kradliście mieszkania.

– Skąd? – zapytał lekko zaniepokojony Sokół. Bo jeśli Misiek o tym wiedział, to kto jeszcze? Mężczyzna zaś podniósł rękę i palcem uderzył się kilka razy w kalafiorowate ucho.

– Jestem dobrym słuchaczem – odpowiedział i wyszczerzył zęby. – Przychodzę z lepszą ofertą.

– Jaką?

– Narkotyki. Znam ludzi w Turcji i na pograniczu. Mogę zdobyć świetną heroinę i haszysz.

Sokół przewrócił oczami.

– Świetnie. Tylko trzeba je jeszcze dostarczyć do Polski.

– Nie do Polski. Do Niemiec i dalej. Mam ludzi w Berlinie.

– I tak trzeba je przetransportować do Europy. Jak zamierzasz to zrobić?

Tamten wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu, co jeszcze bardziej upodobiło go do groźnego zwierzęcia.

– Przez Białoruś – powiedział.

Bartosz postukał palcem w blat biurka.

– Przez Białoruś? – powtórzył. – Niby jak?

– Białorusini sami nas tam sprowadzają – odparł Misiek. – Pakują do samolotu i prosto do Mińska. Niczego nie szukają, niczego nie sprawdzają, tylko od razu wysyłają na granicę. Kiedyś byli srodzy, bili, ale teraz chętnie biorą w łapę. Zapłacisz parę rubli, to sami cię do tego płotu zaprowadzą i jeszcze drabinę podstawią. Kłopot zaczyna się w Polsce. Bo wasi to jednak łapią. Poza tym są lasy i bagna.

– I jak zamierzasz sobie z tym poradzić?

– Znam ludzi, którzy latają po tych lasach, żeby wyciągać uchodźców.

– Aktywistów?

– Aktywistów – potwierdził Misiek. – Wystarczy, że dam im wcześniej cynk, gdzie ktoś będzie, to sami po niego polecą i jeszcze do Berlina zawiozą.

– Nie będą chcieli zajmować się przemytem narkotyków – zauważył Bartosz.

– Nie będą o nim wiedzieli.

– Czyli trasa prowadziłyby przez Białoruś, Polskę, gdzie wykorzystałbyś te naiwne dzieciaki, a potem do Berlina, gdzie kurier...

– Wsiada w samolot do domu, odpoczywa dwa tygodnie i robi kolejne kółeczko – dokończył Misiek.

– A do czego ja ci jestem potrzebny?

– Bo masz pieniądze. To biznes, inwestycja. Wsadzasz dziesiątki, wyjmujesz setki i nic nie musisz robić. Ja mam ludzi, także w Warszawie. Wcześniej pracowali dla Dyzia, teraz będą robić dla mnie.

Sokół wyprostował się i podrapał kciukiem po szczęce. Próbował przyjąć postawę twardego negocjatora, ale przez moment ujrzał swoje odbicie w szybie i zorientował się, że to nie ma sensu. Jego oczy błyszczały z ekscytacji.

– Brzmi sensownie – uznał. – Chciałbym poznać jeszcze szczegóły, ale wstępnie jestem zainteresowany. Zanim jednak zajmiemy się tym projektem, będę potrzebować twojego wsparcia w innej sprawie.

– Jakiej?

– Trzeba zamknąć mój poprzedni projekt. Ten, który prowadziłem razem z Dyziem. Bo skoro już go z nami nie ma, to niestety projekt jest martwy.

– Co trzeba zrobić?

Sokół pomyślał o Aldonie, panie Henryku, tym nieszczęsnym komorniku i Zygmuncie. Przede wszystkim o Zygmuncie.

– Zabić parę osób – powiedział zimno. – Dasz radę to zrobić?

– Dam – odparł Misiek i wyszczerzył zęby.

I tyle wystarczyło. Nie potrzebował dodatkowych zapewnień lub przechwałek. Bestia, pomyślał, prawdziwa bestia.

– Co z Hyziem i Zyziem? – zapytał tamten.

– Zajmę się nimi. Powiem im, co się stało z Dyziem. Nie wspomnę o twoim udziale. To proste chłopaki, nie ma co im mieszać w głowach.

– Czyli mamy umowę?

Bartosz wyciągnął do niego dłoń i Misiek ją uściśnął. Spojrzeli sobie prosto w oczy.

– Jest tylko jedna zasada – powiedział Sokół.

– Jaka?

– Nie przychodź tutaj więcej.

Kurier wziął swoją torbę i ruszył w stronę drzwi.

– Poczekaj! – zawołał za nim biznesmen. – Masz ze sobą faktycznie jakiś kebab?

Tamten otworzył torbę i wyciągnął z niej zawiniętą w folię kanapkę. Spojrzał na naniesiony na nią markerem znaczek.

– Tylko z sosem ostrym ostrym.

Sokół skrzywił się. Na samo wspomnienie do oczu napłynęły mu łzy.

– To ja raczej pasuję.

Na śniadanie poszliśmy do Taty Turka. Zamówiłem kebab w sosie łagodnym, dużą kawę i pół litra wody. Polubiłem tamtejsze żarcie. Porcje były solidne, warzywa świeże, mięso aromatyczne. Aldona zadowolona się sałatką. Dołączyła do nas jeszcze Michaśka, która wzięła jedynie puszkę coli. W barze oprócz nas nikogo nie było. Tylko od czasu do czasu dzwonił telefon, a Tata Turek zbierał lunchowe zamówienia z okolicznych firm.

– To co dalej? – zapytała Michaśka pomiędzy jednym a drugim łykiem. – Kogo dzisiaj śledzimy?

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– No nie! Musicie mieć jakiś pomysł – odparła i spojrzała na nas wyczekująco.

– Rozmawiałam z Bartkiem – odezwała się Aldona. – Dzisiaj ma dużo pracy, ale postara się wpaść po południu. Wyciąga jakieś dokumenty ze swojej firmy, z centrali w Londynie. Może uda się nam dojść do czegoś od tej strony.

– A co z tym komornikiem? – zapytała Michaśka.

– Zygmunt jechał do niego w środku nocy, ale właściwie – Aldona przeniosła na mnie wzrok – nie powiedziałeś jeszcze po co.

– Wydawało mu się, że ktoś chce się do niego włamać – skłamałem. – Obszedłem teren, sprawdziłem okolicę i posiedziałem u niego trochę, żeby upewnić się, że jest bezpieczny.

– Aż taki z niego panikarz? – zdziwiła się Michaśka. – No proszę, kolejny odważny, jak trzeba odebrać wdowi grosz, ale jak coś już zaszeleści w krzakach, od razu dzwoni po pomoc.

– Nie do końca tak jest. – Aldona wzięła go w obronę. – To trochę inny typ człowieka.

– Ale i tak panikarz. Trzeba by się z nim spotkać, nie? Usłyszeć, co wie! – naciskała podekscytowana Michaśka.

– To prawda – przyznałem, kończąc kanapkę. – Zaraz do niego zadzwonię.

– No i jeszcze jest ten typ z wczoraj! Ten, który przyszedł do listonosza, nie?

I którego wczoraj spaliliśmy w piecu do kremacji zwierząt, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno.

– Trzeba go znaleźć! Przecież mówiłam wam wczoraj, że widziałam, jak rozmawiał z Miśkiem! – Teraz Michaśka niemal krzyczała, energicznie przy tym gestykulując. – Trzeba złapać Miśka i z nim pogadać! Bo on przecież wie, co to za typ i jak się z nim skontaktować, nie?

Nie czekając na naszą reakcję, poderwała się od stolika i podbiegła do lady. Zaczęła dzwonić leżącym tam dzwoneczkiem, aż z kuchni wyszedł do niej Tata Turek.

– Jeszcze raz cola? – zapytał, uśmiechając się przyjaźnie.

– Nie, szukamy Miśka! Kiedy przyjdzie?

Uśmiech od razu zniknął z jego twarzy.

– Nie przyjdzie dzisiaj. Chory.

– Dałbyś nam do niego numer?

Tata Turek zawahał się na moment.

– Nie ma telefonu.

– Ale jak to? – zdziwiła się Michaśka. – Przecież musisz się z nim kontaktować, gdy jeździ z jedzeniem, prawda?

– Prawda.

– No to potrzebuję tego numeru.

– Misiek zgubił telefon – powiedział Tata Turek. – Przepraszam, ale praca. Trzeba robić kebaby.

Odwrócił się na pięcie i wrócił do kuchni. Michaśka posłała nam teatralnie zdziwione spojrzenie i zajęła swoje miejsce. Nachyliła się do Aldony.

– Słyszałaś? – wyszeptwała.

– Trudno było nie słyszeć.

– Myślisz, że go zwolnił? Albo że się o coś pokłócili?

– Nie wiem, może.

– Ale jutro chyba będzie, nie?

Aldona wzruszyła ramionami. Skończyłem kanapkę, zwinąłem śmieci w kulkę, dopiłem kawę z tekturowego kubka, a potem całość wyrzuciłem do kosza. Dałem Aldonie znać, że idę zadzwonić. Nie chciałem rozmawiać z Guźcem przy dziewczynach, wyszedłem więc na zewnątrz i dopiero wtedy wybrałem numer. Komornik odebrał równo po trzech sygnałach, jakby był jakimś automatem w biurze obsługi klienta.

– Zygmunt – rzuciłem do słuchawki.

– Wiem, wyświetlił się numer.

– Dzwonię się upewnić, że wszystko w porządku.

– A co? Bał się pan, że po wczorajszych wydarzeniach już się nie obudzę? – zaśmiał się nieprzyjemnie. – Twardzi próbowali, panie Zygmunco. Jestem już w kancelarii, pracuję. Nie pozbędą się mnie tak łatwo.

– A dzwonił pan do swojego znajomego?

Zawahał się na moment i to mi wystarczyło.

– Niech pan zadzwoni – powiedziałem, nie pozwalając mu skłamać.

W odpowiedzi usłyszałem niezadowolone sapnięcie.

– Zadzwonię – mruknął. – Coś jeszcze, panie Zygmunco, czy tylko dzwoni pan z troski o mnie?

– Detektyw?

– Wciąż zero kontaktu.

Pomasowałem się po czole. Nie spodziewałem się innej odpowiedzi, ale i tak poczułem lekkie rozczarowanie. Gdyby okazało się, że facet po prostu poszedł w trzydniowe tango, wszyscy byśmy się ucieszyli.

– To co teraz?

– Jeśli mamy szczęście, to koniec tej historii – powiedziałem, po raz pierwszy artykułując głośno myśl, która chodziła mi po głowie od samego rana.

– Jak to?

– Wymyślili przekręt, dobrze im szło, zarobili sporo pieniędzy, ale wreszcie trafiła kosa na kamień. Ponieśli stratę. Konkretną, wymierną stratę. Jeszcze nie przegrali, ale ciągnięcie tej sprawy oznacza większe ryzyko. W tej chwili najbardziej rozsądnym dla nich rozwiązaniem jest po prostu wycofanie się. Zniknięcie z dzielnicy.

– I tak powinniśmy ich znaleźć – powiedział Guziec twardo. – Stąd może znikną, ale pojawią się w innej dzielnicy, w innym mieście. Sam pan mówił: przekręt działa, swoje zarobili. Jaka jest szansa, że w Gdańsku, Krakowie, Poznaniu też trafią na kogoś takiego, jak pan?

Miał rację. Jeśli przekręt działał, nie zrezygnują z powodu jednej porażki. Istniała duża szansa, że ocaliliśmy pana Henryka i jego dom, ocaliliśmy jedną ofiarę, ale drapiezniki ciągle gdzieś tam krążyły. I wkrótce znowu zgłodnieją.

– Dostał pan cokolwiek od tego detektywa?

– Tak. Raport z dotychczasowych działań. Papierową wersję mam w Podkowie Leśnej, ale elektroniczną na mejlu. Mogę panu wydrukować w kancelarii.

– Proszę w takim razie go przygotować. Przyjadę za godzinę.

– Tam nic nie ma. Nic poza tym, co już pan wie.

– O tym się jeszcze przekonamy.

Rozłączyłem się. W czasie rozmowy bezwiednie krążyłem wokół baru z kebabami. Obszedłem go pewnie dwa razy, ledwo to zauważając. Gdy chowałem telefon do kieszeni, otworzyły się tylne drzwi i wyszedł z nich Tata Turek, niosąc dwa ciemne worki. Wrzucił je do pobliskiego pojemnika na śmieci i dopiero wtedy mnie zauważył. Przystanął, spuścił głowę, a potem jakby nabrał odwagi, bo zrobił dwa kroki w moim kierunku.

– Szukacie Miśka? – zapytał.

– Tak.

– Przestańcie.

– Dlaczego?

– Bo to nie Misiek – powiedział. – To *hirç*. Niedźwiedź.

Przecież to nawet nie był ich ojciec, pomyślał z niesmakiem Sokół, kiedy Hyzio wył dziko i walił raz za razem w worek treningowy, a Zyzio krążył po sali, krzycząc „kurwa, kurwa, kurwa”. Jego głos odbijał się głuchym echem od ścian. Biznesmen aż miał ochotę zatkać uszy, ale zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji można by to uznać za brak taktu. A przecież potrzebował obu braci, tym bardziej jeśli naprawdę wejdzie w spółkę z tym Turkiem. Podobał mu się Misiek, podobała mu się jego ambicja, ogień w oczach. Przeświadczenie o tym, że ze światem należy walczyć, żeby wyrwać dla siebie kawałek. Na razie on był górą, bo miał coś, czego tamten potrzebował, ale gdy później utrzymają partnerskie relacje, wolał mieć po swojej stronie silnych ludzi. Hyziowi i Zyziovi daleko było do ideału, na początek jednak powinni wystarczyć.

Starszy już przestał chodzić wokół i kłać, zamiast tego stał otępiały pod ścianą, za to młodszy ciągle płakał, wrzeszczał i walił w worek. Sokół nie mógł nie zauważyć, że używa samych rąk, prawie się przy tym nie skręcając. Z tego powodu zadawał relatywnie słabe ciosy, ale z takim entuzjazmem, że jeszcze chwila, a zrobi sobie krzywdę w nadgarstek.

Sokół regularnie wynajmował tę salę dla siebie i Hyzia na prywatne treningi. Oczywiście Hyzio nie był na jego poziomie, brakowało mu samozaparcia do regularnej pracy, a także, co tu dużo ukrywać, inteligencji. Wolno się uczył, ćwiczenia wykonywał niedbale, a jako partner do sparingów znajdował się tylko poziom wyżej od worka treningowego, ale te spotkania były wygodną przykrywką dla rozmów o wspólnych interesach.

Bartosz zaczął się zastanawiać nad tym, czy krzyki braci słyhać w pozostałych salach treningowych i co myślą sobie ćwiczący tam ludzie.

Wreszcie Hyzio się zamknął. Opuścił ramiona, oparł czoło o worek treningowy, przymknął powieki i dyszał ciężko.

– Kto? – wycharczał.

Sokół wiedział, że to pytanie padnie, i jadąc tutaj, zastanawiał się, jakiej udzielić odpowiedzi. Przez pewien czas rozważał nawet opcję, żeby nie robić nic i pozwolić sprawie umrzeć śmiercią naturalną. Operacja, jak by nie patrzeć, była przecież sukcesem. Zarobili mnóstwo pieniędzy, przejęli kilka mieszkań i uszło im to wszystko na sucho. Nadziali się na ostatnim etapie, bo albo nie dość starannie sprawdzili swój cel, albo mieli pecha. Takie rzeczy w biznesie po prostu się zdarzają. Ponieśli pewne straty, ale w ogólnym rachunku byli na potężnym plusie. Pod pewnymi względami rezygnacja z dalszych działań wydawała się optymalną strategią, choć wiązała się z pewnym ryzykiem. Nie wiadomo, co zrobią Zygmunt, Aldona i cholerny komornik. Opuśćczą czy zaczną kopać? A jeśli to drugie, do czego się dokopią? Sokołowi wydawało się, że jest zabezpieczony ze wszystkich stron, ale był o tym już przekonany, zanim ta cała awantura się zaczęła. A skoro wtedy się pomylił, istniała szansa, że teraz również popełnia błąd. No i wciąż zastanawiał się, co stało się z ciałem Dyzia. Sporą część poranka spędził na przeglądaniu wiadomości z Podkowy Leśnej, wchodził na lokalne fora, gazety, grupy na Facebooku i nie znalazł żadnych informacji o nocnych wydarzeniach. Co oznaczało, że ani komornik, ani Zygmunt nie zawiadomili policji. Dlaczego? W jaką grę grali? No i ostatni aspekt – Hyzio i Zyzio. Sokół ich potrzebował, a oni potrzebowali kogoś, kogo mogliby ukarać za śmierć stryja. Dlatego odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Zygmunt.

– Kto? – zapytał Zyzio spod ściany.

– Facet, którego spotkaliście w domu starego. Ten, który... – Nie dokończył, żeby dodatkowo nie upokarzać Hyzia. Poza tym już wiedzieli, o kogo chodzi.

– Jak to się stało?

– Dyzio pojechał do Podkowy Leśnej, żeby porozmawiać z Tomaszem Guźcem, komornikiem, który grzebie wokół naszych spraw. Chciał wydobyć od niego kilka odpowiedzi.

– Pojechał sam? – zdziwił się Zyzio.

– Tak. Namawiałem go, żeby wziął jednego z was, najlepiej obu, ale uznał, że poradzi sobie sam. Nie chciał was w to mieszać, na wypadek gdyby... hm, sprawy wymknęły się spod kontroli.

– To znaczy? – zapytał Hyzio.

Sokół w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie westchnąć ze zniecierpliwieniem. Każda inna osoba natychmiast zrozumiałaby, co ma na myśli.

– Gdyby musiał zrobić mu krzywdę albo nawet go zabić – wyjaśnił.

– Aha.

– Ten komornik jest stary, Dyzio więc był pewien, że sam sobie z nim poradzi.

– To co się stało? Dlaczego sobie nie poradził?!

– Bo wpadł w zasadzkę. Czekał tam już na niego ten facet, Zygmunt, i wspólnie z komornikiem załatwili Dyzia.

Obaj bracia poczerwienieli.

– A ciało? – zapytał Hyzio.

– Nie wiem, co się z nim stało.

– To jak mamy pochować stryjka?! Jak, kurwa?!

Sokół podszedł do spoconego mężczyzny, objął go i przytulił. Poczuł, jak jego ciało nagle mięknie i wstrząsa nim szloch. W pewnym momencie podszedł do nich Zyzio i też się przytulił. Trwali przez długą chwilę w tej niewygodnej pozycji, a Sokół z sekundy na sekundę czuł się coraz bardziej niezręcznie.

Odetchnął, gdy wreszcie go puścili.

– I co teraz zrobimy? – rzucił Zyzio.

Bartosz przygotował sobie zawnazsu nieco naciąganą historię o tym, jak Dyzio zdołał uciec z tamtego domu, zadzwonił do niego i w trakcie rozmowy wyzionął ducha. Niepotrzebnie, bo żaden z braci nie zapytał o to, skąd wie o śmierci ich stryja, skoro Dyzio sam pojechał do komornika. Obaj patrzyli teraz na niego wyczekująco, a w ich spojrzeniu nie było nawet cienia wątpliwości w prawdziwość jego słów. Sokół zastanawiał się, czy są naprawdę tak głupi czy przez te wszystkie lata wykonywania poleceń Dyzia odzwyczaili się od samodzielnego myślenia i teraz po prostu potrzebują kogoś, kto nimi pokieruje. Przywódcy stada. Niektóre zwierzęta tak mają, zwłaszcza te słabsze osobniki. Zresztą nie tylko zwierzęta.

– No właśnie, co? – dopytywał Hyzio.

Nie zdecydował jeszcze, co z Aldoną. Polubił tę dziewczynę, nawet bardzo. Miała co prawda głupie i szkodliwe poglądy polityczne, ale doceniał jej zaangażowanie. Pomyślał, że dobrze by było, żeby ona akurat wyszła z tego bez szwanku, ale co do całej reszty tej zgrai decyzje zostały już podjęte.

– Pomścimy waszego stryjka – odpowiedział, bo właśnie tego od niego oczekiwali.

Prawdziwy przywódca musi najpierw udowodnić, że zasługuje na posłuszeństwo swoich ludzi. Poza tym, tak spokojnie, po ludzku cieszył się na kolejne starcie z Zygmuntem. Tym razem bez rękawic, bez ringu i bez zasad.

Znów pożyczyłem od Aldony samochód i pojechałem do Guźca. Odebrałem od niego wydrukowaną kopię raportu prywatnego detektywa, którego zatrudnił. Nie rozmawialiśmy długo. Obaj czuliśmy, że po wczorajszych wydarzeniach mamy dość swojego towarzystwa. Wróciłem do auta i przeczytałem całość. Pomyślałem, że facet wykonał kawał dobrej roboty. Solidnie sprawdzał każdy ślad, szedł każdym tropem, brakowało mu jednak samozaparcia, może motywacji. Tam, gdzie trafiał na ścianę, rezygnował, zamiast próbować przeć do przodu. A może Guziec po prostu za mało mu płacił.

Zapoznawszy się z raportem, zastanawiałem się nad kolejnymi krokami. Uznałem, że powinienem sprawdzić ostatnie miejsce pobytu Krystyny Kolarz, kobiety, która chorowała na demencję i tak chętnie uwierzyła we wszystkie kłamstwa tych oszustów. Mój tok rozumowania był prosty: skoro Guziec rozmawiał już z dwiema innymi ofiarami i niczego od nich nie wyciągnął, to prawdopodobnie na moje pojawienie się zareagują tak samo – milczeniem. W przypadku Krystyny Kolarz oszuści sporo się napracowali, najpierw umieszczając ją w domu opieki, a potem z niego zabierając. Musieli więc pojawić się tam osobiście, rozmawiać z personelem, a to oznaczało, że zostawili ślady. Miałem nadzieję, że uda mi się je odnaleźć.

Dom seniora Róza znajdował się w jednej z podwarszawskich miejscowości, na tyle daleko od stolicy, że było tam cicho i spokojnie, a na tyle blisko, że deweloperzy stawiali kolejne osiedla domów jednorodzinnych, zmieniając spokojną wieś w kolejną sypialnię. Dom opieki ulokowano w kompleksie budynków stylizowanych na szlachecki dworek, który zgrabnie wkomponowano w stary park.

Żeby dostać się do środka, trzeba było podać swoje imię i nazwisko, a także powód wizyty. Nie miałem na to ochoty, obszedłem więc mur, znalazłem miejsce, gdzie nie ma żadnych kamer, i pokonałem go dwoma susami. Kiedy wylądowałem, suche liście zachrzęściły pod moim stopami.

– Zbyt wielu rzeczy tu pan nie ukradnie. – Usłyszałem skrzekliwy głos.

Kilka metrów ode mnie, obok dużego buka, siedział na wózku inwalidzkim stary przygarbiony mężczyzna. Ubrany był w za dużą niebieską puchówkę, wokół jego szyi owijał się jak wąż boa wełniany szal, a twarz ukrywała się pod daszkiem kaszketu. Nogi okryte miał pledem, na dłoniach pozbawione palców rękawiczki.

– Słucham?

– Zbyt wielu rzeczy tu pan nie ukradnie – powtórzył. – Sami starzy ludzie tutaj mieszkają. Nie mamy cennych rzeczy. Co mieliśmy, to dzieci nam zabrały – zarechotał. – No i poza tym jest ochrona i obsługa. Szybko pana zauważą i zawiadomią policję. Poszukałbym łupu gdzie indziej.

– Nie przyszedłem kraść.

– Dokładnie coś takiego powiedziała by złodziej, który zakrada się przez ogrodzenie, zamiast przejść jak człowiek główną bramą.

Uśmiechnąłem się lekko. Podeszedłem do starca i wyciągnąłem do niego dłoń.

– Zygmunt – przedstawiłem się.

– Mikołaj. – Uścisk miał słaby, jakby z trudem zginał palce.

– Teraz sam pan widzi, że nie jestem złodziejem. Co za złodziej by się przedstawiał?

– Ha! Żaden dowód! To jest pewnie fałszywe imię!

Jak by na to nie patrzeć, trafił.

– A co pan tu robi? – zapytałem.

– Wywieźli mnie na dwór, żebym zażył trochę świeżego powietrza.

– To nie powinni pana ustawić na słońcu? Tutaj trochę zimno.

– Ha! Odjechałem im! Lubię to robić! Pan by ich zobaczył, jak się zamartwiają, gdy po mnie przychodzą, a mnie nie ma. Jaki raban wtedy wszczynają! Potem grożą, że za karę deseru nie dostanę, ale płacę, to mają dawać, nie? To znaczy syn płaci.

– Nie wziął pana do siebie?

– Nie poszedłbym – odparł starzec pogodnie. – Jak mam zdychać, to tak, żeby nikomu nie przeszkadzać. Takie mam zasady, no!

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

– Powiedzmy, że panu uwierzę, Zygmunco – dodał po chwili. – A pan wie, że miałem kiedyś kolegę

Zygmunta? Dobry chłop. W osiemdziesiątym piątym się utopił. Wskoczył do jeziora, żeby jakiegoś pijaka wyciągać. Obaj na dno poszli. Pośmiertny mu medal za odwagę dali, ale co człowiekowi, kurwa, po medalu, jak nie żyje?

– Co prawda, to prawda.

– No! To mówię. Nie że panu wierzę, panie Zygmuncie, bo nie wierzę. Pan jest złodziej, ale zakładając, że wierzę, po kiego diabła pan tu przyszedł?

– Porozmawiać.

– A z kim by pan sobie pogawędził?

Wzruszyłem ramionami.

– Rzecz w tym, że nie wiem.

– A o czym by pan sobie chciał pogawędzić?

– O Krystynie Kolarz.

Starzec natychmiast zmarkotniał.

– A, tak... Krysia...

– Znał ją pan?

– Piękna kobieta to była. Głupia bardzo, bo jej na mózg padło. Pan wie. – Pokręcił palcem przy skroni. – Ale jak miała lepszy dzień, to i pogadać się dało, i pożartować. Tyle że rzadko się takie zdarzały.

– Już tu nie mieszka?

Zmrużył powieki.

– Szuka jej pan?

– Raczej ludzi, którzy ją skrzywdzili.

– To mieszkanie... – domyślił się od razu.

– Opowiadała o nim?

– Opowiadała, że miała, ale jakichś kredytów nabrała i jej zabrali. W gorsze dni budziła się i krzyczała, że chce do domu, że została porwana i ją tu przetrzymują. Że to wszystko wina tych mafiosów. Aż się jedna doktorka zainteresowała i zadzwoniła do wnuka Krysi, żeby dowiedzieć się, co to za mafia.

– Jak to do wnuka? – przerwałem mu.

Pamiętałem, że Krystyna Kolarz nie miała żadnej rodziny.

– No wnuka. Tego, co ją tutaj przywiózł, a potem zabrał. Przyjechał pewnego dnia w odwiedziny, długo rozmawiał z Krysią, a potem poszła do doktorki i powiedziała jej, że nie życzy sobie tutaj przebywać i zwalnia pokój. Doktorka mówiła wnukowi, bo to dobra kobieta, trochę wredna, ale dobra, że to nie jest najlepszy pomysł. Przekonywała, że Krysia jest w kiepskim stanie i to się będzie tylko pogarszać, ale ten wnuk tylko rozłożył ręce. Powiedział, że babcia się uparła i jak chce wychodzić, to wyjdzie.

– Pozwolili jej na to?

Starzec wyszczerzył w uśmiechu poźółkłe zęby.

– Panie, to jest porządny ośrodek, a nie żadne więzienie. A ona nie była ubezwłasnowolniona przecież. Siłą nikogo tu nie trzymają.

Historia opowiedziana przez starszego mężczyznę powoli zaczynała mi się układać w głowie. Oszuści wyłudzyli mieszkanie od pani Krystyny na lipny kredyt, a potem umieścili ją w domu opieki. Zapewne opłacała go z własnej emerytury, więc nic na tym nie tracili. Uznali, że skoro z jej pamięcią jest coraz gorzej, to nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa. Na wszelki wypadek zostawili nawet numer telefonu do jednego z nich. Pewnie zresztą był to wymóg ośrodka. Kiedy jednak pani Krystyna zaczęła opowiadać dziwne, niepokojące historie, jej lekarka w dobrej wierze skontaktowała się z fałszywym wnuczkim. Tym samym prawdopodobnie podpisując wyrok śmierci na kobietę.

– Widział pan tego wnuka? – zapytałem.

– No widziałem.

– Jak wyglądał?

Pan Mikołaj potrzebował kilku chwil, żeby przypomnieć sobie tamten dzień.

– Niższy od pana – powiedział ostrożnie. – Tak niedużo, ale niższy. Dobrze ubrany, w garniturze do nas przyjechał. Wysportowany raczej, bo tak dziarsko chodził, sprężysto. Okulary nosi, to na pewno. A, i jeszcze ma czarne włosy oraz brodę.

Starzec skończył swój opis i patrzył na mnie tak, jakby oczekiwał pochwały, a ja przeszukiwałem

pamięć, próbując dopasować ten opis do któregoś z oszustów, których spotkałem do tej pory na swojej drodze. Nagle coś mnie tknęło.

– Ma pan przy sobie telefon? – zapytałem. – Taki z dostępem do internetu?

– No mam.

– Mogę na chwilę pożyczyć?

– A ze swojego pan nie może skorzystać?

Sięgnąłem do kieszeni i pokazałem mu moją starodawną nokię.

– Panie! – zaśmiał się Mikołaj. – Przecież to telefon dla starych ludzi. Po co pan takie rzeczy nosi?

Nie stać pana na nowy?

– Ten się przynajmniej nie psuje.

– Ale jak pan potrzebuje internetu, to trzeba przygodnych starszków o pomoc prosić, co?

– Pożyczy pan? – zapytałem, chociaż już znałem odpowiedź. Cała ta sytuacja bardzo go bawiła, a poza tym widziałem, że jest ciekaw, do czego zmierzam.

Sięgnął pod koc, pogrzebał pod nim trochę, po czym wyjął dużego, nowoczesnego smartfona.

Odblokował i podał mi aparat.

– Tylko mi pan nie próbuj go ukraść. Bo dogonię i nogi z dupy powyrywam. Potem będzie pan musiał jeździć takim ferrari jak ja!

– Obiecuję.

Szybko wszedłem do wyszukiwarki, wpisałem odpowiednie hasło i wyświetliłem związane z nim zdjęcia. Kiedy znalazłem to, o które mi chodziło, pokazałem je starcowi.

– To on? – zapytałem.

Mężczyzna zbliżył twarz do aparatu. Wystarczyła mu ledwie sekunda, żeby energicznie pokiwać głową.

– To wnuk pani Krystyny. Bartosz Sokół? Tak się nazywa?

– Tak.

Już chciałem oddać aparat, ale powstrzymałem się. Coś mnie tknęło. Poczucie, że powinienem sprawdzić jeszcze jedną rzecz. Wpisałem adres oraz słowo „niedźwiedź”. Sprawdziłem wyniki, zmarszczyłem brwi, a potem spróbowałem inaczej. Nagle kilka rzeczy ułożyło mi się w głowie.

– Dzięki za pomoc.

Oddałem Mikołajowi aparat i ruszyłem w stronę ogrodzenia. Tuż przed nim przyśpieszyłem, wybiłem się mocno, chwyciłem krawędzi i podciągnąłem.

– Czyli naprawdę pan nie jest złodziejem? – zapytał, przyglądając mi się z dołu.

– Przykro mi, że muszę pana rozczarować – odpowiedziałem, a potem zeskoczyłem na drugą stronę.

Ruszyłem biegiem do zaparkowanego nieopodal samochodu. Musiałem jak najszybciej wrócić do Warszawy.

Zgodnie z zapowiedzią Bartek przyjechał zaraz po pracy. Zaparkował samochód na podwórzu, otworzył bagażnik i wyciągnął z niego dwa spore pudła wypełnione po brzegi dokumentami.

– Co to? – zapytała Aldona, kiedy wniósł je do środka i postawił na stole w pokoju wujka.

– Papiery, które znalazłem w polskim oddziale, i trochę rzeczy, które przysłali na moją prośbę z Londynu – powiedział. – W wielkim skrócie to dokumentacja przekrętów, w których podszywano się pod naszą firmę lub powoływano się na nią. Pomyślałem, że oszuści od twojego wujka próbowali już tego w innych miastach. Albo nawet za granicą, bo przecież założyliśmy, że są Polakami, ale wcale nie muszą być! Moglibyśmy to przejrzeć i może trafimy na podobną sprawę.

– Warto spróbować – rzuciła, chociaż nie podobała jej się perspektywa przeglądania stosu dokumentów. Szczególnie że nie wierzyła, by cokolwiek tam znaleźli. Bartek jednak wykonał sporo pracy, przygotowując te materiały, no i trochę się bała, że jeśli nie okaże entuzjazmu, to on wróci do siebie. A wołała, żeby został.

Posprząтали więc krzyżówki ze stołu, rozłożyli tam pudła i wyjęli dokumenty. Aldona przygotowała herbatę, a potem zabrali się do czytania kolejnych sprawozdań. Tak jak się spodziewała, nie znalazła niczego, co by służyło ich śledztwu, ale trzeba przyznać, że więcej rozmawiali, niż pracowali. Bartosz był zainteresowany działalnością ich stowarzyszenia, dlatego opowiadała mu, co robią, skąd mają pieniądze i z kim pracuje.

– Chciałbym poznać twoje koleżanki – powiedział.

– Bluzę, Michaśkę i resztę?

– No.

– Będą dzisiaj na imprezie w squacie u chłopaków. Jak skończymy z tym – wskazała na leżące na stole papiery – możemy się tam wybrać.

Aż się zdziwiła, z jakim napięciem czeka na odpowiedź. Jakby znowu była w liceum i chciała, żeby jej chłopak nie tylko poznał koleżanki, ale także je polubił.

– Gdzie jest ten squat? – zapytał.

– Niedaleko. Na Lipowczana, za pomnikiem ofiar katastrofy Kopernika. Jakies dziesięć minut spacerem stąd, jeśli nie będziemy się śpieszyć.

Uśmiechnął się lekko i kiwnął głową.

– Chętnie się tam z tobą wybiorę.

Poczuła równocześnie ulgę i radość.

Przez kolejne pół godziny pracowali w milczeniu, popijając herbatę. Tak jak się spodziewała, w dokumentach nie znalazła nic, co by choć przypominało sprawę wujka Henryka. Były to najczęściej proste oszustwa, w których albo ktoś chciał naciągnąć pośrednika firmy Trapper, albo podając się za pośrednika, próbował wyciągnąć pieniądze od niewinnych osób, oferując im kredyt na niesłychanie korzystnych warunkach, o ile najpierw wpłacą pierwszą ratę w ramach opłaty manipulacyjnej.

– Pójdę do łazienki – powiedział Bartek, wstając w pewnym momencie od stołu.

– Wiesz, gdzie jest?

– Trafie.

Aldona zajęła się kolejną historią, tym razem z Wielkiej Brytanii. Znowu pudło. Następne banalne oszustwo, które zrobiło na niej wrażenie o tyle, że ofiarą była imigrantka z Beninu, samotna matka czwórki dzieci, ledwo mówiąca po angielsku. Zapewne nie rozumiała, co się wokół niej dzieje, i tylko posłusznie podpisywała kolejne dokumenty.

– Woda cieknie w kranie – oznajmił Sokół, wchodząc do pokoju.

– Naprawdę?

– Albo trzeba dokręcić, albo wymienić uszczelkę.

– Dobrze. Zapiszę sobie, żeby zadzwonić po hydraulika.

– Daj spokój. To jest robota na kilka minut – odparł, podwijając rękawy. – Twój wujek ma tu jakieś narzędzia?

Szczerze mówiąc, sama nie wiedziała. Bartek poszedł szukać i w miarę szybko w jednej

z kuchennych szafek znalazł skrzynkę. Powiedział, że za chwilę wróci, i zniknął w łazience.

Z powrotem siadła do dokumentów, ale nie miała już ochoty czytać kolejnego raportu. Te oszustwa były proste, niektóre wręcz prymitywne, ale każde z nich oznaczało przecież ludzką tragedię. Dramat często całych rodzin, których jedynym grzechem było to, że dały się podejść oszustom.

Pomimo tego wzięła kolejny plik, mówiąc sobie w duchu, że robi to dla wujka. Na szczęście wtedy zadzwonił telefon. Odetchnęła z ulgą, że może z czystym sumieniem odłożyć czytanie na później. Zwłaszcza że przez Messengera próbował skontaktować się z nią Szymek. Odebrała i natychmiast na ekranie ukazała się twarz chłopaka.

– Co, urządzamy sobie wideokonferencję? – zażartowała.

– No! W końcu mam porządny internet!

Pomyślała, że ciągle korzysta z tego w komórce, ale postanowiła mu tego nie mówić.

– Jak jest u wujka? – zapytała.

– Spoko.

No cóż... Wiedziała już, że w tym wieku „spoko” może oznaczać wszystko – od „cudownie”, przez „ujdzie” po „beznadziejnie”, ale wyraz twarzy Szymka wskazywał na to, że są bliżej tej pierwszej możliwości. I chyba nie chodziło tylko o szybki internet.

– No to świetnie – powiedziała. – Bardzo się cieszę. Byłeś dzisiaj w szkole?

– Co ty! Jeszcze nie! Dopiero kombinują, jak mnie zapisać. Ciotka mi coś do zrobienia w domu tylko zadała, ale nie zrobiłem.

– Dlaczego?

– Bo zakopałem się w tych papierach, co od was wziąłem. I coś znalazłem! – zawołał podekscytowany.

– Naprawdę? – zapytała, ale raczej z uprzejmości niż z ciekawości. – Co takiego?

– No to, że wszyscy się pomyliliście.

– Nie rozumiem.

– Jak zerkniesz w dokumenty, zobaczysz, że pożyczka wcale nie została wzięta w firmie Trapper Sp. z o.o., czyli tej polskiej, tylko Trapper Ltd.

– Czyli brytyjskiej?

– No właśnie nie! – zawołał Szymek. – Ta brytyjska to jest plc, taka ich spółka akcyjna. Zacząłem w tym grzebać i okazało się, że Trapper Ltd. to spółka cypryjska. Tylko że spółka widmo, nie? Bo ani strony internetowej, ani nic. Siedzibę ma w jakimś biurówcu w Limassol, tak jak chyba milion innych spółek, a jej właścicielem jest jeszcze inna spółka cypryjska. O nazwie Limo Ltd. I teraz uwaga, właścicielem Limo Ltd. jest z kolei Ostroko Ltd., a tej Fungi Ltd., której właścicielem jest Astro Ltd. Potem wyżej masz firmę Nudno, a nad nią Cojones.

– Dziwne nazwy – mruknęła zdezorientowana Aldona.

– Też tak pomyślałem! – wykrzyknął Szymon. – Jakby ktoś sobie ze mnie jaja robił. Co to za nazwa Cojones albo Nudno? No, ale to ostatnie mnie tknęło, bo jak ktoś wymyśla taką nazwę, to może faktycznie się nudzi, nie? I może w tych nazwach coś jest. Wypisałem je wszystkie po kolei: Limo, Ostroko, Fungi, Astro, Nudno i Cojones. Popatrzyłem na pierwsze litery i wyszło Lofanc.

– Co to znaczy?

– No nic – wyszczerzył się w uśmiechu i zniecierpliwiona Aldona cicho westchnęła. – To znaczy wrzuciłem w Google i są takie żelazka, nie? Ale z „s” na końcu, a nie „c”. Ale pomyślałem sobie, że to chyba jest za proste i można by się literkami pobawić, przestawiać je. No to przestawiałem trochę te nazwy i w końcu mi wyszło Fungi, Astro, Limo, Cojones, Ostroko i Nudno. I wiesz, jak się zostawi tylko pierwsze litery, to wychodzi...

– *Falcon* – weszła mu w słowo. – Sokół.

– Właśnie!

Aldona zerknęła w stronę drzwi. Bartek ciągle był w łazience. Czy to możliwe? pomyślała. Nie, raczej nie. Chociaż... A może właśnie dlatego tak chętnie im pomagał? Bo sam był w to wszystko zamieszany i chciał ich pilnować? I dlatego przyniósł te pudła wypełnione bezsensowną makulaturą, z której nic nie wynikało?

– Muszę kończyć – powiedziała szybko.

– Wysłałem ci to na mejla i...

Przerwała połączenie. Jej palce działały same, a wzrok raz po raz wędrował w stronę drzwi do pokoju, ale Sokół ciągle siedział w łazience. Sprawdziła skrzynkę pocztową i znalazła mejla od Szymona. W kilku słowach opisywał swoje znalezisko i załączył jakieś dokumenty w formacie pdf, prawdopodobnie z cypryjskich rejestrów. Nawet nie wiedziała, jak je znalazł. Pomyślała, że nie tylko ona powinna mieć te dokumenty. Chciała je przesłać Zygmuntowi, ale nie знаła jego adresu, wybrała więc dwie pierwsze osoby, które przyszły jej do głowy – Michaškę i Bluzę. Kiedy tylko nacisnęła przycisk „wyślij”, zerknęła w stronę drzwi. W progu stał Bartek ze skrzynką z narzędziami w ręku. Natychmiast schowała telefon do tylnej kieszeni spodni.

– Słyszałem waszą rozmowę w łazience – powiedział, odkładając skrzynkę na podłogę. – Pomyślałem, że wróćę i pośmiejemy się trochę z zabawnego zbiegu okoliczności.

– Tak, pośmiejmy się. To zabawne – wycedziła.

– Ale po twojej minie widzę, że potraktowałaś to poważnie. A skoro potraktowałaś poważnie, nie da ci to spokoju i pewnego dnia zaczniesz w tym drażnić. Szczególnie że opowiedziałem ci tę łzawą historię o moim dziadku i o tym, jak lubię różne szarady i...

– Anagramy – dokończyła za niego.

– Właśnie – powiedział niemalże pogodnie. – Szkoda. Zygmunt był do skasowania, ale ciebie miałem nadzieję zostawić w spokoju. No i Szymon, bystry chłopak. Zdecydowanie za bystry jak na swój wiek. I na swoje nieszczęście.

– Nie uda ci się to wszystko.

Skrzywił się niezadowolony, jakby jej słowa go rozczarowały.

– Oczywiście, że mi się uda. Zawsze wszystko mi się udaje – dodał. – Tak jak z tym kranem. Właśnie, naprawiłem go.

Wróciłem samochodem do Warszawy. Przez całą drogę rozważałem, czy nie powinienem zadzwonić do Aldony i powiedzieć, co odkryłem. Uznałem jednak, że nie – takie informacje lepiej przekazywać osobiście. Poza tym mogła być akurat w towarzystwie Sokoła, a nie chciałem, żeby zdradziła się choćby wyrazem twarzy.

Zastanawiałem się nad tym, czego się dowiedziałem. Zawsze istniała możliwość, że staruszek się pomylił, choć według mnie niewielka. Był bardzo pewien swego, dobrze opisał fałszywego wnuczka, a potem uważnie przyjrzał się zdjęciu. Nie za krótko, jak robią to ludzie, którzy chcą tylko zadowolić rozmówcę – zerkają na fotografię przez ułamek sekundy, po czym od razu potakują. On zachowywał się niemal jak świadek idealny. Potrzebował chwili namysłu, by upewnić się, że osoba na zdjęciu to ta sama, która odwiedziła ich kilka miesięcy temu, a potem przytaknął.

Sokół należał więc do szajki oszustów. To też miało sens. Ten cały przekręt był dość skomplikowany, wymagał pewnej fantazji, zdecydowania, ale przede wszystkim wiedzy na temat prawa i finansów, a żaden z pozostałych oszustów, których spotkaliśmy, łącznie z tym spalonym w piecu krematoryjnym, nie wyglądał na kogoś takiego. Oczywiście pozory mogą mylić, ale czułem, że w tym przypadku pierwsze wrażenie jest słuszne.

Na podwórku pana Henryka stał samochód Bartka Sokoła. Zaniepokoiłem się, ale uznałem, że to jeszcze nie oznacza niczego złego. W końcu nie miał prawa wiedzieć o mojej rozmowie ze staruszką z domu opieki, a Aldonie powiedziałem tylko, że potrzebuję samochodu, żeby sprawdzić pewne tropy. Byłem więc w sytuacji lekkiej przewagi.

Wszedłem do domu. W środku panowała cisza. Na stole w pokoju pana Henryka zauważyłem rozłożone dokumenty, a także dwa tekturowe pudła. Bartek z długopisem wciśniętym za ucho przeglądał właśnie jakiś raport.

– O, cześć, Zygmunt! – rzucił na mój widok.

– Cześć. Co to za rzeczy?

Westchnął ciężko.

– Raport z Polski i Londynu na temat oszustw, które dotyczyły mojej firmy. Pomyślałem, że ci oszuści, którzy wzięli na cel pana Henryka, może robili to już wcześniej. W Polsce lub za granicą i znajdziemy jakiś ślad w archiwach.

– I znaleźliście? – zapytałem.

Pokręcił głową.

– Niestety. Nic, o co moglibyśmy zahaczyć. A ty?

– Sprawdziałem stare ślady, ale wiesz, jak to jest ze starymi śladami.

– Jak?

Wzruszyłem ramionami.

– Są stare, nic z nich nie wynika. To była niestety strata czasu.

– Czyli...

– Wygląda na to, że nie mamy nic – powiedziałem. – I nie za bardzo wiem, w którą stronę teraz ruszyć.

– Szkoda. Ale ja też mam wrażenie, że... – wskazał ręką na rozłożone na stole dokumenty – wyczerpały mi się pomysły.

– Gdzie jest Aldona?

– Poszła do Taty Turka. Powiedziała, że weźmie nam coś na wynos.

– Nie mogliście po prostu zamówić tutaj? Przecież dowożą.

– Chyba chciała się przejść. Wiesz, przewietrzyć głowę. Siedzimy nad tymi dokumentami już dobrych kilka godzin.

Brzmiało to sensownie i wiarygodnie. Pewnie nawet bym mu uwierzył, gdyby nie jego wzrok. Zimny, skoncentrowany, ale też lekko rozbawiony. Jakby Sokół cieszył się na to, co za moment się wydarzy. Mnie z kolei martwiło, że nie wiedziałem, co to będzie. Jak się okazało, wkrótce miałem się przekonać.

Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi, a potem ciężkich kroków. Po kilku sekundach do przedpokoju

weszło trzech mężczyzn. Wszyscy o bliskowschodniej urodzie. Przewodził im Misiek, największy z nich. Drugi miał cienki wąsik pod ostro zakończonym, haczykowatym nosem i wredne spojrzenie, trzeci, krótko ostrzyżony, trzymał w ustach niezapalony papierosa. Nosił bluzę z herbem Realu Madryt i zaciskał pięści.

Misiek, Wąsik i Kibic. Ocenilem ich szybko i pomyślałem, że nie wygląda to dobrze. Nie widziałem w nich strachu, nie dostrzegałem zbędnej nerwowości. To było trzech mężczyzn, którzy przyszedli tutaj z zadaniem do wykonania i zamierzali to zrobić.

– Jak się domyśliłeś? – zapytałem.

– Czego?

– Że wiem.

– A wiesz? – zdziwił się Sokół. – Niby skąd?

Nie odpowiedziałem. Westchnął i pokręcił głową.

– Dobra. Dowiem się tego potem, ale jeśli wyjdzie, że mamy kolejną osobę do odstrzelenia, to pamiętaj, że to tylko twoja wina – powiedział i wskazał na mnie palcem. – Rozumiesz? Gdybyś się w to nie mieszał, wszystko dobrze by się skończyło.

– Nie dla pana Henryka – zauważyłem.

– Och, ale on jest już stary i poza tym umiera. Ale Aldona... Ona ma całe życie przed sobą, a przez ciebie i to twoje mieszanie się w nie swoje sprawy... W każdym razie pamiętaj. Cały czas kombinuję, jak ją z tego wyciągnąć, słabo to jednak widzę. I jej śmierć, kolego, też pójdzie na twój rachunek.

– Wiem, co robisz. Przestań.

– Niby co?

– Zrzucasz na mnie odpowiedzialność za swoje czyny, żeby mieć czyste sumienie albo choć jego skrawek – powiedziałem. – Ale prawda jest taka, że gdybyś był prawdziwym mężczyzną, nie musiałbyś od tego uciekać. Miałbyś odwagę żyć z tym, co zrobiłeś.

Sokół uśmiechnął się lekko, potem zmarszczył brwi i wreszcie przytaknął.

– Masz rację. Ty, Zygmuncie, Aldona i ktokolwiek jeszcze stanie mi na drodze, to wszystko moje. Zapamiętam wasze imiona. Będę je nosić dumnie w serduszkach jak generał medale.

Przez całą naszą rozmowę analizowałem sytuację i planowałem kolejne kroki. Walka nie miała sensu. Mała przestrzeń, przewaga liczebna przeciwnika. Za duże ryzyko, nikła szansa na sukces. Pozostawała ucieczka. W przedpokoju stało trzech bandytów. Wiedziałem, że się przez nich nie przebiję. Pozostawała droga do przodu, gdzie za stołem stał zadowolony z siebie Sokół, a za nim znajdowało się okno, już częściowo zniszczone po wrzuceniu przez nich koktajlu Mołotowa.

Chwyciłem za krzesło, podniosłem je nad głowę i rzuciłem z całych sił w Sokoła. Ten uchylił się w ostatnim momencie. I dobrze, bo to nie on był celem, tylko okno. Chciałem po prostu rozbić resztę szyby. Wiedziałem, że i tak się pokaleczę, ale przynajmniej miałem większą szansę, że przy okazji się nie zabiję.

Krzesło wyleciało na dwór pierwsze, za nim szyba. Wskoczyłem na stół, żeby się wybić, ale zanim rzuciłem się w stronę okna, poczułem, jak ktoś chwyta mnie za nogę i pociąga w tył. Straciłem równowagę. Gdy wylądowałem twarzą na stole, ten aż ugiął się pod moim ciężarem. Potem jeden z bandytów ściągnął mnie na podłogę i przygniół. Próbowałem się odwrócić, ale w tym samym momencie przez moje ciało przeszło dwieście tysięcy voltów. Nawet nie zdążyłem krzyknąć. Wszystkie mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa. Leżałem bezwładnie jak szmaciana lalka.

Ktoś odgiął mi ręce do tyłu i założył trytytkę. Następnie Misiek chwycił mnie za kołnierz i bez trudu podniósł. Kiedy moja twarz znalazła się na tym samym poziomie, co twarz Sokoła, powiedział:

– Masz szczęście, Zygmuncie. Obiecałem, że zabije cię ktoś, kogo teraz z nami nie ma. Pożyjesz więc jeszcze chwilę. Rozkoszuj się tym!

Wsadzili mnie do samochodu, na tylne siedzenie, nie do bagażnika. Po jednej mojej stronie siadł Misiek, po drugiej Kibic. Sokół zajął fotel z przodu, a za kierownicę wpakował się Wąsik. Niewiele mogłem zrobić w tej sytuacji. Ręce miałem związane z tyłu, mięśnie powoli dochodziły do siebie po porażeniu prądem. Jechaliśmy ledwo kilka minut. Skręciliśmy w aleję Krakowską, zawróciliśmy na najbliższych światłach, a potem ruszyliśmy ulicą Komitetu Obrony Robotników. Na wysokości ogródków działkowych odbiliśmy w lewo i tam zatrzymaliśmy się na wjeździe do jednej z posesji. Wąsik wysiadł, żeby otworzyć bramę, i wtoczyliśmy się do środka. Tam stał już drugi samochód – ciemne audi.

– Wsiadka, Zygmuncie – powiedział Sokół.

Misiek otworzył drzwi, opuścił wóz, a potem szarpnął mnie za kołnierz. Nie zdołałem złapać równowagi i wylądowałem wprost na żwirowym podjeździe. Nie mogłem zamortyzować upadku rękoma, przejechałem się więc po tych kamyczkach twarzą. Olbrzym sapnął, chwycił mnie pod ramię i podniósł jednym płynnym ruchem.

Stałem przed dwupiętrowym, niewykończonym biurowcem. Wszędzie dookoła wały się cegły, folie i resztki materiałów budowlanych, które nie zostały jeszcze rozkradzione. Budynek zapewne miał mieć podziemny garaż – dół był cały zalany wodą, gdzieś wystawały tylko pręty zbrojeniowe. Budowla składała się z żelbetonowych kolumn podtrzymujących poszczególne piętra i przypominała ruiny średniowiecznego zamku.

– Wiem, co sobie myślisz – odezwał się Sokół, wskazując na budynek. – Że to jakaś rudera. Ale to świetna działka w świetnym miejscu. Potencjał. Na tym polega prawdziwy biznes, wiesz? Żeby dostrzegać okazje tam, gdzie inni widzą tylko problemy. Ale mniejsza z tym. Chodźmy, bo już na nas czekają.

Weszliśmy do budynku po przerzuconej nad fosą betonowej kładce. Prawdopodobnie była to tymczasowa konstrukcja, która miała zostać usunięta po zasypaniu rowu. Sokół szedł pierwszy, za nim Wąsik, ja i potem Misiek z Kibicem. Noc była księżycowa, dość jasna. Ponadto docierało do nas światło latarni z pobliskiej ulicy, dlatego wewnątrz panował zaledwie półmrok. Prawdopodobnie jednak nawet w zupełnej ciemności Sokół bezbłędnie poprowadziłby nas do schodów pomiędzy tymi wszystkimi śmieciami, pustymi butelkami i walającymi się narzędziami. Weszliśmy na pierwsze piętro. Tam czekała na nas trójka ludzi. Jeden z nich na nasz widok schylił się i włączył leżącą na podłodze lampkę turystyczną. Rozpoznałem wszystkich troje.

– To Hyzio i Zyzio. – Sokół przedstawił dwóch mężczyzn, których spotkałem u pana Henryka, kiedy rozpoczęła się cała ta awantura. – Znasz ich, ale nie wiesz, że to siostrzeńcy Dyzia. Którego zabiłeś wczoraj w nocy.

– Dyzia? – rzuciłem z rozbawieniem. – Hyzio i Zyzio byli siostrzeńcami Kaczora Donalda, Dyzio również. To kto jest kaczorem? Ty?

– Bardzo, kurwa, śmieszne – warknął Zyzio i ruszył w moją stronę, ale Sokół skoczył przed niego i położył mu rękę na piersi.

– Później – powiedział.

Mogłem uświadomić obu braci, że to nie ja zabiłem Dyzia, tylko Tomasz Guziec, ale nie zrobiłem tego. Nic bym w ten sposób nie zyskał. Nie wiadomo, czy w ogóle by mi uwierzyli, a nawet jeśli, wrobiłbym komornika. Dlatego milczałem.

Trzecią osobą, która na nas czekała, była Aldona. Ona również miała ręce związane trytytkami, tyle że z przodu. Była blada i przerażona, ale na jej twarzy nie widziałem żadnych obrażeń. Kiwnąłem jej głową w geście, który miał być uspokajający, choć pewnie w tych okolicznościach przyniósł niewielką pociechę. Odpowiedziała mi tak samo i pomyślałem wtedy, że jest odważniejsza, niż sądziłem.

– Szkoda, że się w to wmieszaliście – odezwał się Sokół. – Pan Henryk, kiedy już wyjdzie ze szpitala, pewnie przyzna mi rację. Straciłby dom, ale wy bylibyście cali. No, stało się, jak się stało, nie ma co tego roztrząsać, prawda? Powiem tylko, że naprawdę żałuję. Ciebie, Zygmuncie, szanuję. Ciebie, Aldono, polubiłem. W innych okolicznościach mogłoby coś z tego być, prawda?

Dziewczyna spojrzała na niego nienawistnym wzrokiem. Sokół się roześmiał.

– No daj spokój! Wiem, że finał jest słaby, ale oboje czuliśmy to przyciąganie! Nie udawaj, że nie!

– Po co to wszystko? – wyrzuciła z siebie. – Po co dręczyłeś tych ludzi?! Po co niszczyłeś im życie?! Po co uwziąłeś się na mojego wujka?! Przecież wiem, że masz pieniądze! Mało ci?!

Przewrócił oczami.

– Za dużo pytań. Po co? No cóż... To chyba Zygmunt ci wyjaśni, bo on mnie rozumie.

Aldona spojrzała na mnie zaskoczona, a ja tylko wzruszyłem ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o czym mówisz – powiedziałem.

Na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie. Otworzył usta. Zamknął je, sapnął i podrapał się po czole. Czułem się tak, jakbym naprawdę zrobił mu przykrość.

– Możemy ich już zabić? – zapytał Hyzio lub Zyzio.

– Zaraz! – krzyknął Bartosz, podszedł do mnie i spojrzał mi prosto w twarz.

Dzieliło nas zaledwie kilka centymetrów. Wykorzystałem okazję i walnąłem go z główki. Problem polegał na tym, że był niższy ode mnie, co utrudniało zadanie ciosu. I albo miał szczęście, albo spodziewał się tego, co zrobię, bo w ostatniej chwili się cofnął. Skończyło się więc tylko na tym, że nasze czoła boleśnie się zderzyły.

– Właśnie dlatego myślałem, że mnie zrozumiesz – powiedział, chwytając się za głowę, a w jego głosie pojawiło się rozbawienie. – Właśnie dlatego! Bo obaj jesteśmy wojownikami! I obaj wychodzimy na ring, bo rozumiemy, że ten świat zszedł na psy i żeby coś poczuć, trzeba zaryzykować. Trzeba walczyć! Ty i ja, Zygmuncie. Wtedy przegrałeś, przegrasz i teraz. Ale ja cię szanuję. Bo walczysz!

– Przekombinowany przekręt, którego ofiarami padają starsi bezbronni ludzie, to nie walka, tylko...

– Polowanie – dokończył za mnie. – Dokładnie. I to też rozumiesz. Ten rozkoszny zapach krwi w nozdrzach, to, jak najpierw osaczasz ofiarę, rozpoczynasz nagonkę. Łowcy i ofiary. Wojownicy i zwykłe szmaty. Dlatego to robię! Bo to jest prawdziwe życie! A nie to pierdolenie w open spacie i chłanie wody pomiędzy kreskami w piątkowy wieczór! Robię to z tego samego powodu, dla którego wyszedłeś wtedy na ring, a potem zaangażowałeś się w tę sprawę. Żeby poczuć prawdziwe życie. No i dlatego, że to jednak, kurwa, świetna zabawa.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem tylko uważnie w jego błyszczące w świetle tej jednej lampki oczy i zastanawiałem się, czemu wcześniej nie dostrzegłem kryjącego się w nich szaleństwa.

– Nie ujdzie ci to na sucho – odezwała się Aldona.

Sokół odwrócił się do niej.

– Raczej ujdzie – stwierdził swobodnie.

– Wysłałam wszystkie informacje od Szymka do moich koleżanek. Otworzą mejla i dowiedzą się, że to ty. Dlatego lepiej nas puść, bo już przegrałeś. I lepiej dla ciebie, dla was wszystkich, żeby nic złego nam się nie stało.

Zamarł na ułamek sekundy.

– Jej telefon – rzucił do Hyzia.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i podał mu należący do dziewczyny aparat. Sokół uruchomił go.

– Odblokowywanie twarzy – mruknął. – Super. Przytrzymaj ją.

Aldona krzyknęła, ale Zyzio już do niej dopadł. Chwycił w pól i unieruchomił na tyle, że Sokół był w stanie zbliżyć komórkę do jej głowy.

– Fantastycznie. Dzięki, Aldona – powiedział i zaczął przeglądać zawartość jej telefonu. Otwierał kolejne aplikacje. – Faktycznie, forwardowałaś mejla od Szymona, ale tylko do dwóch osób. Które mają w adresie wasze stowarzyszenie. Super. Żadnych głupich ksywek, bo ma być oficjalnie. Inicjał i nazwisko, łatwo więc będzie znaleźć. Na pewno masz je wśród znajomych na Facebooku, prawda?

Aldona szarpnęła się. Chciała mu wyrwać telefon, Sokół jednak odwrócił się do niej bokiem, nawet nie odrywając wzroku od ekranu, a Zyzio odciągnął ją na bok.

– O, mam je! Michaśka i ta druga... Ma ksywkę Bluza, tak?

Podniósł wzrok znad telefonu. Zrobił krok w moją stronę i pokazał mi obydwa zdjęcia profilowe.

– Popatrz, Zygmuncie. Kolejne dwie. I teraz to naprawdę już nie moja wina. Tutaj się chyba zgodzimy, prawda?

Poczułem, jak coś boleśnie ściska mnie w gardle.

– Nie wiesz, gdzie one są! – zawołała Aldona. – A zanim je znajdziesz, odczytają mojego mejla!

Sokół uśmiechnął się szeroko.

– Ależ wiem! Sama mi powiedziałaś, pamiętasz? Na imprezie w squacie niedaleko pomnika ofiar Kopernika. Chciałaś mnie tam zabrać, zanim wszystko się zesrało. Ale w sumie dobrze, że nie pójdziemy. Nie przepadam za takimi miejscami. No i umówmy się, jak jesteś na imprezie, to raczej nie sprawdzasz mejla.

Dziewczyna pobladła, a potem nagle jakby straciła siły. Upadła na kolana. Jej klatka piersiowa unosiła się spazmatycznie w górę i w dół, kiedy próbowała złapać oddech. Bartosz rozejrzał się po otaczających nas mężczyznach. Wreszcie podszedł do największego z nich i podał mu telefon.

– Znasz je? – zapytał.

Misiek kiwnął głową.

– Zajmiecie się tym?

Tamten przez chwilę się zastanawiał.

– Taa... – powiedział w końcu. – Zajmiemy się. Byłem tam, oni też. – Wskazał na swoich ludzi. – Sprzedawaliśmy im narkotyki od Dyzia i kebaby. Nie zwróca na nas uwagi. Co zrobić z tymi dwiema dziewczynami?

– Wyciągnijcie je z imprezy, a potem zabijcie – rzucił swobodnie Sokół. – Tylko jakoś mądrze. Nie naróbcie przy tym zamieszania. Ma być tak, jakby się rozplynęły w powietrzu. Dacie radę?

– Damy radę – mruknął Misiek, gwizdnął na dwóch pozostałych Turków i zaraz cała trójka zesłała po schodach.

Po kilkudziesięciu sekundach usłyszeliśmy, jak wsiadają do samochodu i odjeżdżają.

– To już możemy go odjechać? – zapytał Hyzio.

W jego dłoni, podobnie jak w dłoni brata, pojawił się pistolet. Bartosz podrapał się po głowie.

– Nie, jeszcze nie.

– Sokół, kurwa...

– Poczekajcie. Będzie wasz. – Wyjął z kieszeni niewielki nóż, podszedł do mnie od tyłu i przeciął trytytkę.

– Co ty odjebujesz, Sokół?! – warknął Zyzio.

– Spokojnie, spokojnie – odparł. – Zygmunt będzie grzeczny, nie? Bo wie, że wy macie broń, a on nie. I wie, że nawet jeśli uda mu się uciec, to zabijemy Aldonę. A na to nie pozwoli, prawda, Zygmunecie? Nie zostawisz jej tutaj samej.

– Czego chcesz? – zapytałem, rozcierając ręce.

– Załatwmy to jak mężczyźni – powiedział. – Na pięści, kopniaki, ciosy w jaja, w oczy. Prawdziwa walka.

– Nie opłaca mi się.

– Bo i tak cię zabijemy?

– Tak.

– To prawda. Dałem słowo Hyziowi i Zyziovi. Tak czy siak, odstrzelą cię – przyznał. – Ale obiecuję, że jeśli wygrasz, Aldona przeżyje.

– Ona za dużo wie.

– Jestem bystrym facetem – stwierdził. – Jakoś to wymyślę. Może wystarczy obiecać, że za jej milczenie nie zabiję Szymka? Co ty na, Aldona? Poszłabyś na ten układ?

Dziewczyna podniosła z trudem głowę, ale nic nie powiedziała.

– No właśnie. Szansę dasz jej tylko wtedy, kiedy to załatwimy po mojemu. To co ty na to?

Poruszyłem kilka razy ramionami i podniosłem ręce do gardy.

Wystarczyło mi tylko jedno spojrzenie na Sokoła, by zrozumieć, że wygrałem. Był zbyt pewny siebie, zbyt zadufany. Przekonany, że skoro znokoutował mnie na ringu, teraz też mu się uda. Jakby zapomniał, że tam obowiązywały zasady, rękawice i szcążki bokserskie, a nad wszystkim czuwał sędzia. Chodziło jednak o coś jeszcze. Początkowo nie rozumiałem, dlaczego mnie uwolnił i zaproponował walkę. To było głupie, mało profesjonalne, szczeniackie, ale gdy zobaczyłem, jak się tym cieszy, nagle dotarło do mnie, że on to sobie od dawna wyobrażał. Że to było jego marzenie – prawdziwa walka z prawdziwym przeciwnikiem, by raz na zawsze udowodnić swoją klasę, siłę, umiejętności. W głowie rozgrywał ją zapewne setki, może nawet tysiące razy. Wyobrażał sobie tak często, jak inni ludzie wyobrażają sobie seks. I dlatego właśnie przegra, bo rzeczywistość rzadko dorasta do naszych marzeń.

Natarłem na niego bez zastanowienia. Nie chciałem dać mu choćby sekundy na ułożenie sobie planu. Nie chciałem żadnego badania się nawzajem, krążenia wokół siebie i szukania słabych punktów. Ta walka miała się zakończyć w ciągu dziesięciu sekund.

Lewy prosty, prawy prosty, lewy sierp, drugi lewy na brzuch, prawe kopnięcie na udo. W to ostatnie włożyłem całą swoją siłę, żeby zupełnie wyeliminować tę nogę. A jednak trafiło w pustkę, bo Sokół był już gdzie indziej. I nagle dostałem prosty w twarz, który przeszedł przez moją gardę. Kiedy nie trafiłem w jego udo, straciłem równowagę i teraz to ja cofałem się przed ciosami mierzonymi to w głowę, to w brzuch, aż wreszcie przerwałem tę wymianę prostym front kickiem. Walnąłem go, ale Sokół miał napięte mięśnie i tylko odskoczył w tył, podobnie jak ja. Przez chwilę na siebie patrzyliśmy i dyszeliliśmy ciężko. Zadowolony uśmiechał się szeroko. Nie mrużył oczu, najprawdopodobniej więc miał soczewki.

– Runda druga? – zapytał.

– Jeszcze nie skończyliśmy pierwszej.

Ruszyłem na niego. Zamarkowałem cios pięścią, ale tylko po to, żeby rzucić się na jego nogi. Udało mi się chwycić jedną i podnieść. On skakał do tyłu, uderzając mnie pięściami i łokciem w schylone plecy, podczas gdy ja robiłem wszystko, żeby go przewrócić. Wreszcie mi się udało, ale upadając, szarpnął się, odepchnął mnie kopniakiem i zrobił przewrót do tyłu, tak że dosłownie sekundę później stał już na nogach. A półtorej sekundy później wpadł we mnie z impetem. I to ja bym się przewrócił, gdyby nie uratował mnie żelbetonowy słup, w który uderzyłem plecami. Chwyciłem Sokoła za kurtkę. Wymierzałem mu kolejne ciosy kolanem, ale byliśmy za blisko siebie, żeby miały odpowiednią siłę. On również mnie uderzył. Pięściami, ale z tym samym skutkiem. Wreszcie go odepchnąłem i znowu staliśmy naprzeciwko siebie.

Z rozbitej wargi leciała mi krew, plecy miałem całe poobijane. Pomyślałem, że jeśli dożyję następnego dnia, dadzą mi mocno w kość. Sokół lekko się krzywił przy każdym oddechu, co oznaczało, że moje kolana zrobiły robotę i co najmniej obięłem mu żebra. Plus dla mnie.

– Możemy już? – zapytał Zyzio.

– Jeszcze, kurwa, nie! – warknął Bartosz.

Był wściekły. Tracił kontrolę. Wiedziałem, że to moja szansa, bo w końcu popełni błąd.

I zrobił to niemal od razu.

Doskoczył do mnie, wymierzył lewy prosty, ale tylko po to, żebym musiał się zasłonić, a potem zmienił pozycję i wymierzył lewy kopniak na wysokości mojego uda od wewnętrznej strony. Napiąłem mięśnie i przyjąłem cios.

Wiedziałem, co zamierza zrobić. Dokładnie to samo, co na zawodach. Zaraz po tym kopniaku miał przyjść drugi – na głowę, od góry. Wystarczyło tylko, żebym się przed nim zasłonił, założył porządną gardę, a potem przeszedł do kontrataku. Sokół byłby wtedy mój.

Nie wiem, dlaczego mi się nie udało.

Byłem za wolny?

Nie podniosłem gardy wystarczająco wysoko?

A może ten cios był tak mocny, że to i tak nie miało znaczenia?

W każdym razie trafił. Prosto w głowę. Dokładnie tak jak podczas tamtej walki. Na moment zrobiło mi się ciemno przed oczami. Nawet nie poczułem, kiedy upadłem na ziemię.

– Spodziewałem się po tobie jednak czegoś więcej. – Usłyszałem jego głos.

Usiadł na mnie okrakiem, uderzył raz i drugi otwartą dłońią w twarz. Przez pisk w mojej głowie przebił się wreszcie krzyk Aldony. Jej błagania, żeby nie robili mi krzywdy.

– Chcę, żebyś miał otwarte oczy. Chcę, żebyś widział, jak cię zabijam – powiedział Sokół.

Chwycił za poły mojej kurtki i pociągnął je w dół, tak że teraz kołnierz wbijał mi się w kark, a potem w lewo zaciągnął jego prawą stronę, a w prawo lewą.

Duszenie krzyżowe kołnierzem. Coś, czego uczą na każdym zajęciach z brazylijskiego ju-jitsu czy judo. Normalnie, żeby to wykonać, potrzeba judogi, mocnego stroju, który nie pęknie, kiedy się nim szarpie, ale moja kurtka doskonale spełniała te wymogi. Poczulem, jakby ktoś zaciskał mi stalową obręcz na szyi.

„Na ulicy załatwiłbyś go bez problemu” – powiedział mi Wikuś na zawodach. I nie chodziło mu o moje umiejętności, a o to, co w głowie. O nastawienie. Bo trzeba mieć specyficzną konstrukcję, żeby z zimną krwią zrobić komuś krzywdę. Złamać rękę, pchnąć nożem, udusić, a nawet zastrzelić. Dlatego podczas każdego szkolenia wojskowego tak wielką wagę przykładano do odczłowieczenia przeciwnika.

Dlatego nazywa się jego żołnierzy wrogami, celami czy obiektami. Robi się wszystko, żeby nie widzieć w nich istoty ludzkiej. Takiego nastawienia nie mają nawet często zawodnicy sportów walki, bo klatka, ring, mata to pomimo wszystko bezpieczne środowisko, pewna konwencja ze zbiorem odpowiednich zasad i sędzią, który wkracza, gdy komuś naprawdę dzieje się krzywda.

Sokół był prawdziwym skurwielem, chociaż do tej pory działał w białych rękawiczkach. Bez mrugnienia okiem kazał zabijać ludzi, ale jeszcze sam tego nie zrobił.

Dlatego teraz dusił mnie tak, jakby czekał na to, że go odklepię i poddam walkę. Jakbyśmy ciągle byli na ringu.

Dał mi ten jeden procent luzu. Tę sekundę, dwie, zanim zupełnie bym odpłynął.

Żeby była jasność – chciał mnie zabić, po prostu nie miał odpowiedniego nastawienia.

Za to ja miałem.

Chwyciłem go obiema dłońmi za głowę i z całych sił wbiłem mu kciuki w oczy. Najpierw się ugięły, a potem pękły z cichym trzaskiem, jakbym ścisnął folię bąbelkową. Przebijałem się przez kolejne warstwy białka, miażdżyłem tęczówkę, soczewkę, ciało szkliste. Sokół ryknął przeraźliwie i gdy go puściłem, poderwał się. Zaczął biegać dookoła, na przemian machając ramionami i chwytając się za głowę. W miejscu, gdzie jeszcze przed kilkoma sekundami znajdowały się jego oczy, teraz były dwie krwawe dziury.

Wstałem powoli z ziemi. Ani Hyzio, ani Zyzio nie próbowali mnie powstrzymać. Wstrząśnięci, niemal zahipnotyzowani patrzyli na ten dziwny taniec Sokoła, który krzyczał i kręcił się wokół swojej osi. Biegał to w lewo, to w prawo, aż nagle znalazł się poza krawędzią budynku i spadł prosto do wypełnionego wodą dołu.

Podszedłem do Hyzia, który trzymał w dłoni pistolet. Patrzył w ten punkt przestrzeni, gdzie jeszcze przed momentem znajdował się Sokół. Chwyciłem za broń, pociągnąłem stanowczo do siebie i rzuciłem ostre: „Oddaj”, jakbym zwracał się do psa.

I puścił. Był w szoku. Jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wokół dzieje, bo jego mózg wciąż próbował zrozumieć to, co przed chwilą się wydarzyło.

To Zyzio zorientował się pierwszy. Puścił Aldonę i odwrócił się w moją stronę, więc strzeliłem. Trzy strzały. Dwa w pierś, jeden w głowę. Wtedy obudził się Hyzio. Popatrzył najpierw na leżącego na ziemi martwego brata, potem na mnie. Przez dwie, trzy sekundy podejmował decyzję. Wybrał złą. Ruszył w moją stronę, żeby odebrać mi pistolet. Byliśmy tak blisko, że wystarczyła mi jedna kula.

Podszedłem do krawędzi budynku. Sokół spadł brzuchem prosto na jeden ze sterczących z wody prętów zbrojeniowych. Teraz wystawał mu z pleców na ponad metr. Głowa znajdowała się pod powierzchnią. Być może Bartosz jeszcze żył i właśnie powoli tonął, ale nic mnie to nie obchodziło.

Pomyślałem, że skoro Zyzio jest starszy, pewnie ma klucze do samochodu. I nie pomyliłem się. Znalazłem je w jego prawej kieszeni.

Kucnąłem przy Aldonie, wyciągnąłem w jej stronę dłoń i poczekałem, aż skupi na mnie wzrok.

– Musisz mi pomóc – powiedziałem łagodnie. – Poprowadzisz mnie do tego squatu, żebym mógł uratować twoje koleżanki.

Na każdego koniec przychodzi w innym momencie. Dla Taty Turka nadszedł w chwili, kiedy trzymał za rękę umierające dziecko i patrzył mu w oczy. Był początek zimy. Twardą, kamienistą ziemię chwycił mróz. Tata Turek żałował, że nie ma przy sobie koca, którym mógłby przykryć dzieciaka.

Chłopak miał zaledwie osiemnaście lat, wielkie czarne oczy, szczupłą, wręcz chudą twarz i patykowate ciało. Oraz ładne pełne usta, ale kiedy je otwierał, wypływała z nich strużka krwi. Nic nie wiedział, nic nie widział, niewiele przeżył. Był niewinny, ktoś dał mu jednak do ręki karabin i ubrał w mundur armii tureckiej. Tata Turek postrzelił go w brzuch, a ponieważ na tym pustkowiu nikt nie przyszedłby dzieciakowi z pomocą, to usiadł przy nim, jedną ręką chwycił za dłoń, a drugą gładził po głowie, aż oczy tamtego się zamknęły. Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił. Towarzysze go szturchali, pośpieszali i przeklinali, jeden przyłożył mu nawet lufę do czoła i zaczął coś wrzeszczeć o rozkazach i obowiązkach. Tata Turek nawet się nie poruszył. Nie dlatego, że był taki odważny. Nie dlatego, że nie bał się śmierci. Bał się jak cholera, po prostu w tamtym momencie się nie liczyła. Wreszcie go zostawili, a on wraz z ostatnim oddechem osiemnastoletniego chłopca o pełnych ustach, które zapewne nigdy nie poznały pocałunku kobiety, zrozumiał, że dla niego to koniec.

Wiedział, jak to wydarzenie zostanie przedstawione. Jako zwykły incydent, do jakich często dochodzi na granicy. Jedna strona będzie wznosić gniewne okrzyki, żądać dorwania sprawców i zaostrzenia antyterrorystycznej polityki, druga opowiadać o szlachetnej walce i kolejnym świadectwie woli narodu do samostanowienia. Tak naprawdę jednak nikt się nie przejmie. Bo to tylko incydent, chociaż dla tego chłopaka świat właśnie się skończył. Tata Turek wiedział, że nie miało to nic wspólnego z ich sprawą, pragnieniem wolności i marzeniem o niepodległości. Ten chłopak zginął tylko dlatego, że kilkanaście kilogramów heroiny musiało trafić do zepsutych dzieciaków w Europie Zachodniej, żeby ich pieniądze powędrowały do przełożonych Taty Turka, a ci kupili za nie broń i materiały wybuchowe.

On miał dość.

Nie było to łatwe, ale wreszcie trafił do Polski. Urządził się tu jakoś z rodziną, założył bar z kebabem i zarabiał przyzwoite pieniądze, z których część oczywiście trafiała do organizacji, bo Tata Turek miał zobowiązania nie tylko wobec polskiej skarbówki. Ale i tak było lepiej niż tam. Nikt do niego nie strzelał, a on nie musiał zabijać osiemnastoletnich dzieci.

Dyzio pojawił się w barze Taty Turka lata temu, jeszcze kiedy pracował w policji. Przedstawił się, pokazał odznakę, a potem powiedział, że wie wszystko. I że jeśli Tata Turek nie chce wrócić tam, skąd przyjechał, to ma mu zapewnić darmowe kebaby, a także raz na jakiś czas zrobić niewielką przysługę. Początkowo chodziło tylko o to, żeby miał uszy szeroko otwarte i przekazywał policjantowi to, czego się dowie. Potem przysługi robiły się coraz poważniejsze. Czasami miał coś przechować, przekazać, gdzieś pojechać i wreszcie skończyło się na tym, że Tata Turek zatrudniał ludzi, których podsuswał mu Dyzio, a ci jeździli po całym mieście z narkotykami ukrytymi pomiędzy kebabami. Wiedział o tym wszystkim i nic nie mógł zrobić, chyba że chciał wrócić do Turcji, gdzie czekały na niego tylko cela śmierci i wyrzuty sumienia.

Do dzisiaj nie wiedział, kto go wydał, dlaczego i jak ta informacja dotarła do Dyzia, ale Turków w Warszawie było sporo. Wielu z nich miało większe i mniejsze grzeszki na sumieniu, niewygodną przeszłość i jeden z nich mógł po prostu go rozpoznać. Pech. A może kara za tego umierającego na jego oczach osiemnastoletniego chłopca. Tata Turek nigdy w to nie wnikał.

Teraz jednak się niepokoił. Działo się coś złego. Wszyscy kurierzy, którzy dla niego pracowali, a raczej pracowali dla Dyzia, wzięli wolne. Nawet nie miał jak się sprzeciwić. W kuchni zostały tylko dwie osoby.

Początkowo był nawet zadowolony. Zawsze czuł się odrobinę nieswojo przy tych ludziach, którzy wzięli się nie wiadomo skąd i nie do końca wiadomo, co robili. On napatrzył się dość w Turcji, teraz więc wolał nie wiedzieć. Potem jednak się zdenerwował. Był piątkowy wieczór, najlepszy czas w całym tygodniu, a on musiał odmawiać każdemu, kto dzwonił z zamówieniem, i myślał o pieniądzach, które właśnie tracił. Goście w lokalu nie mogli tego nadrobić, bo bar nie znajdował się na trasie imprez. To, co było zaletą w tygodniu, czyli bliskość biur i zakładów, w weekend zmieniało się w wadę.

Aż wreszcie zadzwonili do niego z pobliskiego squatu. Znał i lubił dzieciaki, które wyremontowały

ten budynek, przystosowały go do mieszkania, a potem założyły tam coś w rodzaju wolnej komuny. Teraz świętowały pierwsze urodziny i zrobiły imprezę. Dostał zamówienie na ponad dwadzieścia kebabów, frytki i sałatki. Zapisał to wszystko na kartce i przekazał do kuchni.

– Tylko szybko, szybko, żeby wszystko było ciepłe!

– A kiedy przyjadą po odbiór? – zapytał pracujący w kuchni chłopak.

– Nie przyjadą. Z dostawą.

– Przecież nie ma im kto zawieźć.

– Nieważne, nieważne! – Machnął ręką Tata Turek. – Sam im zawiozę, to blisko!

Chłopak trochę się zdziwił, ale nic nie powiedział i wziął się do pracy.

Kilkanaście minut później Tata Turek kończył pakować kanapki do dwóch toreb termicznych, zarzucił po jednej na każde ramię i podreptał do samochodu. Niewielki dostawczak, którym jeździł na giełdę, żeby kupić niezbędne w kuchni towary, stał na tyłach baru.

Tata Turek uruchomił silnik, a ten kilka razy zakaszłał, jakby zastanawiał się, czy w ogóle ruszyć, ale w końcu zaskoczył. Mężczyzna wrzucił bieg i pojechał w stronę squatu. Zerknął jeszcze na leżące z tyłu, wypakowane po brzegi kebabami torby, i pomyślał, że ten wieczór nie jest jednak stracony.

– Powinniśmy zawiadomić policję – powiedziała Aldona, kiedy jechaliśmy w stronę squat.

– Nie.

– Ale...

– Nie! – ryknąłem odrobinę za głośno i zbyt gwałtownie, bo dziewczyna aż skuliła się ze strachu. Odetchnąłem głęboko, próbując odzyskać spokój i zwolnić natłok myśli w głowie. – Nie – powtórzyłem powoli, ciszej. – Słyszałaś, co mówił Sokół, prawda? Mają je wyciągnąć z imprezy na spokojnie. Tak, żeby nie zrobić zamieszania, żeby nikt nie zwrócił na nich uwagi. To oznacza, że nie będą się śpieszyć. Wejdą do środka, zidentyfikują je, a potem poczekają na odpowiednią okazję.

– No właśnie! Dlatego mamy czas, żeby zadzwonić na policję, powiedzieć, co się stało! – naciskała Aldona.

– Powiedzmy, że zadzwonimy i jakoś im to wytłumaczymy. Powiedzmy, że nawet nam uwierzą. Jak myślisz, co zrobią?

– No... pojedą tam.

– Właśnie. Na sygnale i z syrenami, które obudzą całą dzielnicę i będą słyszane z daleka. Jak myślisz, co wtedy zrobi Misiek z kumplami?

– Ucieknie? – zapytała niepewnie.

– Albo natychmiast zabije Bluzę i Michaškę. Albo jedno i drugie. Chcesz ryzykować?

– A co zamierzasz zrobić?

Zacisnąłem dłonie na kierownicy audi.

– To, co trzeba – powiedziałem.

Po kilku minutach dojechaliśmy na miejsce, przed jednopiętrowy budynek połączony z niewielką halą fabryczną, gdzie kiedyś mieścił się zapewne warsztat czy manufaktura. To właśnie stamtąd dochodziło dudnienie elektronicznej muzyki, a przez okna, w większości zakryte tekturą, raz po raz błyszczały różnokolorowe światła. Budynek mieścił się niemal w centrum dzielnicy, ale tak naprawdę na uboczu. Obok znajdował się pomnik ofiar katastrofy samolotu Kopernik – ceglana ściana z krzyżem na niewielkim, sztucznie usypanym wzgórzu, a poniżej cokoły z nazwiskami ludzi, którzy wtedy zginęli. Dalej rozciągały się tereny fortu Okęcie z niezliczonymi firmami i firemkami. W dzień tętniło tu życie, ale o tej porze było pusto i cicho. Squat z jednej strony graniczył z opuszczonymi gmachami dawnego schroniska dla młodzieży, a z drugiej z domami, ale akurat od nich dzielił go dodatkowo niewielki zagajnik. Była to więc idealna lokalizacja. Nikogo nie interesował budynek wciśnięty pomiędzy nieużytki i tereny przemysłowe, prawdopodobnie też nikt nie wiedział, do kogo tak naprawdę należy.

– Zostań w wozie – powiedziałem do Aldony, wkładając jej w dłoń kluczyki. – Wyślę do ciebie dziewczyny. Jeśli coś złego się wydarzy, po prostu uciekaj. Nie czekaj na mnie.

– Nie.

– Aldona, słuchaj...

– Ty mnie słuchaj – przerwała mi stanowczo. – Idę z tobą. Ja znam to miejsce, ja wiem, dokąd iść. Poza tym tam jest pewnie ponad dwieście osób, może więcej, a ty widziałeś Bluzę jedynie na zdjęciu, i to przez sekundę. Szybciej znajdziemy je razem.

Przez chwilę rozważałem jej słowa i wreszcie skinąłem głową. Nie dlatego, że się zgadzałem. Po prostu kłócąc się z nią, traciłbym tylko cenny czas.

Wysiadłem z samochodu, sprawdziłem, czy pistolet mocno siedzi za paskiem spodni, i ruszyłem do budynku. Gdy otworzyłem drzwi, uderzyło we mnie ciepłe powietrze, zapach palonego tytoniu i słodka woń trawki. Gdyby w tym momencie w squacie pojawił się policyjny pies, prawdopodobnie oszalałby od nadmiaru bodźców.

Zaraz przy drzwiach całowała się jakaś para. Krótko ostrzyżona blondynka i długowłosa brunet. Obydwoje w koszulkach w kratę. Nawet nie zerknęli w naszą stronę, zatopieni w pocałunkach. Ich skóra błyszczała od potu. Prawdopodobnie wcześniej zażyli jakieś narkotyki, może ecstasy.

Minąłem ich i znalazłem się w krótkim korytarzu. Po lewej stronie znajdowała się ściana, po prawej dawna portiernia, po której została tylko lada, a na niej ułożone w stopy kurtki i plecaki.

Dwa metry dalej stał mężczyzna w białej bluzie. Od razu go rozpoznałem. Kibic. Obserwował korytarz, odwrócony do nas plecami. Misiak go tutaj zostawił, żeby pilnował wyjścia, upewnił się, że żadna z dziewczyn nie opuści imprezy sama. Ale ponieważ Kibic skupił się na tym, kto wychodzi, nie sprawdzał, kto wchodzi. Nie zauważył nas.

Podszedłem i klepnąłem go w ramię. Odwrócił się do mnie i zrobił wielkie oczy. Natychmiast uderzyłem go pięścią w grdykę, a potem zadałem drugi cios, prosto w splot słoneczny. Jedną ręką chwycił się za gardło, w drugiej jednak trzymał nóż sprężynowy. Otworzył go i próbował zadać cios. Zupełnie niezdarnie, ale nie mógł inaczej, skoro nie potrafił złapać tchu. Był to raczej wyraz desperacji, a nie przemyślany atak. Chwyciłem go za przegub prawej dłoni, pociągnąłem mocno na skos i zaraz byłem już za nim, wykręcając mu rękę. Nóż upadł na podłogę. Popchnąłem mężczyznę w stronę portierni, chwyciłem za włosy i kilka razy uderzyłem jego głową o ladę. Usłyszałem nieprzyjemne chrupnięcie, kiedy czoło trafiło w kant. Walnąłem dla pewności jeszcze raz, a potem rzuciłem za ladę, gdzie był niewidoczny z korytarza.

Całująca się para ciągle nie zwracała na nas uwagi.

– Co z nim? – zapytała Aldona.

– Stracił przytomność – skłamałem. – Idziemy.

Przeszliśmy korytarzem do końca, aż do klatki schodowej, przy której się rozwidła.

– Tam są pokoje – powiedziała, wskazując w lewo. – Tam hala. – Wskazała na prawo, skąd dochodziły dźwięki muzyki.

– Sprawdź pokoje – rzuciłem. – Jak znajdziesz dziewczyny, uciekajcie.

Poszedłem na prawo. Pchnąłem stalowe drzwi i znalazłem się w dawnej hali warsztatowej. Wszystkie sprzęty, które kiedyś tutaj były, zostały albo zabrane przez poprzednich właścicieli, albo po prostu rozkradzione. Teraz znajdowało się tylko kilka stolików, pośpiesznie zrobionych z pustaków i palet. Stały na nich puste kubki, butelki i wypełnione niemalże do pełna popielniczki. Z dwóch wielkich głośników pod przeciwną ścianą popłynęły właśnie charakterystyczne pierwsze takty *Blue Monday* zespołu New Order. Za stołem, wpatrzony w ekran laptopa, podrygiwał DJ, przyciskając słuchawkę do ucha. Parkiet wypełniony był młodymi ludźmi, którzy potrząsali głowami, machali rękami i niezgrabnie przestępowali z nogi na nogę. Wszyscy spoceni, większość z przymkniętymi oczami, zupełnie nie zwracali uwagi na to, co dzieje się wokół nich. Zaskakująco przypominało to szkolną dyskotekę.

Zacząłem się przepychać w tłumie, szukając pomiędzy tańczącymi ludźmi Bluzę. Zamiast niej dostrzegłem jednak Michaškę. Stała trochę z boku, blisko głośnika, jakby rozkoszowała się uderzającymi w nią falami dźwięku. Raz po raz zerkała na inną dziewczynę, zatopioną w tańcu z wytatuowanym chłopakiem.

Przystanąłem, pewien, że jeśli ją znalazłem, oni również gdzieś tutaj są. Miałem rację. Wąsik stał kilka metrów z boku, blisko ściany. On też mnie zauważył. Podobnie jak jego kolega, początkowo był zaskoczony, ale bardzo szybko mu przeszło, a w jego dłoni coś błysnęło – nóż.

Zasady obrony przed nożem są proste – jeśli możesz, uciekaj. Tak po prostu. Za duże ryzyko. Nawet w rękach kogoś niewprawnego to zabójcza broń. Cios nożem jest zbyt szybki. Wystarczy ułamek sekundy, a kończysz z dziurą w brzuchu, pociętymi rękami, przeciętą tętnicą szyjną.

Tylko że ja nie mogłem uciekać. Musiałem najpierw wyciągnąć stąd Bluzę.

Jeśli masz odciętą drogę ucieczki, zwiększ maksymalnie dystans. Im większa przestrzeń pomiędzy tobą a napastnikiem, tym większa szansa, że zdołasz zrobić unik przed ciosem.

Tylko że znajdowaliśmy się w wypełnionej ludźmi hali.

Jeśli masz broń, skorzystaj z niej.

Za paskiem moich spodni tkwił pistolet, ale użycie go tutaj, w tym zatłoczonym miejscu, było głupim pomysłem. Za duże ryzyko, że trafię kogoś postronnego.

Jeśli nie masz innego wyjścia, improwizuj. Skorzystaj z elementów otoczenia.

Tak właśnie zrobiłem.

Z najbliższego stolika porwałem pustą butelkę i ruszyłem prosto na Wąsika. Wiedziałem, że mój plan, jeśli w ogóle można go nazwać planem, jest ryzykowny. Miałem tylko jedną szansę, o ile zaatakowałbym pierwszy. Ludzkie ciało działa odruchowo – zawsze najpierw próbuje się bronić. Jeśli ja zadam cios, on będzie się chronił. Odruch, czysta mechanika. Priorytetowy sygnał płynący z najbardziej prymitywnej części naszego mózgu bez udziału świadomości.

Wiedziałem, że jeśli się spóźnię, nie trafię albo on zdoła się uchronić przed ciosem, źle się to skończy. On miał nóż, ja nie. Odległość między nami będzie minimalna, nie zdążę więc zareagować.

Ale jaki miałem wybór?

Ruszyliśmy ku sobie. I ja, i Wąsik wiedzieliśmy, co się stanie. Czas spowolnił. Widziałem jego skupione spojrzenie, zaciętą minę, palce zaciśnięte na rękojeści noża, a nawet krople potu na czole. Kiedy dzieliły nas może dwa metry, przyspieszyłem, odpychając stojącego obok mnie chłopaka. Zaskoczyłem Wąsika. Zauważył moje wznoszące się do ciosu ramię z butelką. Próbował zasłonić się przedramieniem.

Odruch.

Nawet mu się udało. Butelka rozbiła się na jego ręce. Huk utonął w dźwiękach *Blue Monday*. Mężczyzna odwrócił twarz w bok i zamknął powieki, żeby uchronić się przed odłamkami, a ja zrobiłem kolejny krok do przodu i wbiłem mu resztki butelki prosto w szyję.

Jęknął.

Chwyciłem go za przegub dłoni z nożem i napałem do przodu, pchając w kierunku ściany. Kiedy w nią uderzyliśmy, impet sprawił, że szyjka butelki wbiła się jeszcze głębiej. Pomiedzy moimi palcami ciekła jego ciepła krew. Przyłgnałem do niego tak mocno, że pewnie wyglądaliśmy, jakbyśmy się całowali.

A kiedy wreszcie było po wszystkim, ułożyłem go pod ścianą. Ktoś, kto nie przyjrzałby się uważnie, pomyślałby, że zasnął pijany.

Odwróciłem się do Michaśki i zacząłem się do niej przedzierać. Załatwiłem dwóch z trzech, został jeszcze Misiek. Największy i najgroźniejszy z nich wszystkich. Rozglądałem się dookoła, ale nigdzie go nie widziałem. Moje serce waliło jak szalone ze strachu i niepokoju. Jeśli nie było go tutaj, znajdował się w drugiej części budynku. Tam, gdzie Aldona.

Dopałem do Michaśki, szarpnąłem ją za sweter, wrywając z tanecznego transu.

– O, cześć!

– Gdzie jest Bluza?! – krzyknąłem.

– Co?!

– Gdzie jest Bluza?! – wrzasnąłem jej prosto do ucha, aż się skrzywiła, jakbym sprawił jej ból.

– Poszła z jakimś chłopakiem.

– Dokąd?

Nie odpowiedziała, ale jej wzrok powędrował w stronę drugiej części budynku.

– Idziemy – powiedziałem i chwyciłem ją za przegub.

Miała tyle rozsądku, że nie protestowała, kiedy ciągnąłem ją za sobą. Rzuciła tylko „przepraszam” na lewo i prawo do ludzi, których odpychałem, żeby dostać się do wyjścia.

Otworzyłem drzwi i znalazłem się na korytarzu. Kiedy ujrzałem Aldonę i Bluzę biegnące w stronę drzwi wyjściowych, poczucie ulgi zalało moje ciało. Znalazła ją przed Miśkiem, może zdołały mu uciec. Nieważne. Obie były bezpieczne.

– Za nimi! – warknąłem do Michaśki i pchnąłem ją przed siebie. Chciałem iść ostatni na wypadek, gdyby Turek się pojawił.

Minęliśmy portiernię. Najpierw wybiegła Aldona, potem Bluza, chwilę za nimi Michaśka. Ja ostatni.

Kiedy tylko postawiłem stopy na zewnątrz, poczułem, jak ktoś chwyta mnie w pasie, z łatwością unosi na ponad dwa metry w górę, a potem rzuca przed siebie, jakbym był szmacianą lalką.

Świat zawirował. Nie wiedziałem, co się dzieje. Usłyszałem jeszcze krzyk dziewczyn, a potem uderzyłem o wyasfaltowany plac przed squatem. Nie czułem bólu. To było coś innego. Jakby fale prądu przechodziły wzdłuż całego mojego ciała, uniemożliwiając wzięcie oddechu.

Zacisnąłem zęby. Udało mi się podnieść głowę. Ujrzałem idącego w moją stronę Miśka. Chciałem krzyknąć do dziewczyn, żeby uciekały, ale nie byłem w stanie.

– Jak ja nienawidzę takich jak wy – warknął olbrzym, wbijając wzrok w Michaśkę.

A potem wydarzyło się coś zaskakującego. W pierwszej chwili wydawało mi się, że mam zwidy. Do Miśka doskoczył nagle Tata Turek, krzyczał coś w języku, którego nie rozumiałem, a potem wykonał zamach i uderzył go torbą z jedzeniem. Ta oczywiście nie zrobiła mu krzywdy, bo nie mogła. Odbiła się od jego ramienia, otworzyła się i wyleciały z niej kebaby oraz frytki.

Misiek chwycił Tatę Turka za połą kurtki, przyciągnął do siebie i uderzył pięścią. Tata Turek upadł z zakrwawioną twarzą.

Wszystko to trwało sekundę, dwie, ale to była moja szansa. Udało mi się wstać. Sięgnąłem po pistolet schowany z tyłu za paskiem spodni i już miałem wycelować w Miśka, kiedy ten wpadł we mnie z siłą pociągu towarowego i ponownie powalił na ziemię. Broń wyleciała mi z dłoni.

Jego lewa ręka owinęła się wokół mojej szyi. Nogami próbował chwycić moje prawe ramię, tak żeby jego jedna część, ta bliższa ciału, leżała na jego jednym udzie, a przedramię było naciskane z góry przez jego drugą nogę. W ten sposób natychmiast złamałby mi rękę w łokciu. Jedyne, co mogłem zrobić, to ją cofnąć i uderzyć nią go w twarz. Ale to było coś, z czym się liczył i o co mu tak naprawdę chodziło. Przygniótł mnie jeszcze bardziej, wciskając swoje ciało w moje, unieruchamiając w ten sposób moją prawą rękę i ściskając ją w niewygodnej dla mnie pozycji. Nie mogłem wykonać żadnego ruchu, a równocześnie on dusił mnie moim własnym ramieniem. Zadawał mi przy tym kolejne ciosy drugą ręką.

To nie był Sokół. To był człowiek, który już zabijał i właśnie robił to po raz kolejny. Bez chwili zawahania. Napiąłem wszystkie mięśnie szyi i ramienia. Próbowałem się uwolnić, ale wszystko było bezcelowe. Całe ciało mnie piekło, przed oczyma zrobiło się ciemno.

A potem nagle Misiek puścił i ryknął przeraźliwie. Nie byłem pewien, czy w tej właśnie kolejności.

Przez kilka sekund łapałem spazmatycznie powietrze. Misiek ciągle krzyczał.

Przewróciłem się na brzuch. Powoli wstałem na wciąż miękkich nogach.

Tamten klęczał trzy metry dalej, wrzeszczał z bólu i trzymał się za twarz. Przed nim stała Aldona.

Zrobiłem dwa kroki. Kiedy podniosłem leżący nieopodal pistolet, mimowolnie się odsunęła.

Przystawiłem Miśkowi lufę do czoła. W ostatniej chwili zorientował się, co się dzieje. Zdołał jeszcze chwycić ją dłonią.

Nacisnąłem spust.

Wystrzał był cichszy, niż się spodziewałem. Miałem wrażenie, że większy huk zrobiło wielkie ciało padające na parking.

Odwróciłem się. Michaśka i Bluza stały nieco dalej. Przerażone, nie do końca wierzyły w to, co właśnie się stało. Spojrzałem na Aldonę. Trzymała w dłoni owinięty do połowy w srebrną folię przedmiot, który przed chwilą wciskała Miśkowi w oczy.

– Co to jest? – zapytałem.

Tata Turek podszedł do dziewczyny, wyjął przedmiot z jej dłoni i przyjrzał mu się uważnie.

– Kebab – powiedział w końcu. – Sos ostry ostry.

A potem, w środku nocy, zaczęliśmy sprzątać. Naciskała na to Aldona.

– Jeśli jutro rano znajdą tutaj te trupy, wszyscy w squacie będą mieć problemy! – tłumaczyła gorączkowo. – Przecież nikt im nie uwierzy, że nie mają z tym nic wspólnego!

Przyznałem jej rację. Początkowo chciałem jak najszybciej stamtąd uciekać, uznałem jednak, że nieuczciwie byłoby, gdyby ci młodzi ludzie ponieśli konsekwencje moich działań i całej tej afery.

Chociaż gdy już zabraliśmy się do pracy, zacząłem wątpić w to, czy ktokolwiek zorientowałby się, że w budynku są dwa trupy. Wszyscy byli pod wpływem alkoholu, trawy i innych środków odurzających, dlatego nie zauważyli, jak z Tatą Turkiem wynieśliśmy Kibica i Wąsika. Najtrudniej było oczywiście z Miśkiem. Miałem wrażenie, że po śmierci ważył około tony, ale i jego wreszcie udało się wrzucić na pakę dostawczaka Taty Turka. Później kazałem dziewczynom jechać do domu. Aldona oponowała, chciała nam pomagać, Michaśka była w szoku, Bluza zaś nie spuszczała ze mnie wzroku. Wreszcie zgodziły się pojechać do pana Henryka i tam poczekać na nasz powrót.

Kiedy ruszyły audi, którym jeszcze niedawno jeździli Hyzio i Zyzio, wyjąłem z kieszeni komórkę i wybrałem numer do Tomasza Guźca.

– Potrzebuję skontaktować się z panią Iwonką – powiedziałem po prostu, a on natychmiast zrozumiał.

Kilka minut później oddzwonił i oznajmił, że możemy jechać.

Wszystko odbyło się tak samo jak tamtej nocy. Oprócz tego, że teraz mieliśmy trzy trupy zamiast jednego. Pani Iwonka nie zadawała zbędnych pytań. Rzuciła tylko okiem, pokręciła głową, powiedziała, że te prochy to będzie musiała po polach porozrzucać, bo nikt nie uwierzy, że tyle psów spalili, i na koniec dodała, że to wszystko dla pana Guźca. Podziękowałem więc w jego i naszym imieniu.

Po czwartej nad ranem wróciliśmy wreszcie do baru. Zaparkowaliśmy z tyłu i wysiedliśmy. Na zewnątrz panowała nieprzyjemna jesienna szaruga, lekko mżyło, ale i tak przez chwilę po prostu staliśmy w deszczu i obserwowaliśmy lądujące na Okęciu samoloty. Tata Turek wyciągnął paczkę papierosów i podsunął mi. Przez chwilę nawet miałem ochotę zapalić.

– Nie wydaje się pan przejęty stratą pracowników – odezwałem się, gdy zaciągnął się dymem nikotynowym.

– To byli źli ludzie.

– Dyzio kazał ich panu zatrudnić?

Mężczyzna drgnął, a potem kiwnął głową.

– A pan nie mógł mu odmówić?

Tym razem nie odpowiedział. Ani słowem, ani gestem.

– Partia Pracujących Kurdystanu, prawda?

Odwrócił się do mnie powoli. Próbował zachować kamienną twarz, ale jego zdenerwowanie zdradzał drżący papieros.

– Skąd pan wie? – zapytał.

– No coś musiał na pana mieć – odparłem. – Ale tak poza tym to chodziło o szczegóły. Pana sympatia dla Aldony, jej koleżanek i wszystkich zaangażowanych znajomych. Zastanawiałem się, skąd to się bierze, i doszedłem do wniosku, że widzi w nich pan siebie z czasów młodości. Oczywiście oni nie muszą sięgać po broń, żeby walczyć o swoje racje, ale ideały są podobne. Zaangażowanie też. Ale szczerze mówiąc, zdradził się pan czymś innym.

– Czym?

– *Hırç* – rzuciłem. – Niedźwiedź, tyle że po kurdyjsku. Po turecku to bodajże *ayı*. Przepraszam, jeśli źle wymawiam.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Ta... Nie przypuszczałem, że zna pan turecki. I kurdyjski.

– Nie znam. Pożyczyłem od znajomego komórkę i sprawdziłem. Google translator, może pan kojarzy.

– Dlaczego pan to zrobił?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Chyba z ciekawości – powiedziałem i odetchnąłem głęboko nocnym powietrzem. – Nie

przeszkadza panu, że wszyscy nazywają pana Turkiem?

– Nie – odparł po chwili. – Przyzwyczaiłem się. Zresztą większość z was, Polaków, nawet nie wie, że istniejemy.

Podniósł papierosa do ust, zaciągnął się głęboko, a potem wyrzucił niedopałek przed siebie.

– Przyjadą inni – dodał. – Tacy jak Misiek. Będą żądać pomocy i grozić, że ujawnią mnie władzom. Pan wie, co to dla mnie znaczy?

Wiedziałem. Partia Pracujących Kurdystanu była uznawana przez Polskę i inne państwa Unii Europejskiej za organizację terrorystyczną. Tacie Turkowi – teraz zdałem sobie sprawę, że nawet nie wiem, jak naprawdę się nazywa – groziła deportacja do Turcji, a tam czekało na niego więzienie. I to w najlepszym razie, bo w gorszym tortury i śmierć.

– Pewnie pojawią się też tacy jak Dyzio, będą chcieli mnie wykorzystać, zażądają swojego. Może okażą się od niego trochę lepsi, ale pewnie będą gorsi. A pan już stąd zniknie, co? Zostanę sam – mówił to wszystko bez żalu, ale z głębokim fatalizmem, przekonany, że tak jest już ułożony świat i nie może zrobić nic, żeby to zmienić.

– Poradzi pan sobie z nimi – powiedziałem.

– Niby jak?

– Podobno byliście w tym dobrzy.

– W czym?

Wyjąłem zza paska spodni pistolet należący do Zyzia i wcisnąłem go Tacie Turkowi w dłoń.

– W zabijaniu.

– Przyjechałem do Polski, żeby nie musieć już tego robić.

– Cóż. – Wzruszyłem ramionami. – Jeśli szukał pan spokoju, trzeba było wybrać Szwecję.

Potem odwróciłem się na pięcie i ruszyłem spacerkiem do domu pana Henryka.

Dotarłem tam po kwadransie. Wszedłem cicho, ale niepotrzebnie tak się starałem. Żadna z dziewczyn jeszcze nie spała. Przywitałem się z nimi i poprosiłem o kawę. Przekonałem je, że wszystko jest już w porządku i nie mają się czego bać, a potem poszedłem do swojego pokoju. Opuściłem go po dziesięciu minutach z torbą przewieszoną przez ramię. Na kuchennym stole stał kubek z kawą rozpuszczalną. Gorzką, gorącą i niesmaczną, ale takiej właśnie potrzebowałem.

– Wyjeżdżasz? – zapytała Aldona, wchodząc do kuchni, po chwili dołączyły do nas Bluza i Michaśka.

– Tak.

– Dlaczego? Przecież mówiłeś, że... że...

Dziwnie działa ludzka głowa. Pomimo wszystkich drastycznych przeżyć tej nocy te słowa ciągle nie potrafiły przejść jej przez gardło.

– Że zajęliśmy się ciałami – dokończyłem za nią. – I tak było, ale tylko ciałami Miśka i jego kumpli. Hyzio, Zyzio i Sokół...

Jej twarz skrzywiła się w bolesnym grymasie, kiedy wypowiedziałem to nazwisko. Od razu pożałowałem, że wsadziłem palec w tę niezasklepioną jeszcze ranę. Widziałem przecież, że Bartosz podobał się Aldonie. Może nawet się w nim podkochiwała. Michaśka natomiast na wieść o kolejnych trupach poblądła, tak że jej policzki miały teraz barwę bożonarodzeniowego opłatka. Musiała się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść. Jedynie twarz Bluzy pozostawała dla mnie nieczytelna. Nie potrafiłem zgadnąć, co czuje albo co myśli ta dziewczyna. Zmartwiło mnie to.

– ...zostali na tej budowie – dokończyłem. – Trzy kolejne ciała to byłoby chyba za dużo nawet dla pani Iwonki.

– Kiedy ich znajdą? – zapytała głucho Aldona.

– Nie wiem, może już dzisiaj, a może za trzy miesiące lub pół roku. Nie mam pojęcia, jak często ktoś odwiedza tę budowę. Na pewno prędzej czy później wkradną się tam bezdomni, zbieracze złomu lub miłośnicy opuszczonych budowli. Jak zareagują? Nie wiem. Pamiętajcie jednak, że Misiek i jego kumple byli imigrantami. Przy odrobinie szczęścia nikt ich nie będzie szukał. Sokół natomiast miał firmę, znajomych i rodzinę. Był skurwielem, ale jego bliscy o tym nie wiedzą. Zawiadomią policję o zaginięciu, a ta weźmie się do roboty i być może przyjdzie tutaj. Wtedy dobrze by było, żebyście mogli z czystym sumieniem rzucić wszystko na mnie.

– Nie rób z siebie męczennika.
– Nie robię – odparłem. – Po prostu nic o mnie nie wiecie.
– Znam twoje imię – powiedziała Aldona. – Zygmunt.
– Nie jest już może najpopularniejsze, ale na szczęście paru Zygmuntów w Polsce wciąż jeszcze mieszka. Zrozum, Aldona, dla waszego dobra muszę zniknąć. Może nie na zawsze, ale na tyle, żeby sprawa przycichła.

– Tak bez pożegnania?

– Właśnie się żegnam.

– A wujek?

– Powiedz mu do widzenia ode mnie.

– On jest chory, prawda? – zapytała niespodziewanie.

– Nic o tym nie wiem – skłamałem. – Ale jeśli coś cię niepokoi, porozmawiaj z nim.

Objąłem ją. Staliśmy tak przez długi czas, ona wtulona w moją pierś. Dopiero po kilkunastu sekundach zorientowałem się, że płacze. Nie śpieszyłem się. Pomyślałem, że kilka minut mnie nie zbawi. Pozwoliłem jej wylać wszystkie łzy. Wiedziałem, że tego potrzebowała.

Tak samo pożegnałem się z Michašką. Potem podszedłem do Bluzy, ale ona cofnęła się o krok.

– Właściwie ja też już powinnam spadać – powiedziała. – Pójdziemy chyba kawałek razem.

– Jesteś pewna? – zapytała drżącym głosem Aldona.

Bluza kiwnęła głową.

Razem więc opuściliśmy dom pana Henryka i szliśmy ramię w ramię w milczeniu aż do alei Krakowskiej. Tam dziewczyna się zatrzymała, wyjęła komórkę, odblokowała ją i sprawdziła coś w jednej z aplikacji.

– Za kilka minut przyjdzie tutaj po mnie uber.

– Aha – odpowiedziałem, bo tylko tyle byłem w stanie z siebie wydusić.

– Zygmunt, co? – zapytała kpiąco.

– Jakoś tak wyszło – mruknąłem, a potem wzięłem głęboki oddech. – Nie wiedziałem, że mieszkasz w Warszawie.

– Studiuję. Pierwszy rok – odparła. – Ale dla mnie to też niespodzianka, że tutaj jesteś.

– Jak sobie radzisz?

– Kiedy nikt nie próbuje mnie zabić z powodu mejla, którego nawet nie zdążyłam otworzyć? – odpowiedziała sarkastycznie. – Całkiem niezłe. A ty? Chociaż po co pytam. Sama widziałam. Nic się nie zmieniłeś.

– Chciałem. Nie mogłem.

– Jasne.

Jeszcze raz zerknęła na ekran komórki.

– Zaraz będzie – szepnęła.

– Nie mów o tym mamie, dobrze?

– I tak by nie chciała słuchać – rzuciła i w tym momencie niedaleko nas zatrzymała się srebrna dacia logan z napisem „Uber” naklejonym na bocznych drzwiach. – Kiedyś przez moment próbowała cię szukać, ale Olbrych powiedział, że nie warto. To nie szukała.

– Rozumiem.

– Jasne, że rozumiesz.

– Dobrze cię było zobaczyć – powiedziałem.

Po raz pierwszy podczas naszej rozmowy zobaczyłem, że się waha. Po raz pierwszy na jej twarzy pojawiła się nerwowość. Po raz pierwszy nie wiedziała, co powinna powiedzieć. Jej wargi drżały, z ust wydobywała się chmurka pary.

– Ciebie też, tato – odparła w końcu.

Chciałem ją wtedy przytulić, ale bałem się, że mi nie pozwoli. Wyciągnąłem więc po prostu rękę, a ona ją uściśniła. Chwilę potem obserwowałem, jak dacia z moją córką w środku znika w rodzącym się nad ranem warszawskim ruchu.

Do Podkowy Leśnej dotarłem porannym pociągiem. Potem czekał mnie długi spacer na obrzeża miasta, ale pomimo bólu całego ciała sprawił mi sporą przyjemność. Potrzebowałem chwili spokoju, kiedy będę mógł o niczym nie myśleć.

Ale i tak myślałem o Bluzie.

Miasto było spokojne, ciche. Tonęło w różnokolorowych jesiennych liściach, które istną lawiną spadały na ulice i chodniki, szeleściły pod moimi butami. Mijałem nielicznych ludzi, jeszcze zaspanych, pośpiesznie wsiadających do samochodów i myślących tylko o tym, żeby zdążyć do pracy w Warszawie przed porannymi korkami. W przeciwieństwie do wielu innych miasteczek otaczających stolicę, miasteczek, które stały się zwykłymi sypialniami, bliźniaczo do siebie podobnymi, wypełnionymi takimi samymi blokami, takimi samymi grodzonymi osiedlami, Podkowie Leśnej udało się zachować unikalny charakter. Pewnie wkrótce podzieli los Konstancina – stanie się kolejną mekką bogatych i wpływowych i nie będzie tutaj miejsca dla zwykłych ludzi. Ale to zajmie jeszcze kilka lat. Chociaż pierwsze oznaki tego procesu – nowo wybudowane, choć gustowne wille oraz luksusowe samochody, które kierowcy zmieniają co roku tak, jak zwykli śmiertelnicy zmieniają co najwyżej buty – były już tutaj widoczne.

Wreszcie dotarłem do domu Tomasza Guźca. Przez chwilę stałem po prostu przy bramie, czekając, aż zauważą mnie ochroniarze, ale żaden się nie pojawił. Podeszedłem więc do furtki i nacisnąłem guzik domofonu. Odebrał niemal natychmiast.

– Tak?

– To ja.

Rozległ się dźwięk otwieranego zamka i wszedłem do środka. Kiedy minąłem zaparkowanego mercedesa, drzwi od domu się uchylily. Stał w nich komornik ubrany w piżamę i szlafrok. O dziwo różowy. Podejrzliwie wyglądał na zewnątrz, w dłoni trzymał pistolet. Dopiero kiedy upewnił się, że przyszedłem sam, otworzył szerzej.

– Niech pan wejdzie – powiedział, robiąc mi miejsce.

– Nie zadzwonił pan do swojego kolegi? – zapytałem, wskazując palcem na broń.

– Zadzwoniłem – odparł. – Przysłał mi dwóch swoich chłopaków, byłych gromowców. Sympatyczni nawet, ale kiedy skontaktował się pan ze mną i poprosił, żebym porozmawiał z panią Iwonką, domyśliłem się, że niebezpieczeństwo minęło, i odesłałem ich do domu.

– To skąd ten pistolet?

– Przewrotny zawsze ubezpieczony – odpowiedział Guziec, po czym poprowadził mnie do salonu. – Kawy, herbaty? Coś mocniejszego?

– Nie trzeba.

Przypatrywał mi się przez moment uważnie.

– Wygląda pan, jakby wpierdolił się pod ciężarówkę – oznajmił wreszcie.

– Tak to mniej więcej było – przyznałem.

– Ci ludzie odpowiedzialni za śmierć mojej teściowej?

– Nie żyją. Chce pan wiedzieć, kim byli?

– Nie. – Machnął ręką. – Wystarczy mi, że zostali ukarani. I że nikogo już nie skrzywdzą. Na pewno nie chce pan kawy?

– Piłem już.

– Przyszedł pan tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

– Że piłem już kawę?

– Nie. Że ci ludzie nie żyją.

– Chyba tak. Pomyślałem, że chciałby pan to wiedzieć. No i chciałem się pożegnać.

– Wyjeżdża pan.

– Na pewien czas.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiem.

– Nie wie pan czy nie chce mi powiedzieć?

– I to, i to.

Guziec przeszedł przez salon, żeby zająć miejsce na jednym ze skórzanych foteli. Przez chwilę siłował się ze szlafrokiem, który zawinął mu się pod pośladki. Kiedy wreszcie go wyciągnął, stęknął zadowolony.

– Czyli narobił pan bałaganu?

– Trochę.

– Coś, o czym przeczytam w gazetach?

– Mam nadzieję, że nie, ale nie mogę tego wykluczyć.

– Ilu?

– Łącznie z tym, którego pan załatwił? Siedmiu.

Gwizdnął z uznaniem.

– Dużo.

– Zasłużyli.

– W to akurat nie wątpię. Na pewno nie chce pan kawy?

– Pyta pan o to po raz trzeci. Zapyta pan jeszcze raz, to wtedy...

– To wtedy co?

– Chyba będę musiał się zgodzić.

Zaśmiał się.

– W takim razie zapytam, ale za chwilę – powiedział, nachylając się w moją stronę i drapiąc po nieogolonym podbródku. – Bo skoro i tak pan wyjeżdża, może mógłby mi pan pomóc. Nie za darmo oczywiście. Miałbym po prostu pracę dla kogoś takiego jak pan.

– Chodzi o pańskiego syna? – zapytałem.

Uniósł wysoko brwi. Potem lekko poczerwieniał, jakby nagle zaczął podejrzewać, że pod jego nieobecność włamałem mu się do domu i przeszukałem rzeczy, ale szybko uznał to za mało prawdopodobne. Spojrzał więc na mnie pytająco.

– Widziałem zdjęcia pańskiej nieżyjącej żony, córki i syna – wyjaśniłem. – Kiedy jednak zaproponowałem, żeby wyjechał pan na kilka dni, usłyszałem tylko, że nie chce pan sprawiać kłopotu córce, która mieszka daleko. Ani słowem nie wspomniał pan o synu. Tymczasem jedynie zdjęcie żony jest przewiązane czarnym kirem, co oznacza, że on żyje. A skoro nie przywołał go pan podczas naszej rozmowy, to albo jesteście skłóceni i nie rozmawiacie ze sobą, albo chłopak zaginął. I ta druga wersja jest prawdziwa, prawda?

Guziec spuścił głowę i ukrył ją w ramionach. Tęgi, w różowym pofałdowanym szlafroku i granatowej piżamie przypominał teraz jakąś nowoczesną rzeźbę.

– Tak – odezwał się, powoli wstając z fotela i człapiąc krok za krokiem w moją stronę. – Zaginął. Kilka lat temu. Pojechał we wrześniu nad morze. Był studentem. Oni mają długie wakacje, a we wrześniu taniej. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

– Chce pan, bym go znalazł?

Zawahał się, a potem pokręcił głową.

– Gdyby dało się go znaleźć, już bym to zrobił – powiedział. – Poruszyłem niebo i ziemię. Bez efektu.

– To jakie miałyby być moje zadanie?

Guziec uśmiechnął się smutno.

– Poszukać go – odpowiedział. – Ma pan dzieci, panie Zygmuncie?

– Nie.

– To pan nie zrozumie. – Położył mi dłoń na ramieniu. – Ale w takiej sytuacji rodzic, ojciec, nie może przestać szukać. Nawet jeśli już stracił nadzieję. To co? Weźmie pan tę robotę?

Poczułem, jak jego palce mimowolnie się zaciskają, wbijając się w mój bark.

– Wezmę – powiedziałem. – Ale najpierw, jeśli pan pozwoli, napiłbym się kawy.

Podziękowania

Przygoda z tą powieścią rozpoczęła się kilka lat temu na Poznańskim Festiwalu Granda. Podpisywałem książki, kiedy podszedł do mnie pewien mężczyzna i powiedział, że jest sprawa, na którą chciałby zwrócić moją uwagę. Umówiliśmy się na telefon. Kilka dni później zostałem zasypany informacjami na temat zagrożeń związanych z wyciekami danych osobowych, a także poznałem kilka naprawdę przerażających historii na ten temat. Po paru tygodniach w mojej głowie pojawił się pomysł na książkę. Niestety, nie pamiętam ani imienia, ani nazwiska tego mężczyzny. Nie jestem w stanie też odnaleźć jego numeru telefonu. Można by powiedzieć, że bardzo skutecznie udało mu się ukryć swoje dane osobowe. Jeśli jednak czyta Pan te słowa, chciałem Panu bardzo serdecznie podziękować, bo ta książka zaczęła się właśnie od naszej rozmowy.

Ogromne podziękowania należą się również pani Monice oraz panu Bartoszowi. Pani Monika jako pierwsza konsultowała pomysł na intrygę, a następnie skontaktowała mnie ze swoim mężem – komornikiem sądowym. Pan Bartosz cierpliwie tłumaczył mi, na czym polega jego praca, wskazał też kilka słabych punktów w moim pomysle, a potem pomógł je załatać.

Po warszawskich Włochach oprowadzał mnie Andrzej Kaczmarek. Opowiedział o historii dzielnicy i pokazał większość miejsc, w których dzieje się akcja powieści. Dzięki niemu ta opowieść jest dużo lepsza i mam nadzieję, że ciekawsza. Jestem za to bardzo wdzięczny.

Większość scen walki konsultowałem z Magdaleną Loską, jedną z najbardziej utytułowanych w Polsce (jeśli nie najbardziej!) zawodniczek brazylijskiego ju-jitsu. Oczywiście konsultacje konsultacjami, pisanie pisaniem – jeśli ktoś przy opisach podniesie wysoko brew i wymruczy „niemożliwe”, to wina leży po mojej stronie. Coś przekręciłem lub źle zapamiętałem. Mogę tylko powiedzieć: na macie działało!

Agnieszka Dąbrowska, Ewa Łyjak oraz Wojciech Michalski podzielili się ze mną swoją wiedzą na temat przebiegu oraz leczenia chorób nowotworowych. W powieści użyłem tylko ułamka tego, czego się od nich dowiedziałem, natomiast nie wykluczam (skoro już się poznaliśmy), że wrócę do nich z kolejnymi pytaniami przy okazji następnej powieści (tak, to jest ostrzeżenie!).

Pomimo wsparcia tylu osób w tej książce mogły się znaleźć pewne błędy faktograficzne. Jeśli tak się stało, to oczywiście z mojej winy.

Nieustannie przypominam, że pisanie książki to wbrew pozorom praca zespołowa. Po raz kolejny dziękuję bardzo mojej redaktorce Karolinie Macios, a za komfort pracy i świadomość, że stoi za mną cała grupa ludzi, która będzie pracować na sukces tej powieści – ekipie z wydawnictwa Marginesy. Jesteście wspaniali.

I wreszcie trzeba przypomnieć, że życie z pisarzem nie jest łatwe. Dziękuję mojej żonie Dagmarze i dzieciom za wyrozumiałość, cierpliwość i wsparcie. Ta książka powstała także dzięki Wam.